

**ANTOLOGIA**

**SPOTKANIE W PRZESTWORZACH**

**TOM - 6**

## *Spis treści*

Gloria 40

Dialog przez rzekę 67

Teatr 93

Uciec do jadowitych węży 121

Obwód 150

1 150

2 151

3 164

4 171

5 183

6 189

Pod ochroną 193

Broken arrow

Przebudził się leżąc jak zawsze na brzuchu, przykryty do pasa kocem, w swym niewielkim wynajętym pokoiku, na wygodnym pojękującym sprężynami łóżku. Przez szpary w niedbale zasłoniętych oknach wdzierало się do wnętrza kilka stożków światła słonecznego poranka. Jeden z nich przecinał skosem jego nagie plecy i kończył się na przeciwległej ścianie, gdzie wisiał stary zabytkowy zegar z kukułką, należący do licznej grupy staroci, które tkwiły w tym mieszkaniu od lat za przyczyną usposobienia i sympatii do nich ich właściciela, reportera i publicysty - Charlesa Machana.

Wyganiając z siebie resztki snu potężnym ziewnięciem, Machan powędrował wzrokiem wzdłuż świetlnej smugi w kierunku zegara. Mimo starości chodził dobrze, wskazywał parę minut po godzinie ósmej. Pospał sobie dzisiaj długo, znacznie dłużej niż zazwyczaj, bo też i okazja była podwójna. Po pierwsze wziął pięć dni zaległego urlopu celem ukończenia pracy nad dłuższym artykułem do macierzystej gazety, a po drugie miał przecież u boku Laurę, cud-kochankę, jak ją nieraz w myślach nazywał. Dziewczyna była Mulatką, dużo młodszą od niego, o czarnych jak węgiel oczach, pałających zawsze żywym blaskiem. Twarz miała raczej przeciętną, o lekko murzyńskich - rysach, okoloną bujną czapą pokręconych włosów, oraz - co go przede wszystkim urzekło - śliczną szczupłą sylwetkę.

Machan nie był żonaty, w czasie lat służby w siłach zbrojnych nie było na to czasu, a teraz, po wypadku, uważał siebie za człowieka nie w pełni sprawnego fizycznie, zmuszonego zrezygnować z założenia rodziny. Ot, najwyżej jakaś przelotna miłość, nic dla niego nie znacząca, stosowana tylko w ramach lekarstwa przeciw starokawalerskiemu zdziwaczeniu. W takich samych kategoriach starał się traktować i ją, Laurę Lemmock, chociaż ostatnio nie bardzo mu to wychodziło - zanosilo się powoli na złamanie solidnych życiowych zasad. Znali się od dawna, jeszcze z czasów jego czynnej służby w siłach kosmicznych. Sporo razy wracali do siebie po krótkich lub dłuższych rozstaniach spowodowanych wyłącznie jego ciągłymi wyjazdami. Ona, Laura, nie wyjeżdżała nigdzie, stale mieszkała z matką w ich cudownym domku na peryferiach miasta, otoczonym przepysznym sadem.

Przeraźliwy terkot dzwonka wyrwał agresywnie Machana z głębi rozmarzenia i wywołał na plecach dreszcz przestachu. Zauważył od pewnego czasu, że przez ostatnie pięć lat zmieknął i sflaczał zupełnie, nie był już tym energicznym, wysportowanym oficerem co dawniej. Uniósł lekko głowę i spojrzał na Laurę. Spała nadal, ale jej spokojny oddech zmienił się raptownie. Odgłos dzwonka u drzwi powtórzył się ponownie, tym razem znacznie natarczywiej i dłużej. Jeszcze przez krótką chwilę zastanawiał się czy wstać i otworzyć drzwi temu komuś, kto ośmielił się przerywać mu te rzadkie i błogie chwile wewnętrznego szczęścia, lecz po trzecim dzwonku pozbył się złudzeń - natręt nie odejdzie, trzeba wstawać.

Uniósł się na łokciach. Dopiero wtedy wyczuł na swoich barkach delikatną rękę Laury. Z żalem spoglądał jak dłoń ta zsuwała się z jego ciała. Laura zmieniła energicznie pozycję ciała i przewróciła się na plecy, odsłaniając swoje jędrne, duże piersi. Wstał ostrożnie, okrążył łóżko i przykrył ją ciepłym kocem. Jęknęła coś cicho przez sen i oblizła wargi. Miał ogromną ochotę pocałować ją w te pełne, czerwone usta, ale ponowny terkot dzwonka zburzył jego zamiar.

Zgorszony narzucił szlafrok i wyszedł do przedpokoju. Przekręcił w zamku klucz i otworzył na oścież drzwi, mając ochotę co najmniej zmierzyć natręta groźnym spojrzeniem. Jednak nie zrealizował tego zamiaru. Zamiast marsowej miny, na jego twarzy pojawiły się nagle oznaki dużego zdziwienia. Nie

spodziewał się takiej wizyty. W drzwiach stał oficer w stopniu kapitana, ze znacznikiem służby powietrzno-kosmicznej. Znał doskonale ten mundur, sam nosił podobny jeszcze pięć lat temu.

Kapitan zasalutował na powitanie i zapytał z powagą na twarzy:

- Pan Charles Machan?

- Zgadza się... - odmruknął gospodarz, ciągle pod wrażeniem niespodzianki. Jak go tu odnaleźli? Zapewne zdradził ktoś z redakcyjnej braci.

- Przybywam z rozkazu generała Machana - dorzucił oficer, jakby z lekkim cieniem niepewności.

A zatem kielkujące w jego umyśle wrażenie nie myliło go - jednak ktoś ze sztabu. Generał Machan, szef Sił Powietrzno-Kosmicznych USA z siedzibą w Omaha, notabene jego wujek, dawniejszy dowódca 6 Eskadry Samolotów Orbitalnych, w której służył przed laty i on, kapitan Charles Machan.

- Generał Machan prosi pana o niezwłoczne stawienie się w sztabie - przerwał jego zamyślenie oficer.

- Co się stało? - zapytał niecierpliwie.

Kapitan zawahał się na krótko. Mięśnie na jego twarzy skurczyły się lekko:

- Nie jestem upoważniony do składania jakichkolwiek wyjaśnień. W sztabie dowie się pan szczegółów - sięgnął do kieszeni munduru i wręczył Machanowi białą kopertę ze słowami: - Oto list od generała.

Machan bez słowa urwał brzeg koperty i wyjął białą, złożoną w połowie kartkę papieru. Ujrzał kilka wyrazów napisanych ręcznie znanym, starannym pismem wuja. „Przyjeżdżaj natychmiast, Charles. Sytuacja szczególna i ściśle tajna. Broken Arrow. Gen. Machan”.

Chwilę stał nieruchomo zdumiony tym, co przeczytał. Zaskakujące były dwa ostatnie wyrazy listu: „Broken Arrow”. Znał doskonale ich znaczenie. To przecież kryptonim akcji związanych z poszukiwaniami zaginionych obiektów z bronią atomową. Kryptonim był stary, pochodził jeszcze z drugiej połowy XX wieku, używany był od początku katastrof bombowców B-52, przewożących wówczas bomby wodorowe na szlakach: USA-Europa-Azja. W wojsku - przekonał się o tym nieraz - szybkiej zmianie ulega tylko uzbrojenie, natomiast schematy zarządzania i terminy biurokratyczne trwają niezmiennie przez dziesiątki lat. Czyżby znów nowa katastrofa? Spojrzał przenikliwie na kapitana, lecz z jego chudej, bezdusznej twarzy nie wyczytał niczego mądrego.

- Proszę do środka, kapitanie...

- Nie... dziękuję. - Oficer zaoponował energicznie. - Nie widzę potrzeby. Proszę się pośpieszyć. Zaczekam w samochodzie.

A zatem wysłali po niego samochód. Ale dlaczego po niego, do licha? Do czego może być im potrzebny on, dziennikarz, kaleka? Spojrzał przed siebie. Kapitan akurat otwierał furtkę w ogrodzeniu i wychodził na ulicę. Samochodu nie zauważył. Widocznie stał gdzieś dalej za gęstym szpalerem drzew.

Zamknął drzwi frontowe i wrócił do pokoju. Laura nie spała już. Powitała go uśmiechem swej brunatnej twarzy i zapytała:

- Co się stało, Charles? Widziałam w progu żołnierza.

A więc obudziła się zaraz po nim i jak zawsze ciekawa sprawdziła ukradkiem, kto przyszedł. Chciał się jej odwzajemnić uśmiechem, ale nie wypadło to najlepiej. Z ciężkim westchnieniem usiadł na pobliskim krześle. Laura obserwowała go z uwagą. Wyczuł na sobie jej badawcze spojrzenie: Powiedział:

- Wysłannik wuja Williama: Niestety, muszę jechać. Zaraz... Wybacz.

- Już teraz? - uniosła się na łóżku z zamiarem jego opuszczenia.

- Tak... Czekać na mnie w samochodzie.

- Charles... - Jej oczy zapalały żywiej. - Co się stało? - W pytaniu dźwięczał niepokój.

- Nie wiem, co się stało, Lauro - odparł wzruszając ramionami. - Naprawdę. Poza tym, gdybym się nawet domyślał... Rozumiesz sama.

- Wiem. Tajemnica służbowa...

Lubił ją między innymi i za to, że nigdy nie pytała o to, czego nie chciał jej powiedzieć. Bez słowa skargi odchodziła, kiedy musiał wyjeżdżać, i wracała bez oporu, gdy zawiadamiał ją o swoim powrocie. Nie miała nigdy o nic pretensji, nawet gdy widziała go z inną kobietą. Była dla niego lekarstwem, balsamem na wszystkie stesy i chandry, jakie atakowały go od czasu do czasu. Był przekonany, że ona też doskonale wyczuwała tę szczególną sytuację między nimi, tę niezbyt sprawiedliwą zależność. Ale nie protestowała, zjawiała się wtedy, gdy była potrzebna, i odchodziła, gdy czuła się zbędna, powoli stawała się dla niego czymś więcej niż kochanką.

- Możesz tu oczywiście zostać do mojego powrotu - rzekł, widząc że wstaje z łóżka i sięga po sukienkę.

- Czuję, że nie wrócisz tak szybko - powiedziała z przekonaniem.

Czasami wydawało mu się, że zna go lepiej niż on sam. Umiała wyczuwać jego nastrój. A może i czytać prawdę z jego twarzy? Zastanawiające było to, że niesłychanie rzadko się myliła.

- Gdzie będziesz? - zdecydował się na to pytanie, choć wiedział, że zabrzmiał banalnie.

- Oczywiście w domu - odpowiedziała spokojnie, ale jej lekkie wahanie nie uszło jego uwagi.

Mieszkała z matką kilkanaście kilometrów dalej, na krańcu miasta. Ojciec, major sił desantowych, zmarł kilka lat temu na raka. Obecnie kobiety utrzymywały się z renty po oficerze. Dzięki niej i własnej pracy Laura mogła zapewnić schorowanej matce stałą fachową opiekę pielęgniarki. Może właśnie panująca w jej domu wojskowa atmosfera wpłynęła na to, że Laura tak łatwo godziła się z jego częstymi wyjazdami?

W przeciągu paru minut włożył lekkie, przewiewne ubranie, do walizki wrzucił tylko niezbędne przybory osobistej higieny i jedną koszulę na zmianę. Resztę bagażu stanowił jego reporterski sprzęt: magnetofon, krótkofalówka, aparat fotograficzny i miniaturowa kamera filmowa.

Dziewczyna guzdrała się trochę. Machan postanowił nie czekać na jej wyjście. Umówili się, że pozamyka wszystko własnym kluczem. Potem pożegnali się szybko i raczej chłodno.

- Pa, Lauro...

- Powodzenia, Charles. I uważaj... proszę.

Po chwili był już na ulicy. Kapitan stał przy samochodzie. Zerkał na zegarek, a zatem niecierpliwił się jego nieobecnością. Machan szybko ulokował się na tylnym siedzeniu. Kierowcą był żołnierz w stopniu sierżanta. Na znak kapitana ruszył ostro z miejsca.

Już na terenach przylegających do Bazy Sił Powietrzno-Kosmicznych panowało większe niż znane Machanowi z lat jego służby podniecenie. Zanim otworzono im przejazd, oficer dyżurny dokładnie wylegitymował nie znanego sobie cywila, a następnie porozumiał się przez telefon z jakimś zwierzchnikiem kwaterującym w głębi zabudowań. Odpowiedź musiała być pozytywna, gdyż barierka powędrowała w górę. Ruszyli dalej betonową drogą między budynkami magazynów i hangarów sprzętu naziemnego. Opodal znajdowało się lotnisko dla samolotów orbitalnych, a za nim nowo wybudowany kosmodrom dla raket patrolowo-transportowych. Akurat gdy przejeżdżali, minął ich z rykiem silników wielki orbitalny BX-12 lecący na niewielkiej wysokości w kierunku pobliskiego lotniska.

Kierowca zatrzymał się na podjeździe obok przeszklonego biurowca uformowanego w kształcie podkowy. Kapitan wyskoczył sprawnie z samochodu i stanął wyczekująco. Machan również wyszedł z samochodu i zerknął niezdecydowanie na swój bagaż.

- Kierowca przypilnuje - odparł oficer. - Pozwoli pan za mną.

Weszli do budynku przez otwarte na oścież drzwi. Windą pojechali na trzecie piętro. Jeden korytarz,

drugi - wszędzie dało się zauważyć biegających w pośpiechu wojskowych. Z mijanych, niekiedy nie domkniętych drzwi dobiegały urywki głośnych, podnieconych rozmów. Zatrzymali się na końcu korytarza na wprost drzwi opatrzonej tabliczką z napisem: „Dowódca Sił Powietrzno-Kosmicznych, gen. W. Machan”. Kapitan wszedł do środka, Charles za nim. Na wprost, za biurkiem, siedział oficer w stopniu majora. Rozmawiał, a właściwie wysłuchiwał kogoś przez telefon. Nie odrywając uwagi od telefonu zatrzymał ruchem dłoni kapitana. Ten przystanął obok biurka. Machan tymczasem zlustrował uważnie wystrój pokoju. Wychodziły z niego jeszcze jedne drzwi, obite lśniąca czarną skórą nabijaną niklowanymi ćwiekami. Za nimi właśnie powinien znajdować się człowiek, który go tu nieoczekiwanie wezwał, jego wujek, William Machan. Od czasu gdy był w tym pokoju po raz ostatni, niewiele się w nim zmieniło.

Major odłożył słuchawkę dopiero po paru minutach. Musiał rozmawiać z kimś wyższym rangą, bo końcowe jego słowa brzmiały:

- Tak jest...! Zaraz przekazuję.

Dopiero po odłożeniu słuchawki zainteresował się przybyłymi. Zamienił parę słów z towarzyszącym reporterowi kapitanem. Ten po chwili wyszedł z pokoju zostawiając gościa majorowi. Oficer bez chwili zwłoki nacisnął na klawisz wewnętrznego selektora i rzekł:

- Panie generale, Charles Machan do pana...

- Prosić zaraz. - Aparat zaskrzeczał grubym, męskim głosem, doskonale Machanowi znanym.

Zanim major zdążył wyjść zza biurka i podejść do drzwi, te otworzyły się nagle i stanął w nich wysoki barczysty mężczyzna w doskonale skrojonym mundurze, z generalskimi szlifami. Jego dużą głowę, z nalaną twarzą, lekko zaróżowioną na policzkach i nosie, przykrywała siwa, prawie biała czupryna. Mężczyzna zatrzymał się w progu, zlustrował gościa uważnym spojrzeniem, a następnie zwrócił się do swego sekretarza:

- Żadnych telefonów... Jestem zajęty aż do odwołania.

- Tak jest, panie generale... - Major wyprężył się słuźbiście i wrócił na swoje miejsce przy biurku.

- Wejdz, Charles - Generał zrobił krok do tyłu, czyniąc bratankowi miejsce do przekroczenia progu jego gabinetu.

Po zamknięciu drzwi podali sobie dłonie i wymienili krótkie słowa powitania. Generał wskazał gościowi fotel przy okolicznościowym stoliku. Chwilę trwało milczenie. Charles nie ukrywał malującego się na jego twarzy zachwyty, gdy dokładnie obejrzał wystrój apartamentu. Stare, zabytkowe i obszerne biurko, na nim rozstawione różne stare drobiazgi biurowe - wujek jak i on miał podobne upodobanie do staroci - przeszklone szafy na wysoki połysk, rozpięte na ścianach mapy i świetlne plansze oraz tablice różnych przyrządów, których przeznaczenia Machan nie odgadł; na podłodze obszerny włochaty dywan i ogromny kwietnik w rogu przy oknie.

- Niewesoło, chłopcze... - Generał przerwał narastającą ciszę i westchnął przeciągle, zapewne w celu zwrócenia na siebie uwagi.

Machan zerknął mu dyskretnie w twarz. Wujek nie patrzył na niego, oczy miał utkwione w stoliku, więc skorzystał z okazji, aby przyrzeć mu się lepiej. Postarzał się znacznie od ostatniego spotkania z okazji uroczystości rodzinnej. Dopiero teraz zauważył, że jego pulchna twarz, pokryta siecią drobnych zmarszczek, emanuje ogromnym znużeniem. A wujek był zawsze energicznym, a nawet wesołym człowiekiem. Zatem musiało wydarzyć się coś naprawdę groźnego, co dotknęło bezpośrednio i jego generalską osobę.

- Wnioskuje, że siły kosmiczne USA coś zgubiły - nawiązał beztróska do zarysowanego w liście tematu.

- Zazdroszczę ci, Charles... - mruknął generał. - Nawet sobie nie wyobrażasz jak ja ci zazdroszczę,

chłopcze - wypowiedział te słowa z narastającym przekonaniem, jak gdyby z żalem.

- Czego? - rzucił Machan, zaskoczony tym dziwnym wyznaniem.

- Czego...? Mój Boże. Po prostu tego, że już jesteś poza tym wszystkim i możesz sobie pozwolić na żarty.

- Hm... Nie przeczę. Nie zdziwisz się zatem szanowny wuju, gdy zapytam wprost, po kiego licha wyrwałeś mnie nagle z łóżka i kazałeś dostarczyć do siebie? - Mimo wewnętrznego nakazu nie umiał się zdobyć na zachowanie całkowitej powagi. - Proszę o konkretne wyjaśnienia.

- A więc spałeś jeszcze... - Generał jakby się zdziwił. Po kolejnym westchnieniu dodał: - A ja dla odmiany nie zmrużyłem dzisiaj oka.

- Współczuję - szepnął Machan i ciągnął dalej zaczęta wcześniej kwestię. - Pięć lat temu dowództwo uznało mnie za kalekę niezdolnego do pełnienia funkcji nawigatora samolotów orbitalnych i... szczerze mówiąc, jestem wam za to szalenie wdzięczny. Stąd to nagłe wezwanie przed oblicze tak ważnej osobistości w naszych siłach trochę mnie niepokoi. Chyba nie zmieniliście nagle decyzji i nie każecie mi ponownie zasiąść za sterami BX-68, bo nagle zabrakło wam nawigatorów?

- Nic się nie zmieniłeś, Charles. - Generał przyglądał mu się dłuższą chwilę z powagą, zainteresowaniem niemal, po czym dodał: - Obydwaj zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że nie mogę ci niczego narzucić... Zresztą... nie wyciągaj na razie zbyt pochopnych wniosków. Nie znasz przecież problemu...

Urwał niezdecydowany i znów wlepił w bratanka swoje wielkie, głęboko osadzone oczy, jak gdyby z niepokojem i obawą. Machan spostrzegł to. Zapytał szybko:

- Czyżby dowództwo zdecydowało się wyjawić mi jakąś tajemnicę? Doprawdy, to coś zupełnie nowego i... niepokojącego. Czym sobie zasłużyłem, do licha?

- Przestań błaznować! - Generał przymknął oczy w przyływie zdenerwowania. - Liczę na ciebie, Charles, na twoją pomoc.

- To brzmi ciekawie. Niechże wreszcie wujek powie o co chodzi, skoro już postanowiono, że mam o tym wiedzieć. Mam kłaść dłoń na Biblii i przysięgać, że dochowam tajemnicę? Na razie wisi nade mną jakaś twoja tajemnicza prośba. Wiem również, że decyzja należy do mnie. Ale nadal nie wiem, w czym mam wybierać. Wał krótko i zwięźle, przecież nie jestem rekrutem. Jeśli chodzi o tajemnicę wojskową, chyba te wszystkie lata spędzone na waszych usługach wystawiają mi jakieś świadectwo lojalności. Zresztą wyście już i tak podjęli za mnie część decyzji.

- Dobrze... Dzisiaj w nocy jeden z naszych samolotów orbitalnych BX-58 uległ... awarii.

- To już coś bliższego. A dlaczego ostatnie słowo z takim zawahaniem? - Machan wyłapał uchem krótki namysł generała przy końcu wypowiedzi.

- Na razie nic konkretnego nie wiem nawet ja.

- Gdzie się to stało?

- Oczywiście w próżni. W czasie przelotu...

- Dobra... - Machan kiwnął głową na znak zrozumienia. - Możesz sobie oszczędzić szczegółów. Chodzi o stałe orbity patrolowe?

- Raczej nie... Ten szedł z orbity do bazy na Titanii. Właśnie w drodze...

- Zapewne snujecie już hipotezy na temat przyczyn. - Te słowa brzmiały jak stwierdzenie, ale widocznie generał doszukał się w nich ukrytego pytania, bo odparł:

- Nie wiem właściwie, czy mi wolno...

- Ustalmy, wuju... - zaproponował nagle Machan. - Decyzja wezwania mnie tu i wtajemniczenia w akcję była tylko twoja czy całego dowództwa?

- Ostry jesteś. - Generał uśmiechnął się przelotnie i dodał już poważniej: - Odpowiem ci szczerze. To

był mój pomysł. Zaakceptowano go.

- Aha. A zatem jeśli rzeczywiście mam się wam w czymkolwiek przydać muszę wiedzieć, czego po mnie oczekujecie, a to wiąże się nieodwołalnie z koniecznością odsłonięcia przede mną przynajmniej części prawdy. Jaka jest skala tej katastrofy?

- Trudno na razie przewidzieć. Samolot w rozsypce. Co do przyczyn... same spekulacje myślowe. Dywersji też się nie wyklucza.

- Siły zbrojne zawsze były nastawione pesymistycznie i nieufnie do otoczenia. Więcej ufacie niezawodności elektronicznych aparatów niż ludziom. Tak... - zamyślił się na chwilę, po czym podjął: - Ta rozsypka oczywiście tylko w skali konwencjonalnej? Nie musisz mi oczywiście przypominać, że orbitalne mają na swych pokładach rakiety z głowicami wodorowymi.

- Co do katastrofy, na razie tylko to pierwsze.

- A więc trwa akcja poszukiwawcza? Chyba dobrze zrozumiałem znaczenie słów „Broken Arrow”.

- Niestety. - Generał zmarszczył brwi. - Pamiętasz chyba, że w czasie awarii broń atomowa zostaje natychmiast odstrzelona od samolotu na bezpieczną odległość. To w środowisku kosmicznym, w próżni. Natomiast w czasie startów i lądowań na Ziemi w grę wchodzi zabezpieczenia spadochronowe.

- Mówisz na „bezpieczną odległość”... I to się udało?

- Na szczęście tak.

- A więc w czym problem? - Machan zdziwił się. - Zgarniecie rozrzucone „bańki” i po krzyku. Przecież one wszystkie mają jakieś znamienniki i zlokalizowanie ich to dla waszych speców pestka.

- Kilka rakiet zostało uszkodzonych - odparł po dłuższym wahaniu generał, nadzwyczaj cicho, drżącym z przejścia głosem. - Mam oczywiście na razie na myśli ich układy lokalizacyjne. Nie działają. Chyba wiesz, co to oznacza?

- Fiu... - Machan gwizdnął z wrażenia. - Więc takie buty. Ile ich zgubiliście?

- Trzy...

- Nieźle. Pozostałe już zabezpieczone?

- Tak. Odnaleziono je w pobliżu szczątków samolotu.

- Oczywiście załoga...? - Machan zerknął przenikliwie w twarz wujka.

- Niestety... wszyscy. - Na twarzy generała pogłębiły się oznaki znużenia. Spuścił niżej głowę, jakby zabrakło mu nagle odwagi, aby spojrzeć w twarz bratankowi. Ten również popadł na chwilę w apatię.

- Siedmiu ludzi... - szepnął dopiero po chwili. - Siedmiu wspaniałych oficerów. Ostatnio śmierć zbiera bogate żniwo w kosmosie. Niedawno ten transportowiec z Księżyca. Czasami dziwię się, jak to się dzieje, że jeszcze ani razu żaden z tych waszych „piorunów” nie rozjaśnił mroku próżni. Ale to do czasu, wuju... do czasu. Obym był złym prorokiem. A swoją drogą tyle się mówiło o reorganizacji systemu uzbrojenia waszego sprzętu. I nic. Ciągłe głowice termojądrowe.

- Myślisz o systemie „Laser”?

- Właśnie. Przecież snuło się wielkie plany i budowało nadzieje z tym związane. Samoloty atmosferyczne i orbitalne miały przejść całkowicie na ten typ uzbrojenia. Już parę lat temu zabrano się do dzieła...

- Mówiono o sukcesywnym przechodzeniu z wieloma zastrzeżeniami i uwarunkowaniami - poprawił oschle generał.

- Domyślam się. - Machan pokiwał znacząco głową. - A zatem to nadal tylko czcze słowa wielkich polityków, prekursorów rozbrojenia w cudzysłowie. Rozumiem, że z broni atomowej nie zrezygnujecie?

- Nie bądź dzieckiem, Charles. - Generał uśmiechnął się ironicznie. - Dobrze wiesz, że to utopia. Przecież nie możemy... Przynajmniej do czasu, aż nasi wschodni antagoniści nie zrezygnują.

- Paradoks.. - prychnął Machan. - Wróćmy jednak do tematu. Zatem trzy „pioruny” krążą sobie



spokojnie w próżni i z każdą minutą maleją szanse na ich odnalezienie.

- Nic dodać.

- Jednak... przecież odstrzelenie rakiet odbywa się na ściśle określonej odległości i w ustalonym kierunku. Możecie chyba określić ich przypuszczalne orbity na podstawie lokalizacji miejsca katastrofy.

- Już to zrobiono. Niestety, pułdo. A zatem w tym wypadku musiał w dużym stopniu zaważyć wpływ impetu wybuchu. Samolot eksplodował... Chyba paliwo. Na to samo wskazuje brak sygnałów znamionowych rakiet. Ich uszkodzenia mogą okazać się o wiele poważniejsze.

- A więc szukanie igły w stogu siana?

- Gorzej... - Generał splótł dłonie z taką siłą, że coś łupnęło mu w kościach.

- Jakie macie projekty wyjścia z problemu?

- No cóż... Będziemy kontynuować poszukiwania aż do skutku...

- Lub nieszczęścia - wtrącił szybko Machan. - Nie musisz mi tłumaczyć, jakie niebezpieczeństwo dla żeglugi kosmicznej stanowią te pociski. A jak właściwie przedstawia się ich system zabezpieczenia przed samoistnym wybuchem? Zmieniliście coś w tej kwestii?

- Niewiele. Tylko pewne układy elektroniczne. Podobno bardziej bezpieczne. - Generał westchnął ciężko. - Zasada działania ta sama.

- Sześć bezpieczników?

- Tak...

- Dowiedziałem się sporo o samym wypadku... - podsumował po chwili zadumy Machan. - Teraz kolej na konkretne pytania. A zatem pierwsze: jaka ma być moja misja w tym przedsięwzięciu? - spojrzał uważnie w twarz wuja, jak gdyby chciał w ten sposób zmusić go do wyznania całej prawdy w tej szalenie ważnej dla niego kwestii.

- Zostaniesz przy swojej profesji, Charles - odparł generał po dłuższej chwili zwłoki. - Musisz jednak przyjąć do wiadomości, że na razie nikt postronny nie wie, co się wydarzyło. Wszystkie wiadomości odnośnie katastrofy podawane były szyfrem. Na razie panujemy nad sytuacją. Ale na jak długo? Jestem przekonany, że wcześniej czy później świat dowie się o zajściu, a wtedy... - zerknął na bratanka znacząco.

- Boicie się zatem ataków opinii publicznej - domyślił się Machan. - A więc?

- Liczymy między innymi na twoją pomoc.

- Na mnie... - Machan wypowiedział te słowa bardziej twierdząco niż pytająco, jednak jego natarczywe spojrzenie nie schodziło z oblicza generała i domagało się dalszych wyjaśnień.

- Jest następstwem nie do uniknięcia, że zaaferowane społeczeństwa zaczną domagać się szczegółów. Na szczęście cała akcja poszukiwawcza odbywać się będzie w kosmosie, gdzie chmara dziennikarzy nie będzie miała dostępu. Niemniej ludzką ciekawość trzeba będzie czymś sycić, w razie przecieku informacji o katastrofie. Oczywiście w granicach rozsądnej prawdy. W roli tego informatora publicznego widzimy ciebie, Charles - zakończył gromko generał i zamilkł.

- Mam zatem być kimś w rodzaju pośrednika między waszą wojskową instytucją a powszednimi zjadaczami chleba?

- Coś w tym rodzaju. Zrozum, Charles, jesteś najodpowiedniejszym człowiekiem do tej roli. Z racji długich lat twojej służby w lotnictwie znasz się na sprawach związanych z katastrofami, a zatem ominie nas potrzeba wygłaszania tych wszystkich tasiemcowych wyjaśnień. Po drugie umiesz dobrze machać piórem i...

- ...jestem człowiekiem względnie lojalnym - dokończył znacząco Machan. - Bądźmy bezstronni, kochany wuju, to też jeden z atutów, dzięki którym się tu znalazłem.

- Jeśli ci na tym zależy, owszem... Ten aspekt też wzięliśmy pod uwagę - potwierdził generał. -

Trudno, wojsko to nie instytucja dobroczynna. Ludzie ginęli i ginąć będą, chociaż nie ma działań wojennych. Myślę, że nie muszę wygłaszać tu przed tobą tych wszystkich frazesów. Nie obraż się, ale czynnik finansowy chyba też gra u ciebie pewną rolę.

- Przyjmijmy, że tej, „zachęty” nie słyszałem. - Na twarzy Machana pojawił się ironiczny wyraz.

Zmienił szybko temat: - Mogę znać bliższe szczegóły tego planu?

- Po prostu proponuję ci udział w akcji poszukiwawczej. Pozwól, że będę optymistą i założę, że jednak uda nam się w najbliższym czasie odnaleźć te trzy fatalne „zguby”. Odnalezienie to jeszcze nie wszystko, trzeba je umiejętnie wyłapać. Pozostaniesz w roli obserwatora przebiegu takiej akcji.

- Zaczynam pojmować wasze intencje. - Machan pokiwał w zamyśleniu głową i dodał: - Mam tam tkwić po to, aby w odpowiednim czasie zamknąć usta różnym krzykaczom i wystawić świadectwo lojalności siłom zbrojnym USA - nie tylko pod względem operatywności działania, ale i dobrej woli wobec zagrożonego, niczego nie spodziewającego się społeczeństwa. Ja mam być jego reprezentantem, prawda?

- Dobrze, że jesteś nadal taki domyślny i rzeczowy, Charles. Zawsze to ceniłem u ciebie najwyżej. Twoje rozumowanie jest bezbłędne. Dorzucę do niego tylko tyle, że może się zdarzyć, iż dopisze nam szczęście i szybko rozprawimy się z tymi trzema pociskami. Być może nie zajdzie nawet potrzeba informowania społeczeństwa. Wtedy będziesz zmuszony zlikwidować wszystkie zebrane materiały i traktować tę akcję jako kolejną osobistą przygodę. Chyba się rozumiemy?

- Aż za dobrze, kochany wuju - odparł z powagą Machan. - Jeśli dobrze pojąłem, przysługuje mi jeszcze prawo decyzji odnośnie udziału w akcji.

- Właśnie...

- Niech będzie... Macie szczęście, że z młodości pozostało jeszcze we mnie trochę pociągu do mocnych wrażeń. Niejeden na moim miejscu podskoczyłby z uciechy. Więc i ja jeszcze raz nie zawiodę oczekiwania Sił Kosmicznych. Kiedy wyjazd?

- Choćby natychmiast. - Generał wyraźnie się ożywił.

- Skąd i czym?

- Z naszego lotniska raketowego. Rakiet transportowa już przygotowana do startu.

- Rakiet transportowa... Rozumiem. Na razie całkowita konspiracja posunięć. Kto jeszcze poleci ze mną?

- Grupa specjalistów od spraw katastrof w warunkach kosmicznych.

- Dobrze. Jestem gotów, sprzęt mam w wozie. - Machan wyprężył się na fotelu z zamiarem powstania, jednak w ostatniej chwili nachylił się nad stolikiem i rzucił: - Racz jednak pamiętać, wuju, że ja tam nie lecę jako żołnierz. Przestałem już nim być pięć lat temu. Na udział w akcji zgodziłem się dlatego, że pachnie wrazeniami. Uczestnictwo w takich eskapadach należy do mojego obecnego zawodu. Co do mojej lojalności, macie ją... jeszcze.

- Rozumiem cię... Życz nam szczęścia, Charles. - Generał podał mu dłoń na pożegnanie.

- Wam? Zapominasz, wuju, że bezpośrednio niebezpieczeństwo grozić będzie akurat mnie i tym, którzy będą ze mną.

- Ty zawsze byłeś odważnym człowiekiem. Wierzę w ciebie.

- Nigdy jednak nie miałem zamiaru zostać bohaterem - rzucił cierpko Machan. - To już nie te czasy, generale. A mnie coraz bardziej chce się żyć. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo.

- Mogę ci wierzyć, chłopcze. Ale niestety, nie mogę niczego obiecać.

- Pomódl się chociaż za mnie, jakby co... I ufajcie w szczęście. To jedno, co wam pozostało...

\* \* \*

Na lądowisku pobliskiego kosmodromu towarzyszył Machanowi ten sam kapitan, który przyjechał po

niego do domu. Ogromny betonowy plac otoczony był wałem ziemno-betonowym, podwyższonym zwartym parkanem, czyniącym wrażenie fortecznego muru, w który wkomponowane były wysokie, na kształt ogromnych wież, przeszklone kolumny obserwacyjne. Największa, wznosząca się opodal bramy wjazdowej z przestronną dyżurką, zakończona była spłaszczoną kulą, która błyskała w promieniach Słońca niczym gorejący klosz lampy.

Ładowisko to - o tym Machan wiedział doskonale - nie miało charakteru ściśle militarnego. Było czymś w rodzaju przystani dla rakiet transportowo-montażowych, służących do przemieszczania w przestrzeń okołoziemską oraz na Księżyc brygad najróżniejszych specjalności i sprzętu do budowy kosmicznych obiektów, rzecz jasna niektórych o charakterze militarnym...

Załatwianie formalności z oficerem dyżurnym z wartowni trwało krótką chwilę, po czym stalowa brama rozwarła się i wjechali za wał, który chronił wewnątrz ładowiska przed wzrokiem niepożądanych ciekawskich. Kierowca skręcił w bok, między szeregiem przestronnych budynków, z małymi zakratowanymi okienkami, zapewne miejscowych magazynów specjalistycznego sprzętu, i zatrzymał się na niewielkim placu - parkingu dla samochodów. Machan zauważył tam kilka pojazdów, a wśród nich najnowszy model „Lincolna” z wodorowym napędem.

Wysiedli z samochodu. Kapitan ruszył w kierunku uchylonych drzwi do najbliższego budynku. Na jego spotkanie wyszedł młody porucznik. Zanim Machan zdążył do nich dobieć, oficerowie załatwili już formalności.

- Do rakiety zaprowadzi pana porucznik - oznajmił szybko kapitan. - Ja już pana pożegnam - skinął lekko głową na „do widzenia” i oddalił się w stronę samochodu.

Tymczasem porucznik zmierzył skrycie sylwetkę nieznanego gościa. Dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na jego walizce. Machan zauważył to. Rzekł:

- To mój cały sprzęt.

- Tak... - Porucznik zmieszał się nieco, w geście bezradności poprawił na głowie służbową czapkę i dorzucił: - Wobec tego pojedziemy. RH-3 już czeka.

Weszli przez oszklone drzwi do środka niskiego budynku, jednak nie wstąpili po drodze do żadnego z pokojów. Minęli długi korytarz i wyszli na podwórze po drugiej stronie. Tu mieściło się już właściwe ładowisko rakietowe. W dali stały na szarym betonie wysmukłe, różnych wysokości i typów cygara wsparte na łapach amortyzatorów. Ich południowe strony odbijały silne promienie słoneczne, tworząc wrażenie łuny pożaru.

Porucznik poprowadził Machana w stronę terenowych pojazdów, podobnych do transportowych wózków. Ale ten, do którego wsiedli, nie służył do przewożenia towaru, tylko ludzi; miał oprócz siedzenia dla kierowcy jeszcze dwa rzędy siedzeń dodatkowych z tyłu. Ruszyli. Milczeli. Machan oglądał z uwagą wyłaniające się z blasku świetlnych refleksów korpusy rakiet. Dwie najbliższe były mu nieznane, jakieś bardziej spłaszczone i pękate - zapewne nowe transportowce. Za nimi, w odległości kilkudziesięciu metrów, stały dwie znajome RH-3, ale porucznik minął je bez zainteresowania i zatrzymał się dopiero za dwiema operacyjnymi DW-12, przy kolejnej RH-3.

Machan złapał za uchwyt walizki i wyszedł na beton. Opodal, z wysokości około dwudziestu metrów od ażurowego pomostu, przy czarnym włączu do rakiety, schodził stromo w dół stalowy trap - drabinka.

- Jesteśmy na miejscu. - Porucznik wyrwał go z zamyślenia. - Życzy pan sobie wprowadzenia do wnętrza rakiety?

Pytanie było zadane uprzejmie, ale dla niego zabrzmiało ironicznie. Zmierzył młodego oficerka lodowatym spojrzeniem, ale zrezygnował z pouczającej uwagi. Odparł spokojnie:

- Myślę, że dam sobie radę. Dziękuję panu.

Porucznik zatoczył zwrotnym pojazdem koło i ruszył z powrotem. Z pewnej odległości doleciały do

Machana jego słowa:

- Miłych wrażeń na orbicie!

Machan uśmiechnął się. Beztróskie zachowanie chłopaka wskazywało, że zapewne nie był on poinformowany o jego pokrewieństwie z generałem Machanem. W innym wypadku porucznik zachowałby na pewno daleko idącą ostrożność. A zatem utrzymywano nadal jego całkowite incognito.

Ruszył ku drabince. Wznosiła się stromo, poza tym musiał tachać w dłoniach ciężką, przeładowaną sprzętem walizkę, toteż zmachał się porządnie, zanim wdrapał się na szczyt platformy wejściowej. Tam odetchnął chwilę z ulgą, starł z czoła pot i ponownie się uśmiechnął. Stracił już sporo kondycji. Bo też rakieta nie leciał już całe pięć lat.

Kiedy schylał głowę z zamiarem wejścia w mroczny otwór, nagle pomyślał o Laurze. Mrok wnętrza przywołał mu w świadomości obraz jej uroczej brązowej buzi. „Co jest?” - pomyślał z niepokojem. „Odzywa się przecucie?” Idąc wolno po jakiejś miękkiej wykładzinie wzdłuż linii światełek wmontowanych w kopulasto ukształtowany sufit, zastanawiał się, gdzie też ona teraz może być. „Zapewne już wróciła do siebie i razem z matką beztrósko wdycha aromat kwiatów w ogrodzie. A ja się tu pętam nie wiadomo po co” - skarcił siebie w myślach. - „I po cholere się zgodziłem? Mogłem podziękować za zaszczyt wyróżnienia i wycofać się. Mogłem... Czy ja właściwie kiedykolwiek coś mogłem? Nieszczęśliwy facet z ciebie, Charles, oj, nieszczęśliwy. Nie umrzesz ty we własnym łóżku, poszukiwaczu wrażeń”.

Zatrzymał się parę kroków dalej za zakrętem korytarzyka, przed lekko uchylonymi, obitymi wykładziną drzwiami. Była na nich jakaś tabliczka z napisem, ale farba złuszczyła się i odpadła, poza tym wokół panował mrok. Właściwie nie potrzebował informacji, był przekonany, że to sterownia. Już chciał pchnąć drzwi, aby wejść do środka, gdy doleciały do niego urywki rozmowy. Gruba wykładzina drzwi tłumiała słowa, ale on miał wyostrzony słuch. Ktoś za ścianą mówił:

- Tam w dowództwie chyba na głowy poupadali. Słyszałem, że jakiegoś pismaka nam tu cisną, jak gdyby jeszcze było mało kłopotów. Nie rozumiem tych wyższych. Niby ścisła tajemnica, a tu prasa. Czy to ma być jakaś nowa forma propagandy społecznej? Cholera, gubię się w tym i nie nadążam.

- To podobno jakiś znajomek samego generała Machana - poinformował inny głos.

- Fiu! - Pierwszy mężczyzna gwizdnął cicho. - Skąd wiesz? To pewne?

- Chyba tak. Słyszałem w kapitanacie. Akurat dzwonił z dowództwa. Chyba sam generał.

- To trzeba się będzie pilnować.

- Przestańcie mleć ozorami - odezwał się ktoś trzeci karcąco. - trzęście portkami jakby sam stary miał z nami lecieć. Nasze zadanie polega na dostarczeniu dziennikarza i grupy majora Messingera na satelitę. I na tym koniec.

- Niedługo start, a ich jeszcze nie ma. Gromy spadną znów na nasze głowy.

W korytarzu było gorąco. Machan dmuchnął sobie w twarz kątem ust. Doszedł do nagłego przekonania, że pomylił się w ocenie sytuacji co do swojej osoby. Załoga RH-3 wiedziała o jego cywilnych powiązaniach z dowództwem Sił Powietrzno-Kosmicznych. A zatem, w ramach samej instytucji wojskowej, całkowitej tajemnicy utrzymać się nie udało.

Pchnął ciężkie drzwi do środka. Następnie zrobił dwa kroki do przodu. Znalazł się w ciasnym, jak wszystkie inne pomieszczenia rakiety, pokoju, którego przeważającą część zajmował przestronny pulpit sterowniczy, najeżony ekranami monitorów i zegarami czujników, dźwigniami i gałkami pokręteł oraz szeregami różnokolorowych kontrolki. Ten widok nie był mu obcy. Kabina sterowa samolotów orbitalnych, na których swego czasu latał, posiadała nie mniej oprzyrządowania. Przed centralnym pulpitem stały dwa obszerne fotele dla pilota i nawigatora. Trzeci, nieco z boku, przeznaczony był dla radiotelegrafisty.

Chwilę trwała milcząca konsternacja. Mężczyźni, ubrani już w lekkie kombinezony kosmiczne, zerkali na siebie niepewnie. Wreszcie wysoki chudy blondyn, z nieco odkształconym na prawo nosem, w stopniu kapitana - zapewne dowódca załogi - zapytał:

- Pan... dziennikarz?

- Tak. Jestem nadprogramowym pasażerem. Charles Machan.

Wymienione nazwisko zrobiło dodatkowe wrażenie na słuchających. Jeden z nich chrząknął znacząco i zapytał:

- Nie boi się pan? Będziecie łowić pioruny...

- Zajmij się lepiej swoją robotą, Alex. - Dowódca zgromił śmiałka ostrym rozkazem.

- Boję się. - Machan zdecydował się na odpowiedź. - Podwójnie. I akcji, i swojej roli.

- Pan będzie łaskaw przejść do sąsiedniej kabiny. - Kapitan wyszedł zza swego fotela. - Niebawem powinna nadejść ekipa kosmiczna. Start mamy wyznaczony na pół do pierwszej.

Przed wyjściem na korytarz Machan zerknął na zegarek. Do startu zostało niecałe dwadzieścia minut. Kapitan otworzył mu sąsiednie drzwi i zapalił światło. Machan wszedł do owalnego pomieszczenia zastawionego dwoma rzędami foteli podobnych do tych ze sterowni, jeden przy drugim, czyniących wrażenie miniaturowego kina. Z boku, z częściowo oszklonych szafek prześwitywały części skafandrów kosmicznych.

- Trzeba się przebrać w ochronny strój - poinformował uprzejmie dowódca i ruszył ku szafom. - Pomogę panu.

- Proszę sobie nie przeszkadzać w pracy - zaoponował żywo Machan. - Znam się na tym.

Kapitan zatrzymał się niezdecydowany w połowie drogi. Odwracając się ku drzwiom zmierzył gościa uważnym spojrzeniem, kiwnął głową na znak zgody i wyszedł bez słowa na korytarz.

Dopiero teraz Machan położył na podłodze ciężką walizkę i rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu. Znał pobieżnie ten typ rakiet. Parę razy nawet w nich leciał, oczywiście jako pasażer. Od tego czasu nic nie uległo na pokładzie RH-3 zmianie. Kabina, w której się obecnie znajdował, służyła do przewozu pasażerów. Luki towarowe znajdowały się niżej.

Podszedł do szafek i wybrał skafander próżniowy dostosowany do jego wzrostu. Nie skończył jeszcze zapinać wszystkich klamer i zatrząsków, gdy do pomieszczenia weszło energicznie czterech mężczyzn. Zauważywszy nieoczekiwanego, nadprogramowego pasażera, przerwali wesołą rozmowę i przywitali go mrukliwymi półsłówkami. Następnie zabrali się w milczeniu do nakładania skafandrów. Machan usiadł na jednym z foteli drugiego rzędu. Podłączając do oprzyrządowania fotela odpowiednie końcówki swego kombinezonu, zerkał dyskretnie w stronę mężczyzn. Na epoletach mundurów zauważył dystynkcje majora, kapitanów i porucznika.

Nasłuchiwał się sporo o wyczynach ludzi reprezentujących ich profesję, czasami też pisał o nich artykuły. Byli czymś w rodzaju skrzyżowania saperów z komandosami, najodważniejsi z odważnych, działający w próżni tam, gdzie nawet najwybitniejszy ze specjalistów ziemskich nie dałby sobie zapewne rady. Ich referencją zawodową była przede wszystkim bezgraniczna odwaga, wynikająca z konieczności usuwania najróżniejszych zagrożeń, będących wynikiem nierozważnych posunięć dowództwa i katastrof obiektów wojskowych USA w warunkach kosmicznych. Miał zatem podpatrywać na gorąco ryzykowne posunięcia tych czterech ludzi.

Mężczyźni szybko uporali się z kombinezonami i zajęli miejsca w pierwszym rzędzie siedzeń, w milczeniu oczekując na start. Gdy do wyznaczonego czasu pozostała minuta, na czołowej ścianie zapaliła się czerwona, błyskająca miarowo kontrolka. Równocześnie na bocznym ekranie zaczęły zmieniać się cyferki odliczanego czasu. Po „zerze” pokład zadrżał, jęknęły spojenia. Machan czuł wyraźnie, jak powoli wzrasta ciężar jego ciała. Poduszki fotela napełniły się dodatkową porcją sprężonego powietrza.

Ale to niewiele pomogło. Odwykł od stanów przeciążeń. Jakaś potężna siła napierała mu na piersi, coraz trudniej było oddychać. Przed oczyma narastała czern.

Nie zarejestrował, jak długo trwał ten stan. Gdy otworzył oczy, na ekranach monitorów zauważył rozgwieżdżoną czern. Stan nieważkości przypominał mu, gdzie się znajduje. A więc silniki rakiety przestały pracować. Poprawił się energicznie na fotelu. Gdyby nie pasy przytrzymujące, uleciałby bez wątpienia pod sufit.

Spojrzał w ekrany monitorów. Przez chwilę obydwie pokazywały kosmiczną pustkę, po czym jeden z nich błysnął i ukazał tarczę Ziemi. Błękitna kula upstrzona była gdzieniegdzie cętkami białych cumulusów. Machan przyjrzał się zarysom kontynentów. Znajdowali się gdzieś nad Oceanem Atlantyckim i lecieli na wschód.

Lot orbitalny trwał około pół godziny. W pewnej chwili na lewym monitorze pojawiła się nowa gwiazdka. Niebawem rozrosła się do wielkości dość dużej plamki, emanującej silny blask, z której zaczęły wolno wyodrębniać się kształty konstrukcji. To był zapewne ten sztuczny księżyc, do którego lecieli.

Po paru minutach obraz stacji kosmicznej powiększył się do wielkości połowy ekranu. Machan mógł już rozróżnić jej poszczególne części. Znał ten typ obiektów o przeznaczeniu militarnym. O ile jego informacje nie były błędne, dotychczas krążyło ich wokół Ziemi kilkanaście. W porównaniu z olbrzymimi „Tytanami”, stanowiącymi kosmiczne lądowiska dla samolotów orbitalnych, te były niewielkie i przeznaczone w zasadzie do roli centrów dowodzenia i lokalizacji obcych obiektów militarnych oraz nakierowywania na nie eskadr samolotów i rakiet. Oczywiście w ramach funkcjonalności i one stanowiły same w sobie wojskowe bazy uzbrojone w wyrzutnie najróżniejszych typów rakiet, nie wyłączając termojądrowych.

Kształtem obiekt przypominał ośmiokąt złożony z cylindrycznych boków najeżonych zamkniętymi teraz wypustkami wyrzutni raketowych. Boki wielokąta połączone były czterema „szprychami” z centralną kopulastą platformą gdzie mieściło się małe lądowisko dla niewielkich jednostek raketowych oraz obudowane pomieszczenia dla innego specjalistycznego sprzętu kosmicznego. Nieco z boku, na bocznej platformie, kręcił się kapelusz radaru oraz błyskały w słońcu iglice anten radiowych.

Gdy szerokość obiektu przekroczyła już wymiary ekranu monitora, znów nastąpiło chwilowe przeciążenie, skierowane przeciwnie do poprzedniego. RH-3 zmniejszała szybkość. W tej samej chwili gwiazdy na prawym ekranie zaczęły „uciekać” szybciej - rakietę zmieniała usytuowanie, obracała się rufą do obiektu, przygotowując się do lądowania. Na krótką chwilę wszystko znieruchomiało, stali na słupie ognia. Potem jeszcze chwila opadania w dół, a następnie lekki wstrząs siadających tłoków amortyzatorów. Wylądowali.

Grupa majora Messingera odpięła pasy i zabrała się do zrzucania skafandrów. W środku wirującego stale obiektu siła odśrodkowa była minimalna, toteż przy każdym silniejszym poruszeniu pływali w powietrzu pomieszczenia. Jednak doświadczeni kosmonauci poradzili sobie sprawnie ze zrzuceniem ochronnego ubioru. Machanowi poszło trochę gorzej, ale i on wkrótce wyszedł, a właściwie wypłynął na korytarz za oficerami, trzymając w dłoniach swą nieodłączną walizeczkę ze sprzętem.

Urządzenia lądowiska były już znacznie bardziej zautomatyzowane niż parę lat temu. Teraz nie trzeba było opuszczać rakiet w ochronnych skafandrach. Kopuła lądowiska miała możliwość obrotu wokół osi i kierowania rakiet na niej stojących do swobodnie wydłużającego się tunelu, który, hermetycznie przyssany do włazu rakiety, zapewniał swobodne i bezpieczne przechodzenie do pomieszczeń I sztucznego księżyca bez komór hermetyzacyjnych.

Podążając za oficerami Machan wszedł do wąskiego tunelu, a właściwie wsunął się w niego, przytrzymując się rozmieszczonych wzdłuż ścian sznurowych zaczepów. Wzmagająca się siła

odśrodkowa posuwała ich w pożądanym kierunku.

Znaleźli się w prostokątnym, wydłużonym pomieszczeniu, minęli jedno przejście, drugie. Wreszcie oficerowie ulokowali się w cylindrycznym pojeździe zawieszonym na linach. Machan dosiadł się do nich. Domyślił się szybko, że to rodzaj pojazdu, którym pokonuje się odcinek szprychowatego tunelu prowadzącego do części obwodowej obiektu. Podróż trwała chwilę. Gdy wyszli z pojazdu, można już było wyczuć pewny grunt pod nogami. Zeszli po krętych schodkach do wąskiego prostopadłego korytarzyka.

Major podszedł do drzwi oznaczonych numerem 112. Nacisnął guzik. Drzwi rozsunęły się cicho. Weszli do środka. W niewielkim pomieszczeniu siedział oficer w stopniu porucznika. Mężczyźni wymienili honory wojskowe. Grupa majora Messingera odbiła w towarzystwie oficera w prawo. Machana zatrzymał wychodzący z naprzeciwka niski, krępy mężczyzna, oficer w stopniu pułkownika. Wysunął do przodu dłoń na powitanie i zapytał trochę zachrypniętym głosem:

- Pan Machan, prawda?

- Zgadza się. Reporter...

- Wiem - przerwał mu pułkownik. - Pan pozwoli.

Zaprowadził go do swojego miniaturowego, ale gustownie urządzonego gabinetu. Biurko, stół, trzy foteliki. W rogu nawet akwarium i girlandy pnącego ziela. Usiedli. Pułkownik rzekł:

- Nazywam się Swenson. Jestem dowódcą tego obiektu... - urwał, uśmiechnął się przelotnie i zerknął na bagaż Machana. - To pana sprzęt?

- Zgadza się. Mam tu wszystko, co potrzeba. Jestem „latającym” reporterem. A obecnie nawet kosmicznym.

- Tak... Warunki pracy będzie pan miał szczególne. Pan już bywał w kosmosie?

- Tylko na wycieczkach - odparł szybko, z lekką ironią w głosie. A zatem i tu uważano go za ciurę ładowego. - Myślę, że się łatwo dostosuję. - Po chwili spowaźniał i zapytał: - Są jakieś nowe echa? Mam nadzieję, że tego rodzaju pytania są dozwolone?

- Oczywiście... Otrzymałem wyraźne dyspozycje. - Pułkownik otrząsnął się z chwilowej zadumy i poprawił w fotelu. - Właśnie dotarła do mnie optymistyczna wiadomość. Jednostki patrolowe wytropiły jedną z rakiet.

- Jedną - szepnął znacząco Machan. - A pozostałe dwie?

- Na razie cisza...

- Z tego wnioskuję, że rozrzut musiał być ogromny.

- Owszem. Tę jedną odnaleziono tysiące kilometrów od miejsca katastrofy.

- A więc grupa majora Messingera już może przystąpić do akcji. Kiedy start?

- Niebawem. Mój zastępca właśnie naradza się z przybyłymi specjalistami. To trochę potrwa. Trzeba opracować plan akcji.

- Czym polecimy? Operacyjną czy robotem?

Pułkownik Swenson otworzył szerzej oczy. Nie spodziewał się widać takiego „fachowego” pytania po gościu. Dopiero po chwili namysłu odparł:

- Oczywiście robotem próżniowym CUV. Najnowszy model. Przystosowany do wychwytywania pocisków atomowych.

- Czy w tym CUV na pewno znajdzie się dla mnie miejsce? - zapytał po chwili. - Nie znam dobrze tych pojazdów. Że major Messinger przeklnie moją obecność niejednokrotnie, tego się spodziewam. Chodzi mi jednak o możliwość swobodnego filmowania i tak dalej...

- Proszę się nie obawiać. Wbrew nazwie „robot”, to jednostki o stosunkowo dużej kabinie. Obliczone na sześć osób załogi. Niemniej to nie będzie komfortowa podróż. Pan oczywiście zdaje sobie w pełni

sprawę z tego, na co się decyduje? - Pułkownik utkwiał w twarzy Machana badawcze spojrzenie.

- Decyzję podjąłem już na Ziemi i myślę, że nie warto do tego wracać.
- Naturalnie... Może ma pan ochotę na kieliszek czegoś mocniejszego?
- Owszem. Zaschło mi w gardle. Proszę o coś chłodnego, jeśli można pogrymasić.

\* \* \*

Automatyczny robot kosmiczny CUV był najnowszym wymysłem wojskowych specjalistów grupy zabezpieczająco-awaryjnej. Był to stosunkowo niewielki, jak na rozmiary innych raket, pojazd o napędzie odrzutowym, z silnikami na paliwo płynne, skomplikowany w budowie, zaopatrzony w bogaty układ ruchomych, sterowanych z pokładu, a nawet zdalnie chwytaków, niektórych tak misternych i delikatnych, że można było nimi - jak twierdzili co dowcipniejsi kosmonauci - przeprowadzać na orbicie operację wyrostka robaczkowego nie dotykając pacjenta żywą dłonią. Były to oczywiście żarty, ale nie pozbawione racjonalnych przesłanek, bo robot sprawdził się w pracy, dokonywano nim skomplikowanych napraw części urządzeń kosmicznych bez opuszczania jego kabiny, dzięki sieci czułych przyrządów wizyjnych oraz bogatego układu silników korekcyjnych. Kabina operacyjna pojazdu, całkowicie przeszklona bania, mieściła się nad automatyczną częścią pojazdu i miała możliwość wykonywania obrotów oraz wychyleń ze swej osi, zapewniając kierującym akcją pilotom bardzo dobrą widoczność we wszystkich kierunkach.

Pojazd zaopatrzony był w główny raketowy silnik o solidnym ciągu; zdolny rozwinąć szybkość powyżej drugiej prędkości kosmicznej. Toteż podróż do wytyczonego celu lotu trwała niezbyt długo. Machan ulokował się w kabine na górnym pułapie podwyższenia, gdzie było teraz puste miejsce operatora laserowego palnika, dostosowanego do cięcia pancerzy raketowych wraków. Długi ryj promienistego miotacza wystający z hermetycznej kabiny był lekko osmalony na końcówce lufy. To wskazywało, że urządzenia tego używano już zapewne nieraz.

Major Messinger i jego trzech towarzysze zajęli swoje stanowiska nieco poniżej. Porucznik Killar, z zawodu telegrafista, usiadł przy radiostacji robota, przyjmując meldunki od pilotów raket patrolowych, które odszukały i towarzyszyły od tej chwili niebezpiecznemu „piorunowi”. Z relacji pilotów wynikało, że pierwsza „zguba” jest przypuszczalnie bardziej uszkodzona niż się spodziewano. Stanu zniszczeń nie dało się ustalić zdalnie, między innymi z powodu płaszcza spadochronu, który oplótł znaczną część pocisku. Rakiety tego typu zaopatrzone były dodatkowo w automatyczny układ spadochronowy, którego zadanie polegało na chronieniu pocisku od rozbicia w razie ewentualnych katastrof w czasie wychodzenia na orbitę lub lądowania na ziemskich lotniskach. Już samo zadziałanie automatu spadochronowego - włączało się go tylko zdalnie w razie awarii naziemnych - wskazywało na uszkodzenie partii elektronicznych układów pocisku.

Siedząc wygodnie w swym niewielkim foteliku z przygotowanymi do pracy reporterskimi przyrządami, Machan obserwował skrycie zachowanie oficerów. Mimo niepokojących wieści, które niosły ze sobą perspektywę realnego skomplikowania ich pracy, a przez to zwiększenia zagrożenia, mężczyźni zachowywali podziwu godną stoicką postawę. Po wysłuchaniu relacji z raket patrolowych skomentowali je tylko kilkoma lakonicznymi uwagami i zastygli w oczekiwaniu na bliższe podejście do obiektu. Mieli widocznie zamiar obejrzeć wszystko swoimi własnymi oczyma, a dopiero potem naradzić się i podjąć decyzję co do sposobu postępowania.

Wkrótce na ekranach pokładowych monitorów pojawiły się trzy świetlne punkty, które wolno przecinały gwiazdny firmament; to były właśnie rakiety patrolowe eskortujące niebezpieczny obiekt. Sam pocisk jądrowy zauważyli niebawem na ekranie radarowym, a potem na monitorach - nawigator Hammer szybko wymacał go w próżni. Major Messinger siedzący za sterami robota wziął kurs na wytyczony radarem cel. Porucznik bez przerwy wymieniał zaszyfrowane przekazy z pilotami raket.



Mleczny punkt pocisku rozrósł się na ekranie monitora, wydłużył na boki i w końcu zastął nieruchomo. To Messenger wyłączył silniki rakietowe. Szli teraz po równoległych orbitach.

- Odległość tysiąc dwieście metrów - poinformował kapitan Hammer ze wzrokiem utkwionym w ekranik radarowego dalmierza.

- Myślę, że możemy śmiało podejść bliżej - odezwał się kapitan Burman.

- Jasne, Jim. - Messenger kiwnął głową. - Podchodzę na pięćset. Eryk, przekaz patrolowym, że bierzemy go pod własną opiekę. Niech się oddalą na bezpieczną odległość.

- Okay, Winston - odparł porucznik Killar i rozpoczął wywoływanie rakiet patrolowych.

Dowódca dał lekki ciąg głównym silnikiem pojazdu. Machan wlepił wzrok w ekran małego monitora umieszczonego nad jego głową, służącego zapewne operatorowi palnika laserowego do jego własnego użytku. Messenger przełączył mu na ekran obraz z centralnego układu kamer. Jakiś dziwny, zniekształcony obraz czegoś, co nie przypominało opływowych kształtów pocisku rakietowego, rósł na ekranie. Wkrótce stał się całkiem wyraźny w promieniach oświetlającego go Słońca. Oglądana formacja była rozplaszczona i bezkształtnie skomplikowana, zupełnie jak zwitek pomiętego papieru. To zapewne spadochron - domyślił się Machan i sięgnął po kamerę filmową, aby nie przegapić tego obrazu. Postanowił zebrać materiału filmowego ile się da, przecież po to się tu znalazł. Włączył także magnetofon - chciał mieć nagrane przynajmniej niektóre urywki rozmowy na gorąco ryzykantów z grupy majora. I to mogło mieć w przyszłości swoje znaczenie.

- Jest pięćset - rzucił w pewnej chwili Hammer. - Podchodzimy bliżej.

Szli teraz nieco z tyłu za pociskiem i doganiali go skosem. Dłoń majora znów opadła na dźwignie akceleratorów i pchnęła je lekko do przodu. Posunęli się o dalszy niewielki odcinek. Korekcyjnymi silnikami dowódca niwelował po każdym „skoku” bezwładność ruchu pojazdu tak, że ich szybkość nigdy nie przekraczała prędkości orbitalnej pocisku. Gdy na odległościomierzu radarowym pojawiła się liczba „100”, Messenger zakończył podchodzenie i dał maksymalne zbliżenie obrazu obiektu na monitory. Rozpoczęła się dyskusja.

.- Ten cholerny spadochron przysporzy nam kupę dodatkowego zachodu - zauważył Burman. - Mogą być kłopoty. W tym stanie nie zdołamy złapać jej w szczęki kleszczy.

- Może w chwytacze magnetyczne - podsunął inną możliwość kapitan Hammer.

- Za duże ryzyko - zaproponował Messenger. - To nie kawał zgruchotanego wraka. Trzeba by tam podejść i spróbować rozsypać ten spadochron. Przynajmniej zgarnąć w jedno miejsce. W tym stanie łapać szczękami nie możemy. Nie wiadomo też, czy tam jakie bebechy nie wyszły na wierzch.

- Racja... może wystarczyć dotyk. - Hammer pokiwał zgodnie głową. - To draństwo musiało dostać jakiegoś szturchańca, skoro zadziałał automat spadochronu. Mogą być przecieki radioaktywne.

- A zatem trzeba sprawdzić wszystko na miejscu - zakończył dyskusję major. - Kto na ochotnika, chłopcy?

- Może ja - zgłosił się przysłuchujący się dotąd rozmowie porucznik Killar.

- Przydasz się lepiej przy radiu - Messenger nie zgodził się.

- W takim razie idę ja. - Hammer zaczął rozpinać pasy łączące go z fotelem.

- Zgoda. - Major kiwnął lekko głową. - Wskakuj w skafander i zabierz potrzebną aparaturę. Przy okazji trzeba sprawdzić stan tego świństwa.

- Okay. Bądź spokojny, Winston.

Czepiając się dłońmi różnych części kabiny, Hammer przedostał się do wjazdu, który wiódł do dolnego pokładu kabiny, gdzie mieściła się składnica próżniowych skafandrów i mała śluza powietrzna. Na kilka minut znikł im z oczu. Potem w radiostacji usłyszeli jego głos:

- Myślę, że możemy podejść jeszcze bliżej. Po cholere mam rozwijać tyle liny?

- Dobra. Siedź na dole - polecił dowódca.

Znów zajął się sterami. Krótkimi odrzutami silników korekcyjnych przybliżał się do fatalnego pocisku termojądrowego.

- ...sześćdziesiąt osiem... sześćdziesiąt jeden... pięćdziesiąt trzy... - informował na bieżąco Burman o dzielącej oba obiekty odległości ze wskazań radarometru.

- Starczy... - rzekł wreszcie Messinger. - Hej, Edsel! - rzucił do mikrofonu.

- Tak... - odezwał się Hammer. - Na ile podszedłeś?

- Masz do celu około pięćdziesięciu.

- Dobra jest. Wyłączę.

- Masz licznik Geigera?

- Tacham całą skrzynkę gratów. Wszystko gra, Winston. Trzymajcie tam kciuki. Wychodzę.

- Doskonale, Edsel - rzucił Burman. - Gdybyś dał radę, spróbuj całkowicie oderwać spadochron od cygara.

- Spróbuję, Jim.

- Trzymaj się, Edsel..

Parę minut trwała cisza. Wreszcie ujrzeli wynurzającą się spod kopuły robota sylwetkę Hammera. Płynął wolno w próżni ciągnąc za sobą zwój liny, która łączyła go ze statkiem. Ubrany był już w ciężki skafander próżniowy z przestronnym baniastym hełmem na głowie. Na plecach zawieszona miał butle z powietrzem, u boku do pasa przyczepiona była sporych rozmiarów walizka z przyrządami do badania urządzeń uszkodzonego pocisku. Odbijając się od korpusu robota podpłynął na wysokość siedzących w sterowni kolegów, zasalutował im, a następnie odepchnął się silnie od kopuły i popłynął w próżnię w kierunku pocisku. W drodze przy pomocy pistoletu gazowego zrobił dwie korekty własnej trajektorii. Przed obiektem wyhamował swoją szybkość do zera.

Machan nakierował na niego obiektyw swej kamery filmowej. Zrobił maksymalne zbliżenie, toteż zauważył ostrożne poczynania Hammera. Zmieniając kierunek odrzutu gazów swego pistoletowego napędu kapitan okrążył kilka razy dziób pocisku w odległości kilku metrów od jego pancerza, lustrując zapewne sposób ułożenia spadochronu. Po chwili usłyszeli w głośniku radiostacji jego słowa:

- Wydaje mi się, że spadochron leży na wierzchu.

- Spróbuj sprawdzić, jak sprawują się jego zaczepy - poradził major. - Poza tym co z przeciekami radioaktywności?

- Podejdę bliżej i sprawdzę.

Wyraźnie zauważyli, jak Hammer przybliżył się do obiektu i wysunął przed siebie jakiś przyrząd, wyjęty uprzednio z zabranej walizki. To był zapewne licznik Geigera. Chwilę trwała cisza, kapitan przykładał przyrząd do różnych części pocisku. Wreszcie usłyszeli:

- Wszystko gra. Geiger milczy. Przystępuję do sprawdzania konstrukcji i przyrządów.

- Okay, wykonuj.

Hammer uchwycił ostrożnie pocisk w miejscu, gdzie znajdował się jego opatulony materiałem dziób. Po chwili przywarł do tego miejsca całą płaszczyzną skafandra i zaczął się wolno przesuwając wzdłuż osi rakiety. Parę chwil później był już przy jej rufie.

Sprawdzenie zewnętrznych części pocisku trwało kilkanaście minut. Widocznie jednak Hammer nie zdołał dotrzeć do innych partii korpusu rakiety omijając materiał spadochronu, bo wyraźnie zauważyli, że dobył nożyc i przeciął nimi w kilku miejscach grube warstwy sztywnego płótna.

- Edsel... Halo, Edsel. - Dowódca okazał nagle swoje zniecierpliwienie spowodowane brakiem wieści od towarzysza. - Co u ciebie? Relacjonuj na bieżąco.

- Muszę ciąco draństwo - oświadczył Hammer nieco zmęczonym głosem. - Na razie zauważyłem

kilka wgniecen i pęknięć obudowy. Właśnie widzę narufie spore rozcięcie. Musiała porządnie oberwać. Zapewne jakiś odłamek samolotu.

- Co ze spadochronem? Da się go przełożyć na jedną stronę? Sprawdź ostrożnie...
- Spróbuję to zrobić. Może dam radę.
- Jeśli się nie da, tnij płaszcz. I ostrożnie, do diabła! Pamiętaj, że siedzisz na wulkanie.
- Pamiętam, Winston. Przystępuję do dzieła.

Przez następne minuty znów panowało milczenie. Cztery pary oczu skierowane były w napięciu na kapitana Hammera, który siedząc na przysłowiowej beczce prochu bawił się zapalkami. Zaczynając od spodu zgarniał przed sobą poplątany materiał spadochronu i rolował go w górę do miejsca zaczepów linek o prostokątny występ w górnej części pocisku. Szło opornie, czas spadochronu była duża. Brak ciężaru niewiele pomagał w tej sytuacji, bo Hammer musiał pokonywać bezwładność materiału. W głośniku słychać było jego przyspieszone sapanie.

- Hej, Edsel! - zawołał w pewnej chwili Messinger. - Wyjdę ci pomóc.
- Daj spokój, Winston - zaoponował Hammer zmęczonym głosem. - Zostało już niewiele. Dam radę.

Wreszcie ujrzeli błyszczące w słońcu srebrne cygare rakiety. Zrolowany materiał spadochronu kłębił się teraz u góry długiego wrzeciona.

- Edsel - odezwał się ponownie dowódca - wystarczy tego zgarniania. Przecinaj linki. Jeśli nie dasz rady sam odsunąć spadochronu, zrobimy to robotem.

- Dobra, odcinam...

Hammer wyjął z walizeczki jakieś narzędzie i zaczął manipulować nim przy zaczepie spadochronu, przecinając grube linki z mocnego tworzywa, które łączyły czaszę spadochronu z pociskiem. Następnie przesunął się nad zwal zrolowanego materiału, uczeplił się go jedną dłonią, a drugą nacisnął na spust pistoletowego napędu, dając odrzut do góry. Minęła długa chwila, zanim zaczął wolno odpływać w górę wraz ze zwalem materiału. Gdy odsunął się z nim na parę metrów od pocisku, zapytał przez radio:

- Wystarczy tyle?
- Gra. Wracaj już. Spisałeś się na medal. Reszta należy do nas.

Hammer marudził jeszcze chwilę przy pancerzu pocisku, wreszcie odbił się od niego silnie i popłynął w stronę robota. W parę minut później był już przy nim i wchodził do śluzy powietrznej. Gdy znalazł się ponownie w kabinie, kapitan Burman poklepał go po ramieniu i rzucił:

- Świetnie, Edsel.
- Jim... - odezwał się dowódca. - Teraz nasza kolej. Podchodzę.

Messinger dał ciąg w silniki korekcyjne. Znów zbliżali się do pocisku małymi odcinkami. Wreszcie zastygli w odległości paru metrów od srebrnego, śmiercionośnego nadal, zakończonego stożkiem walca. Kabina sterowa robota znajdowała się teraz na wprost jego osłon. Można było przystąpić do chwytania pocisku w objęcia automatycznych kleszczy.

Spod bani sterowni wynurzyły się wolno stalowe łapy zaopatrzone w rozsuwalne szczęki, dostosowane wymiarem do średnicy pocisku. Sprawnymi, zdalnymi manewrami kapitan Burman dosunął je do burty pocisku, a następnie rozwarł szeroko szczęki chwytaczy. Wolno, centymetr po centymetrze, dolne szczęki wchodziły pod korpus rakiety. Wreszcie czujniki poinformowały kapitana, że dotknęły stali raketowego pocisku. Wtedy chwytacze zaczęły się zwierać. Po chwili pocisk siedział w silnym uścisku łap robota. Burman przesunął na pulpicie odpowiednią dźwignię, łapy zaczęły się łamać w przegubach, termojądrowy pocisk przysuwał się coraz bliżej do korpusu robota.

- Eryk - Messinger odwrócił się do porucznika - połącz się z bazą. Zawiadom, żeby się przygotowali. Wracamy po wykonaniu zadania...

\* \* \*

Seria głośnych, nerwowych sygnałów instalacji alarmowej wyrwała Machana z ulotnego, lecz męczącego snu. Nie miał daru szybkiej adaptacji do nowych, zmieniających się warunków otoczenia, chociaż ta szczególna umiejętność była nieodzowna w jego nowym zawodzie. Nakazana sobie próba sennego odpoczynku, w warunkach tak skrajnie odmiennych od normalnych, przyprawiła go o lekki ból głowy.

Niecierpliwe buczenie aparatu zainstalowanego w blacie stolika tuż przy kanapie, na której akurat leżał, wdzierало się nieznośnym hałasem w jego skronie. Energicznym ruchem usiadł na kanapie i przetarł piekące powieki. Całym ciałem zatęsknił teraz do chłodnego, musującego prysznicu - w kabinie było nieznośnie gorąco - ale wiedział, że nie zaspokoi swego pragnienia; jego gościnny pokój nie obfitował w żadne wygody. Był urządzony raczej skromnie: tapczan, stolik, trzy fotele, szafka z książkami, trochę tandetnych ozdobnych drobiazgów, na suficie klosz lampy napełniającej otoczenie rozmytym światłem - na sztucznym księżycu panowała pora nocna.

Coś się musiało dziać niezwykłego, skoro zdecydowano się zbudzić w środku nocy i jego. Zwalczył w sobie uczucie znużenia i bólu głowy, złapał prędko swoją walizeczkę i ruszył ku drzwiom. Nacisnął na klawisz zwalniający blokadę magnetycznego zamka i przesunął małą dźwignię przy framudze drzwi. Zasułka odskoczyła z krótkim jękiem, masywne drzwi rozwarły się lekko jak na sprężynie. Wyszedł na korytarz i rozejrzył się.

Przed sobą, w mroku rozjaśnianym tylko mdłym światłem przygaszonych lamp sufitowych zauważył grupkę odchodzących sylwetek ludzkich. W ostatniej rozpoznał osobę Messingera. A zatem nie ulegało wątpliwości, alarm dotyczył i grupy majora, więc sprawa wiązała się z akcją „Broken Arrow”. Przyspieszył kroku, prawie biegł truchcikiem. Dogonił po chwili cztery ciemne sylwetki.

Major Messinger usłyszał go za sobą, obejrzał się, a następnie przystanął.

- Zapowiada się coś nowego... - Głośne słowa Machana zabrzmiały jak krzyk w ciszy, jaka wypełniała otoczenie, zakłócaanej tylko cichym szumem urządzeń klimatyzacyjnych.

Członkowie grupy majora odwrócili się do niego, zapewne ze zdziwienia, ale nie zatrzymali się. Major ruszył za nimi.

- Mówiąc szczerze, miałem zamiar przeprowadzić z panem wywiad... Wczoraj wieczorem. - Te słowa skierowane do majora wypowiedział prawie szeptem. - Ale zmorzył mnie sen.

- Więc postanowił mnie pan pomęczyć? - odpowiedzi doczekał się dopiero po dłuższej chwili zwłoki.

- To mój zawód - odparł Machan z lekkim uśmiechem na ustach. - Pan i ja nieustannie podejmujemy ryzyko zawodowe. Pan zapewne przyjąłby mnie niechętnie?

- Być może. - Major kiwnął głową. - Jednak moja niechęć to nie niechęć człowieka, tylko specjalisty wojskowego do spraw likwidacji zagrożeń w środowisku kosmicznym, którego ponadto obowiązuje tajemnica służbowa. Niech pan o tym nie zapomina.

- Pamiętam o tym doskonale...

Messinger skręcił w kierunku stanowiska dowodzenia. Po chwili weszli do pomieszczeń dowództwa. Major i jego towarzysze, podobnie jak za pierwszym razem, skierowali się do pokoju, w którym mieściła się pracownia specjalistów. Machan natomiast zerknął dyskretnie za uchylone drzwi do gabinetu pułkownika Swensona. Właśnie jakiś kapitan składał mu raport. Dowódca bazy orbitalnej zauważył Machana. Ruchem dłoni zaprosił go do siebie. Kapitan szybko zakończył swoje sprawozdanie, odmeldował się i opuścił pokój. Pułkownik wyszedł zza biurka.

- Właśnie otrzymaliśmy nową wiadomość od grup poszukiwawczych. Zlokalizowano następny pocisk.

- Można powiedzieć, że dopisuje wam szczęście - zauważył dwuznacznie Machan.

- Tak... Jeszcze jedna i będzie spokój.

- Gdzie ją znaleziono?

- W sporej odległości od pierwszej - odparł sceptycznie pułkownik. - Jeszcze jedno potwierdzenie przypuszczenia, że rozrzut był duży. Ale sytuacja nie wygląda wesoło... - urwał i spojrzał na gościa nieufnie. Zaraz jednak zmitygował się, mówiąc: - Prawda, pan ma szczególne prawa... A więc poinformowano nas, że drugi pocisk wykonuje w próżni skomplikowany ruch precesyjny. Inaczej mówiąc, wiruje jak bąk. To znacznie utrudni operację jego zdjęcia. Rzecz jasna i ryzyko rośnie niepomrotnie. Tak... - zamyślił się. - Trzeba je będzie chyba rozbrajać. Ale o tym zadecyduje na miejscu major Messinger. To specjalista najwyższej klasy. Miał pan okazję przekonać się, prawda?

- Owszem - odparł Machan w zadumie. - Podziwiam tego człowieka. Całą jego grupę. Mając... - urwał. Chciał dodać, że mając takich ludzi, siły zbrojne mogą tracić bez obawy atomowe jajka, jednak zrezygnował w ostatniej chwili. Ta żartobliwa uwaga mogła zostać źle zrozumiana przez pułkownika. Nie znał przecież zupełnie tego człowieka. W czasie lat służby wojskowej nauczył się poskramiać swoje słowne zapędy. Teraz rzekł pośpiesznie: - Jest noc. Drzemka majora Messingera nie trwała zbyt długo.

- Drzemka... - Pułkownik zamrugał śmiesznie powiekami, zaskoczony uwagą Machana. - Nie ma obawy. To rutynowany wilk. Na pewno nie zaśnie przy sterach - dokończył z uśmiechem.

- Na pewno... - powtórzył jak echo Machan.

- Pan oczywiście wyraża chęć uczestniczenia w tej wyprawie? - zapytał dowódca i równocześnie, jak gdyby przypominając sobie o czymś, zaczął przekładać rozrzucone na biurku papierki, najwyraźniej czegoś szukając. - Jest! - złapał w palce mały kawałek kartki o postrzępionych brzegach. - Otrzymałem niedawno depesz z Ziemi. Do pana... - wysunął dłoń z papierkiem w stronę Machana.

Ten odebrał ją, nie tając zdziwienia. Przeczytał z uwagą.

„Reporter Charles Machan.

Laura Lemmock uległa wypadkowi samochodowemu. Obrażenia wewnętrzne ciała, połamanie kończyn, wstrząs mózgu. Stan bardzo ciężki. Przebywa w klinice profesora Rickarda w Omaha. Decyzję pozostawiam tobie. Gen. W. Machan”.

Przeszył go dreszcz, od czubka głowy aż po koniuszki palców, zimny, obezwładniający mięśnie kończyn i narządy mowy. Laura uległa wypadkowi... Jego Laura walczy ze śmiercią... Jak mogło się stać coś tak niepojętego i fatalnego? Długie chwile, w napięciu, jak hipnotyzer, wpatrywał się w postrzępiony skrawek białego papieru, jakby chciał go zmusić do podania dalszych szczegółów tego zajścia. Z bolesnym wyrazem twarzy wymamrotał:

- Kiedy...? Kiedy pan to otrzymał...?

- Mówiłem, niedawno. Kilkanaście minut temu - odparł pułkownik z zainteresowaniem reakcją gościa. Wpatrując się przenikliwie w jego skurczoną twarz, zapytał: - To ktoś bliski?

- Tak... Dziewczyna, a właściwie ktoś więcej - szeptał niewyraźnie Machan.

Był już w tej chwili myślami o setki tysięcy kilometrów stąd, na Ziemi, w klinice profesora Rickarda, obok swojej Laury. I był przekonany, że zrobi wszystko, aby się tam znaleźć jak najszybciej. Cel, z powodu którego znalazł się tutaj, w tym głuchym metalowym kręgu krążącym w mroźnej pustce okołoziemskiej, stracił nagle tak bardzo na znaczeniu, że Machan zdziwił się, iż zdecydował się na coś tak ryzykownego. Poza tym skutki... Tak fatalne skutki jego rozstania z Laurą.

Wlepił ostre, znaczące spojrzenie w oblicze milczącego dowódcy. Chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Machan rzekł:

- Rezygnuję z kontynuowania mej misji. Wyrażam chęć dostania się na Ziemię. Jak najszybciej... Natychmiast! Pan musi mi w tym dopomóc...

\* \* \*

Siedząc na ławce w poczekalni szpitalnej, skurczony, jak gdyby targał nim chorobliwy chłód, Machan wodził zmęczonym wzrokiem za każdym człowiekiem ubranym w biały lekarski kitel. Obiecano mu solennie, po kilkakrotnych spowodowanych przez niego awanturach, że personel będzie go na bieżąco informować o stanie zdrowia Laury Lemmock.

Na tej ławce spędził już drugą z kolei noc, licząc od powrotu na Ziemię. Pułkownik Swenson uległ jego żądaniu-prośbie. Machan domyślał się, że przyczyną tego było jego pokrewieństwo z generałem, ale nie czynił sobie tym razem wyrzutów, wprost przeciwnie, był wujowi wdzięczny za jego autorytet. Z rozkazu Swensona włączono go do grupy kilkunastu żołnierzy, którym kończyła się półroczna służba na kosmicznym obiekcie wojskowym; przesunięto nawet jednego z żołnierzy na następny lot, aby jemu zagwarantować szybkie dostanie się na Ziemię. Może było w tych poczynaniach i coś z chęci pozbycia się niewygodnego, wścibskiego gościa, ale rozgorączkowany tragedią dziewczyny Machan nie miał ani czasu, ani chęci zastanawiać się nad tymi tak mało znaczącymi w tej chwili problemami.

Zrezygnował nawet z odwiedzenia wuja w jego sztabie i złożenia mu relacji z wyprawy. Zaraz po wylądowaniu na wojskowym kosmodromie w Omaha, tym samym, z którego startował dwa dni wcześniej, skorzystał z uprzejmości przydzielonego mu do dyspozycji oficera z samochodem i kazał wieźć się do kliniki, w której leżała jego Laura. Po dotarciu na miejsce odesłał oficera z powrotem; w ten sposób utracił na następne dwa dni kontakt z otoczeniem.

Mimo powoływania się na rodzinne powiązania, protestów i prób przekupstwa, nie dopuszczono go jeszcze do niej. Zagrożono, że jeżeli się nie uspokoi, zostanie usunięty z budynku szpitala bez prawa powrotu. To poskutkowało. Załamany, pokonany przez przeciwności losu, znalazł sobie schronienie na tej pustej ławeczce, stojącej na korytarzu prowadzącym do drzwi separatki, gdzie leżała Laura w objęciach automatu reanimacyjnego. Każde otworzenie tych drzwi i wyjście z nich ubranej na biało osoby wzbudzało w nim dreszcz niepokoju i nadzieję usłyszenia czegoś nowego, pokrzepiającego na duchu. Ale tylko niesłychanie rzadko któraś z tych osób zwracała ku niemu swe zainteresowanie i obdarzała krótkimi słowami pocieszenia. Przyjmował je w milczeniu, kiwał ze zrozumieniem głową, ale nie cieszył się nimi zbyt, bo wiedział, że nie mówią one prawdy o rzeczywistym stanie zdrowia dziewczyny.

Sporo razy nakłaniano go do powrotu do domu, do solidnego odpoczynku, ale odmawiał stanowczo, był gotów wszelkimi sposobami bronić swego prawa do miejsca na tej twardej, drewnianej ławeczce, gdyby próbowano zastosować wobec niego przemoc fizyczną. Przy życiu utrzymywały go tylko skromne posiłki szpitalne, które kupował w miejscowej stołówce. I pił dużo zimnego piwa. Cała jego droga ograniczała się teraz do kilkudziesięciu metrów: od ławki do salki barowej i z powrotem. Czasami tylko, co kilka godzin, przypominał sobie o matce Laury, zmuszonej z powodu paraliżu nóg do pozostania w domu w tak tragicznej dla niej chwili. Sięgał wtedy po słuchawkę telefonu i przekazywał jej kilka ciepłych słów pocieszenia. Potem wracał na swoje stanowisko i czekał cierpliwie na chwilę, kiedy będzie mógł przekroczyć próg pomieszczenia, do którego wstęp był mu na razie zakazany. Bo przecież obiecano mu, że gdy tylko nastąpi przesilenie stanu chorej, otrzyma zezwolenie na krótką wizytę.

Więc czekał i snuł domysły, wracał myślami do przyczyn tragicznego zajścia, które rozegrało się na ruchliwej ulicy miasta. Bo i wypadek był całkowicie standardowy. Nie odbiegający od tysięcy podobnych. Laura wybrała się po zakupy. Zawsze odznaczała się cechą łatwego popadania w stan zamyślenia i nieuwagi, który - Machan osobiście przekonał się o tym nieraz - graniczył nieomal z lekkomyślnością. Jak zazwyczaj bywało, skręciła nazbyt gwałtownie na jezdnię, którą sunął rozpędzony sznur samochodów. Kierowca siedzący za kierownicą nowego modelu wodorowego „Chryslera” nie zdążył w porę zahamować. Laura znalazła się pod kołami krążownika szos. Dzięki osobistej interwencji sprawcy wypadku, ofiara szybko znalazła się w tej cieszącej się renomą prywatnej klinice. Oprócz ran ciętych ciała, złamania prawej nogi i obydwu rąk, Laura doznała obrażeń wewnętrznych: pęknięcia nerki,

uszkodzenia wątroby i wstrząsu mózgu. Dzięki zastosowaniu najnowszej aparatury medycznej utrzymano ją przy życiu. Najbliższe godziny miały zdecydować, czy młody organizm zdoła odeprzeć łapy śmierci.

Rozkołysane poły fartucha szybko idącego korytarzem człowieka przykuły uwagę Machana. Poznał go od razu, to był doktor McLearn, chirurg przydzielony bezpośrednio do opieki nad Laurą. Mężczyzna również rzucił na Machana ukradkowe spojrzenie. Kiedy go już minął z wyraźnym zamiarem wejścia do separatki Laury, zatrzymał się nagle na środku korytarza, zawahał krótką chwilę, wreszcie zawrócił. Zbliżył się na parę kroków do Machana. Obaj mężczyźni popatrzyli sobie w milczeniu w twarz, po czym doktor usiadł obok reportera. Chwilę trwała pełna napięcia cisza. Przerwał ją McLearn:

- Chora odzyskała niedawno przytomność...

Ciało Machana sprężyło się energicznie i tak pozostało na chwilę. Tylko jego głowa odchyliła się w bok, oczy lustrowały badawczo oblicze doktora, jakby chciały go prześwietlić i wykryć ewentualny fałsz tych słów, niosących słodczy pokrzepienia. Ale McLearnowi nie drgnęła nawet powieka, wytrzymał spojrzenie Machana i dodał spokojnie:

- Pana narzeczona będzie żyć. Właśnie nastąpiło przesilenie... Niebezpieczeństwo minęło. Ale leczenie potrwa jeszcze długo. Być może pozostaną urazy powypadkowe. Trzeba przeszczepić nerkę. Ale to później, na razie organizm jest zbyt wycieńczony. Ma uszkodzoną czaszkę. Myślę, że nawet operacja plastyczna nie usunie wszystkich deformacji...

- Po co pan mi to mówi? - Dopiero po dłuższej chwili zwłoki Machan zdecydował się na to pytanie. Zaskoczyła go nagła wylewność i szczerłość w słowach doktora. - Pewno obawia się pan, że moja niechęć, odraza w stosunku do niej... - nie dokończył.

- Drogi panie, oprócz chirurga jestem również niezłym psychologiem. Pan nie opuści tej dziewczyny.

Dominująca pewność w słowach McLeara zdumiała Machana. Ten człowiek zastanawiał go. A najdziwniejsze było to, że zdawał się mieć całkowitą rację. Chciał się odezwać, ale doktor go uprzedził:

- Zezwolę panu za chwilę na krótką wizytę u chorej. Ale chcę pana do tego odpowiednio przygotować.

- Dlaczego pan to robi?

- Ponieważ nie ma sensu, aby przedłużać pana duchowe cierpienia. Jestem przekonany, że pan stąd nie odejdzie bez widzenia z narzeczoną, a ja nie chcę mieć nowego trudnego pacjenta z rozkojarzeniem nerwowym - spróbował się uśmiechnąć. - Takich też tu leczymy. Zezwolę panu na krótką wizytę u niej pod warunkiem, że po tej wizycie opuści pan szpital i uda się do domu na konieczny odpoczynek. Powtarzam jeszcze raz, niczego przed panem nie ukrywając, Laura Lemmock będzie żyć, choć leczenie będzie na pewno niełatwe i długotrwałe. Dziewczyna potrzebować będzie dużo ciepła i opieki. Myślę, że pan będzie w stanie jej to wszystko zagwarantować.

- Tak... Na pewno. Zgadzam się na pana warunki.

- Więc chodźmy. - Doktor powstał na nogi.

Podeszli do drzwi z numerem 282. McLearn zatrzymał się jeszcze na chwilę i rzekł:

- Proszę pamiętać, tylko parę minut. Żadnych wzruszeń i zdenerwowań. Pan trzyma w ręku jej los.

Weszli do małego przedpokoju. Do właściwego pomieszczenia separatki prowadziły hermetyczne drzwi gwarantujące pacjentowi całkowity spokój. Doktor otworzył je i puścił Machana przodem. Weszli do niewielkiego pokoju. Pomieszczenie wypełniał cichy poszum elektronicznej aparatury. Skomplikowany czworobok stojący opodal łóżka błyskał kolorowymi światłkami i gamą wykresów na ekranach indykatorów. Łóżko pacjentki otaczał rząd stojaków z zawieszonymi aparatami i pojemnikami z różnokolorowymi cieczami, od których odchodzące końcówki przewodów ginęły pod fałdami białej pościeli, pod którą leżała postać ludzka.

Doktor McLearn dał znak siedzącej przy łóżku dyżurnej. Wyszła bez słowa do sąsiedniego pokoju.

- Zostawiam pana samego... na parę minut - rzekł cicho doktor i znikł za drzwiami, przez które weszli.

Machan z przesadną ostrożnością podszedł do łóżka. Usiadł na małym zydelku i w zapamiętaniu zaczął lustrować wzrokiem zniekształconą sylwetkę leżącej na łóżku postaci, w której trudno mu było dopatrzeć się znajomej sylwetki Laury. Podwieszona na wyciągu prawa noga, w gipsowym kokonie, tak samo uzbrojone obie ręce; nawet głowa była cała opatulona w bandażu, tylko prawa część białej twarzy była odkryta. Jedyne wolne oko Laury było zamknięte. Zapewne spała. Odszukał wzrokiem koniuszki palców jej dłoni i musnął je lekko ustami. Raz, drugi... Wyraźnie wyczuł, że drgnęły lekko. Skierował wzrok na twarz dziewczyny. Powieka rozszerzyła się wolno, jakby sennie. Spod przysłoniętych gazą ust wydobyły się ciche sowa:

- To ty, Charles...?

Drgnął. Z trudem zapanował nad wzruszeniem. Zapiętko w oczach, ale zacisnął mocno szczęki; wzruszenie powoli ustępowało.

- Ja, kochanie - przemówił drżącym głosem.

- Jestem niezgrabiaszem, Charles... - Dalszych słów doczekał się dopiero po dłuższej chwili zwłoki, podobnie cichych i mało rozumiających. Musiał nachylić głowę nisko nad jej twarzą, aby je dosłyszeć: - Potrącił mnie samochód...

- Wiem wszystko... Nie mów nic - przerwał jej lekkim muśnięciem dłonią rozpalonego czoła. - Niedługo wrócisz do zdrowia. Musisz tylko zachować cierpliwość i nie grymasić - starał się dobrać bez troskie, banalne na pozór słowa, aby tylko nie sprowokować jej do zmartwień nad sobą.

- A co u ciebie, Charles?

Uchwycił się tego tematu. Był bezpieczniejszy od innych.

- Normalka. Dwa dni temu wróciłem na Ziemię. Zebrałem sporo ciekawego materiału. Teraz czeka mnie harówka... Ale przeżyłem ciekawą przygodę. Opowiem ci, jak poczujesz się trochę lepiej. - Zupełnie zapomniał o przyrzeczeniu danym wujkowi.

- Aha... - przymknęła oko i dodała: - To długo potrwa, Charles. Jaka szkoda... A chciałam wyjechać do stryjska w góry. Może nawet z tobą...

- Pojedziemy - zgodził się z jej pomysłem. - Będzie ci potrzebny spokój. A i mnie przyda się trochę wytchnienia.

Cichy szmer za plecami zmusił Machana do przerywania rozmowy. W drzwiach stał McLearn. A więc już wrócił... Szybko. Porozumieli się wzrokiem. Machan kiwnął głową.

- Charles... - W szeptcie Laury dominowała lekka nuta niepokoju.

- Uspokój się, kochanie. Wrócę niebawem. Zaśnij teraz. Pa - cmoknął ją w końce palców.

Przymknęła powiekę, jakby na znak, że zgodziła się z jego postanowieniem.

Machan ruszył w kierunku doktora. W drzwiach jeszcze raz zerknął w stronę łóżka, przy którym znów pojawiła się pielęgniarka, westchnął przeciągle, już znacznie odprężony, i wyszedł za McLearnem na korytarz.

\* \* \*

Przebudził się pod wpływem jakiegoś snu, którego temat ulatywał z pamięci tak szybko jak powracająca rzeczywistość. Dłuższą chwilę zbierał potraczone we śnie myśli, zorientował się wreszcie, że leży rozwalony w swym roboczym foteliku przed maszyną do pisania. Na wałek wkręcona była kartka papieru, na niej kilka zaiksowanych słów. Na podłodze leżało kilka innych kartek.

Zerknął na zegarek, minęła dziesiąta rano, a więc spał ponad osiem godzin. Zabrał się wieczorem do realizowania swych obowiązków zawodowych. A właściwie zmusił się do zrobienia czegoś w rodzaju krótkiego reportażu z niedawnej wyprawy w kosmos. Ale robota nie szła mu - zawsze tak się działo, gdy starał się działać na przekór nastrojowi organizmu. Minione wydarzenia związane z tragicznym



wypadkiem Laury zupełnie wytrąciły go z dobowego rytmu pracy i odpoczynku.

Pod wpływem pokrzepiających wieści o stanie zdrowia dziewczyny napięcie nerwowe powoli ustępowało, ale nadal nie na tyle, aby mógł w spokoju zabrać się do normalnej działalności zawodowej, a przede wszystkim porządnie wyspać, bo ten pół-sen, pół-letarg, w który zapadał od czasu do czasu z przemęczenia, nie dawał porządnego wytchnienia.

Kiedy na pół sennie sięgał po wkręconą w maszynę kartkę papieru, aby zgnieść ją w dłoni jak poprzednie, usłyszał terkot dzwonka. Zamarł w bezruchu. Ten dźwięczny, powtarzający się odgłos był jak na razie jedynym faktem zainteresowania jego osobą ze strony otoczenia. W czasie minionych trzech dni zawsze wymykał się rankiem ze swego ustronnego mieszkania i podążał do kliniki, aby przynajmniej raz dziennie nacieszyć się widokiem skrawka twarzy Laury, zamienić z nią parę słów, złożyć na palcach jej dłoni kilka pocałunków - zawsze tylko kilka minut, doktor McLear przestrzegał osobiście tego czasu. Potem wracał do siebie trochę pokrzepiony na duchu i... czekał z utęsknieniem następnego ranka, z rodzącym się przekonaniem, że należy otrząsnąć się wreszcie z tego koszmarni zwrócić zainteresowanie w stronę realnego otoczenia.

Teraz z wysiłkiem poderwał się z obrotowego fotelika i poszedł otworzyć drzwi gościowi, który dobijał się do jego mieszkania. W progu ujrzał tego samego oficera, który przyjechał po niego w ubiegłym tygodniu z polecenia generała Machana. Czyżby ponownie? Powodu wezwania nie musiał wyszukiwać, był nim bez wątpienia on sam, a dokładniej jego „niesubordynacja” wobec człowieka, który powierzył mu wykonanie pewnego zadania.

- Od wuja? - uprzedził w słowach kapitana.

- Tak jest. Generał Machan życzy sobie porozmawiać z panem na wiadomy temat - wyrecytował bez zająknięcia oficer.

- Oczywiście, natychmiast... - Machan domyślił się powodu wymownego wyczekiwania kapitana. - Jestem gotów. Tylko marynarka...

Wbiegł do środka mieszkania i po chwili wrócił, nakładając na ramiona swą popielatą „służbową” marynarkę.

Wyszli przed dom, Machan zamknął drzwi na wymyślny magnetyczny zamek i wyszedł za oficerem na ulicę.

Podczas jazdy nie zamienili ani jednego słowa. Machan był przekonany, że oficer i tak nie zdradzi przed nim ani jednego szczegółu z dalszego przebiegu akcji „Broken Arrow”, z całej jego sylwetki emanowało poczucie lojalności wobec przełożonych. Znow musieli przebrnąć przez korowód legitymowań.

Wreszcie Machan wszedł do gabinetu generała. Wujek siedział za biurkiem, jak zawsze potężny, dystyngowany, z nalaną, czerwoną twarzą. Jednak bystre oko Machana wypatrzyło w jego obliczu trochę zmian. Gęściejsza niż poprzednio siatka zmarszczek, lekki tik z lewej strony szczęki i te rozbiegane oczy wskazywały na to, że generał był czymś ogromnie zdenerwowany. Czyżby z jego powodu? Podszedł bliżej, zatrzymał się parę kroków od potężnego biurka i rzucił kilka słów powitania. Generał skinął w odpowiedzi głową i wskazał bratankowi pobliski fotel. Gdy ten usiadł, odczekał jeszcze chwilę, topiąc wzrok w rozrzuconych na blacie biurka papierach, a następnie powiedział:

- Zatracasz już powoli cechy żołnierza, Charles...

A więc jednak chodziło o jego opieszałość w złożeniu relacji z przebiegu wyprawy. Machan zdumiał się. Czyżby generał tak bardzo na nią liczył? Chyba że zaszły jakieś nieprzewidziane wypadki, o których on nic nie wie. Stracił przecież kontakt z otoczeniem od paru dni. Już otwierał usta, aby rzucić kilka słów usprawiedliwienia, ale generał dodał:

- Prawdę mówiąc, nie mam do ciebie pretensji. To wydarzenie miało prawo tobą wstrząsnąć.

- Chciałbym ci podziękować, wuju...

- Za co? - Generał zamrugał powiekami, nie rozumiejąc słów bratanka.

- Za to, że w porę powiadomiłeś mnie o wypadku Laury.

- Wahałem się, czy to uczynić - wyznał generał. - Przypuszczałem, że gdy się o tym dowiesz, przerwiesz realizację zadania i wrócisz na Ziemię. Ale doszedłem do wniosku, że nie wybaczyłbyś mi tego długo.

- Twoje przypuszczenia były trafne.

- Tak... - Generał pokiwał w zamyśleniu głową. - I jak ona się czuje?

- Jeszcze kiepsko, ale najgorsze już za nią. Skąd się dowiedziałeś o wypadku? - Machan zadał wreszcie pytanie, które go od dawna nurtowało. - Kto cię powiadomił?

- Jej matka. Szukała ciebie, a że nie mogła cię znaleźć, więc... Potem zadzwoniła do mnie. Powołała się na ciebie.

Machan pokiwał głową ze zrozumieniem. Pomyślał z sympatią o tej drobnej, chudej kobiecie, przykutej do fotela, dręczonej niepokojem o los córki.

- Co z akcją? - zmienił pośpiesznie temat. - Moje wiadomości datują się z okresu zlokalizowania drugiego pocisku.

- Skąpo - ocenił generał. - Zresztą ja też mam wiadomości z drugiej ręki. Nie prowadzę już tej sprawy.

Machan zmarszczył brwi. To wyznanie wujka zaskoczyło go zupełnie. Wypadki musiały zatem ulec diametralnemu pogorszeniu.

- Jak to się stało? - zapytał.

- Proste - sarknął generał, tłumiąc w sobie rozdrażnienie. - Sprawę przejęli w swoje ręce politycy. Konkretnie admirał Cornellis.

- Ten zaufany prezydenta Obertha?

- Właśnie. Jego prawa ręka.

- Ale jak to możliwe, aby sprawy sił kosmicznych załatwiali przedstawiciele sił morskich? - Machan nie krył zdziwienia.

- Głównie dlatego, że to już nie jest tylko czarna karta sił kosmicznych. Balon tajemnicy pękł niedawno... W pewnym sensie. Naprawdę nic o tym nie wiesz? - Generał wlepił w bratanka przenikliwe spojrzenie.

- Czy wyglądam na takiego, który wie? - Machan wytrzymał to spojrzenie. - Dowiem się od ciebie szczegółów? Przede wszystkim, co z drugim pociskiem?

- I z nim Messinger poradził sobie jakoś...

- Podobno istniało zagrożenie, że trzeba go będzie rozbijać w próżni - wspomniał Machan.

- To już się stało. Kłopot rozpoczął się dopiero z trzecim pociskiem. Wyobraź sobie, że nieoczekiwanie natknęli się na niego nasi antagoniści ze Wschodu.

Machan westchnął. Nie brał pod uwagę takiej ewentualności. Rozumiał teraz przyczynę zmiany kierownictwa akcji. W tej sytuacji nie była to już właściwie żadna akcja, raczej potrzeba umiejętnej dyplomacji. A z tego przecież sływał zaufany poplecznik prezydenta, admirał Cornellis.

- Radziecki transportowiec wracający z Księżyca natknął się nieoczekiwanie na pocisk - ciągnął dalej generał. - Omal nie doszło do tragedii.

- A więc trzeci pocisk... - Machan świadomie nie dokończył pytania.

- Został zdjęty przez Rosjan.

- Ale jakim cudem do tego dopuściliście? Przecież taki obręb poszukiwań. Tyle rakiet...

- Rozrzut był znacznie większy niż przypuszczaliśmy. Trzeci pocisk dryfował wprost w przeciwnym

kierunku, niż skierowaliśmy poszukiwania.

- I jakie echa? Domyślam się, że nadzieja rządu skierowana jest teraz na umiejętności dyplomatyczne Cornellisa.

- Admirał już jest w Moskwie. Na razie brak pomyślnych wieści.

- Czy mam przez to rozumieć, że Rosjanie nie rozpoczęli jeszcze akcji antyamerykańskiej na szeroką skalę? - Ze słów Machana przebijało zaskoczenie.

- Sytuacja przedstawia się następująco: świat wie o odnalezieniu pocisku raketowego naszej produkcji, ale nie wie, w jaki sposób się tam znalazł. Jednak już sam fakt przechwycenia pocisku to dla nas cios. Te rakiety to nasza najnowocześniejsza broń. Odkryliśmy część kart... Należy liczyć się z przesunięciami kadrowymi...

Machan spojrział wujowi w oczy. Dostrzegł w nich skrywaną obawę. Nie ulegało wątpliwości, że generał obawiał się realnego następstwa wybryku wrednego losu na własnej skórze.

- Współczuję ci - szepnął. - Z drugiej strony pozwolę sobie na westchnienie ulgi. Obojętnie kto znalazł pocisk, zlikwidował w ten sposób zagrożenie dla lotów kosmicznych. Społeczeństwo powinno ucieszyć się z takiego obrotu sprawy.

Na twarzy generała pojawił się cień ironicznego uśmiechu. Rzekł:

- Zazdroszczę ci, Charles.

- Nie ma czego, wuju - uciał Machan. - Czuję się podle. Najchętniej rzuciłbym wszystko co robię w diabły i uciekłbym w najodleglejsze ostępy dżungli. Aby być jak najdalej od tej strasznej bajki, która rozgrywa się na naszych oczach, do której scenariusz piszą przeciw ludzie.

- Uważasz, że tam byłbyś bezpieczny? - Generał uśmiechnął się.

- Jasne, że nie... Ale zażyłbym przynajmniej trochę wytchnienia na tym łonie, które natura nam przypisała w dziedzictwie... Ech... - machnął ze zniechęceniem dłonią, westchnął i dodał energiczniej: - Czas na konkretne pytania, wuju. Ta eskapada w kosmos ma być tylko moją fascynującą wycieczką, czy kolejnym etapem pracy zawodowej?

- Nie rozstrzygnę twojego dylematu, chłopcze - odparł generał. - W tej sprawie nie mogę ci już niczego narzucać. Mogę tylko od siebie poradzić, abyś zaczekał w tym wypadku z własną decyzją na echa z Moskwy.

- Nie łudźmy się - sarknął Machan z oburzeniem. - Nie mam zamiaru harować dla redakcyjnego kosza. Wybawiłeś mnie z rozterki, wuju. Dopomogłeś podjąć decyzję.

- Nie rozumiem cię... - Generał otworzył szerzej oczy.

- Po prostu zrealizuję marzenia młodości - odparł wesoło Machan. - A przy okazji i kilka innych spraw. A mówiąc jaśniej, wyjadę wraz z Laurą do jej stryja mieszkającego gdzieś w Górach Skalistych. Ona będzie potrzebować długiej rekonwalescencji i opieki. A ja, korzystając ze spokoju, zabiorę się do pisania powieści. Materiału mam dosyć. Napisania powieści nie możecie mi zabronić. To będzie dobra książka, wuju. Zapewniam cię.

Generał popatrzył na bratanka w milczeniu. Następnie wyszedł zza biurka, uściśnął mu dłoń i rzekł:

- Gratuluję decyzji, Charles. Życzę powodzenia i... dobrego natchnienia przy pisaniu.

## Gloria

Profesor Zegrend oderwał przekrwione oczy od chronometru. Minął przed chwilą drugi dzień bez snu i chwili odprężenia, wypełniony jedynie gorączką oczekiwania na coś, czego prawdopodobieństwo było mniejsze od możliwości przypadkowego pęknięcia odpornego, ceramitowego pancerza jego niewielkiej twierdzy, która chroniła go dotąd skutecznie przed agresją z zewnątrz.

Mimo iż był przekonany o tym, że ci z zewnątrz nie należeli już od wielu godzin do kręgu żyjących, niepokój nie opuszczał go. Trująca atmosfera planety, ze sporą domieszką gazów toksycznych, zabójcza dla istot rozumnych przybyłych z Ziemi, okazała się nieoczekiwanie deską ratunku dla niego, starzejącego się już naukowca, specjalisty w zakresie biofizyki kosmosu, podstępnie zaatakowanego, zmuszonego do czynów krańcowo haniebnych w imię ratowania resztek swego życia przed tymi z zewnątrz.

Od szeregu godzin tylko tym mianem określał w myślach swoich dwóch towarzyszy, młodych naukowców, jego najlepszych asystentów, których dobrał sobie do pomocy na kilka miesięcy prac badawczych w placówce naukowej niedawno odkrytej planety, nazwanej „Gloria”, podobno na cześć upamiętnienia imienia jednej z młodych kosmonautek, która zginęła na niej jako pierwsza.

Ona, Gloria Spendor, zapoczątkowała czarną listę, jaką posiadała prawie każda z planet, których tajemnice wydzierano kosmosowi kosztem ludzkich ofiar. A teraz za jego przyczyną przyjdzie dopisać dwa następne nazwiska: Vang i Torson. Skazał ich na śmierć... To już się stało. Nie sposób przecież cofnąć biegu wypadków. Nie sposób... A szkoda. Bo gdyby na przykład to było możliwe, wątpliwe, czy zdecydowałby się ponownie na to posunięcie. Wyrzuty sumienia? Być może. Bo przecież nikt nie może dać nikomu absolutnego prawa do decydowania o czyimś losie, do wymierzania sprawiedliwości drugiemu człowiekowi. Uzurpowanie sobie tego prawa w imię wyższych racji społecznych, lub podyktowane koniecznością samoobrony w jego przypadku, nieuchronnie prowadzi do zadawania gwałtu jednostce ludzkiej, której czyn wyłamał się z rejestru zakazów wymyślonych przecież przez jej podobnych.

Najpierw przyszła niepewność co do skuteczności jego zabiegów, a potem, kiedy czas strawił już wszystkie wątpliwości, zaatakowały go pytania, groźne, natarczywe, powodujące ból, okropny psychiczny ból, którego nie łagodził żaden narkotyk... Stany te przechodził kilka razy w ciągu minionych godzin. Nawet już wtedy, gdy ta straszna decyzja dojrzewała w jego umyśle. Dopiero wówczas, chyba po raz pierwszy w życiu, przekonał się o własnej słabości. Obawa, rozpacz, złość, próba ratowania wyników wyprawy, praw kierownika... Tłumaczył sobie swoje posunięcie wszystkimi dostępnymi wariantami, ale ulgi nie doznał żadnej. Potrafił już teraz godzinami siedzieć bez ruchu i zapatrzony w siebie mleć w myślach upływające sekundy, minuty, godziny...

Biegący tak przeraźliwie wolno czas znalazł się w centrum jego zainteresowania. Założył wtedy, że jeśli zdoła wytrzymać dwadzieścia osiem godzin w swej twierdzy, wtedy wygra z nimi, na pewno. I minęło dwadzieścia osiem godzin, potem drugi dzień... A niepewność nie opuszczała go nadal. Czuł wyraźnie, że przeistacza się w kłębek pulsujących w napięciu dendrytów, zmuszonych w nieskończoność przetwarzać w sobie nieustający ból.

Zmiana pozycji ciała pozwalająca na przeniesienie wzroku z zegara na pancerny właz śluzy to jedyny teraz ruch, na który mógł się jeszcze zdobyć. Wszystkich luster bądź wypolerowanych płaszczyzn metalu,

w których mógł odbić się wyraz jego twarzy, unikał jak ognia. Swoją twarz, zmienioną, odrażającą, widział w czasie minionych godzin tylko raz. Ponownie nie miał już odwagi na nią spojrzeć.

Zapatrzony w newralgiczny punkt krystalicznej obudowy, gdzie mógł zaatakować już teraz czysto wyimaginowany przez jego umysł wróg, powrócił któryś już raz z kolei do początku...

\* \* \*

Przybyli tu ponad cztery miesiące temu stanowiąc mini-ekspedycję naukową, jedną z setek rozsyłanych rokrocznie w peryferie zdobytego kosmosu. Przed nimi była tu tylko raz jeden załogowa sonda zwiadu galaktycznego, dokonując wstępnego rozpoznania wielkości fizycznych i biologicznych nowo odkrytej planety żółtej gwiazdy klasy widmowej G8. Widocznie wyniki wstępnych, wrywkowych badań okazały się na tyle pozytywne, że ta jedyna planeta krążąca wokół gorącej gwiazdy została wpisana w rejestr ciał kosmicznych wartych szczegółowego przebadania. Taka była od dziesiątek lat kolej rzeczy. Najpierw ci nieustraszeni ze zwiadu wytyczali trasę w mroku mroźnej pustki, stanowiąc czubek strzał wypuszczonych przed siebie w nieskończoność, aby sklasyfikować i ocenić, i niejednokrotnie złożyć swe życie na ołtarzu wątpliwej wiary w istnienie swych rozumnych braci. Gdy ci pierwsi zrobili swoje i posunęli się o następny odcinek dalej - ciągle do przodu - na ich miejscu zjawiali się oni, naukowcy z różnych dziedzin wiedzy i o różnych specjalnościach - ich dobór określały wyniki wstępnego sondażu, konieczność rozwikłania kolejnych tajemnic natury, fizyko-chemicznych lub biologicznych przesłanek życia.

„Gloria”, tylko niewiele mniejsza od Ziemi, z atmosferą tlenową, jednak zanieczyszczoną domieszkami silnie trujących gazów - chlor, cyjanowodór - znajdowała się jeszcze na zaawansowanym etapie tektonicznych ruchów nie ukształtowanej do końca skorupy powierzchniowej. Szczególnie w jej strefie równikowej codziennością były trzęsienia ziemi, potężne wulkany zanieczyszczały atmosferę trującymi gazowymi wydzielinami. Te wszystkie czynniki stanowiły zasadniczą przeszkodę w rozwoju materii ożywionej na planecie, niemniej przeważająca ilościowo nad florą fauna była nawet urozmaicona i rozwinięta w akwenach dziwnej brunatnawej cieczy, stanowiącej mieszaninę wody z domieszkami różnych prostych związków chemicznych.

Florę lądową reprezentowało tutaj tylko kilka gatunków porostów, traw i grzybów - wyrastających w głębokich kotlinach i nad brzegami mór - koloru bladezielonego, postrzępionych i bogato ukształtowanych, przypominających swym wyglądem ziemskie piestrzenice.

Wyglądało na to, że życie lądowe, które odważyło się opuścić życiodajne środowisko wodne, aby walczyć z palącymi promieniami słońca i szkodliwą atmosferą, było tylko namiastką tego z mór. Flora i fauna wód, miejscami głębokich na tysiące metrów, była bardzo bogata i zróżnicowana, poczynając od mikroskopijnych glonów, poprzez gatunki stawonogów i rybokształnych stworów aż do ogromnych, mierzących kilka metrów długości jaszczurek, o dwóch krótkich odnóżach i pancernym grzbiecie, które niekiedy masowo wychodziły na brzeg i pozwalały sobie na atakowanie obcych przybyszów z Ziemi, zmuszając ich do stałego noszenia przy sobie ręcznych miotaczy promiennych.

Wobec skomasowania życia organicznego w zbiornikach wodnych, ich naukowa penetracja - oprócz wstępnych wypadów śmigłowcem w różne rejony planety - ograniczyła się do jednego z mór. W pobliżu jego brzegu, w osłoniętej z trzech stron ścianami górskimi kotlinie, założyli naukową bazę - hermetyczny, wykonany z grubego ceramitu blok, zaopatrzony w niezbędną aparaturę naukową i sprzęt potrzebny do badań w najtrudniejszych warunkach terenowych. Oprócz budynku bazy mieli do dyspozycji lekki

śmigłowiec i ciężki - również hermetyczny - transporter pancerny oraz dwa dwuosobowe łaziki terenowe, którymi dojeżdżali nad brzeg tutejszego morza. Grawitolot, który ich tu przywiózł, miał wrócić po nich zgodnie z ustalonym terminem po sześciu miesiącach ziemskich.

Parę dni trwał okres adaptacyjny, czas, kiedy każdy dalszy wypad, każdy krok niemal był wielką niewiadomą, wyciskającą na ich twarzach piętno strachu. Potem, oswojeni z otoczeniem, rzucili się w wir pracy; przy pomocy wyspecjalizowanych batyskafów zapuszczali się w coraz odleglejsze i głębsze obszary brunatnego morza w pogoni za ciekawymi okazami miejscowej fauny.

Utrudzili się sporo, pracowali niemal od rana do nocy, katalogi i rejestry zapełniały się ciekawymi wynikami badań, miejscowy komputer pochłaniał coraz większe porcje dostarczanych mu wiadomości o badanych przedstawicielach wodnej fauny, jednak do bliskiego końca harówki nie dobili. Niedawno, parę dni temu, Torson odkrył w głębinach morza szczególny rodzaj stworzeń podobnych wyglądem do ogromnych sześcioramiennej rozgwiazd.

Od tego czasu rozpoczął się koszmar. Dwaj młodzi asystenci w przeciągu dosłownie paru godzin zmienili się z wesołych, pracowitych chłopaków w bezdusznych cyników, ogarniętych żądzą wyssania maksymalnych materialnych korzyści ze szczęśliwego trafu Torsona; on bowiem pierwszy złapał ogromną „rozwiazdę” i dokonał jej naukowej sekcji. To, co znalazł w jej trzewiach, przyćmiło nadrzędny cel, w imię którego znaleźli się na tej planecie.

\* \* \*

- Nie zgadzam się na coś takiego i nigdy się nie zgodzę... - wyrzucił z siebie Zegrend. Doczekał się w końcu propozycji, której się obawiał od początku „szczęścia” Torsona. To właśnie on zaproponował mu ugodowe porozumienie, na mocy którego owoce niebezpiecznych, bynajmniej nie naukowych eskapad w morskie głębie miały być dzielone na trzy równe części. Jego rola miała ograniczyć się jedynie do wyrażenia zgody, po prostu kiwnięcia głową, za co jego kiesa po powrocie na Ziemię nabije się grubą forszą. - Kierując do mnie tę propozycję chyba nie wzięliście pod uwagę wszystkich aspektów tego zagadnienia. Gdyby problem polegał tylko na kilkudniowej przerwie w pracach naukowych, w celu umożliwienia wam zdobycia grubszej gotówki, byłbym gotów nawet zapomnieć o czterdziestym trzecim paragrafie instrukcji badań nowo odkrytych planet, który zabrania zabierania z jakichkolwiek ciał kosmicznych szlachetnych minerałów lub innych przedmiotów zbytku, jeśli nie są one materiałem badawczym. Ale ja za dużo w życiu przeszedłem, moi drodzy, dlatego jestem przekonany, że prawdziwe problemy zaczną się dopiero później. Już widzę grupy różnych biznesmenów i poszukiwaczy łatwych zarobków, ściągających tutaj na perłowe polowania. Mimo XXIV wieku nie brakuje takich na pewno w naszym społeczeństwie, a dla chciwości ludzkiej przeszkoda nie będzie nawet tak duża odległość tej planety od Ziemi. Gotów jestem położyć moją siwą głowę pod topór, twierdząc, że w przeciągu niewielu lat znikną z głębin tych mórz te nieszczęśliwe stworzenia, które natura nieświadomie obdarzyła fizjologiczną zdolnością wytwarzania świecidełek, za które na Ziemi jubilerzy zapłacą majątek. Czeka je los wielu gatunków zwierząt, które przed wiekami wyginęły na naszej macierzystej planecie. Jestem przekonany, że godząc się na waszą propozycję, skazałbym nie tylko, ten gatunek, ale całą faunę tej planety na śmierć. Zastanówcie się - ani przez chwilę wzrok profesora nie schodził z obliczy dwóch młodych ludzi, na których przeżyte wrażenia uformowały maski doskonałego uporu i zaciętości - czy warto dla wątpliwej przyjemności ozdabiania kobiecych ciał skazywać ten obcy, a tak ciekawy dla nas świat na zagładę?

Jesteśmy tu intruzami, szkodnikami nieomal, którzy uzurpują sobie prawo decydowania o losie tej planety. Badania naukowe tłumaczą od biedy naszą obecną tu działalność. A wasz zamiar... W jakich kategoriach chcecie usprawiedliwić to, na co chcecie się porwać? Czy zastanowiliście się nad losem, jeśli już nie tych bezmyślnych wytworów natury, to przynajmniej nad losem tych wszystkich, którzy pójdą w wasze ślady, którzy być może złożą tu swoje życie w imię złudnych nadziei poprawienia swej materialnej pozycji, przy zdeptaniu zasad moralnej praworządności, w celu nieuczciwego wybicia się ponad przeciętność im podobnych? Ośmielam się uznać, że zapomnieliście o tych wszystkich aspektach, gdyż w przeciwnym razie byłbym zmuszony ocenić wasze zamiary jako próbę pogwałcenia kodeksu prawa kosmicznego. A cenię was zbyt wysoko, aby wierzyć, że to wasza dobrze przemyślana i ostateczna decyzja. Zakończmy tę przykrą rozmowę w przeświadczeniu, że to tylko chwilowa niedyspozycja psychiczna pod wpływem oddziaływania szczególnie intrygujących warunków obcego środowiska naturalnego na wrażliwe umysły młodych ludzi, zdających sobie w pełni sprawę, że kierownik tej ekspedycji naukowej uczyni wszystko, co w jego mocy, aby nie dopuścić do pogwałcenia jakichkolwiek norm prawnych i moralnych... To tyle. Myślę, że nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym tematem. Pora późna. Czas na odpoczynek...

Jeszcze długie minuty siedzieli przy stole, milcząc, jak zupełnie obcy sobie ludzie, których nie łączył długi okres wspólnej pracy. To, co dotychczas spajało ich dążenia, co było katalizatorem zrozumienia, rozszczepiało się wyraźnie, niemal na ich oczach zmieniano swą biegunowość w skrajność ostatecznie negatywną. Milczeli uparcie, ale Zegrend bez trudu wywnioskował z wyrazu ich twarzy, że to złe milczenie, podstępne, nie pogodzone z koniecznością.

To była pierwsza noc od bardzo dawna, podczas której nie przespał ani minuty. Targała nim nieokreślona obawa, jak nieokreślone i nie do przewidzenia były posunięcia tych, którzy nagle stali się dla niego wrogami, zagrażającymi już nie tylko wynikom kosztownej wyprawy - zawsze wartości społeczne stały u niego o szczebel wyżej od prywaty - ale i jemu samemu. Po raz pierwszy od długiego już czasu poznał smak strachu, strachu dziwnego, potworniejszego od zagrożenia kosmicznej pustki i obcych środowisk, bo powodowanego chorą, ludzką myślą, nastawioną na realizację wszystkiego, co złe.

Widocznie jego antagoniści też odczuwali skutki ogromnego zaaferowania i rozpierającej ich żądz działania, bo po niedługim czasie z przylegającego do jego lokum osobistego pokoju Vanga dobiegły do uszu profesora odgłosy rozmowy. Początkowo sam zdziwił się, w jaki sposób możliwe jest coś takiego, mimo grubych ścianek działowych wykonanych z tłumiącego dźwięki pianoplastyku, ale wędrując uchem wzdłuż ściany wykrył punkt maksymalnej przepustowości głosu; była to niewielka szczelina powstała między ścianą a okręgiem przewodu wentylacyjnego. Stojąc prawie na palcach, przytknął ucho do szczeliny i zastygł w bezruchu, zamieniając się cały w słuch. Podśluchiwał, złapał się na tym wstrętnym postępku, ale - o dziwo - nie poniechał szansy dowiedzenia się, o czym rozmawiają tamci, jego wrogowie. To, na co nie zdecydowałby się jeszcze parę godzin temu, teraz zostało zarejestrowane przez jego umysł jako posunięcie niezbędne, usprawiedliwione przez sytuację szczególną, grożącą nieobliczalnymi następstwami.

- ...szansa jedna na milion! - To był głos wysokiego blondyna, Torsona, dźwięczny alt nacechowany zawsze żywiołowością i energią życiową. - A może jeszcze rzadsza. Czy ty nie rozumiesz, że to owoc ślepego losu, który nie powtórzy się już nigdy więcej?!

- I co z tego, że wiem? - rzucił z tępą złością Vang. - Gadałeś, że Zegrend zgodzi się na twoją propozycję. Przekonywałeś... A ja ci mówiłem, że to bezcelowe próby. Znam starego lepiej od ciebie... Należało lepiej milczeć i spróbować za jego plecami. Nie rozlicza nas przecież z każdej godziny.

- Głupstwa...! I co ci dadzą te godziny skradzione temu fanatykowi nauki? Ile złowisz w tym czasie rozgwiad? Jedną...? Dwie...? Co to jest? Nie chcę ochłapów. Mam na myśli skomasowane, długotrwałe

wypadki na duże głębokości. Za jednym zamachem kilkadziesiąt sztuk. Masz pojęcie... W tym czasie, który nam pozostał do końca prac, obłowimy się na tyle, aby do śmierci skończyć z włóczęgą po tym parszywie jałowym kosmosie. Masz zamiar spędzić na podobnie cuchnących globach swoje najlepsze lata? Zastanów się, człowieku...

- I co mi przyjdzie z tego gadania?! - Vang trysnął oburzeniem. - Chcesz, nie chcesz... Jasne, że lepiej siedzieć na Ziemi lub w jakimś przytulnym miasteczku w kosmosie zamiast „zwiedzać” nadpsute globy i badać wykwitłe na nich paskudztwa. Kto by nie chciał? I co z tego? Łbem muru nie przebijesz. Słyszałeś, co Zegrend powiedział? Nie zgodzi się na to, i koniec. Znam go na tyle, aby być przekonany, że nie zmieni zdania. Jeśli zaczniemy nalegać, napaskudzi nam w papierach tak, że żegnaj kariero naukowca.

- Mam gdzieś taką karierę! - wybuchnął Torson. - Mogą się wypchać. Kończę z tą włóczęgą i nic mnie od tego nie powstrzyma. - Chwilę trwała cisza, po czym Torson podjął ponownie temat, ale już innym, bardziej namiętnym tonem:

- Słuchaj, mam jednego znajomego, który jest zarządcą w Mieście Goddarda. Mała łapówka, i załatwi nam tam lokum na dowolny okres.

- Masz na myśli amerykańskie sztuczne miasto na czwartej planecie Syriusza? - zainteresował się Vang. - Ale tam podobno wszystkie miejsca zajęte i strasznie drogo - niemal się przeraził.

- Głupiś! Dla facetów z forszą miejsca zawsze się znajdują. To prywatna inicjatywa, prestiż, komfort, wszystko, co najlepsze. Byłem tam raz, zapewniam cię, coś cudownego. I my możemy być właśnie w roli tych facetów z grubą... nawet bardzo grubą forszą. Pomyśl, człowieku, prywatne lokum, luksus, własna awionetka kosmiczna, co dusza zapragnie. Znam Amerykanów. Oni nie zadają głupich pytań. U nich liczy się przede wszystkim forsa. A my ją możemy mieć. Zaczynaj myśleć realnie. Pomęczymy się tu miesiąc, dwa, a potem... fruniemy, dokąd dusza zapragnie. Jubilerzy wezmą nasze świecidełka od ręki. Masz pojęcie, co mogą być warte takie ogromne „jaja”? Fortuna!

- Ech... Fantasta z ciebie. Zapalasz się jak fajerwerk. Wolnego. Zegrend zgasi szybko twój zapal. Zrozum...

- Nic nie chcę rozumieć! Nie zapominaj, że nie jesteśmy na Ziemi. Tutaj są tylko trzy rozumne istoty. Ty, ja i ten skostniały staruch...

- Do czego ty zmierzasz, Torson? - W głosie Vanga dominowały nuty niepokoju.

- Do wykorzystania okazji, jaka pcha mi się w łapy. Na razie jeszcze masz szansę i ty. Jeśli nie okażesz się skończonym głupcem.

- Chyba nie myślisz o...?

- Myślę! I przestań robić z siebie ofiarę! Doskonale zdajesz sobie sprawę, że to jedyne wyjście. Musimy mu się przeciwstawić. To nasza jedyna szansa.

- On się nie zgodzi. Będzie się bronił...

- To złamiemy jego obronę! - Torson ciskał słowa jak granaty. - Jest nas dwóch, młodych, zdrowych. A on... Radzę ci, myśl logicznie i szybko. Potem może być za późno. Ja już podjąłem decyzję. Nie cofnę się. Nawet przed wami dwoma...

Dźwięk zapadki zatraskiwanych drzwi był sygnałem, że Torson zostawił Vanga samego i wszedł do swojej kajuty.

Jeszcze długie chwile Zegrend stał wyprężony jak struna pod ścianą. Dopiero potem, ruchem mdlejącego człowieka osunął się na posłanie. Nie zemdlał wprawdzie, jednak jego samopoczucie było potworne. Nie miał już złudzeń. Torson zdoła w końcu przekonać towarzysza. A potem... Oni nie cofną się przed niczym.



Baloniaste koła łożnika łamały warstwowe formacje piaszczystego zbocza płaskowyżu, które zwięzającym się klinem, ograniczonym przez postrzępione nawisy skał prowadziły aż nad brzeg morza. Górne warstwy piasku miały tu dziwną właściwość zlepiania swej struktury, odszczepiania się od warstw głębszych i tworzenia pęcherzowatych blasz, jak na oparzonej ciele żywego organizmu - bo i temperatura powietrza w ciągu dnia sięgała tu 60 stopni w skali Celsjusza. A działało się to za przyczyną chemicznych związków, którymi wraz z nocną wilgotnością nasyciała się powierzchnia piaszczystych łach, aby za dnia wyschnąć na pokryte siatką pęknięć skorupy, które łamały się teraz pod kołami lekkiego pojazdu.

Wyruszyli o świcie, zanim pierwsze promienie ogromnego słońca zdołały przebić się przez brunatnawy pas wiszących na wschodzie obłoków. Prowadzący pojazd Torson co chwilę zerkał na siedzącego obok towarzysza, który podobnie jak on ubrany był w hermetyczny skafander próżniowy, ciężki i niewygodny przy pracy, jednak chroniący ich przed wpływami trującej atmosfery - jego dodatkowym plusem był system termiczny, który automatycznie dostosowywał swą wydolność do panujących na zewnątrz warunków klimatycznych.

Nie po raz pierwszy tego dnia Torson uśmiechnął się zadowolony z siebie; zdołał wieczorną kłótnią przekonać towarzysza o słuszności swej decyzji. Rankiem Vang bez słowa zajął swoje miejsce w łożniku i podobnie jak on nie usprawiedliwił swego posunięcia przed profesorem Zegrendem. Swoją drogą profesor też zachowywał się dziwnie, nie wyszedł ze swej kajuty, ani jednym słowem nie starał się im przeszkodzić w tym posunięciu, choć zapewne musiał przewidywać, że ta wyprawa nie ma na uwadze naukowej penetracji. To zachowanie Zegrenda trochę niepokoiło Torsona. Oczekiwał wprost przeciwnej reakcji, bo ten brak zainteresowania przeczył przecież wyraźnie wczorajszemu oświadczeniu profesora.

Po kilkunastu minutach niewygodnej jazdy Torson zatrzymał łożnik jak zawsze pod ogromnym skalnym nawisem, stanowiącym jak gdyby półkolistą obramowanie grotu. Wprawdzie wgłębienia w skałę tam nie było, jednak cień kamiennej półki skutecznie chronił pojazd przed nadmiernym nagraniem w czasie południowych upałów.

Ruch dźwignią na pulpicie rozrządu i hermetyczne drzwiczki łożnika rozwarły się. Z trudem wygramolili się z wąskich otworów drzwiowych. Zgodnie sięgnęli po ręczne miotacze laserowe, zawieszając je sobie na piersiach. To osobiste zabezpieczenie było nieodzowne, należało liczyć się ze spotkaniem napastliwych jaszczurów, które najchętniej w porze rannego chłodu wychodziły gromadnie na brzeg morza; właściwie nie wiadomo, w jakim celu, skoro ich środowiskiem naturalnym była woda. Oprócz broni zabrali jeszcze pojemnik z zapasem tlenowych butli - mieli na uwadze dłuższą wyprawę w morskie głębiny.

Ruszyli kamienistym piargiem, opadającym łagodnie w kierunku brzegu morza, usianym drobnymi, bajecznie kolorowymi minerałami, które chrzęściły przyjemnie pod naciskiem ich ciężkich buciorów. Z tego miejsca roztaczał się wspaniały widok na morską równinę, gdzie brąz płaszczyzny wody wrzynał się łagodnym klinem między rozpadlinę skalnych wzgórz. Linia brzegowa była tu prawie niezmiennie nieruchoma, dzieląca otoczenie na dwa środowiska o odmiennym stanie skupienia: ciecz, po której płaszczyźnie ślizgały się długie promienie wschodzącej krwawo kuli słońca, i łachy piasku, na którym blask słoneczny wygrywał gamę barwnych refleksów rażących silnie w oczy przez plastikowe przesłony hełmów.

Opuścili przesłony absorbcyjne. Szli równym, miarowym krokiem, nie spiesząc się, całkowicie zgodni w dążeniach i milczący - jak dwaj wrogowie, którym wspólne działanie nakazywał tylko

nadrzędny interes. Już z dala zauważyli nad brzegiem morza jakiś niemrawy ruch. Nie było wątpliwości, całe stadko morskich jaszczurów wygrzewało się na słońcu.

Podeszli na odległość około trzydziestu metrów i zatrzymali się. Torson skłonił Vanga do położenia ciężkiego pojemnika z butlami na piasku. Chwilę stali nieruchomo przyglądając się stworzeniom jakby żywcem wyjętym z obrazkowych książek o ziemskich potworach z okresu mezozoicznego. Jaszczury były różnej wielkości - długości od około jednego do ponad trzech metrów, budową tułowia podobne do ziemskich krokodyli, tylko łeb miały inny, dużo mniejszy, jakby psi, ale tak samo najeżony ostrymi zębami, co wskazywało na ich mięsożerność. Kilka grubych płatów zrogowaciałego naskórka na pałakowatym grzbiecie i ogonie połyskiwało w promieniach słońca. Poruszały się na dwóch nogach, krótkich i grubych, trójpalczastych, złączonych błonami, uzbrojonych w potężne pazury; okrągły gładki ogon wił się z tyłu jak zraniony wąż, miotając się wśród jajowatych skorupki wyrzuconych przez morze małży. Jaszczury otaczały pozostawione na brzegu batyskafy, podłużne wrzeciona z oszkloną kabiną, najeżone z przodu wieloma uchwytami, przystosowanymi do pobierania próbek gruntu oraz złowionych okazów fauny nawet z dużych głębokości; można było nimi wykonywać ruchy o dużej precyzji - co dowcipniejsi twierdzili nawet, że można nimi oddzielać poszczególne źdźbła trawek morskich. Z przodu znajdowały się również ruchome dwa silne reflektory oraz laserowe działko o dużej sile rażenia. Dzięki tym walorom batyskaf - bardzo zwrotny i szybki w działaniu - tworzył sam w sobie wyspecjalizowane, bezpieczne urządzenie naukowe do poznawania tajemnic głębin obcych mórz.

Torson ujął w dłonie kolbę lasera, wymierzył w grupkę stworzeń stojących nieco z boku batyskafu i nacisnął spust. Z lufy miotacza wystrzeliła cienka jak igła struga jasności, która trafiła w grzbiet jednego z jaszczurów. Skowyt podobny do rżenia konia rozdarł ciszę poranka. Gad rzucił się konwulsyjnie raz i drugi, aż krajany rozpalonym nożem na strzępy runął na ziemię i drgał rytmicznie; tylko jego ogon roztrząsał nadal skorupki muszli i kamyki. Pozostałe jaszczury rzuciły się do ucieczki, nieudolnie człapiąc w kierunku wody, lecz z tyłu bez litości doganiała je świetlna igła znacząc drogę swego biegu krwawymi szczątkami rozplątanych cielsk, które dymiły swędem palonego mięsa.

Jakby w zapomnieniu, w żądry niszczenia, Torson nie przestawał bluzgać śmiertcionośną bronią siejąc spustoszenie wśród pozostałych zwierząt. W czasie ich pierwszej „obrony” jaszczury były zdziwione śmiercią swych towarzyszy i uciekały niechętnie, teraz znały już doskonale możliwości świetlnego noża i brak litości tych, którzy nim operowali.

- Przestań! - krzyk Vanga wydobywający się z głośnika hełmu Torsona wyrwał go z zamyślenia.

Oderwał palec od spustu broni. Cienka smuga świetlna zniknęła tak nagle, jak się pojawiła. Zdziwiony nieoczekiwaną reakcją towarzysza, Torson skierował na niego swój wzrok. Za przesłoną hełmu zauważył twarz Vanga, na której tkwił wyraz bezgranicznego oburzenia. Chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Torson uśmiechnął się słabo, z wymuszoną ironią. Vang bez słowa schylił się i złapał za uchwyt pojemnika.

Podeszli do batyskafów, omijając ze wstrętem dymiące szczątki gadów, nad którymi unosiły się czarne pajęczyny kopcia. Vang otworzył klapę w bocznej części pojazdu i zaczął ładować do niego butle z tlenem. Resztę zabrał Torson do sąsiedniego batyskafu. Następnie otworzyli hermetyczne drzwiczki w przedniej części pojazdów i ulokowali się na wygodnych siedzeniach.

Sprawdzając wskazania rozrządu aparatury, Vang raz po raz kierował uważne spojrzenia w stronę kolegi. Oczekiwał rozpoczęcia jakiejś dyskusji na temat zakresu poszukiwań i czasu trwania wyprawy w głębiny morskie. Był na to ostatni moment. Potem, po dotarciu na miejsce i zanurzeniu się w gęstej brunatnej cieczy, łączność radiowa będzie przerwana. Mogli liczyć tylko na utrudnione bardzo porozumienie wzrokowe lub świetlne. Tymczasem Torson nie kwapił się do zabrania głosu, jakby uważał, że wszystko zostało powiedziane już wczoraj, teraz pozostaje żmudna realizacja powziętego

zamiaru. Kiedy Vang chwycił już za uchwyt drzwiczek w celu ich zatrzaśnięcia, usłyszał w słuchawkach słowa kolegi:

- Powodzenia...

Odczekał chwilę, licząc na szerszy komentarz, ale Torson ograniczył się tylko do żartobliwego życzenia, więc odparł:

- Wzajemnie.

Zatrzaśnięciem drzwiczek pojazdu odgrodził się od zewnętrznego świata. Sprawdził hermetyczność kabiny. Zapaliła się zielona kontrolka - drzwi trzymały dobrze. Po chwili lekkie drżenie własnego batyskafu poinformowało go, że Torson włączył sprężarkę poduszkowca. Te stosunkowo ciężkie pojazdy głębinowe zaopatrzone były w poduszkowy napęd, który umożliwiał im szybkie pokonywanie dużych odległości po stosunkowo równym terenie stałym lub po powierzchni zbiorników wodnych. Ta dogodność pozwalała im na wybranie dowolnego miejsca zanurzenia batyskafu i oszczędzała powolniejszego głębinowego pokonywania drogi do celu.

Gdy pojazd Torsona uniósł się lekko nad ziemią, włączył napęd śmigłowy. Batyskaf ruszył zrywem do przodu. Vang pognął za Torsonem. Zawsze, w czasie naukowych wypraw, bardziej energiczny kolega wybierał nowe miejsca naukowej penetracji - on jechał za nim, w oddaleniu kilkudziesięciu metrów.

Pogoda była jak zwykle cudowna. Jasnobrązowa warstwa chmur skryła się całkowicie za wschodnim horyzontem nieba, teraz panowała tam bezkonkurencyjnie rozżarzona kula słońca, wisząca nisko nad lekko zaróżowionym ku południowi błękitem. Jechali z dużą szybkością, prędkościomierz wskazywał ponad 120 kilometrów na godzinę, a Torson wciąż przyśpieszał. Linia brzegowa zatoki dawno zniknęła im z oczu, we wstecznym lusterku odbijał się jedynie zamglony obraz kilku szczytów najwyższych wzniesień. Wkrótce i te zniknęły na dobre, zostali tylko oni - dwie rwące do przodu z dużą szybkością pomarańczowe łupiny, rozpryskujące wokół fontanny brylantowych kropelek.

Wreszcie Torson zatrzymał się. Śmigło powietrznego napędu przestało się obracać, pojazd tkwił nad powierzchnią morza na poduszce powietrza. Vang zbliżył się na odległość kilkunastu metrów. Zerknął na licznik. Przebyli ponad 230 kilometrów. Przelotnie dostrzegł błyskającą kontrolkę batyskafowej radiostacji. Podłączył się przewodem ze skafandrem i przełączył urządzenie na odbiór własny. Usłyszał w słuchawkach słowa Torsona:

- Proponuję zanurzenie na okres pięciu godzin. Trzymajmy się na optycznej. Gdyby co, ostrzeżenie flarami głębinowymi i wynurzenie awaryjne. Jest 6,05 czasu pokładowego. Spotykamy się o 11.00 na powierzchni. Odbiór...

- Zgoda - odparł Vang.

Skończyli rozmowę. Kontrolka na pulpicie radiostacji przestała błyskać, a więc Torson wyłączył się. Vang skierował wzrok na jego pojazd, który po wyłączeniu napędu poduszkowego opadł ciężko na powierzchnię wody i zanurzył się prawie do połowy. Lekkie drżenie powierzchni wody poinformowało Vanga, że Torson włączył sekcję pomp. Ładownie batyskafu zaczęły się napełniać. Pojazd zanurzał się szybko, w końcu znikł.

Vang wyłączył swoje urządzenia poduszkowe i włączył pompy. Po chwili blask lejący się z nieba, napełniający przez szyby jego kabinę nadmierną jasnością, ustępował już w górę. Otoczył go mrok, potężniejszy z każdą chwilą. Opadał szybko. Wokół jego batyskafu zamknęła się całkowicie ciecz, gęsta poprzez zawiesinę planktonowych żyjątek koloru ciemnobrązowego - stąd zabarwienie morza - ale obecnie nie rozróżniał brązu, wokół panoszyła się czerń, w miarę opadania coraz intensywniejsza, emanująca grozą i napełniająca wrażeniem, jak gdyby spadało się na samo dno otchłani.

Z tego przykrego wrażenia, towarzyszącego Vangowi zawsze ilekroć opuszczał się na dno, wyrwało go kilka jaskrawych błysków. To znajdujący się przed nim Torson zapalił reflektory. Vang zapalił po

chwili swoje. Układy zainstalowanych na burtach i pod batyskafem lamp otoczyły go kokonem mdłej jasności, z przodu wystrzeliły na odległość kilkudziesięciu metrów jaskrawe smugi czołowych reflektorów. Na ich drodze akurat znalazł się pojazd Torsona. A zatem opadali równo na maksymalnej wydolności urządzeń.

Jakiegokolwiek namiastki słonecznego dnia docierające w głąb wody skończyły się już na głębokości kilkudziesięciu metrów. A w tym miejscu do dna było ponad 250 metrów - sprawdził to echosondą. Skazani byli teraz na towarzystwo absolutnej czerni, którą można porównać tylko do czerni kosmicznej pustki.

W promieniach sztucznego światła przepływały co chwila okazy miejscowej fauny, ale one nie stanowiły już dla Vanga widoku fascynującego odmiennością budowy w porównaniu z mozaiką fauny mórz ziemskich. Zdążył przywyknąć, znał te zwierzęta doskonale z pierwszych miesięcy naukowej pracy nie tylko z wyglądu zewnętrznego; przeprowadzali także wnikliwe, sekcyjne badania przeważającej większości.

Teraz, śledząc uważnie ruch batyskafu Torsona, Vang rozpoznawał zwierzęta, które ochrzcili wymyślonymi przez siebie nazwami, biorąc pod uwagę szczególne cechy ich kształtu zewnętrznego, rzadziej specyficzne właściwości fizjologiczne. Oto wolno, niemal majestatycznie wszedł w stożek światła prawie przejrzysty „wąz stułbiowy”, wyginając swe obłe wydłużone cielsko, ukazując jak na prześwietleniu promieniami Roentgena swe ciemniejsze barwą narządy wewnętrzne i fascynującą swym skomplikowaniem siateczkę obiegu krwionośnego. Długie na kilkanaście metrów, średnicy co najmniej pół metra, ozdobione fosforyzującym i w czerni naroślami, było to stworzenie całkowicie dla nich niegroźne, odżywiające się planktonem, szczególnie w tym morzu obfitym. Poznali tysiące gatunków tych maleńkich stworzonek.

Nieco niżej przepływała ławica „srebrnych rybek”, nazwanych tak od srebrzystej powłoki naskórka pokrytego drobnymi jak główki szpilek łuskami. Rybki, trochę odmienne w budowie od ziemskich, z ogromną w stosunku do tułowia głową, miały tylko kilkanaście centymetrów długości, ale były zdradliwe dla kogoś, kto nie znał ich dodatkowych właściwości. Kiedy po pierwszym odłowie Vang wyjmował z pojemnika jedną do dalszych badań, krzyknął nagle przeraźliwie i wyrzucił rybkę z dłoni. Okazało się, że łuski rybek mają zdolność odchylenia się o pewien kąt od ciała, a ze szczelin między nimi wysuwały się długie na ponad centymetr, ostre jak szpilki kolce, które wbijały się w ciało agresora, kalecząc je boleśnie poprzez mnogość swych ostrzy i wydzielinę piekącego jadu, mającego zdolności paralizujące. Vangowi zdrętwiała i spuchła wtedy dłoń na kilkanaście godzin i gdyby nie surowica Ballinge'a, neutralizująca wszystkie typy jadów i trucizn, kto wie, czy nie przypłaciłby swej nieostrożności trwałym kalectwem. W taki oto przemyślny sposób sama natura uzbroiła te piękne stworzenia w system obronny, który odstraszał napastników wszelkiej maści.

W pewnej chwili w płataninę kończyn robota pojazdu dostała się „modliszka czteroramienna”. Vang nazwał ją tak z powodu haczykowatych przednich odnóży stworzenia, kilkakrotnie dłuższych od jego tułowia, zaopatrzonych w chwytne ząbkowane końcówki, łamiących się w dwóch miejscach swej długości. Rozmieszczone parami chwytacze, przemiennie w stosunku do siebie - dwa z góry, dwa z dołu - łąpały ofiarę w kleszcze tak silnie, że nie miała najmniejszych szans ujścia z życiem. Stworzenie było podobne budową do ziemskiego owada, ale wiele razy od niego większe; długość samego tułowia sięgała u niego ponad pół metra. Już od samego początku naukowych badań Vang wysnuł swój osobisty wniosek, że tutejsza fauna morska ma sporo swoich ziemskich „sobowtórów”, ale ta powtarzalność gatunków zmierzała w kierunku gigantomanii.

Tutejsza modliszka, reprezentując niezmiennie cechy żarłoczności swego gatunku, w mgnieniu oka zwarła dwie pary swych chwytnych kończyn na stalowym drążku aparatury zewnętrznej i przybliżyła do

niego swoją głowę uzbrojoną w silne zuchwy. Vang wzdrygnął się na myśl, co by się stało, gdyby pozwolił sobie na pływaką wyprawę w tym środowisku. Jedno nie ulegało wątpliwości, to morze było o wiele bardziej groźne od mórz ziemskich. Ogromny stawonóg uznał w końcu, że stal jest za twarda na możliwości jego zuchw, puścił pręt i kilkanaście energicznymi rzutami tułowia zniknął w zalegającej wokół czerni.

Echosonda poinformowała wreszcie Vanga, że do dna morza pozostało kilkadziesiąt metrów. Wlepił wzrok we wskazania głębokościomierza. Gdy do dna pozostało kilka metrów, włączył śmigła silników głębinowych, które zahamowały jego ruch w dół. Zerknął na wskazania miernika głębokości. Od lustra wody przebył dokładnie 253 metry. Głęboko. Chyba tak głęboko jeszcze tu nie był.

Skierował wzrok w stronę światła batyskafu Torsona. W tej samej chwili ostra igła lasera przeszła gęste środowisko wodne. Nie ulegało wątpliwości, że towarzysz rozpoczął już polowanie na rozgwiazdy. Vang zabrał się do roboty. Skręcił pojazdem pod ostrym kątem i odpłynął nieco w bok. Równocześnie nadał głównym reflektorom automatyczny ruch wahadłowy. Złączone smugi światła, skierowane lekko w dół, omywały strumieniami światła spore wycinki mulistego, pofałdowanego dna, usianego przysanymi do twardych formacji podłoża różnymi gatunkami roślinności i małży.

Posuwając się wolno do przodu, Vang lustrował wzrokiem oświetlone podłoże morza, wypatrując wystających z mułu cienkich wypustek, zakończonych błyszczącymi kulkami. To były osadzone na czułkach oczy rozgwiazd, sześcioramiennych stworzeń podobnych ludzko do rozgwiazd ziemskich, ale znacznie od nich większych; średnice niektórych osobników przekraczały metr. Te specyficzne małże o zrogowaciałej skorupie zewnętrznej były mięsożernymi drapieżnikami mającymi zwyczaj czyhać na swoje ofiary czając się pod cienką warstwą mułu. Wypatrując zdobyczy, śledziły zewnętrzne otoczenie poprzez osadzone na długich czułkach oczy - mające zdolność widzenia w czerni - korzystając jakby z zasady peryskopu. Oczy miały możliwość poruszania się wokół swej osi we wszystkich kierunkach, tak że rozgwiazdy miały pełny kąt widzenia. Wystarczyło, aby w bliskiej odległości od tych oczu przepłynął jakiś smaczny kęs, a drapieżnik wykonywał sprężysty skok na swoich giętkich wypustkach i łapał ofiarę w ostre szpony umieszczone przy głowie.

Vang zauważył wreszcie przed sobą to, czego wypatrywał przez kilkanaście minut. Nad poziom płaszczyzny dna wystawały dwa czułki z jaskrawymi kulkami. Rozgwiazda. Po wysokości osadzenia oczu od podłoża wywnioskował, że ma przed sobą dużego osobnika. A zatem łup tkwiący w jego woreczku trawiennym też powinien być solidnych rozmiarów.

Podpłynął na odległość kilkunastu metrów od stworzenia, włączył rozruch zasilania pokładowego działka laserowego i przytknął oczy do okienka kierunkowego wizjera. Nastawił celownik nieco w bok od czułkowatych oczu. Naciskając na spust, przesunął lekko dźwignię kierunkową broni, co odpowiadało pionowej linii cięcia świetlistej igły.

Energiczny przechył ocznych wici oraz nagłe zaburzenia mulistego dna oznajmiły Vangowi, że trafił dobrze. Z oczami przy celowniku gotował się do następnego cięcia, gdyby stworzenie zaczęło uciekać, ale to było zbędne. Rozgwiazda, wykonując agonizujące ruchy, przednią częścią swego rozplatanego ciała opadła w drgawkach na dno. A zatem przeciął ją promieniem miotacza na dwie połowy. Skrzywił się lekko na to barbarzyństwo.

Odczekał chwilę, aż wzniecone ruchami zwierzęcia warstwy dennego mułu opadną nieco w majestatycznych, wolnych zawirowaniach, a następnie podpłynął bliżej. Należało zachować daleko idącą ostrożność. Rozgwiazda posiadała swój własny przyrodzony sposób obrony, polegający na wytwarzaniu silnych emanacji prądów elektrycznych, który służył jej do paraliżowania ofiar i wrogów nawet większych od siebie. Ten system obrony był niebezpieczny nawet dla nich, zamkniętych w hermetycznych batyskafach. Wprawdzie dokonali dodatkowych zabezpieczeń izolując metalowe chwytaki zewnętrznej

aparatury batyskafu od reszty kabiny, jednak przebiecie mogło nastąpić w każdej chwili, a to groziło bolesnym porażeniem.

Vang uchwycił dłońmi drążki manipulacyjnego robota. Złapał zdalnymi szczypcami za jedną z wypustek przedniej części zwierzęcia, uniósł je do góry, a następnie odwrócił na grzbiet. Poszukał wzrokiem workowatego zgrubienia na brzusznej części ciała ofiary. Manipulując drążkami automatycznych szczypiec dokonał odcięcia workowatego zgrubienia ciała rozgwiazdy. Brzydził się tą czynnością, ale właśnie w tym zgrubieniu znajdowało się to, po co się tu zapuścili; za co na Ziemi mieli zebrać sporo pieniędzy - różnobarwne i różnej wielkości perły, będące wynikiem fizjologicznych właściwości tych stworzeń, broniących się przed urazami krystalicznych cząstek mineralnych, jakie dostawały się przypadkowo do ich wnętrza. Otaczając mineralne ziarnka wydzieliną hormonu - podobnie jak ziemskie, dawno wytępione perłopławy - niwelowały w ten sposób ich ostrość kaleczącą delikatną ściankę wewnętrznych narządów. Im upolowany osobnik był starszy, tym perły były większe, a ich liczba przekraczała nieraz pięć sztuk - zdążyli się o tym przekonać na podstawie sekcji osobników złowionych do badań naukowych.

Odcięte workowate zgrubienie z cenną zawartością powędrowało za pomocą giętkiego ramienia szczypiec do plastikowego pojemnika umieszczonego pod oknem kabiny.

Jeden zaliczony - pomyślał z zadowoleniem Vang. Powinny w nim być bez wątpienia trzy lub nawet cztery perły. Zastanawiając się, jaki kolor mogą mieć te pierwsze okazy, omiatał już światłem następne partie dna, wypatrując ocznych czułek rozgwiazd.

Ponowny błysk lasera Torsona - trzeci z kolei - oznajmił mu, że towarzysz ma więcej szczęścia od niego. Aby nie być gorszym, postanowił zwiększyć tempo poszukiwań. Przyspieszył ruch pojazdu. Teren obniżał się lekko, tworząc nieckę, opadniętą w stosunku do poziomu o prawie dwa metry. Już pierwszy błysk światła wyłonił z czerni kilka par peryskopowych oczu rozgwiazd. Nieco dalej zauważył inne. Uśmiechnął się zadowolony. W tej niecce zbierze obfite żniwo...

\* \* \*

Wrócili po czterdziestu trzech godzinach. Profesor Zegrend siedział akurat przed pulpitem komputera bazy prowadząc jakieś obliczenia. Utrudzeni, z wyraźnymi oznakami znużenia na twarzy, stanęli za nim opodal wejścia. Zegrend również się odwrócił. W pozie napiętego oczekiwania - profesor z ostatnią nadzieją, że jednak usłyszy z ich ust choćby parę słów usprawiedliwienia, oni, że on pierwszy rozpocznie potok oskarżeń, który po krótkiej wymianie zdań umożliwi im opuszczenie tego pomieszczenia.

Jednak żadna ze stron nie zabrała głosu. Wymowne milczenie zapanowało w łupinie bazy rzuconej na pastwę sił groźnej planety, jakby pieczętując narastający rozdźwięk pośród garstki trzech ludzi skazanych na obronę przed własnymi zapędami.

Pierwszy drgnął Torson. Złapał dłonią za przywieszony do pasa spory plastikowy woreczek, w którym coś zagrzechotało ostro, dźwiękiem podobnym do tarcia szklanych paciorków, chcąc jakby naocznie udowodnić profesorowi, że ich długa mordercza wyprawa w głębiny morskie nie poszła na marne, przyniosła spodziewane obfite owoce. Po chwili odwrócił się na pięcie i wyszedł z głównego pomieszczenia. Vang podążył za nim.

Ostry dźwięk zatraskiwanych zasuwek poinformował Zegrenda, że zamknęli się w swoich kajutach. Bez wątpienia zrzucą teraz z siebie ciężki ubiór, odświeżą się, posilą i pójdą na błogi odpoczynek. Potem wyruszą na następną wyprawę po perłowe runo. I tak będzie bez końca, a właściwie do chwili przyjazdu

grawitolotu, który zabierze ich z tego fatalnego globu.

Przez minione dwa dni, w czasie nieobecności Torsona i Vanga, przemyślał dokładnie wszystkie aspekty złożonej sprawy. Zastanawiał się, co powie on, kierownik naukowej bazy, wobec potrzeby wytłumaczenia zajść w naukowej placówce. Bo to, że działo się tu coś zupełnie sprzecznego z normalnym tokiem prac naukowych, i tak zostanie wcześniej czy później wykryte. Z robotą utknęli gdzieś w trzech czwartych całości. Chociażby się dwoił i troił, popędzany paniczną koniecznością nadrobienia zaległości i ukrycia zajść, sam nie da rady podołać zadaniu. A zatem należało się liczyć z faktem, że znajdzie się w obliczu oskarżenia, poważnego zarzutu. On, poważny i ceniony naukowiec, zostanie zmuszony do dokonania wyboru między prawdą a fałszem. Co wybrać? Najprościej wyznać prawdę o zapędach asystentów i skazać ich na wyrok ziemskiej sprawiedliwości. Zasłużyli przecież na to, pogwałcili jeden z najważniejszych paragrafów Instrukcji Badań Przestrzeni Kosmicznej.

To było stosunkowo proste wyjście. A jednak Zegrendem od wielu godzin targały potęgujące się obawy o własny los. Bo przecież należało przyjąć możliwość, że jego asystenci, starając się zapewnić sobie bezkarność po powrocie na Ziemię, a przede wszystkim możliwość czerpania zysków ze swej nieuczciwości, będą się starali za wszelką cenę zrobić coś, co uwolni ich od tego niebezpieczeństwa, jakie stanowi dla nich właśnie on.

Poczuł się osaczony jak zwierzę, atakowane przez dzikie, podstępnie działające bestie. Już ich rozmowa sprzed dwóch dni, którą udało mu się podsłuchać, informowała o możliwości urzeczywistnienia groźby, jakiej się domyślał, zamiaru, który uniemożliwi mu wyznanie prawdy przed każdym ziemskim trybunałem. Nieszczęśliwe wypadki zdarzały się na nieznanymi planetach nader często. Dlaczego i jemu nie miałyby się „przytrafić” podobny? Przecież to byłoby idealne rozwiązanie.

Ta analiza minionych wydarzeń wystarczyła, aby podświadomość wyszukała w jego umyśle dawno zapomniane i obce mu już bodźce do samoobrony.

Do podjęcia ostatecznej decyzji i realizacji jakichkolwiek środków zaradczych pozostało już teraz Zegrendowi parę godzin snu asystentów. Należało działać szybko i konsekwentnie - nie mógł odgadnąć, kiedy jego wrogowie zdecydują się na zadanie mu ciosu. Jego jedyną szansą ratunku stał się teraz tylko atak. Jeśli zdoła ich uprzedzić, wygra walkę o życie...

Sam się później dziwił, ale decyzja, którą wtedy podjął, była zwięzła i straszna w swojej prostocie. Nie wahał się ani chwili - skazaniec, chcąc żyć, musi zgładzić swoich katów - zdołał zapomnieć o wszelkim humanitaryzmie i zasadach moralnych. Stał się zupełnie innym, nie znanym sobie człowiekiem. Cały jego tok myślenia, inwencja w działaniu skierowane były teraz w kierunku ratowania samego siebie, ratowania resztek swego długiego życia. Stał się maszyną, logicznie działającym automatem, opracowującym najprostszy sposób zagłady swych prześladowców.

I nie zastanawiał się długo nad wyborem metody ratunku. Wystarczyło przecież na jakiś czas odizolować się całkowicie w zwartym kokonie bazy i nie dopuścić do środka nikogo z zewnątrz, aby skazać wrogów na śmierć z uduszenia w trującej atmosferze planety. Dla niego sprawa była prosta. Przez długie lata włóczęgi w kosmosie widział i nauczył się niejednego.

Gdy po pokrępiającym śnie Torson i Vang wyruszą na kolejną wyprawę łowiecką, zmieni kod zamków drzwi śluzy powietrznej, reagujących na zewnętrzne oddziaływanie promiennych emitorów. Wówczas nikt nie znający nowego kodu, bez użycia silnych laserowych palników, którymi można było przeciąć grubą warstwę ceramitu, nie wedrze się do jego twierdzy.

Jednak postanowił zaoszczędzić sobie niemiłego widoku agonii przeciwników na zewnątrz bazy. W takich skrajnych sytuacjach mogą przecież stać się dziwne rzeczy. Jego ludzkie uczucia mogłyby się w końcowym efekcie obrócić przeciwko niemu. Niech lepiej wszystko rozegra się z dala od bazy, w morskich głębinach, które pochłoną jego wrogów na zawsze.

Odczekał jakiś czas, aż z pomieszczeń asystentów przestały dochodzić jakiegokolwiek dźwięki. Dał im czas na pogrążenie się w twardym śnie. Dopiero wówczas, cicho, na palcach, jak przestępca, podkraść się do drzwi podręcznego magazynku. Ostrożnie nacisnął na taster zwalniający zasuwkę zamka drzwi wejściowych. Nie zapalił lampy, posłużył się ręcznym reflektorem. Kręgiem światła odszukał stojący w kącie stojak z pojemnikami tlenowych butli. Zajął się pierwszym z brzegu pojemnikiem. Prawdopodobieństwo wskazywało, że ten właśnie wezmą asystenci na kolejny wypad w morze. Postanowił zrobić im fatalną w skutkach niespodziankę.

W pojemniku było osiem butli tlenowych, niewielkich, ale wysokowydajnych, najnowszeo typu. Najpewniej zabiorą znów tylko jeden pojemnik i podzielą się butlami po połowie. Aby nie ostrzec ich za wcześnie o swoim podstępie, odkręcił zawory tych czterech spośród ośmiu butli, licząc od początku pojemnika: trzeciej i czwartej oraz siódmej i ósmej. W ten sposób gwarantował sobie realizację podstępu dopiero po wykorzystaniu dwóch pełnych butli, gdzieś w morskich głębinach.

Wysłuchując się w cichy szum upływającego z butli tlenu, zatracił powoli kontakt z otoczeniem...

\* \* \*

Praktyka czyniła swoje. W czasie drugiej wyprawy Vang zwracał szczególną uwagę na wszelkiego rodzaju obniżenia terenu i rozpadliny tektoniczne morskiego dna. Przekonał się, że w nich właśnie lubiły przebywać starsze i większe osobniki rozgwiazd, u których znajdowane perły były liczniejsze i większe, a przez to cenniejsze. Dostrzegł też, w czasie ogołacania już na brzegu pojemnika ze zdobyczy, że w workach większych osobników znajdują się perły nie tylko o wiele większe, ale i bogatsze swą kolorystyką. Doszedł do niezaprzeczalnego wniosku, że wydzieliny hormonalne rozgwiazd, które tworzyły z czasem masę pereł, zmieniały swe zabarwienie w miarę rozwoju i starzenia się poszczególnych osobników od brylantowej, poprzez odcienie żółci, różu, błękitu, brązu - aż do zupełnej czerni. Te najpiękniejsze, czarne, znalazł dotychczas tylko dwie, w worku ogromnej rozgwiazdy, którą udało mu się upolować już bezpośrednio przed końcem poprzedniej wyprawy. Pochwalili się wówczas na brzegu swoim bogactwem. Torson oczywiście upolował większą liczbę rozgwiazd i jego zasób pereł był o kilka egzemplarzy bogatszy, ale Vang zauważył, że nie miał on wśród swoich pereł ani jednej czarnej. Ich obecność w woreczku Vanga wzbudziła u Torsona zachwyt i zazdrość. Vang domyślił się wówczas, że towarzysz nie wpadł jeszcze na przyczynę zabarwienia pereł, a on nie podzielił się z nim swoimi wnioskami - przynajmniej tym górował nad bardziej operatywnym konkurentem.

Płynął właśnie środkiem głębokiej rozpadliny w dnie morza, krętej, z postrzępionymi brzegami obrośniętymi wodną roślinnością, wyłaniając z czerni smugą światła ich ciekawą konfigurację, gdy zauważył wreszcie pierwszą w tym miejscu parę peryskopowych oczu. Wyłączył napęd batyskafu. Poddany inercyjnemu ruchowi posuwał się jeszcze przez chwilę do przodu, a potem zatrzymał się parę metrów od rozrzuconych kulek oczu zwierzęcia, które zapewne również go dostrzegło, jako źródło dziwnego światła.

Już na podstawie wysokości osadzenia oczu na czułkach Vang ocenił, że ma przed sobą ogromnego osobnika. Uśmiechnął się zadowolony. Podpłynął jeszcze bliżej, gołą dłonią - w rękawicach pracowało mu się źle - ujął dźwignię prowadzenia laserowego miotacza i wybrał przez zbliżenie okularu celownika najwłaściwsze miejsce do strzału. Wreszcie nacisnął na spust, jak zawsze wykonując jednocześnie lekki ruch głowicą lasera, znamionujący cięcie wzdłuż poziomu dna.

Reakcja ugodzonego zwierzęcia zaskoczyła go. Ujrzał zwyczajny w takich warunkach tuman



wzbijanego w górę mułu, a następnie jakiś potworny, ogromniejący w zbliżeniu cień runął na jego kabinę. Z zaskoczenia nie zdążył we właściwym czasie nacisnąć ponownie na spust broni. Potem było już za późno. Dłoni trzymającymi dźwignię lasera targnął potworny ból, który momentalnie opanował dalsze partie ciała, nakazując mięśniom sprężyć się jak przy skurczu. Rzucił się tułowiem do tyłu raz i drugi, lecz dłonie zaciśnięte silnie na metalowym uchwycie nie dały się oderwać od źródła silnego wyładowania elektromagnetycznego.

Przebicie - pomyślał z przerażeniem. Atakujące go zwierzę wytwarzanym przez swój organizm prądem elektrycznym przebiło warstwę izolującą urządzenia zewnętrzne batyskafu od kabiny i poraziło go dotkliwie. Zaczął się dusić, zaciskał szczęki do granic możliwości, chwilę wił się konwulsyjnie, nie widział nic, tylko wirujące przed oczami czarne koła. Mdlejąc wyczuł jeszcze, jak jego tułów wali się na pulpit sterowniczy, a głowa z hełmem wgniata kilka białych klawiszy rozrządu urządzeń napędzających. Potem zapadł się w bezdenną nicość...

\* \* \*

Z trudem rozwarł sklezione silnie powieki. Doznał porażenia pod wpływem potwornej jasności, jaka zalewała wnętrze kabiny jego batyskafu. Długie minuty przyzwyczajał oczy do nadmiernej jasności, potem spróbował podnieść głowę. Szło opornie. Jakiś opór połączony z fizycznym bólem, rozchodzącym się po całym ciele, zmusił go do pozostania na razie w tej niewygodnej, zgiętej pozycji. Poruszył ustami, coś strzeliło w szczękach, wyczuł językiem słodkawy smak krwi.

Dłuższą chwilę łapał potraczone wątki pamięci o minionych wydarzeniach. Niecelny strzał do dużej rozgwiazdy, jej atak na batyskaf i porażenie wytwarzanym przez nią prądem elektrycznym... Nie mógł tylko pojąć, jak to się stało, że jego pojazd wraz z nim wynurzył się na powierzchnię morza. W bocznej szybie kabiny zauważył rozżarzoną kulę słońca. A więc nie mogło być pomyłki, znajdował się na powierzchni morza. Dopiero wychwytywany przez jego uszy szum i drgania całego pojazdu uświadomiły mu, że pracują na najwyższych obrotach pokładowe pompy hydrauliczne, które wypchnęły z komór batyskafu cieczowy balast i pozwoliły mu samoczynnie wydostać się z morskich głębin. Teraz, pracując nadaremnie, powodowały wibrację pojazdu. Ponieważ dłonie odmówiły Vangowi posłuszeństwa - tkwiły nadal silnie zaciśnięte na rękojeści lasera, nie umiał poruszyć ani jednym palcem - więc podobnie jak stało się to poprzednio, ruchami hełmu wcisnął właściwe klawisze powodujące wyłączenie urządzeń. Szumy i drgania ustały, batyskaf opadł nieruchomo na powierzchnię wody.

Vang rozejrzał się po okolicy. Bezkresna, nasłoneczniona silnie płaszczyzna wody, żadnego obiektu na horyzoncie. Jak długo tu tkwił w omdleniu? Zerknął na chronometr wmontowany w oprzyrządowanie sterowni: 10,35, a gdy zabierał się do ataku na rozgwiazdę, minęła dziewiąta. Rozbieżność w czasie nie była duża, a zatem Torson na pewno jeszcze nie zauważył jego zniknięcia, pochłonięty własnym polowaniem. Co robi, gdy po umówionym czasie wynurzy się na powierzchnię morza? Czy udzieli mu pomocy? A jeśli wynurzy się tak daleko, że nie dojrzy jego łupiny na bezkresnym obszarze wody? Ale wtedy przecież będzie mógł wezwać go przez radio. O ile jego, Vanga, dłonie odzyskają swoją sprawność, bo sterować wszystkimi przyrządami uzbrojoną w hełm głową niepodobna.

Zaprzestał bezowocnych rozmyślań. Nie spodziewał się rychłej pomocy ze strony Torsona. Postanowił spróbować zapanować nad swoją słabością sam. Rozpoczął od skrętnych ruchów tułowia. Szło opornie, przejmujące bóle całego ciała przyprawiały go o mdłości. Ale nie ustępował. Efekt był wyraźny, zdołał w końcu wyprostować się na tyle, że mógł obserwować wyraźnie rozprzestrzeniający się

przed nim horyzont. Nogi też nie stawiały zbyt wielkich oporów, najgorzej było z rękami. One przyjęły pierwszy, najsilniejszy impuls, który zwarł je na uchwycie kolby lasera i całkowicie sparaliżował - nie czuł ich prawie wcale, były jak kłoc drewna, protezy, nie reagujące na bodźce. Chcąc pomyśleć o ratunku, należało je jakoś oderwać od metalu i uczynić choć w pewnym stopniu sprawnymi. Dla niego liczył się przecież czas, butla tlenowa, z której akurat korzystał, miała wprawdzie dużą, ale ograniczoną pojemność. Na szczęście niedługo przed niefortunnym polowaniem zmienił ją na nową. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że gdyby udało mu się dotrzeć do brzegu zatoki, mógłby przez radio wezwać pomoc z bazy. Profesor Zegrend, mimo ich „buntu”, na pewno nie odmówi mu pomocy. Ale jak tam dotrzeć, skoro zamiast rąk potrzebnych do sterowania pojazdem ma drewniany kołki?

Mimo targającego nim bólu przystąpił do działania. Wykorzystał sprawne kończyny dolne, zaparł się nimi o pulpit sterowniczy i zaczął wolno odchyłać tułów do tyłu. Zabiegi odniosły pewien skutek, zacisk dłoni na uchwycie rozluźnił się na tyle, że podnosząc coraz wyżej zgięte w kolanach nogi zdołał zsunąć je z uchwytu lasera.

Odetchnął z ulgą i zamarł na jakiś czas w bezruchu, pozwalając piekącemu bólowi ostygnąć trochę, do chwili przystąpienia do następnej fazy operacji. Polegała ona na opuszczaniu nóg z leżącymi na nich rękami, aż wsparły się o pulpit sterowniczy. O to mu chodziło. Osiągnął pół celu, ale zmęczył się przy tym tak, że oczy zalały mu strużki potu.

Znów odpoczął kilka minut. Dzięki zapasowym dźwigniom sterowania w podłodze kabiny mógł od biedy pozwolić sobie na podróż do brzegu, gdyby tylko udało mu się włączyć rozruch urządzeń napędu poduszkowego. Dziób pojazdu skierowany był na szczęście w stronę lądu. Głównym celem Vanga było teraz zbliżenie się do brzegu na tyle, aby móc złapać zasięg radiostacji bazy. Rozruch sprzężarek polegał na przekręceniu czarnego kontaktu, zainstalowanego w pulpicie na prawo.

Ruchami całego tułowia ustawił dłonie pod kontaktem. Następnie napał na nie torsem. Sztywna dłoń zgięła się w palcach napotyając na swej drodze pióro kontaktu, które wychyliło się trochę do tyłu, ale siła była za słaba na pełny obrót. Vang odczekał chwilę, zbierając siły, a następnie napał jeszcze raz. Palce zbieleły od nadmiernego zgięcia, zdawało się, że wylecą ze stawów, ale wytrzymały. Kontakt przeskoczył o półobrót do góry, dłonie, już bez oparcia, przesunęły się do przodu - opadł tułowiem na pulpit z rozsadzającym mięśnie bólem. Krzyknął przeraźliwie i tak pozostał.

Sprężarki zagrały swoim zwyczajnym rytmem, pojazd napełnił się wibracyjnym szumem i uniósł lekko do góry na poduszce powietrza. Nie patrząc przed siebie, Vang nacisnął na pedał sprzęgła. Skok batyskafu do przodu odrzucił go na oparcie fotela, ponownie wywołując falę piekącego bólu. Nie zwalniał nacisku nogi na przyspieszacz, rozpędzał pojazd do granic jego możliwości.

Pruł przed siebie ponad dwie godziny, dopóki nie ujrzał na horyzoncie zarysu nabrzeżnych skał. Zbliżał się ostrożnie do urwistych zboczy. Jak przewidywał, wyładował niecelnie, kilkadziesiąt metrów z boku łagodnego skrawka plaży, gdzie pozostawiali zawsze batyskafy. Ale między skałami zauważył dość szeroką, równą rozpadlinę. Zapragnął nagle znaleźć się wraz z pojazdem na twardym stałym lądzie - morze napełniało go nieopisanym wstrętem.

Ostrożnie wjechał w przesmyk między skałami. Teren wznosił się lekko w górę, musiał zwiększyć wydolność urządzeń, aby wspiać się po zboczu usianym kamieniami. Nagły wstrząs - to pojazd zahaczył burtą o występ skalny - rzucił nim na pulpit sterowniczy. Ryknął z bólu, pociemniało mu w oczach, zemdlął...

Paroma cięciami świetlistej igły Torson przegnał z obrębu batyskafu Vanga kilka pancernych jaszczurów. Przed chwilą i on dotarł do brzegu ich stałej zatoczki. Kiedy po lustracji głębinowej nie dostrzegł nigdzie Vanga, wynurzył się na powierzchnię. Przez pokładową lunetę dojrzał jego pojazd sunący w kierunku brzegu jakoś dziwnie, nienaturalnie, zataczający rufą. Ruszył za nim, aby się przekonać, co zaszło. Kilka razy wzywał go przez radio, ale towarzysz nie odpowiadał na jego wezwania.

Teraz podszedł ostrożnie do zaklinowanego wśród nabrzeżnych skał pojazdu. Z dala wydawał się pusty, jakby oczekiwanej osoby już w nim nie było. Czyżby Vang odszedł...? Torson rozejrzał się wokoło. Nie zauważył nikogo w pobliżu, nawet jednego śladu butów na piasku, a przecież, aby wydostać się z tych głazów i skał, Vang musiał ruszyć właśnie w tym kierunku, niepodobna w ciężkim skafandrze wspinać się po skałach.

Ponownie wezwał go przez radio, ale nie doczekał się odpowiedzi. Podszedł do kabiny i zerknął do jej środka. Vang leżał bezwładnie nie dając znaku życia. Torsona zaskoczyło przede wszystkim nienaturalne ułożenie jego sylwetki: zgięte w pałąk plecy i te ręce, wyprężone prostopadle, spoczywające na pulpicie sterowniczym.

Odblokował drzwiczki i wszedł ostrożnie do kabiny. Spojrzał na twarz Vanga przez przesłonę hełmu. Była blada, z ust wyciekały krzepnące już strużki krwi. To go ponownie zdziwiło. Czyżby zderzenie ze skałami było aż tak silne, że spowodowało uszkodzenie organizmu Vanga? Zewnętrzna lustracja pojazdu przeczyła temu, nie zauważył żadnych wgnieceń ani uszkodzeń korpusu. Skąd zatem ta krew?

Torson złapał za zgrabiałe dłonie kolegi. Wyczuł w nich słaby puls krwi - a zatem Vang żył jeszcze - jednak nienaturalna sztywność jego dłoni zaskoczyła go. Coś się musiało stać, i to wcześniej od wypadku na brzegu, wśród skał, coś, co niemal przyprawiło Vanga o utratę życia. Co to mogło być? Chyba że... Jeszcze raz złapał za jego dłonie. Przypomniał sobie o elektrycznym sposobie obrony rozgwiad i domyślił się prawdy. Vang był sparaliżowany.

Torson zdumiał się. Jak on potrafił w takim stanie wynurzyć się na powierzchnię i dotrzeć aż tutaj? Chyba jednak nie był aż tak bardzo poturbowany. Chwycił go za ramiona z zamiarem wytaszczenia z kabiny pojazdu na zewnątrz, lecz wtedy ujrzał u jego boku plastikowy woreczek napełniony gruchoczącymi przyjemnie perłami. Impulsywnie wyszarpnął go z zaczepu i zajrzał do środka. W świetle słońca klejnoty błysnęły wszystkimi promieniami tęczy. Ten widok oczarował Torsona. Szczególnie dwie duże czarne perły wzbudziły jego pożądanie. Zapragnął je mieć. Te czarne... Wszystkie! Ale Vang! Chyba że... Jest na wpół żywy, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w głębinach morza. A wypadki przecież zdarzają się nader często na obcych planetach. Przecież mógł przybyć za późno. Tlen w butli skończy mu się za jakiś czas, a potem anoksja, śmierć...

Woreczek z perłami Vanga powędrował do zaczepu przy pasie, obok jego własnego. Wycofując się ze skalnej rozpadliny, nawet nie zauważył, że człowiek, którego uznał za umierającego, otworzył oczy. Zabiegi Torsona wytrąciły Vanga z letargu. Spod półprzymkniętych powiek widział, jak towarzysz ogląda jego klejnoty, a następnie zabiera ze sobą.

Do jego świadomości szybko dotarł fakt, że Torson nie ma zamiaru udzielić mu pomocy. W celu zdobycia jego pereł skazał go na śmierć przez uduszenie. Rozpacz Vanga w jednej chwili przemieniła się we wściekłość. Nie zważał na piekący ból. W okularze wizjera celownika dostrzegł sylwetkę odchodzącego Torsona - lufa lasera skierowana była wzdłuż skalnego tunelu. Nadludzkiem wysiłkiem Vang rzucił się całym ciałem na pulpit, hełmem nakierował dokładnie lufę miotacza na cel, a następnie uderzeniami sparaliżowanych dłoni wywołał kilka błysnięć laserem. Jedno z nich dosięgło wytyczonego celu. Torson sprężył się, rozłożył ręce i runął na piach z rozplatanym na plecach skafandrem. Vang ujrzał

jeszcze jego upadek, a potem ponownie utracił świadomość.

\* \* \*

Cichy chrobot, bez wątpienia dobiegający z zewnątrz, przechodzący wolno w jęklive drzenie całego pancerza obudowy bazy i przeciągły syk, przypominający buzowanie ognia, wyrwał profesora Zegrenda z odrętwienia. Dłuższą chwilę siedział jeszcze bez ruchu zaskoczony nieoczekiwanymi odgłosami i nasłuchiwał; każda komórka jego ciała przyjmowała i analizowała pochodzenie przeciągłego dreszczu. Dziwne dźwięki nie ustawały, wprost przeciwnie, jak gdyby stale zwiększały swoje nasilenie. Syk przechodził w ostry gwizd, od którego drżały najbliższe partie grubego pancerza.

Zegrend - przeświadczony już do reszty o swoim zwycięstwie nad przeciwnikami - zadrżał. Ktoś był na zewnątrz i dobijał się do jego twierdzy. Kto? Czyżby jednak oni? Ale jak to jest możliwe? Dlaczego dopiero teraz? Przecież od czasu ich śmierci - a w swoich obliczeniach Zegrend uwzględnił najbardziej nieprawdopodobne, negatywne dla siebie komplikacje zdarzeń - upłynęły już długie godziny.

Czuł, jak powoli zatracą się w swoich sprzecznych domysłach. Po chwili już nie był pewien niczego, co go otacza. Zdawało się, że nawet niewzruszony dotąd czas, którego czuł każdą sekundę, zdradził go, zakpił z niego strasznie. Po paru chwilach runęło to wszystko, w co wierzył przez tak długie lata, przestało mieć dla niego jakiegokolwiek racjonalne znaczenie. Wracało uczucie obawy, potęgujące się coraz bardziej. Znowu stawał się pełnosprawnym, logicznie i twardo myślącym człowiekiem.

Przeciwnicy z zewnątrz cięli palnikami ceramitową pokrywę wjazdu, stojącą na drodze do sforsowania wrót jego twierdzy. I nieważny dla niego stał się problem, jakim cudem udało im się tak długo przeżyć w trującej atmosferze planety, bądź skąd zdobyli wysokowydajne palniki laserowe. Przed nim, odgrodzony ceramitową ścianą, znajdował się wróg, który dobierał mu się do skóry. Należało w jakiś sposób zareagować, bronić się za wszelką cenę.

Plan działania obmyślił w rekordowym tempie. Szybko przebrał się w skafander próżniowy, zabrał z magazynku miotacz o maksymalnej mocy rażenia, w kieszenie skafandra włożył kilka zapasowych baterii zasilających, i tak uzbrojony, z zaciętą żądzą walki do ostatka, stanął przed wewnętrznym włazem do śluzy.

Naciśnięciem klawisza wyłączył blokadę elektronicznej aparatury. Masywna pokrywa otworzyła się na oścież. Fala gorąca buchnęła na niego z małego pomieszczenia śluzy, omal go nie przewracając. W płycie zewnętrznej pokrywy drzwiowej zauważył wysoką, ciągnącą się od dołu szramę, rozżarzoną od wysokiej temperatury palnika, który znaczył swój kierunek cięcia językami buzującego ognia i snopami iskier, stale postępując w górę. Jeszcze parę minut i odpalony blok ceramitu upadnie do wnętrza śluzy, udostępniając agresorom wolną drogę do wnętrza bazy.

Plan obrony Zegrenda uwzględniał atut zaskoczenia. Profesor przewidywał logicznie, że ci z zewnątrz wejdą do wnętrza pojedynczo, a nie zauważywszy go w korytarzu, przesuną się w głąb pomieszczeń bazy. Wtedy on, ukryty za wewnętrznym włazem śluzy, przywita ich ogniowym poczęstunkiem.

Ukryty za grubym blokiem ceramitu, czekał cierpliwie z lufą miotacza skierowaną skosem w głębsze partie korytarza. Jego przewidywania sprawdziły się prawie idealnie.

Po paru minutach głuchy łomot oznajmił mu, że odpalony blok ceramitu runął do wnętrza śluzy wzbijając w powietrze kłęby dymu i kopcia. Upłynęła jeszcze chwila ciszy, zanim do środka weszły jedna za drugą, w oddaleniu paru metrów, dwie ludzkie postacie, ubrane w znane mu połyskujące srebrem kombinezony. W kłębach dymu nie widział dokładnie ich sylwetek, ale bez trudu mógł śledzić

ich ruchy. Postacie bez zbędnej ostrożności posuwały się wolno w głąb pomieszczenia. Gdy druga z nich minęła skraj wjazdu służby i oddaliła się o parę kroków, Zegrend wyskoczył ze swej kryjówki z miotaczem laserowym w dłoniach. Zatrzymał się na środku przejścia i bez mierzenia nacisnął na spust broni. Strzał był niecelny. Oślepiająca igła ognia rozorała grubą płytę przepierzenia wewnętrznej ścianki i przesunęła się w kierunku pierwszego z ludzi.

Jednak nie dosięgła żadnej z ofiar. Nagła, wymierzona z tyłu fala gorąca sparaliżowała mięśnie Zegrenda. Więcej z zaskoczenia niż z bólu wykonał na łamiących się nogach półobrót i zwałił się na wznak na posadzkę korytarza.

Kiedy jego oczy zachodziły już mgłą, zauważył jeszcze nad sobą ukryte za przesłonami hełmów obce twarze nie znanych mu ludzi.

\* \* \*

„Wiadomości Galaktyczne” Nr 5, maj 2314 roku.

„Transportowiec żeglugi dalekiego zasięgu Grawiton RXC-338 powracający z konstelacji Oriona przywiózł na swoim pokładzie oprócz bogatych wyników badań grupy zwiadu naukowego dodatkową sensację, do tej pory jeszcze nie do końca wyjaśnioną i tragiczną w skutkach dla trzech osób załogi naukowej z planety nazwanej przez odkrywców «Glorią».

Tragiczne wydarzenia, jakie rozegrały się na tej planecie, warte są szerszego omówienia ze względu na ich charakter. Zdaniem ekspertów pokładowych, badających przyczyny dziwnego zajścia na miejscu, nie można w tym przypadku mówić o bezpośrednim wpływie odmiennych warunków biofizycznych obcego środowiska na zaskakujące reakcje załogi bazy naukowej. A reakcje te, rozpoznane na razie tylko na podstawie badań skutków powypadkowych, skłaniają do wysunięcia bardzo szczególnych wniosków, dyskredytujących poważnie charakterystyki członków załogi bazy.

Planeta «Gloria» posiada gęsty całun trującej atmosfery i wczesne formy życia organicznego, rozwiniętego głównie w głębinach wodnych akwenów. Właśnie nad brzegiem jednego z mórz załoga transportowca, lądującego nieoczekiwanie na planecie, znalazła ciała dwóch asystentów profesora Zegrenda, kierownika placówki naukowej. Na odnotowanie zasługuje fakt braku odpowiedzi na sygnały wysyłane z krążącego po orbicie transportowca, co skłoniło załogę grawitolotu do lądowania na planecie, w celu wyjaśnienia przyczyn milczenia załogi bazy.

Znalezieni nad brzegiem morza dwaj młodzi naukowcy byli martwi od wielu godzin, lecz już pobieżne sprawdzenie przyczyn ich zgonu dało zaskakujące wyniki. Jeden z nich, Vang, zginął bez wątplenia z uduszenia, po wyczerpaniu zapasu tlenowego z butli. Fakt dziwny, gdy weźmie się pod uwagę, że miał on w swoim batyskafie jeszcze jedną butlę z tlenem. Sekcja zwłok Vanga wykazała, że niedługo przed śmiercią został on porażony jakimś nie wyjaśnionym impulsem prądu, który spowodował paraliż jego górnych kończyn i tułowia, uniemożliwiając mu sięgnięcie po rezerwę tlenową, znajdującą się na wyciągnięcie dłoni. Później, na podstawie badań materiału naukowego zebranego w bazie, ustalono, że sprawcami porażenia były żyjące w głębinach morskich stworzenia, nazywane przez odkrywców «rozwiazdami», dysponujące narządami wytwarzającymi silny prąd elektryczny.

Przyczyna śmierci drugiego naukowca, Torsona, okazała się jeszcze bardziej zastanawiająca. Jego skafander i ciało nosiły ślady silnego cięcia z laserowego miotacza. Po dokładnych badaniach rozmieszczenia śladów na piasku i nalocie na lufie lasera wysnuto prawdopodobną hipotezę, że Torson zginął z miotacza należącego do uzbrojenia batyskafu Vanga, który strzelił przed śmiercią do towarzysza,

z przyczyn na razie nie znanych.

Po bezowocnych poszukiwaniach profesora Zegrenda wysnuto wniosek, że musi on znajdować się we wnętrzu głuchego budynku bazy, która nie odpowiadała na żadne wezwania załogi transportowca. Również kod promiennych kluczy znaleziony przy martwych asystentach nie reagował na automatykę kłap śluzu, co świadczyło, że zostały one zablokowane od wewnątrz. Zdecydowano się zatem rozciąć ceramitowy pancierz budynku bazy i dotrzeć do znajdującego się przypuszczalnie w jego środku profesora Zegrenda.

Przetransportowano z grawitolotu palnik laserowy dużej mocy i wycięto w ceramitowych drzwiach śluzu powietrznej otwór. Jednak tu czekała na załogę fatalna niespodzianka. Oto profesor Zegrend, uznany za nieżyjącego, zaatakował nieoczekiwanie dwóch członków załogi transportowca, którzy weszli do środka budynku pierwsi. Tylko dzięki przytomności umysłu jednego z pozostałych na zewnątrz kosmonautów dwaj śmiałkowie uszli z życiem. Profesora Zegrenda, trafionego cięciem z miotacza, udało się wprawdzie przywrócić do życia, jednak jego stan jest nadal bardzo poważny. Oprócz groźnej rany postrzałowej badania neurologiczne wykazały u niego zaawansowane rozkojarzenie umysłowe i daleko posuniętą amnezję. Zanim specjalistyczne leczenie pokładowe, kontynuowane obecnie na Ziemi, przyniesie konkretne wyniki, upłynie zapewne jeszcze sporo czasu. Tak więc na razie nie można uzyskać jednoznacznej, racjonalnej odpowiedzi od jedyne go żyjącego członka załogi bazy na pytania o przyczyny niesamowitej tragedii.

I prawdy nie dowiedziano by się jeszcze zapewne długo, gdyby nie przypadek. Otóż przy martwym Torsonie znaleziono sporą ilość nienaturalnie dużych pereł. Dokładniejsze badania wykazały, że wytwarzają je na «Glorii» właśnie owe niebezpieczne dla ludzi «rozgwiazdy».

Po długich debatach wysnuto wreszcie prawdopodobną przyczynę śmierci dwóch młodych naukowców. A przyczyną tą były zapewne nie groźne warunki biofizyczne planety, ale ludzka psychika, a dokładniej jej fatalna niedoskonałość, objawiająca się w tym wypadku chciwością, pędem do wykorzystania przypadkowej szansy łatwego wzbogacenia się za wszelką cenę, nawet za cenę życia kolegi.

W tym kontekście łatwiejsze do zrozumienia stało się też dziwne zachowanie profesora Zegrenda. Widocznie ten sędziwy, doświadczony naukowiec nie potrafił zapanować nad fatalną namiętnością swych młodszych towarzyszy. Sytuacja musiała skomplikować się ponad miarę, skoro profesor - zapewne w celu ratowania siebie samego przed zapędami asystentów - odciął im drogę powrotu do bazy i skazał na śmierć, zupełnie nie przewidując, że oni wymierzyli ją sobie wcześniej sami. Bo przypuszczalnie Torson mógł uratować sparaliżowanego kolegę od śmierci, ale żądza zagarnięcia pereł Vanga okazała się silniejsza; a towarzysz z rozpacz lub zemsty odplacił mu strzałem w plecy.

Omówione wyżej wnioski są tylko hipotezami, ale o wysokim stopniu prawdopodobieństwa, skłaniającymi do zadumy nad losem tych wszystkich, którzy gdzieś tam, pod obcymi słońcami, narażeni są na pokusy wyzwajające na nowo zdające się już zanikać ułomności ludzkiego charakteru”.

## Dialog przez rzekę

Było to dokładnie trzysta dwadzieścia jeden dni po szczęśliwym zakończeniu światowego kryzysu. Od kiedy skończył mi się kalendarz, prowadziłem dalej rachubę czasu w moim notatniku, co przyszło mi z tym większą łatwością, iż od dziecka byłem wdrażany do systematyczności. Trzysta dwadzieścia jeden dni temu zakończył się światowy kryzys, przynajmniej dla mnie. Wtedy bowiem opuściłem pokład okrętu wojennego, unieruchomionego w porcie zapasowym nie opodal Luandy.

Kryzys ten przetrwało wiele plemion, które nie zdążyły przekształcić swoich wiosek w cele ataku odwetowego, czyli - jak mawiano przed kryzysem - w miasta. Wśród tych plemion, rozrzuconych po całym globie w miejscach pozbawionych surowców i szlaków komunikacyjnych, a więc miejscach strategicznie mało interesujących, przetrwało plemię, żyjące od niepamiętnych czasów w dorzeczu Konga.

Po trzystu dwudziestu jeden dniach wędrówki przybyłem w te strony. Według moich obliczeń była dzisiaj niedziela; szedłem zatem leniwiej niż zazwyczaj, chociaż w ogóle - jak wynikało z moich pomiarów - nie posuwałem się zbyt szybko. Na swoje usprawiedliwienie miałem zresztą nie tylko niedzielę, ale i przeświadczenie, że oto nareszcie zbliża się kres mojej wędrówki. Postanowiłem bowiem osiąść w pierwszej napotkanej wiosce, choćbym miał tam pełnić rolę pastucha. W końcu trudno było się spodziewać, że moje dotychczasowe kwalifikacje zawodowe będą w czymkolwiek przydatne wspólnocie, do której miałem niezłomny zamiar wstąpić. Moim ostatnim zajęciem zawodowym był nadzór nad pracą komputera okrętowego.

Postanowienie o przystaniu do pierwszej napotkanej wspólnoty brało się nie tylko stąd, że ciągnęło mnie do ludzi (choćby to byli ludzie najzupełniej dzicy), ale także z przekonania - popartego dość ścisłymi wyliczeniami, że oto nareszcie dotarłem w te rejony Czarnej Łądy, gdzie z pewnością nieznane są szaleństwa współczesnej cywilizacji.

Tego dnia, w porze południowej, natrafiłem wreszcie na ślady ludzkiej obecności. Pierwszym, może nie najbardziej przekonującym dowodem, była ścieżka, którą szczęśliwym trafem odnalazłem pośród gęstwiny. Drugim i zarazem ostatnim dowodem była strzała, która zaświergotała mi koło ucha i utkwiała w najbliższym pniu drzewa. Rzuciłem się do ucieczki z niejaką ulgą, że oto nareszcie uciekam nie przed zwierzętami, z którymi żadną miarę porozumieć się nie można, ale przed ludźmi, z którymi miałem nadzieję przepędzić resztę dni mojego życia w spokoju i harmonii.

Stało się to, jak już powiedziałem - trzysta dwadzieścia jeden dni po tym, jak ja, podobnie zresztą jak pozostała część załogi, opuściłem nasz potężny okręt wojenny. Rozbiliśmy się na małe grupy, bowiem doszliśmy do wniosku, że w ten sposób przynajmniej część z nas zdoła się ocalić.

Grupa, do której się przyłączyłem, liczyła jedenaście osób i topniała w tempie mniej więcej jednej osoby na miesiąc. Pierwszy odpadł kucharz okrętowy, który postradawszy w trakcie ewakuacji szkła kontaktowe wziął boa-dusiciela za lianę. Potem odpadło trzech majtków, którzy mieli dość wędrówki w nieznane i przyłączyli się do karawany lotników, przypadkowo spotkanej na jednym z postojów. Lotnicy ci stanowili szczątek czterech eskadr bojowych ponaddzwiękowych myśliwców przechwytyjących. Z braku paliwa i dalszych rozkazów porzucili swe maszyny na lotnisku zapasowym w okolicach Libreville, przekroczyli równik i ruszyli na południe, z mocnym postanowieniem założenia autonomicznej białej

osady, w pierwszym nadającym się do tego miejscu poniżej Zwrotnika Koziorożca. Pytali, czy nie ma wśród nas kobiet, a ponieważ takich nie było, postanowili poszukać ich po drodze.

Reszta naszej grupy parła na wschód. Sądziliśmy bowiem zgodnie, że w samym sercu Czarnego Łądu będzie najbezpieczniej, czyli najdalej od cywilizacji, która zabrnęła w ślepy zaułek. Niedługo potem odpadł Główny Mechanik; któregoś ranka włożył koszulę razem z drzemiącym w okolicach kołnierzyka skorpionem. Wesoły był chłop i żałowaliśmy go nawet bardziej niż kucharza, którego umiejętności zawodowe już na okręcie nie wzbudzały naszego entuzjazmu.

Pozostała piątka postanowiła trzymać się razem aż do końca, który jeszcze wtedy kojarzył się wszystkim z widokiem wioski murzyńskiej zaszytej w mateczniku dżungli.

Niestety, tygodniami szliśmy przez okolice zupełnie bezludne. Nic też dziwnego, że nasz Intendent załamał się i postanowił wracać na okręt. Nie mogliśmy mu wyperswadować, że do wybrzeża jest co najmniej dwa tysiące kilometrów. Twierdził z uporem, że to drobnostka, i że trafi z powrotem po naszych własnych śladach. Nie mieliśmy innego wyjścia; musieliśmy go związać i w ten sposób przybył nam jeszcze jeden bagaż; trzeba, przyznać - najcięższy, bo Intendent był chłopem na schwał. Rozwiązaliśmy go tylko na popasach, a i to nie całkiem. Jednak któregoś wieczora przeciął krępujące linki i słuch po nim zaginął.

Po tym incydencie Radiotelegrafista i Lekarz Okrętowy mieli przykry wypadek na polowaniu; nie trafili do szarżującego na nich nosorożca. Zostało nas dwóch: Steward i ja.

Ruszyliśmy szparko na wschód, ciągle na wschód. W trzysta dwunastym dniu trafiliśmy wreszcie na wioskę. Przyjęto nas tam z wyraźnymi oznakami radości, co Steward wziął niestety za dobrą monetę. Poszedł pierwszy, a ja ubezpieczałem go w krzakach. Nim zdołał cokolwiek na migi wyjaśnić, spotkał go smutny los jeńca kanibalów. Nie próbując prostować nieporozumienia co do naszych intencji, postanowiłem samotnie kontynuować wędrówkę, co w tej sytuacji wydawało mi się dość zrozumiałe.

Jednak po tygodniu sypiania na gałęzi, w towarzystwie złośliwych małp, które ogołociły mnie z części bagażu, swoje perspektywy widziałem w coraz gorszym świetle. Uszczuplenie bagażu miało tę dobrą stronę, że mogłem posuwać się nieco szybciej niż w czasie ostatnich dni, ale zarazem coraz wątpliwsze było przekonanie, że mój marsz dokądkolwiek prowadzi. Toteż świst strzały odebrałem z niekłamaną radością. Małpy nie strzelają z łuku, a zatem moje szanse nie są wcale tak marne - myślałem, przedzierając się w pośpiechu przez gęstwiny. A jednocześnie przemyślałem, jak dać tubylcom do zrozumienia, że mogę być dla nich pożyteczniejszy jako żywy, niż jako umarły.

Na szczegółowe obmyślenie przyjaznego wejścia do wspólnoty tubylców nie miałem zbyt dużo czasu. W ślad bowiem za pierwszą strzałą posypały się następne i byłbym niechybnie podzielił los swoich współtowarzyszy, gdyby dżungla w tych okolicach była nieco rzadsza. Biegłem czas jakiś, pozbywając się resztek mojego dobytku. Niebawem jednak stanąłem, podrapany, z włosiem zmierzwionym, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zacząłem nasłuchiwać. Sądziłem, że tubylcy poniechali pościgu i zadowolili się tym, czego pozbywałem się w trakcie ucieczki. Nie było tego dużo, ale ufałem, że wystarczy, aby przynajmniej na razie zainteresowania tubylców obróciły się w inną stronę.

Położenie moje nadal było dość trudne, ale optymizmem napawał mnie fakt, że mimo wszelkich przeciwności losu przeżyłem jednak Stewarda, który w naszej załodze uchodził za wygę kutego na cztery nogi. Jeśli do tej pory żyję, to dlaczego nie miałbym żyć dalej - pokrzepiony tą odkrywczą myślą, zacząłem rozglądać się za noclegiem, bo słońce chyliło się ku zachodowi, a po zachodzie - pomny na przygodę Kucharza - wolałem nie imać się pracy w lesie. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem jamę, w której - utrudzony wielce - zasnąłem, skoro tylko zakryłem wejście kolczastym krzakiem, który tej nocy miał pełnić funkcję strażnika i zniechęcać nieproszonych gości.

Obudziło mnie światło poranka; a ściślej mówiąc - jego nadmiar, który chlusnął do wnętrza.



Natychmiast zerwałem się ze snu i spostrzegłem, że krzak został odsunięty, a nad wylotem jamy stoją tubylcy, z dzidami skierowanymi w moją stronę. Znów nie miałem czasu na rozmyślenia nad możliwie przyjaznymi sposobami zażegnania nieprzyjemnego incydentu. Wyszarpnąłem rewolwer i wystrzeliłem w powietrze przedostatnią kulę. Stary wysłużony colt jeszcze i tym razem stanął na wysokości zadania, mimo że przez ostatnie miesiące nie dbałem zbytnio o jego konserwację. Huk poraził tubylców na tyle, że padli na twarz, co umożliwiło mi opuszczenie jamy z godnością.

Zrozumiałem w jednej chwili, że zapuściłem się na taki obszar, gdzie do tej pory odgłos wystrzału był słyszany rzadko, albo nigdy. To była moja szansa, z której nie omieszkalem skorzystać. Nie udało mi się wprawdzie okazać przyjaźni, ale mogłem obecnie okazać wspaniałomyślność, co - z punktu widzenia przetrwania - było nawet korzystniejsze.

Na migi rozkazałem tubylcom, aby powstali i zaprowadzili mnie do wioski. Na wszelki wypadek rewolwer trzymałem demonstracyjnie w rękę, aby nie poczytali mojej wspaniałomyślności za słabość. Ów gest został zrozumiany należycie, bowiem tubylcy bez zwłoki spełnili moje żądanie.

W trzysta dwudziestym drugim dniu od opuszczenia okrętu przyjęto mnie w wiosce z należnymi mojemu coltowi honorami. Dostałem oddzielną chatkę i zacząłem z zapalem uczyć się miejscowego narzecza. Zapal mój był tym większy, iż trudno było mi na migi wytłumaczyć, że od dzieciństwa jestem uczulony na fasolę, która stanowiła tutaj podstawowy składnik jadłospisu. Już po tygodniu byłem w stanie wytłumaczyć gospodarzom, że przepadam za mięsem przyprawionym choćby odrobiną soli. Po dziesięciu dniach zrozumiałem, że tubylcy nie znają soli, po dwóch tygodniach dowiedziałem się, iż w najbliższej okolicy soli nie było, nie ma i nie będzie.

Po miesiącu mogłem dość swobodnie porozumiewać się z naczelnikiem plemienia, poważnym Balungą, który swą powagę zawdzięczał temu, że był najbardziej okazałej tuszy, a ponadto przechowywał w swojej chacie największy talizman plemienia, które wyznawało kult tajemniczego boga, którego dla uproszczenia nazwałem Akwawitem. Po czterdziestu dniach zostałem dopuszczony do największej tajemnicy plemienia, a mianowicie rytualnych zaślubin naczelnika Balungi z Akwawitem, co było - według wierzeń tubylców - warunkiem niezbędnym nastania pory deszczowej, a zatem i dobrych zbiorów fasoli. I nie ma nic do rzeczy, że owym talizmanem okazała się butelka z nalepką Aquavita, mocno już nadwerężona przez coroczne zabiegi rytualne. Sama ceremonia nalewania wody do butelki, a później wypijania jej przez naczelnika w przytomności wszystkich członków plemienia, była doprawdy wspaniała. Wziąłem w niej udział tym chętniej, że zostałem przez naczelnika mianowany szamanem, co umożliwiło mi spanie bez colta w zasięgu ręki. Stanowisko to ze wszech miar mi odpowiadało, bo od niepamiętnych czasów żaden szaman nie doznał najmniejszego uszczerbku ze strony współplemieńców, a przeciwnie - był otaczany czcią i zaufaniem. Dokuczał mi tylko brak soli.

Podjęte na mój rozkaz poszukiwania nie dały rezultatów; być może dlatego, że dzielni wojownicy Balungi niezupełnie wiedzieli, czego mają szukać.

Pewne nadzieje wiązałem z terenami na drugim brzegu rzeki, gdzie podobno było jezioro z „gorzką” wodą, jednak żadną miarą nie mogłem namówić wojowników do przeprawy. Żył tam ponoć drugie plemię, uprawiające kult ognia. Naczelnikiem owego plemienia miał być Amelunga.

Nie mogłem namówić dzielnych wojowników na przeprawę, bowiem wszelkie kontakty między obu plemionami urwały się przed niespełna rokiem. Początkowo kładłem to na karb wzajemnej wrogości. Okazało się jednak, że oba plemiona nie toczyły ze sobą walk od niepamiętnych czasów, a przeciwnie - współpracowały pokojowo, co polegało głównie na wymianie kobiet i koźląt ku obopólnej korzyści. Wszakże przed niespełna rokiem w rzece tak obrodziły krokodyły, że nawet najodważniejsi łowcy nie zbliżali się do brzegu na dystans bliższy niż cztery strzały z łuku. Wojownicy twierdzili, że przed rokiem gdzieś z góry płynęły ławice martwych zwierząt, a między nimi nierzadko trafiały się ludzkie zwłoki. W

śląd za nimi przybyły krokodyły, które akurat na tutejszym terenie przeżyły eksplozję demograficzną, spowodowaną tak wielką zachętą aprowizacyjną. Niebawem jednak zaczęły się kłopoty z pożywieniem, co doprowadziło stada krokodyli do słusznego gniewu. A że było ich więcej niż kiedykolwiek przedtem, więc i gniew był - ilościowo przynajmniej - większy. Gdy skończyła się obfitość zapasów rzecznych, krokodyły rozpoczęły poszukiwania przestrzeni życiowej na obu brzegach, o czym przekonali się podobno mniej roztropni wojownicy, którzy - zapędziwszy się w tamte okolice - przepadali na zawsze.

Tak się tylko mówiło, a naprawdę to nikt nie był w tamtych okolicach od ponad pół roku. Nic też dziwnego, że wyjaśnienia te nie trafiały mi do przekonania. Sam nie miałem czasu pójść nad rzekę, ze względu na liczne szamańskie obowiązki, których mi ciągle przybywało, bowiem oprócz rytualnych obrządków coraz więcej czasu pochłaniało mi leczenie, które - wobec braku lekarstw i jakichkolwiek narzędzi - polegało głównie na utrzymywaniu higieny. Do mycia zachęcałem ludzi zaklęciem z dodatkiem mydła, które własnym sposobem produkowałem z padliny. Mydło to nie przypominało może Yardleya, ale spełniało swe funkcje dostatecznie dobrze, abym mógł je bez obawy infekcji skórnych aplikować moim pacjentom. Słowem - nie mogłem osobiście sprawdzić owych legend o stadach żarłocznych krokodyli. Coś w tym musiało jednak być, skoro najodważniejsi wojownicy pod różnymi pozorami wymigiwali się od rekonesansu nad rzekę. Byłbym oczywiście dał temu spokój, gdyby nie fakt, że brak soli odczuwałem w coraz bardziej przykry sposób. Nie mogłem przy tym pozbyć się myśli, że prawdopodobnie tam, na drugim brzegu, jest owej soli pod dostatkiem, i nikt z niej nie korzysta. Przemyślałem różne sposoby, które mogłyby skłonić Balungę do skrzyknięcia wszystkich wojowników i wyruszenia przeciw krokodylom. Przez ten czas nie zaniedbywałem czynienia niezbędnych przygotowań. Uzbrojenie naszej armii, liczącej około czterdziestu mężczyzn, wydało mi się niewystarczające. Toteż bez zbytecznego rozgłosu przygotowałem stos włóczni, dłuższych niż te będące w użyciu i charakteryzujących się specjalnie utwardzonymi grotami, które bez trudu przebijały tarcze będące w dotychczasowym wyposażeniu sił zbrojnych, a więc - miałem nadzieję - z tym większą łatwością poradzą sobie ze skórą krokodyla.

Któregoś dnia, kiedy wydawało mi się, że znalazłem sposób na przekonanie Balungi o niezbędności wyprawy nad rzekę, udałem się do naczelnika i rzekłem:

- Szlachetny wodzu! Zechciej wysłuchać, co ma do powiedzenia twój wierny szaman. Nasze świetne plemię, którego miałem zaszczyt zostać członkiem, pod twym panowaniem przeżywa szczęśliwe dni. Zaś jeśli deszcze nastaną o zwykłej porze, o co usilnie zabiegam u potężnego Akwawita i na co dostałem już pewne wstępne obietnice, nasze plemię cieszyć się będzie wielkim dostatkiem. Fasoli starczy nie tylko dla wojowników, ale także dla ich najmłodszych żon. Paszy dla kóz będzie tyle, że będziesz mógł ich, mlekiem obdzielić nie tylko swoją rodzinę i mnie, niegodnego twego sługę, ale także starszyznę plemienia. Wielki jesteś, o wodzu, a ja, twój skromny szaman, nie szczędzę wysiłku, aby wielkość twą umocnić po wsze czasy.

Balunga, żując prażone ziarna fasoli, które usłużnie podawała mu jedna z jego młodszych żon, skinął łaskawie głową i dalej słuchał, co mam do powiedzenia.

- Słyszałem od naszych dzielnych i nieustraszonych wojowników - ciągnąłem - że na drugim brzegu rzeki jest gorzkie jezioro. Tam znajdziemy sól, która umocni twoją potęgę. Musimy przepłynąć się na drugi brzeg rzeki.

Balunga, wypluwając łupinę, spojrzał na mnie leniwie i powiedział:

- Krokodyły. Tam są krokodyły. Nikt nie przejdzie, nawet ty, szamanie, choćbyś użył swojego miotacza piorunów.

Nie zamierzałem oczywiście pozbawiać się ostatniego naboju w tak lekkomyślny sposób; co więcej - w ogóle nie zamierzałem brać udziału w tej ryzykownej bądź co bądź wyprawie. Swoje już przeszedłem i

miałem dosyć niepotrzebnego narażania karku. Chciałem więc wyjaśnić Balundze swój plan, a ściślej - jego część, której miał być wykonawcą, aby nie zaprzętać jego głowy zbędnymi szczegółami, gdy Balunga dodał:

- Nie wiem, dlaczego zależy ci tak na dotarciu do gorzkiego jeziora. Ta woda nie nadaje się do picia, nie można nią poić kóz.

- Szlachetny wodzu! - odparłem. - Nie chodzi o gorzką wodę, ale o sól, która jest w tej wodzie rozpuszczona:

- A na co nam owa sól?

- Jeśli doda się jej do jedzenia - mówiłem z zapalem - to tak, jakby się spożywało jadło godne Akwawita.

- Mnie tam nasze jedzenie smakuje - wzruszył ramionami, biorąc kolejną garść prażonej fasoli. - A jeśli tobie, szamanie, nie idzie ono w smak, to starszyzna uchwali ograniczenie twoich racji żywnościowych. Oni z chęcią podzielą się tym, co ci nie smakuje - pokazał w uśmiechu poszczerbione uzębienie.

Czułem, że sprawy przybierają zły obrót. Uświadomiłem sobie bowiem, że choćbym nie wiem jak wynosił zalety soli, to nikt dla jej zdobycia nie zmierzy się z krokodylem, choćby był to krokodyl ślepy i bezzębny. Postanowiłem więc spróbować z innej beczki. Przygotowane przeze mnie włócznie czekały, ale do pełnego uzbrojenia brakowało idei, w imię której wojownicy Balungi mieliby wdać się w zapasy z krokodylami. I właśnie taką ideę miałem zamiar podsunąć wodzowi.

- Szlachetny Balungo! Czyż krokodyle są dostatecznym powodem do tego, aby nasze plemię ograniczało spożycie fasoli i nie mogło powiększyć stada kóz? Nasze kobiety uprawiają mało urodzajne spłachetki ziemi, kozy szczypią resztki trawy, a tymczasem nad rzeką leży podobno urodzajny grunt, na którym wyrosłoby co najmniej dwakroć tyle fasoli co tutaj, a soczystej trawy jest tam podobno tak dużo, że moglibyśmy liczbę kóz powiększyć trzykrotnie.

Balunga niedbałym skinieniem odprawił żony i od tej chwili własnoręcznie karmił się prażonymi ziarnami fasoli. Na jego twarzy malował się wysiłek. Znaczyło to, że wódz rozważa w swym umyśle racje, które mu przedstawiłem. Trwało to dość długo, i wreszcie przemówił:

- Też o tym myślałem, szamanie. Sam wiesz najlepiej, jak bardzo leży mi na sercu dobro naszego plemienia. Czasy teraz inne i młodzi wojownicy - nie zadowolają się byle czym, tak jak dawniej. Chcą żyć tak jak starszyzna, choć do pozycji starców brakuje im wielu lat i wielu zasług. Młodzi są teraz niecierpliwi i chcieliby mieć to, co jest im przeznaczone pod koniec żywota. Ale żeby tak było, nie wystarczy już tylko praca kobiet. Musisz im, szamanie, wytłumaczyć, że będzie im się żyło dostatniej, jeśli zajmą się pracą. Niechaj więc odłożą włócznie i tarcze, zwłaszcza że wyniki polowań są coraz gorsze, i niech zajmą się karczowaniem dżungli. Będziemy mieć więcej ziemi, więcej fasoli i kóz.

- Twoja przenikliwa mądrość, wielki Balungo, przyprawia mnie o trwogę. Przed twym światłym umysłem nic się nie ukryje. Patrzysz dalej, niż my wszyscy, i widzisz więcej. Dlatego też raczyłeś poddać mnie próbie i sprawdzić, czy zgodzę się na rozwiązanie niegodne bohaterskich tradycji naszego plemienia. Czyż bowiem wojownicy mogą być posłani do karczowania dżungli? Czyż mamy czas, aby przeczekać kilka pór deszczowych, zanim wydarta dżungli ziemia zacznie rodzić na chwałę Akwawita i twoją, wielki wodzu? Wiem, wodzu, że o tym wszystkim myślałeś i chciałeś mnie, niegodnego twego, a zarazem najbliższego sługę, wystawić na próbę. Czuję to, mówią mi o tym tajemne siły, którym służę z równą gorliwością jak tobie, że bliski jesteś wydania rozkazu wyruszenia przeciwko krokodylom. Wiem, że myślałeś o tym przez wiele nocy i dni, które poświęciłeś ofiarnej służbie na rzecz naszego plemienia. I mówię ci, wodzu, śmiało - nadszedł czas, aby twe wielkie zamysły wprowadzić w czyn. Nadszedł czas twojej wielkiej chwały, szlachetny Balungo. Gdy przepędzisz stąd krokodyle, twoja potęga będzie

niezmierzona. Nikt się tobie nie oprze, zaś Amelunga, jeśli do tej pory nie stał się pożywieniem tych żarłocznych zwierząt; odda się pod twoją opiekę, aby bezpiecznie dokończyć żywota. Będziesz panował na obu brzegach rzeki, zaś ja, twój wierny sługa, będę krzewić wiarę w naszego potężnego Akwawita, który tym bardziej sprzyjać będzie twoim zamysłom. Nadszedł czas, wodzu, abyś okazał swą prawdziwą wielkość. Nadszedł czas.

Moja przemowa musiała zrobić na nim pewne wrażenie, bo zapomniał przez ten czas o żuciu fasoli i podjął tę czynność na nowo dopiero wtedy, gdy skończyłem. Twarz jego znów wyrażała wysiłek: myślał. Po dość długiej chwili milczenia powiedział:

- Rozważę wszystko, coś mi powiedział, mój wierny szamanie. Rzeczywiście miałem taki zamiar; odczytujesz w lot moje myśli, co dobrze świadczy o twoich kwalifikacjach szamańskich. Idź do swoich zajęć, a ja przez ten czas jeszcze raz wszystko rozważę z właściwą mi roztropnością.

Byłem dobrej myśli. Na wszelki też wypadek zająłem się segregowaniem mojej tajnej broni, czyli wydłużonych włóczni o utwardzonych grotach. Nie zajęło mi to dużo czasu, więc resztę dnia przeznaczyłem na inspekcję sanitarną chat. Zauważyłem, że młodzi wojownicy ściślej przestrzegali moich zaleceń i chętniej oddawali się rozkoszom mycia. Byłem niemal pewny, iż gdybym miał choć odrobinę soli, z łatwością doprowadziłbym do tego, że przynajmniej oni przedkładaliby potrawy solone nad dotychczasową jałową strawę. W ich chatach przyjmowany byłem ochoczo, podczas gdy starzy wojownicy ciągle odnosili się do mnie z mieszaniną lęku i nieufności. Wiedziałem, że jeśli Balunga wyda rozkaz walki z krokodyłami, młodzi pójdą ze śpiewem na ustach, zaś starzy przyłączą się, bo nie będą mieli wyboru.

Balunga wezwał mnie jeszcze tego samego dnia. Już u progu jego chaty zauważyłem, że sprawy przybrały zły obrót. Balunga nie patrzył mi w oczy, a na jego szyi spostrzegłem cienkie strużki potu. Balunga bał się mnie, ale jeszcze bardziej bał się ryzykownej wyprawy na krokodyle. Zrozumiałem to wszystko, zanim zaczął mówić. Czekałem jednak, co powie. Zaprosił mnie gestem do zajęcia miejsca po jego prawej stronie, odprawił żony i przemówił:

- Mój zacny szamanie. Rozważyłem wszystko roztropnie, jak to mam w zwyczaju, i doszedłem do wniosku, że jeśli wyprawimy się na krokodyle i ich nie przepędzimy, to stracę wszystko: żony, tę chatę, a nade wszystko - prażoną fasolę, bez której obejść się nie mogę. Naszą porażkę wszyscy zrozumieją jako brak łaski ze strony Akwawity dla jego wiernego sługi, wodza Balungi. Powołają nowego wodza, a mnie przepędzą z plemienia. Żyliśmy tak długo na tej ziemi, którą w swej łaskawości obdarzył nas Akwawit. Dlaczego mielibyśmy chcieć więcej, niż jest nam przeznaczone? Czyż nie obrazilibyśmy tym naszego potężnego Mzimu?

Chciałem mu przerwać, ale uciszył mnie gestem dłoni i mówił dalej:

- Rozważyłem wszystko dokładnie, mój szamanie. Stwierdziłem, że nie możemy wysłać wojowników do karczowania dżungli, bo słusznie mogliby to poczytać za naruszenie naszych świętych praw plemiennych. Ale nie chcę też wysłać ich na krokodyle. Jeśli bowiem wyprawa się powiedzie, to wojownicy zaczną domagać się większych racji fasoli w nagrodę za zasługi. I nawet jeśli nasze kobiety zaczęłyby produkować więcej fasoli i starczyłoby jej nie tylko dla starszyny, ale dla wszystkich wojowników, to przecież wtedy starszyna będzie ze mnie niezadowolona i zacznie domagać się większych przydziałów żon i mleka koziego, aby wyróżnić się czymś wśród członków naszego plemienia. A skąd ja wezmę im więcej żon? Przecież nie oddam im swoich, bo to nie licowałoby z godnością wodza. Tak więc nawet gdyby wyprawa się powiodła i obiektywnie byłoby wszystkim lepiej, to wzrosłoby niezadowolenie wśród członków plemienia i w rezultacie byłoby gorzej, niż jest teraz. - Balunga sapnął i połknął nerwowo ziarno fasoli. Nie doceniałem go. Przypuszczałem, że dość łatwo uda mi się poprowadzić go na pasku. Tymczasem okazał się nadspodziewanie czujny w obronie swoich

interesów.

- Szlachetny wodzu - zacząłem - pozwól, że...

Nie pozwolił. Machnął ręką i zaczął mówić dalej:

- Wszystko rozważyłem dokładnie, mój wierny szamanie. Obrazilibyśmy naszego potężnego Akwawita, jeśli sięgnęlibyśmy po tereny, które on sam nam odjął. Będziemy żyli jak dotychczas. A ty, szamanie, wnieś swoje modły, aby przebłagać go za nasze niewczesne a bezbożne wyciąganie ręki po to, co nam nie jest przeznaczone. Gdyby Akwawit życzył sobie, abyśmy powrócili nad rzekę, to sam przepędziłby krokodyle. Nie powiesz chyba, mój zacny szamanie, że potęga naszego Akwawita nie byłaby zdolna do takiego czynu?

Podrapałem się w brodę, która urosła mi przez miesiące pobytu poza cywilizacją. Nie była to broda zbyt bujna, bo zarost miałem rzadki, jak to często bywa u blondynów, ale dodawała mi powagi, niezbędnej do pełnienia moich obowiązków szamańskich.

- Szlachetny wodzu - starałem się jeszcze przełamać jego upór. - Boleję nad tym, co powiedziałeś, bowiem nie dalej jak dziś rano Akwawit dał mi znak, że jest przychylny naszym zamiarom. Znalazłem oto koło mojej chaty martwego krokodyla, którego z radością spaliłem na chwałę naszego Mzimu. Jeśli jednak, szlachetny wodzu, ten oczywisty znak łaski nie przekonuje cię, to muszę ci donieść, że wśród młodszych wojowników od niejakiego czasu odzywają się szemrania. Po cichu narzekają na ciebie, wodzu. Mówią, że jak tak dalej pójdzie, to przyjdzie im się żenić z własnymi ciotkami, a włącznie będą zmuszeni zamienić na kije pasterskie. Mówią też, że ich siostry zestarzeją się w panieństwie, bo nie masz już w plemienu takiej młodej kobiety, której poślubienie nie naruszyłoby tabu pierwszego lub drugiego stopnia. Tymczasem tam, za rzeką, czekają ich przyszłe żony, nad rzeką zaś leży ziemia, której tak nam brakuje. Zresztą od dawna nikt nie zapuszczał się nad rzekę. Może tam już nie ma krokodyli?

- Czy sądzisz, że nasze kozy nie poszłyby tam, gdyby to było bezpieczne? Wolą szczypać marną trawę tutaj, a nawet na skraju dżungli, gdzie mogą zostać porwane przez drapieżnika, niż iść nad rzekę, gdzie woda czysta, a trawa zielona.

- Wyślij kogoś, wodzu, aby sprawdził, czy kozy mają rację.

- Dobrze. Wysłałem ciebie, mój wierny szamanie. Weź swój miotacz piorunów i sprawdź, czy kozy żywią słuszną obawę.

- Szlachetny wodzu! - odparłem prędko. - Moje obowiązki są zbyt absorbujące, abym mógł sobie pozwolić na taką wyprawę. Ich zaniedbanie mogłoby spowodować słuszny gniew Akwawita na nasze plemię. Nie mogę sobie na to pozwolić dla dobra nas wszystkich.

Balunga widocznie spodziewał się mojej odmowy, bo - odpędziwszy muchy, krążące mu wokół oczu - pokręcił głową i powiedział:

- Skoro tak, to sprawa jest jasna. Postanowiłem, że będziemy żyć jak dotychczas, a ty przebłagasz Mzimu za nasze, a właściwie twoje niewczesne zamiary. Taka jest moja wola, a twoim zadaniem jest jej uzasadnienie. Skończyłem.

Dał mi znak, abym się oddalił. Wstałem więc i wyszedłem z chaty naczelnika. Targała mną złość. Byłem głodny, ale myśl o jałowym jedzeniu przyprawiała mnie o mdłości. Skoro mogłem już żyć, chciałem żyć lepiej.

Przyszedłem do swojej chaty. Spojrzałem smętnie na stos przygotowanych włóczni. I wówczas zaczął mi świtać nowy pomysł. Postanowiłem zrobić zamach stanu.

Jeśli kiedykolwiek robiliście zamach stanu, to zapewne doskonale wiecie, że jego sukces uzależniony jest od spełnienia przynajmniej dwóch warunków. Po pierwsze musicie znaleźć ideę, która byłaby w stanie pociągnąć niezadowolonych, zneutralizować niezdecydowanych i pozbawić głosu opornych. Po drugie, trzeba znaleźć ludzi, którzy bez wahania wykonają wszelkie rozkazy; nawet te, które niekoniecznie

są zgodne z głoszony ideą.

Kłopot polegał na tym, że w plemienu, do którego przystałem, jedynym niezadowolonym byłem ja sam. Młodzi wojownicy, o których szemraniach wspominałem Balundze, mogli co najwyżej zaliczać się do niezdecydowanych, bo żaden z nich nie podniósłby ręki na świętą osobę Balungi. Był wprawdzie wśród nich pewien młody, ambitny, a więc obiecujący materiał na pomocnika rewolucji. Myślałem o Ogunie, moim asystencie w praktykach szamańskich, którego od pewnego czasu wychowywałem na swojego ucznia. Jednak całą resztę mógłbym bez wątpienia zaliczyć do przeciwników mojego zamysłu, bowiem wówczas, gdy nie ma się żadnych alternatyw życiowych, jest się naturalnym konserwatystą. A przecież cały ich świat, odkąd sięgali pamięcią, był niezmienny, ciągle taki sam z pokolenia na pokolenie.

Nie stałem przed łatwym zadaniem. Należę jednak do tego typu ludzi, których przeszkody mobilizują miast zniechęcać. Pewnie zresztą dlatego udało mi się przetrwać moją długą wędrówkę przez dżunglę, wobec której obecne trudności nie wyglądały zbyt poważnie.

Pomysł ten pochłonął moją uwagę tak dalece, że zapomniałem o soli, a ściślej - o jej braku. Rzeczywisty cel moich zabiegów przypomniał mi się dopiero w porze kolacji, kiedy przyniesiono do mojej chaty jałowe udko kozłęcia, łaskawie nadgryzione przez świątobliwe zęby Balungi. Gest ten, jak się domyślałem, oznaczać miał, że moje niewczesne pomysły o wyprawie nad rzekę zostały mi wybaczone. Balunga był nieodrodnym synem swojego plemienia; lubił, gdy wszystko było po staremu.

Był to o tyle sprzyjający zbieg okoliczności, że mogłem swoje zamysły wprowadzać w czyn bez specjalnych obaw, choć z naturalną w tych warunkach przezornością. Balunga nadal mi ufał. A przecież nie ma lepszej rękoi sukcesu, niż zaufanie tyrana, którego zamierza się obalić.

Przestawiałem się powoli na terminologię rewolucyjną, co przyszło mi z tym większą łatwością, że gryzienie nie osolonego mięsa - nawet napoczętego przez wodza - doprowadzało mnie do zimnej pasji.

Nie dokończyłem kolacji. Wyrzuciłem mięso przed chatę, bowiem według hierarchii pozostałości po moich posiłkach przypadają Ogunie. Nie mogłem jeść, mimo iż nie czułem się do końca nasycony. Wypiłem kwaśny płyn, który parzyłem z własnoręcznie palonych owoców dzikiej kawy, a później wezwałem do siebie Oguna.

Mój asystent stawiał się bez zwłoki, co nie było niczym nadzwyczajnym, bowiem jego podstawowym zajęciem było oczekiwanie na moje wezwanie. Wiedziałem, że jego pozycja jest łakomym kąskiem dla kilku innych młodych zuchów, którzy też woleliby pić sfermentowany sok kokosowy w cieniu mojej chaty, niż uganiać się po dżungli za dziką zwierzyną. Oguna też o tym wiedział, więc starał się swoje nieliczne obowiązki wykonywać na tyle sumiennie, na ile potrafił. I nie ma tu nic do rzeczy, że odebrałem od niego wcześniej przysięgę, iż wykonywać będzie wszelkie moje rozkazy skrupulatnie, jakby pochodziły od samego Akwawita. Gdy więc Oguna pojawił się w drzwiach, skinieniem przywołałem go bliżej i powiedziałem:

- Mój wierny pocziwcz. Miałem dzisiaj widzenie z Akwawitem... - musiałem przerwać, gdyż na te słowa Oguna padł na twarz, a ja nie lubię prowadzić rozmowy, jeśli nie widzę twarzy mojego rozmówcy.

- Wstań, mój pocziwy Oguno, czeka cię wielka kariera. Akwawit w swojej łaskawości dozwolił mi wejrzeć w przyszłość. Chyba rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak, wielki szamanie, rozumiem każde twoje słowo - odparł drżącym głosem.

- Chcę, żebyś ty pierwszy wiedział, co stanie się z naszym plemieniem.

- Tak, wielki szamanie - skłonił się z największym uszanowaniem.

- No więc słuchaj: nasze plemię będzie potężne jak nigdy przedtem. Czeka nas wspaniałe życie - mówiłem głosem tak natchnionym, że sam poczułem powiew wielkich, tajemniczych spraw. - Wspaniałe życie, pełne fasoli, udźców kozich pieczonych na wolnym ogniu, tłustych kobiet, chętnych do posługi. Najlepsi, a zarazem najwierniejsi synowie plemienia nabędą dodatkowych umiejętności, których nikt

przedtem w plemienu nie znał. Będą mogli zaklinać myśli w znaki na korze i kiedy zechcą, będą mogli te myśli odczytać.

- Nawet cudze myśli? - zapytał z bojaźnią.

- Tak, nawet cudze. Wszyscy będą równi, choć niektórzy będą musieli pilnować tej równości i dlatego będą równiejsi. Czy rozumiesz coś z tego, Oguna?

- Nie, wielki szamanie, ale wierzę głęboko, że masz rację - odparł z nabożną czcią i znów upadł twarzą na ziemię.

Podszedłem do niego i powiedziałem:

- Wstań, albowiem nadszedł czas wielkich spraw. To dobrze, że wierzysz; na tej ufności zbuduję nową przyszłość naszego świetnego plemienia. A Akwawit będzie nam sprzyjał.

Wróciłem na swoje miejsce przy ognisku, tymczasem Oguna wstał z klęczek i zajął miejsce, które mu wskazałem. Zbliżał się najtrudniejszy moment mojej rozmowy. Musiałem bowiem wyznaczyć przynajmniej część swoich zamysłów.

- Jak widzisz, czeka nas wspaniała przyszłość - zacząłem ostrożnie, pilnie obserwując reakcję Oguny - jednak ta przyszłość nie ziści się sama. - Gdy to powiedziałem, twarz Oguny wydłużyła się, więc żeby podtrzymać jego entuzjazm dodałem szybko: - Ziści się naszymi rękami. Sami ją sobie wyrąbiemy maczetą w dżungli przyszłych zdarzeń. - Podobała mi się ta metafora. Postanowiłem ją zapamiętać, bowiem wiedziałem, że będę potrzebował wielu metafor do przyszłych przemówień politycznych.

- Mój poczciwy pomocniku - ciągnąłem dalej. - Umiesz posługiwać się maczetą, prawda?

- Ty wiesz najlepiej, wielki szamanie.

- Istotnie, wiem. Wszak to ty właśnie odrąbujesz głowę bawołu jednym ciosem.

- Na chwałę Akwawita - potwierdził skromnie.

- I umiesz posługiwać się wydłużonymi dzidami, które przygotowałem przeciwko krokodylom?

- Sam kazałeś mi dzidy wypróbować, wielki szamanie; lecą dalej, silniej przebijają... Tak, wiem, jak ich używać.

- To dobrze, to dobrze... Wiedziałem, że czeka cię chwała i zaszczyty. Czy zrobisz wszystko, aby nasze plemię mogło żyć lepiej? Czy zdobędziesz się na to, by wypełnić rozkazy Akwawita? - wysługiwałem się Akwawitem być może ponad miarę, ale wiedziałem, że przynajmniej w pierwszej fazie zamachu stanu rozkazy muszą być wydawane w imieniu kogoś o niekwestionowanym autorytecie. Nawet jeżeli ten ktoś nie istnieje. A taką funkcję z powodzeniem mógł spełniać Akwawit, przynajmniej do czasu, kiedy nie wykształci się nowy niekwestionowany autorytet. I nie ma tu nic do rzeczy, że pomyślałem o sobie, bo tak pomyślałby każdy na moim miejscu.

Oguna nie odpowiedział na moje ostatnie pytanie, tylko pełnym uszanowania gestem wyraził swoje zupełne oddanie. Czuję, że pierwszy krok zakończył się sukcesem. Dysponowałem ślepo oddanym człowiekiem. Na wszelki jednak wypadek dodałem: - Ci, którzy pomyślnie przejdą czas próby, mogą liczyć na szczególną wdzięczność naszego ludu, który nareszcie zostanie wyzwolony z wielowiekowych pęt niewoli.

- Jestem twoim sługą, wielki szamanie.

- Dobrze - powiedziałem. - Mogę ci zatem w największej tajemnicy wyznaczyć, że Akwawit postawił dwa warunki, które musimy spełnić, jeśli chcemy liczyć na jego przychyłność.

- Jakie to warunki, wielki szamanie?

Wstałem, dorzuciłem kilka gałązek do ogniska, i zacząłem chodzić po chacie. Oguna wiernie wodził za mną wzrokiem. Zdawałem sobie sprawę, że zaczynam wkraczać na drogę, z której nie ma odwrotu. Jeśli o obaleniu tyrana myśli jedna osoba, to można to nazwać marzeniem. Jeśli jednak rozmawiają na ten temat dwie osoby, - to już początek zamachu stanu. Wahałem się przez chwilę, czy dokonać tego kroku,

bowiem wiedziałem, że później będę musiał odrzucić wszelkie wahania. Wówczas jednak przypomniała mi się nie dokończona jałowa kolacja, i szybko podjąłem decyzję.

- Mój poczciwy Oguno, muszę cię ostrzec, że jeśli bez mojego wyraźnego zezwolenia dowie się ktoś o naszej rozmowie, to możesz spodziewać się najsroźszej kary Akwawita.

Twarz Oguny spopieliała, a więc moje słowa osiągnęły zamierzony skutek. Grunt już na pewno był przygotowany.

- Teraz mogę wyznać ci owe dwa warunki, które postawił nasz potężny Akwawit. - Oguna patrzył na mnie z pokorą, a jego twarz z wolna przybierała normalną barwę. - A więc po pierwsze: po drugiej stronie rzeki jest gorzkie jezioro.

- Wiem, wielki szamane. Woda w nim przeklęta. Nawet kozy nie chcą jej pić.

- Mylisz się, Oguno, ta woda jest święta. Nie jest ona przeznaczona dla zwykłych ludzi, a tym bardziej dla kóz. To woda naszego boga, to woda życia.

- Na Akwawita, wielki szamane! - szepnął ze zdumieniem Oguna.

- Tak mi powiedział potężny Akwawit, który gniewa się, że do tej pory nie zrozumieliście, iż jest to jego ulubiona woda. Powiedział mi też, że kto będzie jej umiejętnie używał, będzie wolny od wszelkich chorób, a zwłaszcza od wypadania zębów i paznokci. To woda, którą Akwawit przeznaczył dla naszego plemienia.

- Wielki szamane, ta woda jest na drugim brzegu Wielkiej Rzeki. Tam żyje plemię Amelungi, to jego tereny. A w rzece - krokodyle.

- Wielka przyszłość jest niemożliwa bez wielkich czynów, mój poczciwy Oguno. To trudny warunek, wiem, ale Akwawit jest z nami. Drugi warunek jest jeszcze trudniejszy - znów dorzuciłem kilka gałązek do przygasającego ogniska i nalałem sobie trochę kawy. Oguna z nabożeństwem obserwował moje gesty.

- Drugi warunek - ciągnąłem dalej, starając się nadać mojemu głosowi możliwie obojętne brzmienie - to usunięcie Balungi, na którego Akwawit bardzo się gniewa.

- Wielki szamane! - jęknął Oguna i po raz kolejny padł na twarz. - To niemożliwe! Wielki Balunga jest strzeżony przez trzy złe duchy, zaklęte w amulety, które wiszą u jego drzwi. Sam mówiłeś, szamane, że te amulety lepiej strzegą Balungę niż zastęp wojowników, bo ktokolwiek podniósłby na niego rękę, padnie rażony piorunem.

- Wstań, mój poczciwy Oguno, i słuchaj, co mam do powiedzenia.

Usiadł posłusznie, ale nie mógł opanować drżenia, wywołanego moimi słowami. Dałem mu kubek kawy, z którego pociągnął chciwie kilka łyków. Ja tymczasem wyciągnąłem ze schowka rewolwer, mocno już nadgryziony rdzą.

- Czy pamiętasz ten amulet?

- Tak, wielki szamane.

- Czy pamiętasz, kiedy wyszedł z niego piorun?

- Tak - szepnął.

- To ja wysłałem ten piorun.

- Pamiętam.

- Kto więc ma władzę nad piorunami?

- Ty, wielki szamane.

- Jeśli ja mam władzę nad piorunami, to jakże którykolwiek z nich mógłby porazić mojego wysłannika?

- Zaiste, wielki szamane, to niemożliwe, chyba żebyś sam tego chciał.

- Właśnie! A więc i drugi warunek, postawiony przez Akwawita, nie jest tak trudny, jak z pozoru wygląda.



- Jesteś wielki, szamanie.

Usiadłem i odetchnąłem z ulgą. Kolejny krok został zrobiony.

- A teraz do rzeczy. Słuchaj uważnie, mój poczciwy sługo.

- Słucham, wielki szamanie.

- Którzy z młodych wojowników są dzielni i zasługują na zaufanie Akwawita?

- Wszyscy.

- Tak, wiem - odparłem niecierpliwie. - Zastanów się jednak, którzy z nich gotowi byliby na wykonanie warunków postawionych przez Akwawita a także moich rozkazów?

Oguna zmarszczył czoło.

- Potrzebuję na początek nie więcej niż czterech-pięciu młodych zuchów, którzy unieszkodliwią straż przyboczną Balungi.

- Chyba mam takich - odparł po długiej chwili namysłu.

I rzeczywiście, jeszcze tej samej wczesnej nocy stawiło się w mojej chacie czterech zuchów, gotowych na wszystko, a zwłaszcza na wszystko to, co się dobrze kończy. Dwaj bracia Oguny, jego szwagier oraz syn ciotecznego brata szwagra matki pierwszej żony Balungi, którego nasz wódz od niejakiego czasu nie wiedzieć czemu pomijał w rozdziale łupów myśliwskich. Ten ostatni chłopak, o ponurym wejrzeniu, był szczególnie cennym nabytkiem. Straż przyboczna Balungi przyzwyczajona była do jego obecności w pobliżu chaty wodza. Ponadto chłopak ów znał doskonale plemię po drugiej stronie rzeki, bowiem przywędrował tu jako część posagu pierwszej żony wodza, a jego - jeśli dobrze rozwikłałem skomplikowane powiązania rodzinne - przyrodniej siostry ciotecznej w drugiej linii. Zaraz też wypytałem go jak się nazywa (Seko, a tak, Seko, pamiętam, chłopcze, pamiętam), jak się czuje i czy umie posługiwać się bronią. Zapewniłem go też, że od tej pory nareszcie będzie uzyskiwał należną mu część łupów, albowiem zamierzam wszystkich wynagradzać według zasług dla budowania nowej wspaniałej przyszłości naszego plemienia.

Egzamin wypadł pomyślnie dla niego, a także dla pozostałej trójki. Postanowiłem więc, w obecności Oguny, którego mianowałem ich dowódcą, wydać im rozkazy, które powinni wykonać jeszcze tej nocy. Zgodzili się chętnie, a nawet z pewną dozą entuzjazmu. Widocznie Oguna należycie przygotował ich apetyty na przyszłe gratyfikacje.

Gdy wyszli, położyłem się spać, aby w razie niepowodzenia być tak samo zaskoczony i oburzony, jak reszta starszyny plemienia. Sen jednak nie nadchodził, co w tej sytuacji wydaje się zrozumiałe.

Silniej niż zazwyczaj docierały do mnie odgłosy nocnego życia dżungli. Piski. - skowyty, chrząkania, nagły łopot skrzydeł - wszystko to zlewało się w jedną kakofonię dźwięków, przy której normalnie zasypiałem. Lecz dzisiaj snułem trwożne myśli o możliwych konsekwencjach niepowodzenia. Utrudzony czuwaniem zapadłem w stan pół jawy, pół snu; wydawało mi się, że idzie po mnie przyboczna straż, aby rzucić mnie na pożarcie hienom, których chichoty pobrzmiwały tu i ówdzie. Otrząsnąłem się z przywidzeń i znów zapadłem w półsen. Ognisko zupełnie przygasło. Ponownie usłyszałem jakieś kroki. Tym razem, po otrzeźwieniu, słyszałem je nadal. Jakaś grupa ludzi w milczeniu zbliżała się do mojej chaty. Pod lewą łopatką, miast serca, czułem polny kamień, który z głuchym łomotem tłukł się po żebrach. Powinienem zrobić EKG - pomyślałem machinalnie, co wskazywałoby na to, że niezupełnie otrząsnąłem się z sennych majaków. Kroki zbliżały się. Mimo iż noc była chłodna, po plecach spływały mi strużki potu. Grupa milczących ludzi była już blisko. Zaszyłem się w kąt chaty ściskając w ręku rewolwer i pilnie obserwowałem drzwi. Po chwili mata się uchyliła.

W drzwiach stanął Oguna, wspierając się na dzidzie mojego pomysłu.

- Wielki szamanie, stało się według twej woli.

- Balunga?

- Błaga cię, wielki szamanie, o łaskę i pragnie ze wszystkich sił, abyś uczynił go swym osobistym służącym.

- Straż przyboczna?

- Jest gotowa wiernie ci służyć, choć na razie leży powiązana i czeka swojego losu.

- Dobrze, mój zacny Oguno. Bardzo dobrze. Dzielnie się spisałeś i dlatego od dziś mianuję cię komendantem strażników nowego ładu, a zarazem głównym wykonawcą moich rozkazów - odłożyłem dyskretnie rewolwer do schowka i wytarłem rdzawe plamy, które przylgnęły do mojej spoczonej dłoni.

Oguna skłonił się nisko i czekał na dalsze rozkazy. Nie przypuszczałem, że wszystko potoczy się aż tak szybko i zmuszony byłem improwizować, aby nie stwarzać niekorzystnego wrażenia, iż sam jestem nieco zaskoczony tym, co się stało. Zamach stanu udał się i należało coś z tym fantem zrobić. Był to mój pierwszy zamach stanu, więc wydaje się naturalne, że nie czułem się zbyt pewnie w roli dyktatora. Na wszelki wypadek przybrałem pozę, jaką miewają politycy na oficjalnych portretach, aby chociaż w ten sposób dać do zrozumienia, że nie tylko panuję nad wydarzeniami, ale nawet dokładnie przewiduję ich przebieg.

- Dziś o wschodzie słońca zgromadzisz całą starszyznę plemienia, a także wszystkich wojowników. Na miejsce zbiórki wyznaczam plac przed chatą Balungi. Tam nastąpi uroczyste przekazanie mi władzy.

- Rozkaz, wielki szamanie. Przyniesiemy Balungę, kiedy tylko dasz znak.

- Jak to, przyniesiecie? Czyżby nie mógł sam chodzić?

- Jest związany...

- Więc go rozwiążcie - powiedziałem i zaraz dodałem szybko: - Wystarczy, jeśli rozwiążecie go tuż przed samą ceremonią.

- Rozkaz, wielki szamanie.

- I dajcie mu do zrozumienia, że nie powinien psuć tak podniosłej chwili jakimiś nieodpowiedzialnymi wybrykami. Jeśli oczywiście nadal chce żyć.

- Stanie się jak każesz, wielki szamanie - odparł i skierował się do wyjścia.

- Jeszcze jedno, mój poczciwy Oguno - zatrzymałem go skinieniem. - Prywatnie, między nami, możesz nadal tytułować mnie wielkim szamanem. Jednak oficjalnie nie wolno się do mnie zwracać inaczej, jak Wielki Wodzu. Nasz nowy ład, w imię którego zrzuciliśmy tyrana, zasługuje chyba na Wielkiego Wodza, prawda?

- Tak jest. Wielki Wodzu - odparł Oguna bez drgnienia powieki.

- Liczę na ciebie, mój komendancie - powiedziałem, aby zaakcentować również jego nową godność.

- Nie zawiodę zaufania - odparł z niezwykłą u niego pewnością siebie. Widocznie już zaczynał przyzwyczajać się do swojego nowego, szacownego stanowiska.

Do wschodu słońca nie było daleko; zatem nie kładłem się już spać. Zresztą i tak bym nie zasnął.

Ceremonia uroczystego przekazania władzy odbyła się w podniosłym nastroju. Nie było żadnych zakłóceń ze strony nie uświadomionych elementów. Dla dodania sobie powagi wystąpiłem z rewolwerem w rękę, a kiedy Balunga przekazał mi swe amulety wodzowskie, a nade wszystko - butelkę, z której rytualnie wypilem kilka łyków wody, zatknąłem rewolwer za pas i udałem się w kierunku mojej chaty. Towarzyszyła mi moja przyboczna gwardia, a za nią ruszyła reszta. Jeden Balunga pozostał tego dnia w chacie.

Kiedy powiesiłem insygnia władzy nad drzwiami swojej chaty, zaś butelkę umieściłem w tym samym schowku co rewolwer, starszyzna, a za nią cała ludność, wydała spontaniczny okrzyk zachwyty. Po tym punkcie programu, na mój dyskretny znak, gwardia zaczęła rozdawać zapasy suszonego mięsa, które zgromadził dla siebie przezorny Balunga. Oficjalny zachwyty przemienił się w owacje i wiwaty. Tymczasem gwardia znów zgromadziła się wokół mnie, aby ochraniać moją osobę od zbyt natarczywych

objawów radości wyzwolonego ludu. Stali ci wspaniali chłopcy, uzbrojeni w dzidy mojej konstrukcji. Twarze mieli marsowe, ale wiedziałem, że to maska, jaką przystoi wkładać prawdziwym wojownikom na podniosłe uroczystości, zaś pod nią kipi radość i ulga, że stanęli po właściwej stronie we właściwym czasie.

Zaraz po moim inauguracyjnym przemówieniu, w którym zapowiedziałem wyprawę nad rzekę, rozpoczęły się tańce. Świątowano do późnej nocy. Oguna nie tracił czasu na próżne zabawy i od razu przystąpił do formowania oddziału wojowników zgodnie z moimi wskazówkami.

Nie minęły trzy dni, gdy zbudowane zostały zręby nowej społeczności. A więc przede wszystkim Oguna sformował niewielką, ale wspaniałą armię, wyposażoną w nowe, wydłużone dzidy. Po wtóre - Seko zorganizował specjalny oddział wojowników przeznaczony do ochrony ładu i porządku. Po trzecie, sam osobiście zreformowałem - przy pomocy oddziału specjalnego - Radę Starszych, która od tej chwili nazywała się Radą Plemienia, bowiem usunąłem siedemdziesiąt procent konserwatywnych starców, a na to miejsce wprowadziłem młodych, żądnych działania zuchów, na których mogłem polegać, bo swój awans zawdzięczali nowemu porządkowi, czyli mnie.

Zgodnie z moją rekomendacją, przewodniczącym Rady został wybrany Oguna. Nie ma potrzeby dodawać, że był to wybór jednomyślny. Stanowisko szamana zachowałem dla siebie. Zrobiłem to zresztą na wyraźne życzenie mojego ludu i nieistotny jest fakt, iż propozycję tę podsunąłem szeptem Ogunie. Chłopak nie miał jeszcze zbyt dużego doświadczenia w sprawach państwowych i musiałem mu od czasu do czasu pomagać.

Teraz mogłem zupełnie serio pomyśleć o tym, że zjedzenie dobrze posolonego udźca kozłęcia jest niezbyt odległe.

Nazajutrz, skoro tylko Oguna zgromadził swych podkomendnych, zarządziłem ćwiczenia wojskowe. Wprawdzie sam do szpiku kości byłem cywilem i nigdy nie przeszedłem nawet szkolenia rekruckiego (ze względu na stan zdrowia i wuja w Sztabie Generalnym), ale przecież pamiętałem jeszcze - telewizyjne reportaże z poligonów wojskowych i defilad. Komendy wynalazłem naprędce: krótkie, dźwięczne, zapowiadające zupełnie nowy okres w dziejach wojownictwa naszego plemienia. Wygłosiłem także stosowną przemowę o przewadze nowoczesnej broni, w którą wyposażylem wojowników, co znakomicie podniosło morale mojej wspaniałej armii.

I od tego dnia, przez tydzień, prowadzone były ćwiczenia, które sam - od czasu do czasu - obserwowałem podczas uroczystych inspekcji.

Wojownicy doszli szybko do dużej wprawy w przebijaniu kukieł krokodylich zarówno na lądzie, jak i pod wodą. Nadszedł czas wielkich zmagania z prawdziwymi krokodylami. Wojownicy Oguny, żądni sławy, z entuzjazmem czekali tej chwili. Nie były to wcale moje powierzchowne przypuszczenia. Nastroje te przezierały również przez raporty, które codziennie rano składał mi Seko.

Dzień wyprawy nad Wielką Rzekę wybrałem starannie, zapowiadając w kolejnym uroczystym przemówieniu, że Akwawit jest z nami i z niecierpliwością czeka, aż rozprawimy się z tymi bezbożnymi gadami, które od dwóch blisko lat bezczeszczą święte wody Wielkiej Rzeki.

Wyruszyliśmy o świcie; w szyku, który nakazywała naturalna w tych warunkach ostrożność. Najpierw mały oddział zwiadowczy, składający się z najlepszych biegaczy plemienia. Zwiadowcy prowadzili pluton kóz, a właściwie - kozłów ofiarnych, na które miał się skierować pierwszy impet krokodylej żarłoczności. Pół kilometra za nimi posuwały się główne siły armii, potem ja - w ścisłym otoczeniu mojej przybocznej gwardii, a za mną reszta plemienia. W tak uroczystym dniu w chatkach pozostali tylko ci, którzy nie mogli chodzić, a więc niemowlęta i starcy złożeni chorobą. I, rzecz jasna, Balunga, którego na wszelki wypadek kazałem zamknąć; bo chociaż wielokrotnie dał dowody lojalności, a nawet oddania, wolałem nie ryzykować jakichś jego nieodpowiedzialnych wichrzyielskich wybryków w przypadku

niepowodzenia wyprawy.

Kozły ofiarne opierały się, szarpały, co należało złożyć na karb ich słabego uświadomienia politycznego. Nie rozumiały zaszczytnej funkcji, jaka została im powierzona, i dlatego nieco opóźniały nasz pochód.

W końcu jednak oddział zwiadowców zniknął w przybrzeżnych zaroślach, gdzie od dwóch lat nie stanęła ludzka stopa. Główny rzut sił zbrojnych krok za krokiem zbliżał się do niebezpiecznej strefy. Serce zaczęło mi mocniej bić. Zbliżał się moment zasadniczych rozstrzygnięć.

Minęło jednak kilka dobrych chwil, a z zarośli nie wyłonił się nikt. Było niemal niemożliwe, aby wszyscy zwiadowcy zostali natychmiast pożarci. Byli to przecież młodzieńcy, którzy celowali w szybkim oddalaniu się z niebezpiecznych miejsc. Poczułem się trochę nieswojo. Kazałem Seko zacieśnić szyki, zaś Ogunie dałem znak rozpoczęcia ataku. Armia, wywijając dzidami, wpadła z krzykiem w zarośla. Wkrótce jednak krzyk ten zamarł i już nic nie słyszeliśmy.

Dostojni członkowie Rady Plemienia zaczęli spoglądać na mnie lękliwie, a kobiety, zamykające nasz pochód, na wszelki wypadek podniosły lament. Z minuty na minutę morale spadało. Już nawet członkowie mojej przybocznej gwardii zaczęli spoglądać na siebie niespokojnie.

Gdy usłyszałem trwożne szepty, wśród których, najczęściej powtarzało się twierdzenie, że nie uszedł ani jeden żywy, postanowiłem rzucić na szalę cały swój autorytet.

Krzyknąłem do Seko:

- Za mną!

Wpadłem w zarośla pierwszy. Nie miałem czasu na oglądanie się, ale z ulgą słyszałem za sobą trzask łamanych gałązek. Gwardia nie zawiodła.

Przebiegłem zarośla z dzidą gotową do ataku i znalazłem się na podmokłym brzegu Wielkiej Rzeki. Oczom moim ukazał się niesamowity widok. Ludzie z oddziału zwiadowczego, przemieszani z głównymi siłami armii, krążyli tuż nad wodą pilnie czegoś wypatrując. Porzucone kozły ofiarne spokojnie szczypały trawę.

Wezwałem Ogunę, który stawił się natychmiast i służbiście zameldował:

- Wielki Wodzu! Nie ma krokodyli na lądzie. W wodzie znaleźliśmy tylko jednego, i to w dodatku ślepego. Nie ustajemy jednak w poszukiwaniach.

- Tego się spodziewałem - powiedziałem na wszelki wypadek i dałem mu znak aby odszedł do swoich zajęć. Tymczasem sam przemyślałem, jak by z tego zbiegu okoliczności uczynić sukces militarny.

Jeszcze tego samego dnia zwołałem wiec, którego głównym punktem było moje przemówienie, poprzedzone triumfalnym pochodem zwycięskiej armii.

Przywiązywałem wielką wagę do ceremonialnej oprawy każdej plemiennej uroczystości. Wiedziałem bowiem, że nic nie zapada silniej w pamięć spólstwa niż wielkie ceremonie; są one odbierane jako znak powagi, stabilizacji i dobrych perspektyw na przyszłość. Wszak przegrani lub nawet tylko zagrożeni nie organizują żadnych uroczystości.

Godzi się też dodać, iż uroczystości te pełniły zarazem dodatkową funkcję w podnoszeniu na wyższy poziom demokracji w naszym plemieniu. Wprowadziłem obyczaj, który szybko się utrwalił, że w czasie uroczystości każdy członek plemienia mógł zadawać pytania i wyrażać swoje opinie o polityce Wielkiego Wodza. Zawsze byłem - zwolennikiem demokracji bezpośredniej i w tym właśnie kierunku zacząłem prowadzić wychowanie mojego ludu.

Pewne czysto techniczne szczegóły były przyczyną tego, że mechanizm zadawania pytań i wyrażania swoich opinii musiał być jakoś zorganizowany. Łatwo sobie wyobrazić co by było, gdyby nagle wszyscy zaczęli zadawać pytania i mówić, co myślą. Powstałby chaos, a w konsekwencji naruszenie powagi

urzędu, który dla dobra plemienia sprawowałem. Dlatego też Seko był odpowiedzialny za to, by nie został naruszony porządek i dobre obyczaje. Więc wyznaczał tych, którzy mieli zadawać pytania i wkrótce wyznaczenie do zadania pytania stało się jednym z najzaszczytniejszych wyróżnień w naszej społeczności. Ponieważ pytania mieli zadawać przedstawiciele wszystkich warstw, a nie wszyscy wiedzieli o co pytać, została przygotowana przez Radę Plemienia lista standardowych pytań i opinii na różne ważniejsze uroczystości. Wszyscy więc mogli brać udział w demokratycznym dialogu bez obawy, że ich wystąpienia okażą się niedojrzałe politycznie. Było to wielkie osiągnięcie na polu reform społecznych. Zresztą każda uroczystość utwierdzała mnie i wszystkich pozostałych w przekonaniu, że idziemy we właściwym kierunku. Podejmowane inicjatywy cieszyły się jednomyślnym poparciem wszystkich członków plemienia. Nigdy nie spotkałem się z pojedynczą choćby opinią, która zawierałaby pogląd przeciwny.

Nie inaczej było i tym razem. Wygłosiłem przemówienie, w którym podałem do publicznej wiadomości, że dzięki pomocy Akwawita przepędziłem wcześniej wszystkie krokodyle pewnym osobliwym zaklęciem, zaś dzisiejsza wyprawa udowodniła, że nawet gdybym nie uciekł się do pomocy zaklęcia, to i tak nasza dzielna armia zrobiłaby z nimi porządek. Zbyt jednak miłuję swój lud - mówiłem - bym miał go narażać na niepotrzebne ryzyko. Przemówienie moje zostało przerwane na chwilę niekłamany wybuchem entuzjazmu. Gdy się uciszyło, ogłosiłem oficjalnie, iż tereny przybrzeżne zostały ponownie włączone do prastarego terytorium naszego plemienia. Przemówienie zostało przyjęte spontanicznymi wybuchami radości, jak zwykle w przypadku zysków terytorialnych. Postanowiłem, że kozły ofiarne zostaną zjedzone na uroczystej uczcie na cześć nowego porządku, który otworzył przed plemieniem nowe perspektywy. Seko z trudem uspokajał najbardziej rozentuzjasmowanych.

Mogłem spokojnie wypuścić Balungę; już nie był groźny.

Uczta trwała do późnej nocy. Śpiewom i tanecznym korowodom nie było końca. Lubiłem patrzeć, jak mój lud się bawi. Tylko jedna rzecz nadal psuła mi humor: brak soli.

Następnego dnia, po jałowym śniadaniu, składającym się z prażonej fasoli i koziego mleka, kazałem nawiązać łączność z plemieniem po drugiej stronie rzeki. Zadanie to okazało się jednak trudniejsze, niż przypuszczałem. Wszystkie tam-tamy plemienne były niezdatne do użytku.

Podobnie zresztą jak pirogi, które zdążyły zupełnie zgnić w otoczeniu krokodyli.

Zaraz też po śniadaniu wyznaczyłem brygady remontowo-budowlane; część zajęła się konstrukcją nowych tam-tamów (bo czymże jest sprawowanie władzy bez najniezbędniejszych środków łączności?), część skierowana została do remontu pirog, zaś dla siebie kazałem zbudować specjalną jednostkę pływającą, odpowiednio większą i napędzaną nie tylko wiosłami, lecz również żaglami mojego pomysłu. Wszak moja piroga miała pełnić funkcję jednostki flagowej.

Prace te zajęły wojownikom cały tydzień, mimo ponagleń Seko i jego dziarskich chłopców. Kiedy byliśmy gotowi do wyprawy, Oguna otrzymał polecenie nawiązania łączności i uprzedzenia, że wybieramy się z wizytą dobrej woli. Pamiętam ten przyjemny wieczór nad brzegiem Wielkiej Rzeki i urywane dźwięki tam-tamu, które niosły na drugi brzeg wiadomość o naszej rychłej przyjacielskiej wizycie.

Blisko godzinę Oguna bezskutecznie wywoływał drugi brzeg, gdy wreszcie usłyszeliśmy odpowiedź.

Spojrzałem niecierpliwie na stojącego obok mnie Seko, który natychmiast zaczął tłumaczyć:

CIE-SZY-MY-SIE-Z-NA-WIĄ-ZA-NIA-ŁĄCZ-NOŚ-CI MY-TEŻ-PRZE-PE-DZI-LIŚ-MY-KRO-KO-DY-LE-CHCE MY-ROZ-MA-WIAĆ-Z-BA-LUN-GĄ-BRAT-AME-LUN-GA.

Treść tej depechy nieco mnie zdezorientowała. Zwróciłem się więc do Oguny: - Czy Amelunga jest rzeczywiście bratem Balungi?

- Oni są spokrewnieni przez matki ze strony ojców. Co odpowiedzieć?

- Odpowiedz, że macie nowego, wielkiego wodza, który też jest bratem Amelungi.

Znów zawarczał tam-tam pod wprawnymi rękami Oguny. Po chwili ciszy nadleciała niesiona wiatrem odpowiedź:

CHCE-MY-ROZ-MA-WIAC-Z-BA-LUN-GA.

Zezłościła mnie ta uparta odpowiedź, a przy tym przywoływała niepotrzebne wspomnienia z przeszłości. Kazałem zakończyć seans łączności. Wróciliśmy do wioski i zwołałem naradę najściślejszego sztabu, to znaczy - wezwałem do siebie Ogunę i Seko.

Skoro tylko się zjawili, zacząłem w te słowa:

- Jeśli nie spełnimy drugiego warunku postawionego przez Akwawita, jego przychylność może się od nas odwrócić. Musimy zdobyć gorzkie jezioro, taki jest nakaz chwili. A poza tym, czyż możemy pozwolić, aby nasi bracia za rzeką jęczeli pod jarzmem rządów Amelungi, skoro wyzwoliliśmy się spod tyranii Balungi?

- Nie możemy na to pozwolić - odparli zgodnie.

- No właśnie. Byłby to policzek dla naszego nowego ładu. - Zapalałem się coraz bardziej. - Byłoby największym egoizmem z naszej strony, gdybyśmy zdobył nowego ładu chowali tylko dla nas. Czyż nasi bracia za Wielką Rzeką nie zasługują na lepsze życie?! - krzyknąłem, bo wiedziałem, że nic nie ma takiej siły przekonywania, jak krzyk.

- Zasługują! - potwierdzili obaj, pełni gotowości.

- Mam pewien plan - ciągnąłem dalej - który jest prosty, a jego wykonanie nie powinno sprawiać żadnych kłopotów tak znakomitym wojownikom jak wy.

- Słuchamy cię, Wielki Wodzu - rzekł Seko z przejęciem.

- Musimy działać szybko, bo wieść o nieroztropnej odpowiedzi Amelungi rozniesie się po naszym plemienu i zamąci w głowach umiłowanego ludu.

- Tak jest!

- Będziemy więc działać w następujący sposób - zniżyłem głos, aby moje najtajniejsze dyrektywy nie dostały się do niepowołanych uszu. - Ty, Seko, znasz swoje plemię doskonale. Masz tam wielu krewniaków, przy których pomocy pokażesz naszym braciom zza rzeki, że można żyć lepiej, czyli tak jak my żyjemy. Oczywiście napotkasz opór starych, konserwatywnych elementów z Amelungą na czele. Wówczas wezwiesz nas na pomoc. Czy wszystko jest jasne?

- Tak jest. Wielki Wodzu. Zrobię, jak każesz.

- W razie powodzenia, w które nie wątpię' - dodałem - będziesz pełnił funkcję zaprzyjaźnionego z nami wodza naszych braci zza rzeki. Czy to ci odpowiada?

- Tak, Wielki Wodzu - odparł szybko. - Amelunga nigdy mnie nie lubił i dlatego przy pierwszej nadarzącej się okazji pozbył się mnie ze swojego plemienia. Ale nadszedł czas zapłaty: podzieli los Balungi. Zasłużył na to - dodał mściwie, a ja zdobyłem przekonanie, że włoży całą swoją energię w wykonanie powierzonego mu zadania.

Seko wyruszył na drugi brzeg jeszcze tej samej nocy. Dwa dni czekaliśmy na jakiś sygnał od niego, ale drugi brzeg milczał uparcie. Trzeciego dnia, w porze przedwieczornej, najlepszej do nadawania, poszedłem z Oguną na brzeg i kazałem wysłać następującą depezę:

DO-WIE-DZIE-LIS-MY-SIE-ZE-MA-CIE-TRUD-NOŚ-CI-JUT-RO-WY-SY-ŁAM-PO-MOC.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast:

WSZEL-KA-PO-MOC-ODEP-RZE-MY-NA-SZA-AR-MIA-JEST-W-PO-GO-TO-WIU.

Ogromnie zatroskała mnie ta odpowiedź; oznaczało to bowiem, że Seko nie zdołał jeszcze opanować środków masowego przekazu. Obawiałem się o jego los, bo był znakomitym kandydatem na zaprzyjaźnionego wodza. Wydałem więc niezbędne rozkazy do podjęcia przyjacielskiej wyprawy

nazajutrz przed świtem. Oguna zajął się techniczną stroną przygotowań.

Wyruszyliśmy na godzinę przed wschodem słońca. W rzędniejących z wolna ciemnościach spoglądałem z dumą na moją flotę; wyglądała imponująco. Wojownicy byli pełni zapału. Wszak tam, po drugiej stronie rzeki, były kobiety, które zostały przyobiecane im jako żony. Ich zapał podwyższyło moje ostatnie zarządzenie, likwidujące okup za żonę z zaprzyjaźnionego plemienia.

Desant odbył się sprawnie i bez specjalnych kłopotów. Armia Amelungi, mimo zapewnień o gotowości, jeszcze spała. Jedyne gwardia przyboczna starego wodza stawiała, słaby zresztą, opór. Wydłużone dzidy mojej konstrukcji jeszcze raz wykazały swoją wyższość nad tradycyjnym uzbrojeniem.

Nigdzie jednak nie napotkaliśmy Seko. Nie było też widać żadnych śladów jego działalności. Początkowo Amelunga zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek o bytności Seko w tych stronach. Kiedy jednak kazałem go przesłuchać przez członków mojej przybocznej gwardii, język mu się rozwiązał i przypomniał sobie, że istotnie, widział Seko, a nawet kazał go uwięzić w jednej z pieczar nad rzeką. Wysłałem dwóch ludzi ze swojej gwardii, aby czym prędzej uwolnili Seko, zaś Amelundze nakazałem abdykację. Uczynił to bez zwłoki, co poczytałem mu za okoliczność łagodzącą. Dlatego też Trybunał Wojskowy, zorganizowany przez uwolnionego Seko, skazał Amelungę tylko na banicję, zaś pełnię władzy przekazał Seko.

Oguna, na prośbę nowego wodza, oddał mu do dyspozycji część armii, aby pomóc mu w zorganizowaniu własnych sił zbrojnych.

Z całą tą formalną robotą uwinęliśmy się dość szybko. Mogłem nareszcie udać się nad Gorzkie Jezioro, zaproszony zresztą oficjalnie przez Seko, który namawiał mnie do kilkudniowego wypoczynku po trudach wyprawy. Chętnie przystałem na jego propozycję.

Po raz pierwszy po długiej przerwie jadłem tego dnia solone potrawy.

Dni płynęły leniwie; Seko robił wszystko, abym czuł się komfortowo. Tymczasem Oguna, w moim zastępstwie, sprawował rządy w swojej rodzinnej wiosce. Po obu stronach rzeki zapanował pokój i współpraca. Tubylcy, idąc moim śladem, zaczęli jeść solone potrawy. Wkrótce tak do tego przywykli, że nie wyobrażali sobie innego smacznego jedzenia, jak solone.

Pozostałbym pewnie w gościnie u Seko dłużej, gdyby nie coraz bardziej zastanawiające zachowanie Oguny. Miast samorzutnie przysyłać mi raporty o sytuacji w wiosce, czynił to od kilku dni tylko na moje wyraźne żądanie. Ponadto, przestał w raportach tytułować mnie „Wielkim”. Postanowiłem niezwłocznie powrócić. Ponieważ uczyniłem to bez uprzedzenia, zastałem Ogunę na jakimś zwołanym przezeń zebraniu jego najbardziej zaufanych krewniaków, którymi poobsadzał ważniejsze stanowiska w armii. Rzekomym celem tego zebrania było podniesienie morale armii, które spadało w zastraszającym tempie. Ponieważ - jak mówił Oguna - w okolicy nie ma teraz żadnych wrogów, armia wyraźnie gnuśniała. Przypomniał mi, że to właśnie w mojej doktrynie wojennej znajduje się pouczenie, że armia bez wroga przestaje istnieć; powoli, choć systematycznie toczy ją demoralizacja. Może istotnie o czymś takim wspomniałem, ale przecież warunki zmieniły się diametralnie. Teraz już nawet dziecko nie bało się Balungi, więc nie mógł on dłużej pełnić roli wroga, który integrowałby armię wokół wspólnego celu.

Manewry też się armii znudziły, zaś Oguna uparcie twierdził, że armii potrzebny jest autentyczny wróg. Wyglądało to na pozór logicznie i gotów byłbym przyznać Ogunie rację, gdyby nie zdarzenie, które napełniło mnie obawą, bowiem przejrzałem zamysły mojego wychowanka.

Którejś nocy zniknął mój zardzewiały rewolwer i butelka. Zrozumiałem wówczas, że Oguna już znalazł wroga, który uratuje jego armię.

Tym wrogiem miałem być ja.

Nie zwlekając ani chwili, załadowałem pod osłoną ciemności moją flagową jednostkę niezbędnymi zapasami żywności i broni i odbiłem od brzegu. Miałem dziwne przeczucie, że byłoby wielką

neroztropnością z mojej strony czekanie poranka i wyjaśnianie sprawy zaginionych przedmiotów.

Ruszyłem w dół rzeki w nadziei, że może uda mi się dołączyć do kompanii lotników, którzy mieli zamiar założyć osadę poniżej Zwrotnika Koziorożca.



## Teatr

Gdy tylko zobaczyłem Joannę w drzwiach, wiedziałem, że nie wraca prosto z pracy. Zazwyczaj jest wtedy przygaszona, a tym razem policzki miała zaróżowione, na twarzy błąkał się jakiś uśmiech, jakby była po drinku. Rzuciła torebkę na kanapę, wyrwała mi gazetę z ręki i powiedziała:

- Idziemy dzisiaj do teatru.

- Joasiu, ale...

- Cudem dostałam bilety. Nie cieszysz się? - spojrzała na mnie uważnie., a twarz jej spoważniała.

- Wiesz... To bardzo miłe z twojej strony - odparłem niepewnie. - Ale przecież byliśmy w teatrze miesiąc temu.

- No to co?

- Zaliczyliśmy przecież normę aktywności kulturalnej i nikt nie może się do nas przyczepić.

- Nic nie rozumiesz, głuptasku - zmierzwiła mi włosy, co czyniła zawsze, gdy czuła nade mną przewagę. - To nie jest zwykły teatr. Idziemy tam nie po to, aby wyrobić normę (choć i tego nie można lekceważyć), ale dlatego, że sami tego chcemy.

- Rozumiem - bąknąłem. Zupełnie nie miałem ochoty na wychodzenie z domu. Chciałem obejrzeć transmisję telewizyjną z walki skrzywdzonego o jego słuszne prawa. Miała to być transmisja na żywo i bez podstawionych aktorów. Zapowiadała się więc rozrywka ciekawa, jak mecz piłki nożnej. Gdyby to było jeszcze pół roku temu, to powiedziałbym po prostu, że nie idę i koniec. Zresztą wtedy Joanna była inna. Tak, ale to było przed wypadkiem drogowym. Ledwie z tego wyszła.

- Jadłeś obiad?

- Tak, Joasiu. A ty?

- Nie miałam czasu. To przez te bilety - dodała. - Zjem coś w domu.

- W lodówce powinno być jeszcze kilka standardowych obiadów.

- Jestem taka zmęczona - rzuciła się na kanapę. - Przygotuj mi, kochanie.

Wstałem i udałem się do kuchni. Wrzuciłem do preparatora jedno opakowanie i zaprogramowałem go na najwyższą temperaturę. Joanna lubiła jeść gorące posiłki. Byłem zły, ale starałem się nie okazywać tego. Od czasu wypadku Joanna często miewała różne dziwne pomysły. Nie dalej jak przedwczoraj wyjechaliśmy popatrzeć na zachód słońca w lesie. Marcin oczywiście z entuzjazmem przyjął propozycję Joanny, bo nie musiał ślęczeć nad telewizyjnymi zadaniami z przyrody. Twierdził, że w lesie zobaczy to samo, co w telewizji, ale skąd takie dziecko może wiedzieć, na co należy patrzeć? W telewizji wszystko pięknie pokazują; zbędne szczegóły są wykadrowane. Zajmują się tym przecież fachowcy. A w lesie? Tyle tego wszystkiego, że właściwie nic nie widać. A przy tym nie ma slow motion i jak takie dziecko może zobaczyć, jak pracują skrzydła ptaka czy nogi skaczącego kangura? Nie podobało mi się to, ale nie miałem wyjścia. Musiałem się zgodzić. I dzisiaj też będę musiał się zgodzić. Bo Joannie należą się specjalne względy.

Po wypadku doszła do wniosku, że jej dotychczasowe życie było jałowe. Jałowe, rozumiecie. Mąż w domu, dziecko kończy dziewięć lat, praca zawodowa układa się dobrze, w lodówce niczego nie brakuje i to się nazywa „jałowe życie”. Byłoby to śmiechu warte, gdyby nie ten wypadek. Joanna doszła do wniosku, że najwyższy czas zacząć życie pełną parą, bo nigdy nie wiadomo, kiedy to życie może się

zakończyć. Myślałem początkowo, że lekarze Coś spaprali. Miała przecież tyle urazów głowy. Ale nie, wszystkie badania wypadły pomyślnie. Czaszka zasklepiła się prawidłowo, mózg nie doznał żadnych uszkodzeń. Powinna być taka jak dawniej, a jednak była inna. Lekarze zapewniali mnie poufnie, że stan ten ma charakter przejściowy, a tymczasem - mam udawać entuzjazm, albo przynajmniej zainteresowanie, bo Joanna powinna unikać sytuacji stresowych. Moje zachowanie było więc niejako elementem kuracji. Starłem się stosować ściśle do zaleceń lekarzy. Przecież fachowcy wiedzą, co robią. Ale czasami trudno było mi się opanować. Jej zachcianki, bo trudno to inaczej nazwać w porządnym domu, burzyły spokój, który jest podstawą wszelkiej pomyślności. To mówili fachowcy od życia rodzinnego. I ciągle to powtarzają w telewizji. A ja wierzę fachowcom, tak samo zresztą, jak wy. Bo jak tu nie wierzyć fachowcom?

- Co z obiadem, kochanie? - usłyszałem głos Joanny i ocknąłem się.

- Już gotowy - krzyknąłem. - Gdzie zjesz?

- W pokoju.

Wyłączyłem robota kuchennego i postawiłem na tacy danie obiadowe. Wyglądało apetycznie, jak zawsze zresztą. To też robili fachowcy - pomyślałem z dumą i postawiłem tacę przed Joanną.

- Słuchaj, może jednak...

- No?

- Nie, nic takiego... Tylko nie wiem, co zrobimy z Marcinem.

- Marcin już jest duży - odparła z przekonaniem. - Zapominasz, że kończy dziewięć lat i powinien przyzwyczajać się do odrobiny samodzielności. Zbyt często przebywa z nami, a to może zabić w nim indywidualność.

- A jeśli nie zechce zostać sam?

- Wytłumaczysz mu przecież jakoś. Ty to potrafisz. - Nagle spojrzała na mnie uważnie: - Ty nie masz ochoty na ten teatr.

- Ależ skąd ci to przyszło do głowy! - zaprzeczyłem żywo i żeby zaakcentować jak bardzo mam ochotę dodałem: - To rzadka okazja pójść do teatru już po wyrobieniu normy aktywności kulturalnej.

Nie wypadło to specjalnie entuzjastycznie, ale Joannie to wystarczyło.

- Słuchaj! - powiedziała ciągle z tym samym ożywieniem. - Kolejka po bilety była kilometrowa. Ale oczywiście nie stałam w niej, bo pewnie nie dostałabym biletów.

- Aż tylu było chętnych?

- Nie masz pojęcia, co się tam działo!

- Czy to taka sztuka, która może wyrobić półroczną normę aktywności? - zapytałem, ale zaraz szybko poprawiłem się: - Czy to szczególnie wartościowa sztuka?

Joanna, zwłaszcza po wypadku, nie przepadała za tym, gdy mówiło się wprost. Pewnie dlatego lubiła teatr.

- Kochanie, przecież mówiłam... To nie jest zwykły teatr. Nie słuchasz tego, co mówię. To teatr INTROWERTYWNY.

- Introwertywny? Nie słyszałem.

- Nie interesujesz się życiem kulturalnym. Nawet w telewizji była o tym wzmianka. To jest nowy, śmiały eksperyment.

- A co na to fachowcy od kultury?

- Nie mają jeszcze wyrobionego zdania.

- To znaczy, że... - opanowało mnie zniechęcenie. Jeśli w tej sprawie fachowcy nie zajęli jeszcze stanowiska, oznaczało to, że pobyt w teatrze nie będzie zaliczony do aktywności kulturalnej, a zatem będzie to czyste marnotrawstwo czasu, połączone jeszcze z niepotrzebnym męczeniem w głowie. Żadnego

pożytku, żadnego...

- Na tym właśnie polega magia tego teatru - ciągnęła dalej Joanna. - Jest to nowość, której skutków nie można przewidzieć. Podobno rewolucja w środkach wyrazu.

- Czy to... - zacząłem ostrożnie - czy to nie jest przypadkiem szkodliwe? Wiesz, w telewizji ostrzegają przed różnymi sztuczkami, które nikomu nie służą, a tylko sieją zamęt w głowach. Czy ta impreza ma atest Urzędu Kultury?

- Ależ tak, kochanie. Nie przejmuj się. Wszystko jest absolutnie legalne. Nie interesuje cię, jaka to sztuka?

- Powiedziałaś już, że introwertywna.

- Nic nie rozumiesz - wyczułem w jej głosie zniecierpliwienie, co było dla mnie sygnałem ostrzegawczym, że powinienem przerwać dyskusję i zgodzić się na wszystko. - To teatr jest introwertywny. W tej konwencji można grać każdą sztukę.

- Aha, ciekawe. O której spektakl?

- O siódmej.

- W porządku. A z Marcinem jakoś załatwię.

- Jesteś kochany! - rzuciła mi się na szyję, tak właśnie, jak zwykła to czynić przed wypadkiem.

Przysliśmy oczywiście za wcześnie. Rzędy foteli, półkolem otaczające scenę, były wypełnione zaledwie w jednej trzeciej. Sala była dość duża. Zmieściłoby się tu co najmniej drugie tyle krzeseł. Powiedziałem to Joannie, ale ona poradziła mi cierpko, żebym zajrzał do programu teatralnego, który każdy dostał przed wejściem. Powiedziała też, nie odrywając oczu od swojego programu, żebym nie wypowiadał głośno swoich uwag, bo inni pomyślą, że chodzimy do teatru tylko na spektakle zaliczane do wyrobienia normy.

- A niech sobie myślą, co mnie to obchodzi!

Gdy jej to powiedziałem, spojrzała na mnie zimno i zapytała, dlaczego zależy mi na robieniu jej przykrości. Słyszycie? Mnie miałyby na czymś takim zależeć! Przecież właśnie dlatego tu przyszedłem, żeby nie zrobić jej przykrości. Joanna była bardziej niż zwykle podenerwowana, więc uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zmienię temat. Toteż rzekłem pojednawczo:

- Kochanie, ta scena jest taka mała. Martwię się, że scenograf nie będzie w stanie pokazać naszej typowej fabryki w całej okazałości.

- To nie jest współczesna sztuka. Popatrz - podsunęła mi pod nos swój program - to jest „Tragiczna historia Hamleta, księcia Danii”.

- To jakieś starocie - nie udało mi się ukryć rozczarowania.

- Tak, to okropnie stara sztuka. Wtedy jeszcze nie było fabryk. Jeszcze raz cię proszę, nie mów tak głośno. Nie jesteśmy na zwykłym przedstawieniu.

Myślicie, że na tych zwykłych przedstawieniach pozwalała mi głośno mówić? Też nie, choć wokoło byli sami znajomi, a to, co mówili aktorzy, i tak wszyscy znali na pamięć. Zresztą w ogólnym gwarze ledwie było ich słychać. Chodziliśmy na sztuki, które dawały najwięcej punktów do rocznej oceny aktywności kulturalnej. To chyba rozsądne, skoro od tych punktów zależała ogólna ocena z aktywności społecznej, a więc również szansa awansowania w hierarchii służbowej. Pomyślcie, kto nie chciałby awansować, jeśli awans oznaczał lepsze mieszkanie, możliwość dokonywania zakupu w lepszych sklepach, a także większe poważanie u innych. Odchyleńcy? No właśnie. Było w naszym mieście kilku takich nieszczęśników, którzy tak odbiegali od normy, że właściwie należałoby ich leczyć. Chodziliśmy więc na sztuki teatralne, bo punktowane były wyżej niż holofilmy. Telewizja, niestety, w ogóle nie była punktowana. Nie dlatego, żeby Urząd Kultury nie uważał jej za pożyteczną, ale dlatego, że wszyscy i tak ją oglądali.

Spośród sztuk teatralnych wybieraliśmy zawsze, które punktowane były najwyżej, a więc takie, które zostały uznane za szczególnie wartościowe dla rozwoju osobowości człowieka naszej epoki. Były to sztuki, z których wynikało, że nasza epoka jest lepsza od wszystkich poprzednich, co zresztą - jak wiecie - jest akurat zgodne z prawdą. Ponieważ wszyscy na te sztuki chodzili tłumnie, bo jeden pobyt w teatrze wyrabiał całą kwartalną normę punktów, więc Urząd Kultury miał wszelkie podstawy aby uznać, że cieszą się one ogromną popularnością i postulować dalsze ich upowszechnianie.

Rozejrzałem się po sali. Nie znałem nikogo, choć Joanna wymieniła kilka ukłonów. Pewnie byli to jacyś znajomi z jej pracy.

- Za wcześnie przyszliśmy - szepnąłem. - I dlaczego wszyscy na nas spoglądają?

- Wydaje ci się. Przez tę telewizję odwykłeś od ludzi.

- Nie ma nikogo znajomego, nie ma do kogo ust otworzyć...

- Lepiej przestudiuj instrukcję.

- Jaką instrukcję?

- Masz w swoim programie instrukcję obsługi introwertora. Tu - pokazała mi w swoim programie - na stronie trzynastej.

- Co to jest introwertor?

- Kochanie, zadajesz mnóstwo pytań, a nie słuchasz odpowiedzi. Mówiłam ci przecież w domu, że idziemy do teatru introwertywnego. Tu, pod fotelem zainstalowany jest introwertor. Takie urządzenie, dzięki któremu będziesz mógł odbierać przeżycia wewnętrzne dowolnego aktora - wyciągnęła spod fotela pulpit, na którym dostrzegłem rząd przycisków, a przy każdym z nich jakieś obco brzmiące nazwisko. - Rób to co ja - zakomenderowała.

Wyciągnąłem więc pulpit i dalej słuchałem wyjaśnień Joanny.

- Każdy z tych przycisków odpowiada postaci w dramacie. W chwili, kiedy aktor odgrywający tę postać wchodzi na scenę, przycisk zapala się na zielono. Naciśnięcie powoduje zmianę koloru na czerwony. Jeżeli naciśniesz na przykład ten z nazwiskiem Hamlet, to będziesz mógł nie tylko usłyszeć, co mówi aktor odgrywający tę rolę, ale również poczujesz wszystkie drgania jego duszy. Poczujesz, na tyle, na ile pozwoli na to kunszt aktora, że sam jesteś Hamletem...

- A ten Hamlet... Kto to jest?

- Nie wiem - odparła niecierpliwie. - Z tytułu wynika, że jakiś król.

- Nie rozumiem. Kogo on ma więc przedstawiać? Przecież królowie już dawno przestali być aktualni.

- Tss! - syknęła. - Nie mów tak głośno, bo ludzie zaczynają się oglądać. Widocznie musieli dać jakieś starocie, bo trudniej eksperymentować na dzisiejszym repertuarze. Wyobraź sobie na przykład „Zdobycę planu czteroletniego” w tej konwencji. Przecież nie musimy wcale wczuwać się w to, co czuje bohater tej sztuki, bo wszyscy odczuwamy to samo. Trzeba było prawdopodobnie wybrać taką sztukę, której bohaterowie i ich problemy są dla nas obce. Myślę, że takie są założenia tego eksperymentu...

- A ja wolałbym jednak „Zdobycę planu czteroletniego” - przerwałem jej spieszne wyjaśnienia. Bardzo lubiłem tę sztukę. I to nie tylko dlatego, że była najwyżej punktowana przez Urząd Kultury, ale przede wszystkim dlatego, że ten facet, to znaczy główny bohater, mimo tylu trudności z opanowaniem nowych technologii osiemnastej generacji komputerów potrafił jednak zbudować maszynę tak przydatną społeczeństwu do bieżącej analizy wykonania planów produkcyjnych.

To był równy chłop, jeden z nas... Też miałem w pracy podobne trudności. Oczywiście nie tej miary, ale zawsze... Mnie też udawało się je pokonywać. W takich momentach zawsze miałem w pamięci słowa tamtego, do głębi wzruszające, gdy mówił w finałowej scenie: „Trzeba nam nowych zwycięstw w wytrwałym dążeniu do celu. Trzeba nam zwycięstw na miarę naszej epoki. A zwycięstwa te stoją na

niewzruszonym fundamencie naszego codziennego trudu, który rodzi piękne owoce dostatku i pomyślności”.

A tutaj będą przedstawiać jakieś dyrdymały o królu. Kogo to dzisiaj interesuje. Spojrzałem na salę. Z mojej lewej strony usiadł starszy, łysawy mężczyzna o wyglądzie niskiego rangą urzędnika bankowego. Zaraz za nim umieszcza się w fotelu gruba kobieta, chyba jego żona. Facet spojrzał na mnie jakby lekko zażenowany i zaczął czytać program. Jednak sala tu i ówdzie świeciła pustkami, a więc opowiadania Joanny o kilometrowej kolejce służyły tylko temu, aby mnie wyciągnąć z domu. Robiła tak niekiedy i zawsze dawałem się nabierać.

Byłem coraz bardziej zły i najchętniej natychmiast wyszedłbym z teatru. Ale obok siedziała Joanna. Nie mogłem jej zrobić takiego paskudnego kawału. Przecież nie wybaczyłaby mi tego przez najbliższy tydzień. Wyobraziłem sobie to ciche piekło w domu, kiedy pozornie wszystko jest w porządku, a jednak każdy drobiazg irytuje. Oglądasz niby telewizję, a ciągle kołacze ci się po mózgu myśl, że ona jest obok, a zarazem tak daleko. Kupujesz zestawy obiadowe i wiesz, że ona zje je bez apetytu. Poprosisz ją o filiżankę kawy, to nie powie, żebyś sobie zrobił sam, tylko przyniesie ci i bez słowa postawi na stoliku. Sami wiecie, jak taka kawa może smakować. Brunatne świństwo, nadające się tylko do wylania. A wyłączyć nie można, bo pomyśli, że to demonstracja i jeszcze bardziej zatnie się w tym swoim niedobrym milczeniu. Więc pijesz, choć każdy łyk rośnie ci w gardle. Miałbyś ochotę zerwać się, pognać do baru, wychylić kilka głębszych z fizycznymi niewykwalifikowanymi i zasnąć w parku na ławce. Ale nie możesz tego zrobić, bo jak cię zwinnie służyła porządkowa, to możesz spaść o dwa, a nawet o trzy szczeble w hierarchii służbowej. Awans, z takim trudem zdobyty, wymyka ci się z rąk razem z bonami na świeży chleb, mięso ekstranaturalne i benzynę.

A ponadto - jej rekonwalescencja...

Siedziałem więc i wiedziałem, że nie zdołam wykręcić się z tego. A niech to wszystkie pioruny! Wytrzymam jakoś. W końcu to tylko... właśnie!

- Jak długo to będzie trwało?

- Nie wiem - odparła. - Jest tak duża obsada, że chyba dwie godziny albo więcej.

- To przecież dwa razy tyle, co standardowa sztuka współczesna.

- Ale to nie jest sztuka współczesna - powiedziała z naciskiem. - Dawniej ludzie mieli więcej czasu, więc mogli dłużej siedzieć w teatrze.

- Słuchaj, jeszcze jedno...

- Mów szybko, bo zaraz się zaczyna.

- Jeśli naciśnę wszystkie przyciski?

- To niemożliwe, głuptasku. Automat czuwa nad tym, aby wciśnięty był tylko jeden. Gdybyś naciśnął wszystkie, to na czerwono zapaliłby się tylko ten przycisk, który został dotknięty jako ostatni. Aha, nie naciskaj też tych, które są wygaszone, bo to nic nie da. Gdy aktor opuszcza scenę, automat wyłącza tę postać z introwertora. To proste, prawda?

- A jeżeli nie naciśnę żadnego z tych guzików - nie ustępowałem - to co wtedy?

- Stracisz wiele wrażeń. Będziesz odbierał spektakl tylko wzrokowo i słuchowo.

- Tak jak w normalnym teatrze? - ucieszyłem się.

- Właśnie. Nie będziesz nic czuł. Proszę cię o jedno. Nie przerywaj mi w czasie spektaklu, to bardzo ważne w tej konwencji. Przyrzekasz?

- Przyrzekam.

- Chyba już się zaczyna - poprawiła się nerwowo w fotelu.

Istotnie, coś zaczynało się dziać. Jarzeniówki powoli przygasły, zaś pulpit zaczął pulsować mdłym, zielonkawym światłem. Rzuciłem okiem na napisy na przyciskach. Hamlet, Poloniusz, Laertes, Ofelia, a

nawet - wyobraźcie sobie - duch. Duch ojca Hamleta. Dziwaczne nazwiska i pewnie równie dziwaczne osoby.

Postanowiłem nie dotykać tych przycisków. Umyśliłem sobie bowiem, że w razie czego zdrzemnę się trochę. Wczorajsza transmisja przeciągnęła się do późnej nocy i rano wstałem niewyspany.

Gdyby Joanna zauważyła, że śpię, pewnie by mnie natychmiast obudziła. Nie obawiałem się tego jednak. Nauczyłem się drzemać na licznych konferencjach w taki sposób, że nawet nie osuwała mi się głowa. Jedynie zamknięte oczy mogłyby mnie zdradzić, ale przecież Joanna nie przyszła do teatru aby patrzeć mi w oczy. Zerknąłem na nią kątem oka. Jej profil, wyostrzony w zielonkawej poświacie, przybrał trochę demoniczny wygląd. Wpatrzona była to w rozsuwającą się z wolna kurtynę, to w przyciski introwertora. Wyglądało na to, jakby wahała się, na którym z nich położyć palec.

Cichy szum rozsuwającej się kurtyny zamarł, zaś scena rozświetliła się w kilku miejscach. Zobaczyłem mury jakiegoś starożytnego zamczyska, a na murach dwóch mężczyzn, cudacznie ubranych i ziewających dyskretnie, pewnie nudzili się tak samo, jak ja.

Usadoviłem się wygodnie w fotelu, przysunąłem bliżej pulpit, aby przytrzymał mnie w razie potrzeby, i przymknąłem oczy.

Obudziły mnie oklaski. Normalnie oklaski mi nie przeszkadzają. Można by powiedzieć, że nie przerywają snu, ale byłaby to nieprawda. Nie budzę się wtedy całkowicie, ale też nie śpię. Ot, taka pół jawa, pół sen. Klaszczę jak inni. Jeżeli oklaski są frenetyczne, to i moje dłonie uderzają o siebie w przyspieszonym tempie. Jeżeli akurat trafi się rytmiczna, miarowa owacja, to moje dłonie natychmiast łapią ów rytm i razem z innymi manifestują. Zaraz po oklaskach chwiejna równowaga między jawą a snem załamuje się; zapadam ponownie w drzemkę, aż do następnych oklasków. System ten wypracowałem sobie kilka lat temu, kiedy zacząłem aktywne życie zawodowo-społeczne. Do tej pory funkcjonował on bez zarzutu.

Jednak tym razem były to inne oklaski. Zerwały się, niby stado ptaków, spłoszone nagłym podmuchem wiatru. Przeleciały przez salę i umilkły równie nagle, jak się zaczęły. Właśnie to wybiło mnie ze snu.

Spojrzałem na Joannę. Siedziała nieruchomo, jak wykuta z kamienia. Miała szeroko otwarte oczy, wpatrzone w scenę, a w źrenicach igrały reflektory światła, odbitego od dekoracji. Bliżej przyjrzałem się jej twarzy. Oczy miała wilgotne. Owa wilgoć od czasu do czasu przepełniała powieki i wówczas - zgodnie z prawem grawitacji - spływała w dół, po policzkach.

To były łzy.

Nigdy nie widziałem, aby Joanna płakała. Toteż przestraszyłem się nie na żarty.

- Kochanie - szepnąłem nachylając się ku niej - czy dobrze się czujesz?

Nie zareagowała nawet drgnieniem powiek. Była nie obecna, niby człowiek w letargu. Chciałem wziąć ją za rękę, dodać otuchy, jak czynić powinien każdy dobry mąż, ale przypomniałem sobie, że przyrzekłem nie niepokoić jej w czasie spektaklu. Doprawdy nie wiedziałem co robić. Ochota na dalszą drzemkę przeszła mi zupełnie. Nie mógłbym przecież zasnąć ze świadomością, że tuż obok mnie moja żona płacze. Nie jestem potworem pozbawionym ludzkich odruchów. A zarazem nie mogłem jej w niczym pomóc, bo jedyną pomocą byłoby opuszczenie tej przekłetej sali i odetchnięcie świeżym powietrzem.

Zerknąłem na pulpit jej introwertora. Tylko dwa przyciski sączyły światła. Przycisk przy nazwisku Ofelii jarzył się czerwienią.

Mój sąsiad z lewej strony wpatrzony był w scenę tak samo jak Joanna. Na jego łysej czaszce perliły się krople potu, zaś na twarzy malowało się napięcie i jakiś wewnętrzny wysiłek. Od czasu do czasu tę rozlaną twarz spinał bolesny skurcz. Czyżby strachu? A może odrazy? Nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek cierpi. Na jego pulpicie czerwienił się przycisk przy nazwisku Hamlet. Miałem ochotę potrząsnąć nim, obudzić go, aby wyzwolić go od jakiegoś koszmaru, ale przecież nie mogłem tego zrobić.

To był obcy człowiek. Cóż mogą obchodzić mnie jego cierpienia? Sam się z tego otrząśnie, wypije butelkę piwa i od razu zapomni o wszelkich troskach. Naprawdę niepokoiła mnie tylko Joanna. Nie mogłem zrozumieć, o co tu chodzi. Dlatego też, i tylko dlatego, zacząłem słuchać słów padających ze sceny.

Były to słowa o miłości, zemście, nie najlepszych stosunkach rodzinnych. Hamlet mówił Ofelii impertynencje, a ona potulnie zgadzała się na nie. Dzisiaj już nie ma takich kobiet. Ale to oczywiście nie należy do rzeczy.

Chciałem wyłowić z tego potoku słów coś, co tak wzruszyło Joannę. Ciągłe jednak nie mogłem zrozumieć, o co tu chodzi. Przecież tych dwoje ludzi, a ściślej - postacie odgrywane przez dwójkę aktorów, mówiło jakieś piramidalne niedorzeczności; on zadawał jej ból, a ona przyjmowała to jako łaskę. To był kliniczny przykład sadomasochistycznego związku. Dzisiaj takie słowa nie mogłyby padać ze sceny, bo widownia odesłałaby postacie dramatu na leczenie psychiatryczne. Autora dramatu prawdopodobnie też.

Zrobiło mi się żal biednej Ofelii. Żal ten był tym głębszy, że wyobraziłem sobie, co musi czuć Joanna, która - jeśli wierzyć w to podejrzane urządzenie, zwane introwertorem - musiała przyjmować takie nieopanowane, by nie rzec - chamskie wybryki Hamleta. Jednocześnie poczułem gniew na mego sąsiada z lewej strony. Przecież to on utożsamiał się z Hamletem i w jakimś sensie zadawał ból Ofelii, a więc również Joannie. Mojej Joannie, której nie ma prawa nikt krzywdzić, nawet za pośrednictwem aktorów, odgrywających podejrzane sztuki. Zaraz jednak opanowałem ten naiwny odruch.

Byliśmy przecież w teatrze.

Tymczasem na scenie działy się rzeczy coraz dziwniejsze. Ofelia udała się za kulisy, weszły nowe postacie i przedłużały kłótliwą dyskusję na temat, który jakże był odległy od dzisiejszych dobrych czasów.

Spojrzałem na Joannę, w nadziei, że może ochłonie podczas nieobecności Ofelii. Przycisk przy jej nazwisku zgasł, zaś Joanna nie patrzyła już na scenę. Zakryła twarz dłońmi, jakby chciała odgrodzić się od realnego świata, dopóki nie wróci Ofelia.

Trąciłem ją lekko i szepnąłem:

- Jak ci się to podoba?

Spojrzała na mnie nieprzytomnie i rzekła:

- Tak cię kocham, tak cię kocham, a ty nic o tym nie wiesz. I nigdy się nie dowiesz...

- Kochanie - przerwałem jej - co ty mówisz! Przecież wiem, że mnie kochasz i ty wiesz, że ja cię kocham. Nasza rodzina mogłaby uchodzić za wzorowy przykład w fachowych poradnikach małżeńskich.

- Nic nie wiesz, nic nie wiesz - szeptała spieszenie, jakby trawiona wewnętrzną gorączką, i znów zatopiła twarz w dłoniach.

Odsunąłem delikatnie te dłonie.

- To minie, Joasiu. To minie. To tylko teatr. Prawdziwe życie zaczyna się za drzwiami tej sali.

- Nic nie wiesz o mnie, ani ja o tobie. Odkryłam nowy świat, tysiące światów, miliony... Jest tyle światów, ilu jest ludzi na Ziemi.

- Kochanie - pogłaskałem ją po policzku niepokojąc się coraz bardziej o prawidłowy przebieg rekonwalescencji. - Jest tylko jeden realny świat; świat w którym żyjemy, ty, ja, Marcin...

- Czujesz, co kipi w Hamlecie? Powiedz mi, powiedz... Albo nie... Przecież to będą tylko słowa. Nic więcej, tylko gołe słowa, pozbawione...

- Joasiu, czy dobrze się czujesz? Może pójdziemy do domu?

- Nic nie mów! Milcz razem ze mną, a jeśli nie potrafisz - to milcz po swojemu.

Nie powiedziałem już nic więcej, tylko wzruszyłem ramionami. Na sali było ciemno, więc miałem

pewność, że Joanna nie zauważy tego gestu. W przeciwnym razie powstrzymałbym się jeszcze bardziej, aby nie przedłużać żenującej dyskusji. Po wypadku Joanna miewała „stany wzbudzenia emocjonalnego” - jak mawiają fachowcy, czyli po prostu lubiła się pieklić, a wszelkie próby opozycji tylko podsycaly jej gniew. Lekarze twierdzili, że to minie i dlatego starałem się likwidować konflikty już w zarodku. Przedtem nie musiałem tego robić, bo po prostu nie było konfliktów. Żyło się spokojnie, miarowo, choć i teraz trudno byłoby narzekać. Miałem wysoką pozycję zawodową, ani razu nie byłem zdegradowany, życie rodzinne miałem uregulowane zgodnie z zalecanymi normami. Gdyby jeszcze udało mi się wspiąć o jeden szczebel, to mógłbym powiedzieć, że osiągnąłem pełnię satysfakcji. Ten jeden szczebel potrzeby mi był do nabycia uprawnień do domku jednorodzinny z telefonem i dostawami towarów do domu. Pomyślcie sobie, jeszcze tylko jeden szczebel dzielił mnie od takiego stylu życia, do którego wszyscy aspirują. Tylko jeden szczebel. Toteż zmierzałem do tego celu konsekwentnie, krok po kroku, a każdy z tych kroków stawiany był rozważnie i z namysłem.

Miałem zupełnie uzasadnioną nadzieję, że dzieli mnie od awansu nie więcej niż pięć - sześć lat, co - zważywszy mój młody wiek - i tak było karierą bardzo szybką. Gdyby stało się tak, jak zakładałem, to w wieku czterdziestu lat należałbym już do elity tego kraju. Elity, która jest marzeniem każdego normalnego człowieka.

Nie przeczę, byli w tej elicie młodszy ode mnie. Ale weszli do niej różnymi krętymi drogami. A to komuś napisali dobrą recenzję ze złego - projektu wdrożeniowego, a to dawali sute prezenty kontrahentom, żeby ci zrobili na czas, co do nich należy. Mieli więc wyniki lepsze niż inni, toteż szybciej awansowali i - siłą rzeczy - szybciej łądownali w elicie. Nie pochwalałem tych postępów, chociaż częściowo je rozumiałem. Jestem człowiekiem uczciwym i nie pozwoliłem sobie do tej pory na żadne odstępstwo od norm, ustalonych przez naszych etyków.

Spojrzałem na zegarek. Minęła już blisko godzina, a nic nie zapowiadało, by spektakl zmierzał ku końcowi. Aktorzy byli jacyś podenerwowani. Może dlatego, że w sztuce nie było żadnych akcentów pozytywnych, które pomogłyby widzowi lepiej służyć kolektywowi, pełniej wyzwalać własne możliwości na użytek własny i dobra publicznego. W końcu aktor jest takim samym świadomym członkiem społeczności jak my wszyscy i też musi iiii i niewygodnie czuć się w takich podejrzanych rolach. Może zresztą myliłem się; może oni chcieli wyrazić w ten sposób jakieś wątpliwości. Rozumiałem to, bo sam miewałem niekiedy chwile zwątpienia, które jednak zawsze przewycięzałem dzięki gotowym przykładom, czerpanym z telewizji.

Więc oni też mogli mieć wątpliwości, ale chyba nie wybrali najlepszego sposobu na ich przewycięzenie. Ta sztuka coraz wyraźniej zmierzała w kierunku raczej pogłębiania wątpliwości, niż ich rozwiania. Zacząłem się zastanawiać komu to miało służyć i do czego, gdy na scenę ponownie weszła Ofelia.

Tym razem była jakaś potargana, niechlujnie ubrana, jakby moment wkroczenia do akcji zaskoczył ją w połowie charakteryzacji. Wkrótce jednak zorientowałem się, że jej nieporządny wygląd był zamierzony przez reżysera.

Ofelia postradała zmysły.

Co za ponura sztuka - pomyślałem i wtedy uprzytomniłem sobie, że przecież Joanna... Spojrzałem na pulpit jej introwertora; przycisk przy nazwisku Ofelia był czerwony.

Joanna nie płakała. Oczy miała suche, a jednak poczułem mrowienie między łopatkami. Patrzyła na scenę, bezgłośnie poruszając wargami. Jej dłonie kurczowo zacisnęły się na poręczach fotela. Nie wyglądało to dobrze. Tylko tego brakowało, by Joanna zaczęła utożsamiać się z wariatką. To mogłoby zniweczyć cały przebieg rekonwalescencji.

Byłem doprawdy w trudnej sytuacji. Jeśli to urządzenie działa tak, jak zachwalają jego twórcy, a



zarazem aktorka sugestywnie wczuwa się w rolę Ofelii, to przy pobudliwości Joanny taki eksperyment mógł zakończyć się katastrofą. Dla Joanny, a także - niejako siłą rzeczy - dla naszej rodziny, której Joanna była niezbędną częścią. Powinienem więc interweniować; dla dobra Joanny i dla dobra naszej rodziny. Czułem, że muszę coś zrobić, i to natychmiast, bowiem Ofelia zachowywała się coraz bardziej nieodpowiedzialnie, a twarz Joanny, coraz bledsza i coraz bardziej obca, wprawiała mnie w panikę. Nie namyślając się więc zupełnie sięgnąłem do jej pulpitu i przerwałem połączenie z postacią Ofelii. Później, w tym samym odruchu, ująłem twarz Joanny i odwróciłem ją od sceny. Joanna powoli przytomniała. Bładość ustępowała, rysy nabierały miękkości, a oczy - te szeroko otwarte oczy - znów wracały do swych normalnych wymiarów.

- Joasiu, kochanie... - zacząłem ostrożnie.

- Dlaczego przerwałeś połączenie? - zapytała oschle.

- Wiesz, bałem się, że...

- Udzieli mi się obłąd? Tak?

- Nie powiedziałem tego.

- Ale pomyślałeś. Co mi przyrzekłeś? Pamiętasz?

- Pamiętam, ale... Miałaś taki wyraz twarzy; bałem się o ciebie. Ofelia zaczęła zachowywać się tak niedorzecznie, że...

- To tylko aktorka. Bardzo dobra, świetnie czuje, ale tylko jako aktorka. Powinnam jednak pójść sama do teatru.

- Joasiu - rzekłem niemal głośno, niezupełnie panując już nad sobą - co by ludzie powiedzieli? Jesteśmy przecież szczęśliwym małżeństwem.

- Nie zapominaj, że trwa przedstawienie - syknęła. - Przeszkadzasz nie tylko mnie, ale i innym.

- Kochanie...

- Przestań! Przestań! - odsunęła się ode mnie. - Zostaw mnie w spokoju... Idź do domu, jeżeli nie możesz tu wysiedzieć, ale daj mi wreszcie spokój!

Dotknęła ponownie tego samego przycisku właśnie w momencie, gdy Ofelia zaczęła śpiewać jakąś idiotyczną piosenkę. Bez składu i ładu. Jak to wariatka.

Bardzo byłem poruszony tą gwałtowną reakcją Joanny. Bolało mnie, że nie potrafiła docenić, jak bardzo się o nią troszczy. Przecież chodziło mi o jej dobro, a nie o te dwie godziny zmarnowanego czasu. Była dzisiaj nawet bardziej impulsywna niż po wypadku, choć wydawało się, że jej stan zmierza wyraźnie ku lepszemu.

Chciałem pójść do domu, ale oczywiście wiedziałem, że tego nie zrobię. Nie mogłem jej przecież zostawić w takim stanie, nie mogłem dopuścić do tego, aby wracała do domu sama. Gdyby ludzie się o tym dowiedzieli, to zaczęłyby się plotki, że nie wszystko układa się w naszym małżeństwie jak należy. Plotki te trzeba by wyjaśniać na kolektywie pracowniczym, a tego chciałem za wszelką cenę uniknąć. Każda sprawa stawiana na kolektywie wlecze się - potem za człowiekiem latami. Nikt nie pamięta, o co naprawdę chodziło; każdy wie, że była sprawa. Nie muszę dodawać, że to zawsze odbija się na awansie. Oczywiście niekorzystnie.

Gdybym wcześniej przewidział, do czego doprowadzi ta wizyta w teatrze, to nie dopuściłbym do niej, choćby za cenę cichej kłótni z Joanną. Albo stwierdziłbym, że jestem chory, w czym nabyłem niejakej wprawy. Joanna, jako dobra żona, nie pozwoliłaby sobie na pójście do teatru podczas mojej choroby. Skąd jednak mogłem wiedzieć, że jakieś stare sztuczdyło, napisane w niepamiętnych czasach, będzie psuło harmonię rodzinną? Nie miałem bowiem wątpliwości, że Joanna przez najbliższe dni będzie nadąsana. Znałem ją zbyt dobrze, aby żywić złudzenia, że będzie inaczej.

Na pulpiciemojego introwertora (i zapewne wszystkich pozostałych na sali) zaświeciło się kilka

przycisków. Zanosiło się na jakąś scenę zbiorową. Przez moment zaświtała mi myśl, że mógłbym włączyć którykolwiek z nich, aby przekonać się, czy introwertor w ogóle działa. Ale zaraz odrzuciłem ten pomysł. Wszak w ten sposób stałbym się prawdopodobnie jednym z widzów, których widok tak mnie niepokoił. Tępo wpatrywałem się w scenę i nie wiedziałbym, co naprawdę się dzieje.

Byłbym w świecie fikcji, a fikcji nie lubię nade wszystko. Przy wszelkich pozorach prawdy wypacza ona nasze spojrzenie na świat. Tworzy problemy, których w rzeczywistości nie ma w ogóle, lub są, ale sprowadzone do codziennych, czyli małych rozmiarów. A później te problemy żyją własnym życiem. Trudno o nich zapomnieć, w każdym normalnie nieistotnym zdarzeniu człowiek poszukuje potwierdzenia lub zaprzeczenia dręczących go wątpliwości. Życie pozbawione jest swojej prostoty, a umysł zatrudniony jest pozornymi dylematami, które nikomu ani niczemu nie służą.

Tak się dziwnie składa, że im problem głupszy, tym dłużej się go pamięta. Na szczęście - nie na zawsze. Fachowcy z telewizyjnej poradni psychologicznej podają dość łatwe sposoby na zachowywanie higieny psychicznej, a każdy z tych sposobów wypróbowałem na sobie z dobrym skutkiem.

Najważniejszą dla mnie dewizą, gdy oglądam jakąś sztukę czy coś takiego, jest przenoszenie do rzeczywistości tylko tych problemów, które w niej naprawdę są. Na przykład „Zdobycza planu czteroletniego”, mimo że jest fikcją literacką, zawiera problemy, które ma każdy z nas i każdy musi je jakoś w życiu codziennym rozwiązywać. Po co, pytam się, po co każdy ma na własną rękę się trudzić, kiedy fikcyjny bohater wskazuje nam gotową drogę, najlepszą z możliwych, obmyśloną przez fachowców od organizacji pracy i przedstawioną w dramatycznej formie przez fachowców od literatury.

A jednak, mimo upewnienia się co do bezsensu włączania się w ponurą zabawę, którą Joanna nazwała teatrem introwertywnym, coraz częściej spoglądałem na zielono rozświetlone przyciski. Być może zresztą ochota na włączenie któregoś z nich brała się właśnie z mocnego przekonania, że to nie tylko zabawa w nie najlepszym guście, ale i igraszka, nowinka techniczna, której warto spróbować choćby tylko po to, aby tym bardziej umocnić w sobie przeświadczenie, że mam rację.

A poza tym wszystkim nudne było siedzenie i wysłuchiwanie długich tyrad ze sceny.

Mój sąsiad z lewej strony chyba zasnął, bowiem oczy miał przymknięte, a głowę lekko zwieszoną. Spojrzałem na jego pulpit; na czerwono palił się przycisk przy postaci króla. Nachyliłem się ku niemu i wówczas usłyszałem niewyraźny oddech, jakby z trudem przeciskający się przez zaciśniętą krtań. To był chyba jednak sen, zdrowy sen człowieka naszych czasów. Nie było powodów do niepokoju.

Wyglądało na to, że sztuka ma jednak koniec. Postać Ofelii została uśmiercona krwiożerczą wyobraźnią autora. Na szczęście oszczędzono nam widoku jej śmierci i dowiedzieliśmy się o tym wydarzeniu z rozmów innych postaci dramatu. Śmierć przez utonięcie - jakie to niesmaczne. A przy tym Hamlet, podobnie jak przedtem Ofelia, zaczął zdradzać objawy obłądki.

Zupełnie zwariowana sztuka.

Byłem ciekaw, z kim też utożsamia się Joanna, skoro Ofelia już na dobre zeszła ze sceny. Rzuciłem kątem oka na pulpit jej introwertora; była połączona z postacią Hamleta, który akurat w tym czasie zawędrował na cmentarz.

Patrzyłem długo na Hamleta, który mówił coś do fizycznych niewykwalifikowanych, pracujących na cmentarzu. Wspominał jakichś swoich znajomych, biorąc do ręki rozsypane szczątki ludzkich szkieletów, a głównie czaszki. Fizyczni niewykwalifikowani odpowiadali mu na pytania tak właśnie, jak powinni odpowiadać osobnicy z najniższych szczebli zawodowych ludziom będącym w elicie. To znaczy - wyczerpująco i z pełnym respektem. Sam nie wiem, jak to się stało, ale moja ręka - właściwie bez mojego udziału - zawędrowała na pulpit i wykonała ten nieszczęsny ruch.

Zostałem połączony z postacią Hamleta.

Jeszcze teraz, gdy o tym opowiadam, przechodzą mnie dreszcze. Pamiętam wszystko tak dokładnie, że

mógłbym, obudzony w środku nocy, opowiadać na wrywki. Ale nikt mnie nie budzi i nie odpytuje z tych przeżyć, bo kogo one mogą interesować?

Pamiętam więc wszystko bardzo dokładnie, ale teraz, gdy usiłuję to opowiedzieć, mam trudności. Może przeżycie nie składało się ze słów, były to same odczucia, obrazy. A sami wiecie, jak trudno opowiedzieć obraz. Chciałbym czym prędzej to wszystko zapomnieć, ale nie mogę. Im bardziej usiłuję wymazać to z pamięci, tym natrętniejsze są te obrazy, tym silniej odczuwam echo tamtych przeżyć. Fachowcy od higieny psychicznej mówią, że w takich przypadkach należy opowiedzieć komuś swoje natręctwa myślowe. Jest to najpewniejszy sposób uwolnienia się od nich. Więc staram się jak najsumienniej opowiedzieć wam wszystko, aby nie zostało coś, co znów wracać będzie do mnie w przedsennym czasie lub w środku nocy, gdy siadam na łóżku i pchany jakąś nie znaną mi siłą zadrezczam się najgłupszymi pytaniami.

Opowiadam wam więc to wszystko i nie interesuje mnie, czy słuchacie. Muszę wam opowiedzieć, żeby znów wrócić w kolejną szczęśliwego życia, z której tak nieopatrznie wyskoczyłem. Pomóżcie mi i wysłuchajcie do końca.

A więc było to tak. Najpierw, tuż po włączeniu przycisku, jakby nic się nie zmieniło, tylko słowa padające ze sceny zatarły się, wtopiły we wzbierający szum. Zdawało mi się, że nagle do sali wdarł się wiatr. Ale powietrze było nieruchome, jak przedtem. Uzmysłowiłem sobie nagle, iż szumi mi w głowie, a jednocześnie szum ten przeszkadza mi w skoncentrowaniu się na jakiejś bardzo ważnej rzeczy. Usiłowałem się skupić; przymknąłem oczy, aby nie rozpraszać uwagi na nieistotne szczegóły otoczenia. Pomogło to o tyle, że szum powoli zaczął przycichać, a w świadomości coraz wyraźniej krystalizowało się odczucie, że jestem drobiną, cząstką bezrozumnego pyłu, który wiruje w pobliżu Wielkiej Tajemnicy. Do mojej świadomości wdarło się niezwykle jasne, graniczące z pewnością przeświadczenie, że tuż obok mnie dzieją się sprawy, o których nic nie wiem, których nie doświadczam. I nigdy nie doświadczę jako żywy człowiek. Poczuję się w moim ciele jak w więzieniu. Zdałem sobie sprawę, że moje ciało przeszkadza mi w poznaniu Wielkiej Tajemnicy.

Wielka Tajemnica kusiła, ale i przerażała zarazem. Znów przypomniał mi się otruty podstępnie ojciec, który tę tajemnicę już posiadał, a jednak nie wyglądał na szczęśliwego. Ci biedni grabarze mieli zbyt proste umysły, aby uświadomić sobie istnienie Wielkiej Tajemnicy. I też byli nieszczęśliwi, choć o tym nie wiedzieli... Żyli niczym nieme karpie, dla których staw jest całym Wszechświatem i które nie wiedzą o istnieniu innych światów.

Grabarze zdawali sobie sprawę, że ludzie rodzą się i umierają. Taka jest kolej życia. Ja też to wiedziałem, ale wiedziałem także, a ściślej - intuicyjnie czułem, że taka jest kolej jednego z wariantów życia. Świat, w niezmiernym swoim bogactwie, zawiera miliardy takich wariantów, a nasz los jest połączony tylko z jednym z nich; ulotnym i kruchym jak życie, ale też potrafiącym przetrwać - tak właśnie jak owo kruche życie - najtrudniejsze nawet warunki.

Ci biedni grabarze i te nic nie znaczące szczątki ludzkie. Ci żywi, a ci - spojrzałem na zastępy grobów - umarli. Ja też tu się znajduję. Kiedy umrę, ci sami lub podobni do nich grabarze pościelę mi gliniane łoże. Ale czy naprawdę mnie? Czy tylko moim szczątkom, które gnić będę - jak każda padlina - aż do zupełnego rozkładu.

Ja przetrwam. Pogrążę się w otchłani milczenia. Będę trwać wspólnie z tymi, którzy przybyli tam przede mną. Będę z nimi lub obok nich... albo moja świadomość zgaśnie razem z życiem mojego ciała.

Przeszył mnie dreszcz, w którym był i niepokój, i pożądanie. Wziąłem do ręki czaszkę; spojrzałem w puste oczodoły. Nie było tam żadnej odpowiedzi, nie było nic. Odczułem coś na kształt ulgi. Nie tędy droga, Hamlecie - pomyślałem - nie tędy droga. Nie znajdziesz odpowiedzi, jeżeli nie potrafisz oderwać się od siebie, jeżeli nie odważysz się pójść tam, skąd się nie wraca...

Czy się odważyć? Poczulem strach. Chciałem żyć, a zarazem pragnienie zerwania zasłony i spojrzenia - choćby na mgnienie oka - na Wielką Tajemnicę było tak przemożne, że samobójstwo nie wydawało się cenę specjalnie wygórowane.

Znów poczułem ten dziwny dreszcz. Trwoga i nadzieja, groza i ukojenie... Wznosiłem się; wysoko, coraz wyżej, do utraty tchu. Cmentarz zniknął, grabarze też. Jeśli tam, po drugiej stronie jest inny świat, to czekanie tutaj na ziemi jest równie niedorzeczne, jak życie ze świadomością, że śmierć jest końcem ostatecznym, wielkim finałem nudnej sztuki zwanej życiem; finałem, po którym nie zabrzmię oklaski.

Znów objęły mnie chłodne macki strachu. Wróć, jeszcze jest czas. Wróć, przygotuj się na spotkanie tajemnicy. Krtań zacisnęła mi się i miałem coraz większe trudności ze złapaniem oddechu. Nie wiem, jak długo to trwało. Poczulem nagle szarpanie za ramię, a później słowa, jakby z oddali, zza zamkniętych drzwi:

- Kochanie! Obudź się!

Wizja, którą miałem przed sobą, a raczej czułem całym sobą, ta wizja ulatywała gdzieś, rozmywała się w zetknięciu z wracającą rzeczywistością. Znów poczułem szarpanie, tym razem bardziej natarczywie.

- Obudź się, słyszysz? Jeżeli już zachciało ci się spać w teatrze, to mógłbyś przynajmniej opanować chrapanie! - to był bez wątpienia głos Joanny.

Otworzyłem oczy. Jasne światła raziły mnie nieco, więc przesłoniłem oczy ręką.

- Przedstawienie już się skończyło. Przespałeś finał, wszystko potrafisz przespać! - Joanna była najwyraźniej rozdrażniona.

Scena była już zasłonięta kurtyną, a widownię opuszczali ostatni widzowie. Uderzyła mnie cisza; ludzie wychodzili w milczeniu, bez zwykłego w takich razach gwaru komentarzy i rozmów. Wstałem z fotela i udałem się za Joanną. Zazwyczaj plotkujemy, jeżeli nie o grze aktorów, to przynajmniej o ubiorach znajomych i nieznanym. Tym razem nie miałem ochoty na żadną rozmowę i byłem wdzięczny Joannie, że milczała, podobnie jak inni. Chciałem sobie przypomnieć, co czułem, o czym myślałem przed chwilą, ale im bardziej starałem się utrwalić niedawne przeżycia w pamięci, tym bardziej stawały się one nieuchwytnie, płaskie i nic nie znaczące.

Gdy odbieraliśmy płaszcze w szatni, pamiętałem już tylko, że zaprzątałem sobie głowę jakimiś głupstwami o śmierci czy o czymś takim. Wiadomo, że wszyscy jesteśmy śmiertelni, i co z tego. Poczulem, że płoną mi policzki i byłem niezmiernie rad, że nikt, nawet Joanna, nie domyśli się, jakie to niedorzeczne rojenia owładnęły na moment umysłem poważnego obywatela naszej społeczności, piastującego bądź co bądź odpowiedzialne stanowisko publiczne i mającego nadzieję na zajęcie stanowiska jeszcze bardziej odpowiedzialnego. Gdyby ktokolwiek podejrzewał, na jakie głupstwa traci czas taki odpowiedzialny człowiek jak ja, to niechybnie groziłoby mi wstrzymanie awansu, a kto wie, czy nawet nie degradacja jednoszczelbowa... Spojrzałem ukradkiem na Joannę, by sprawdzić, czy nie wyczytam w jej twarzy jakichś niepokojących oznak zrozumienia. Ale z ulgą stwierdziłem, że nie domyśla się ona niczego. Podałem jej płaszcz, który w milczeniu, machinalnie założyła i skierowała się do wyjścia nie patrząc, czy idę za nią.

Gdy wyszliśmy, poczułem na twarzy powiew chłodnego wiatru. Odetchnąłem kilka razy głęboko i już mi było lepiej. Spojrzałem na niebo; przez miejską poświatę, przyćmioną ze względów oszczędnościowych, z łatwością przebijały gwiazdy.

Ująłem Joannę pod rękę. Spojrzała na mnie i rzekła słumionym głosem:

- To było...

Nie dokończyła jednak. Wstrząsnął nią dreszcz, jakby poczuła nagły przypływ chłodu. Istotnie, wiatr był dość zimny. Podniosłem kołnierz jej płaszcza i powiedziałem:

- Pospieszmy się, może zdążymy jeszcze na koniec transmisji telewizyjnej. Wiesz, jak transmitują na

żywo, to czasami trwa to dłużej. Może jeszcze zobaczymy coś interesującego?

- Tak, może jeszcze zobaczymy... - przytaknęła machinalnie.

Wsiadliśmy do samochodu i już po kwadransie byliśmy w domu.

I wydawało się, że wieczór ten będzie taki jak zawsze, to znaczy normalny. Zjedliśmy późną kolację, jak zwykle przy otwartym telewizorze. Dawali ostatnie kawałki programu rozrywkowego; podobała mi się szczególnie jedna artystka, śpiewająca na tle kunsztownie odrobionych ruin, które - w czasie ostatniego konfliktu - nasze dzielne armie niemal zrównały z ziemią. Śpiewała przejmująco o szczęśliwym życiu szczęśliwych ludzi w naszym szczęśliwym, potężnym kraju, którego osiągnięcia wzbudzają respekt i uznanie na całym świecie. Byłem w domu, więc nic dziwnego, że czułem się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Widziałem już wszystko we właściwych proporcjach i niefortunna wizyta w teatrze stawała się coraz wyraźniej nic nie znaczącym epizodem, podobnie jak wdepnięcie w kałużę czy nieopatrzne zaparkowanie w niedozwolonym miejscu.

Sam posprzątałem ze stołu i już zamierzałem pójść do łóżka, gdy Joanna niespodziewanie zaproponowała spacer. Tego już było za dużo, jak na jeden wieczór.

- Kochanie, czy wiesz, która godzina?

- Jedenasta,

- No właśnie.

- Kiedy po raz ostatni spacerowałeś o tej godzinie? Czy wiesz, jak wyglądają drzewa nocą?

- Joasiu, jest zimno, zanoszą się deszcz. Jeżeli chcesz obejrzeć drzewa, to w dziennym świetle będziesz je lepiej widział. Dajmy temu spokój. Jutro zaraz po pracy pójdziemy na spacer, jeśli koniecznie tego chcesz, dobrze?

- To pójdę sama - odparła z determinacją i wiedziałem, że gotowa to zrobić. Ale ja już naprawdę miałem dość. Nie mogła przecież bez przerwy wykorzystywać tego, że muszę o nią dbać. A poza tym, mała szansa, aby ktoś zauważył, że spaceruje sama, więc plotek nie musiałem się obawiać.

- Pójdę sama, słyszysz? - powtórzyła, jakby chciała mnie zmusić, abym jeszcze raz ustąpił.

- To idź - usłyszałem swój głos i przestraszyłem się, że Joanna zdenerwuje się i zakłóci to tok rekonwalescencji. Lekarze mówili przecież, że wszelkie konflikty należy gasić w zarodku, nawet za cenę przejściowego dyskomfortu psychicznego. Dodałem więc uspokajająco:

- Coś łamie mnie w kościach. Boję się przeziębienia. Wieczory są teraz takie chłodne.

- Żebyś wiedział, że pójdę. Ktoś, kto przespał całą sztukę, taką sztukę, wcale nie jest mi potrzebny.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami, a ja zostałem z głupią zapewne miną przed otwartym telewizorem. Spojrzałem z niechęcią na ekran, na którym śpiewała kolejna artystka. Nie byłem w nastroju oglądania czegokolwiek, nawet o najsłuszniejszej wymowie, gdy Joanna sama, w gniewie, którego powinna unikać, przemierzała uliczki naszego osiedla.

Wyjrzałem przez okno. Zaczynał siąpić deszcz; drobny wprawdzie, ale dostatecznie dokuczliwy dla kogoś, kto nie zabrał parasola. A w telewizji ostrzegali przed przeziębieniami...

Nalałem sobie whisky, aby ukoić rozdygotane nerwy, ale myśli krążyły gdzieś po alejkach osiedla. W przedpokoju jak wyrzut sumienia stał parasol.

Miałem dość tej bezsensownej awantury. W ogóle nie lubiłem awantur, a zwłaszcza z Joanną. Nie tylko dlatego, że mogłyby się zacząć plotki o naszym trudnym pożyciu, ale również dlatego, że najlepiej czułem się wtedy, gdy wszystko było jak należy. Dlatego niemal zawsze pierwszy wyciągałem rękę do zgody. Wiedziałem, że i tym razem ulegnę. Nie zniósłbym po prostu jej milczenia po powrocie. A milczałaby na pewno, i to przynajmniej przez cały jutrzejszy dzień.

Odstawiłem nie dopitą szklankę, ubrałem się i wyszedłem. Deszcz zaczął coraz bardziej. Ukryty pod parasolem, uważnie lustrowałem uliczki osiedla, ale oprócz jakiejś pary spieszącej do domu

nie spotkałem nikogo. To był normalny widok; przecie nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodzi o tej porze z domu. I to w dodatku w taką pogodę. Byłem zły na Joannę, ale zarazem niepokoilem się coraz bardziej. Przyspieszyłem kroku.

Ten dzisiejszy teatr na pewno nie pomógł Joannie.

Przecie nawet ja, człowiek zrównoważony i odpowiedzialny, miałem chwilę słabości. Wyobrażałem więc sobie, jak dalece bardziej musiała być poruszona Joanna, której nerwy były ostatnio w dość opłakany stan. Dlatego zapewne w jej głowie zrodził się zamysł tego nedorzecznego spaceru, na który - niejako siłą rzeczy - wyciągnęła również mnie.

Gdzieś, w skrytości ducha, byłem jednak zadowolony, że spróbowałem tego introwertora. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że nikt nie powinien o tym wiedzieć, nawet Joanna. Zaraz zaczęłyby się domysły, plotki i trudne do przewidzenia konsekwencje tych plotek. A tak wszystko jest po staremu i nic się nie stało. No, nie wszystko jest po staremu. Joanna po spektaklu stała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie, zaś jej zachowanie jeszcze bardziej dziwaczne. Uświadomiłem sobie nagle, że przez tyle lat małżeństwa nie zdarzyło się jeszcze ani razu, by Joanna była tak rozdrażniona. Nigdy jeszcze nie wyszła z domu z traskiem drzwi, nigdy jeszcze nie musiałem jej szukać... Dobrze, że dziecko nie obudziło się i nie było świadkiem tej niesmacznej sceny.

Zwolniłem trochę forsowny marsz, bowiem poczułem, że robi mi się coraz cieplej, a oddech mam coraz krótszy, coraz bardziej łapczywy. Zadyszałem się.

Postanowiłem wracać do domu. Teraz już na serio bałem się przeziębienia. Joanna i tak wróci, a może jest już w domu - myślałem - a ja jak głupi moknę na zimnym deszczu.

Zawróciłem.

Szedłem teraz nieco wolniejszym krokiem. W telewizyjnej poradni zdrowotnej zalecano przecie unikanie nadmiernego wysiłku. Szedłem więc wolniej, chociaż poganiała mnie wizja ciepłego mieszkania i nie dopitej szklanki whisky.

Byłem już niedaleko domu, gdy spostrzegłem idącą postać. Znów przyspieszyłem kroku. To była Joanna. Szła wolno, jakby nie czuła zimnego deszczu.

Podszedłem do niej i ukryłem ją pod parasolem. Wzdrygnęła się, a później, spojrzawszy na mnie, rzekła obojętnie:

- Ach, to ty.

- Tak, ja. Chyba nie spodziewałaś się kogo innego?

- Nie, nikogo się nie spodziewałam.

- Wracamy. Boję się, że się przeziębisz. Jesteś cała przemoczona.

- No to co?

- Co się z tobą dzieje? - poczułem, że zaczynam tracić panowanie nad sobą. - Ja troszczę się o ciebie, biegam po deszczu, a ty...

- Co ja? - przerwała zaczepnie.

- A ty, a ty... Sprowadzisz w końcu na naszą rodzinę jakieś nieszczęście - wybuchnąłem.

- Nieszczęście?

- Wyciągasz mnie na jakieś podejrzane widowiska, chodzisz sama po nocy... Gdyby to się rozniosło...

- Więc o to ci chodzi? - rzekła wolno, ale jeszcze wtedy nie zauważyłem dziwnego tonu w jej głosie.

- Nie tylko o to! Już teraz patrzą na mnie w pracy podejrzliwie. Nie dalej jak trzy dni temu szef wezwał mnie na rozmowę i zapytał, czy wszystko układa się między nami pomyślnie. Sądziłem, że to zwykła troskliwość, ale dzisiaj widzę, że to nie mógł być przypadek. Oni już wiedzą coś o nas. Jak tak dalej pójdzie, to skreślą mnie z listy awansów przynajmniej na dwa lata.

- Ty pętaku!

- Przestań mi ubliżać! - mówiłem głośno, niemal krzyczałem, zapominając, że nie jesteśmy w domu. - Już dłużej tego nie zniosę: Jeżeli natychmiast nie weźmiesz się w garść...

- To co? Rozwiedziesz się ze mną?

- Na to nie licz. Wiesz dobrze, co by to znaczyło.

- Nienawidzę cię! - wyrwała mi parasol z ręki i pobiegła do domu.

Czułem, że jestem zanadto wzburzony, aby biec za nią i przeproszać. A przy tym nie miałem najmniejszego pojęcia, za co miałbym ją przeproszać. Przecież wszystko, co do tej pory robiłem, miało na celu pomyślność naszej rodziny. Moja dobrze rozwijająca się kariera była mocnym fundamentem, na którym zbudowałem dostatnie i wygodne życie Joannie i naszemu synowi. No i sobie. Joanna powinna być mi wdzięczna za moje starania. Każda kobieta byłaby w tej sytuacji zadowolona. Tymczasem ona zachowywała się akurat na odwrót. Czy rzeczywiście wszystko to należałoby złożyć na karb wypadku?

Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Czułem spływające po karku zimne krople i wówczas uświadomiłem sobie, że stoję od dłuższego czasu tam, gdzie zostawiła mnie Joanna, a deszcz nadal pada.

Było mi źle i najchętniej zająłbym się jakąś robotą. Według wskazówek telewizyjnych psychologów zmiana zajęcia jest najlepszym środkiem na usunięcie nadmiernego stresu. Najchętniej zabrałbym się za naprawianie przeciekającego kranu w łazience, albo wyregulowanie palnika gazowego, który ostatnio zaczął palić się nierównym płomieniem. Pora była jednak zbyt późna. Więc po przyjsciu do domu wychyliłem jednym haustem pozostałą w szklance whisky i poszedłem się umyć. Joanna już spała albo udawała, że śpi.

Posłałem sobie łóżko w gościnnym pokoju, ale nie mogłem zasnąć. Ciągle głowiłem się nad postępowaniem Joanny. Lubię mieć wszystko dobrze poukładane. Moje biurko mogłoby być wzorem porządku. W jednej szufladzie sprawy do załatwienia, w drugiej - już załatwione. Ołówki i długopisy ułożone w szeregu, niby od - działa żołnierskie na parady. Dyktafon zawsze sprawny, a na telefonie nikt nie znajdzie najmniejszej plamki kurzu. Lubię porządek i jasne sytuacje. Lubię, kiedy wszystko pasuje do siebie, kiedy jest tak, jak być powinno. A zachowanie Joanny nie pasowało do niczego. Nazwałbym je nienormalnym, gdyby chodziło o jakąś obcą osobę.

Przewracałem się z boku na bok, ale sen nie nadchodził, dlatego ona powiedziała, że mnie nienawidzi? Oczywiście nie myślała serio; nie można przecież nienawidzić człowieka, z którego strony nie doznało się ani razu krzywdy. A ja nigdy nie skrzywdziłem Joanny. Musiał jednak być jakiś powód jej wzburzenia. Jaki?

Jeśli doszła do wniosku, że nasze małżeństwo nie jest udane, to jakie życie mogła mieć na myśli? Wiele rodzin chciałoby żyć w naszych warunkach, cieszyć się taką pozycją, jaką my - dzięki mojemu stanowisku - zajmujemy. Wiele rodzin, byłem tego absolutnie pewny, przeważająca ich większość, chciałoby się znaleźć w naszym położeniu. Kosztowało mnie to wiele wysiłku, wiele zabiegów, które - krok po kroku - zbliżały mnie do celu. I robiłem to wszystko głównie z myślą o Joannie. Jeżeli więc mimo tego ona mnie nienawidzi, to po co to wszystko? Po co? Przypomniałem sobie nagle, że to samo pytanie dręczyło mnie niedawno w teatrze, wtedy, gdy działo się ze mną coś dziwnego.

Poczułem chłodne tchnienie niepokoju. Muszę się otrząsnąć - pomyślałem. - To chwilowa depresja. Jutro znów będzie dzień jak zwykle. Wszystko wróci do normy. Nie na wiele się to zdało. Niezrozumiały niepokój trawił mnie nadal.

Wyskoczyłem z łóżka i podszedłem do okna. Nisko sunące zwały chmur były ledwie widoczne w bladej poświacie miasta. Gdzieś tam za nimi - pomyślałem - są gwiazdy zawieszane w przestrzeni tak nieskończonej, jak nieskończona jest tajemnica ludzkiego losu. Co za brednie - przestraszyłem się tej myśli, ulotnej jak kształt fali na morzu. - Zupełnie się rozklejam.

Wróciłem do łóżka.

Nie wiem, kiedy udało mi się zasnąć. Obudziłem się o piątej rano. Byłem zlany potem i bolała mnie głowa.

Śniło mi się, że jestem w jakimś ciemnym ogrodzie, urządzonym na modłę francuską. Siedziałem na ławce, naprzeciwko nieczynnej fontanny. Nagle zza fontanny począł wyłaniać się rząd ludzkich postaci, przyobleczonych w białe szaty, przypominające do złudzenia habity zakonne. Wszystkie postacie były w kapturach, w których cieniu ginęły zarysy twarzy. Każda z postaci niosła przed sobą portret, widoczny bardzo wyraźnie, mimo że cały ogród spowity był mrokiem, a fontannę ledwie było - widać, podobnie jak same postacie.

Postacie szły gęsiego, wolnym krokiem, mijając moją ławkę w odległości nie większej niż trzy metry. W rękach pierwszej postaci dostrzegłem portret mojego dziadka, którego twarz znam tylko z fotografii. Umarł, gdy miałem dwa lata.

Druga postać niosła portret mojej nieżyjącej matki. Na następnym portrecie widniała twarz mojego ojca, który umarł w rok po śmierci matki. Jego twarz nie była tak surowa jak zwykle; powiedziałbym, że była roz pogodzona i w jakiś sposób napawająca otuchą. Chciałem wstać z ławki i zerwać kaptur z postaci niosącej ten portret. Jednak czułem, że nie mogę się ruszyć, nie mogę nawet zamknąć oczu, aby nie patrzeć na ten korowód śmierci. Przewijały się więc przede mną portrety osób mi znanych, które już przekroczyły granicę milczenia. Poznałem kolegę ze szkoły, który zmarł po wstrzyknięciu mu przez pomyłkę potrójnej dawki szczepionki, przyjaciółkę z lat dziecińczych, która została przejechana przez samochód, stryja, który umarł na raka, i wiele innych osób.

Nie wiem, jak długo to trwało. W pewnym momencie korowód się skończył. Tak sądziłem, ale wówczas zza fontanny wychyliła się jeszcze jedna postać, która niosła przed sobą nie dokończony portret jakiejś twarzy. Wpatrywałem się aż do bólu w kolorowe plamy na płótnie, rozrzucone niby w przerwanej w połowie łamigłówce obrazkowej. Widziałem zarys głowy, podbródek, szyję i kontur włosów. Był to nie dokończony portret jakiejś kobiety, ale mimo wysiłku nie mogłem dopatrzeć się żadnych znajomych mi rysów twarzy.

Znów usiłowałem wstać z ławki, co tym razem udało mi się nadspodziewanie łatwo. Podbiegłem do postaci niosącej ów nie dokończony portret i zerwałem jej kaptur z głowy. Poczułem, że serce zabiło mi mocniej.

To była Joanna.

Z nieruchomą twarzą, niby manekin, minęła mnie i podążyła śladem poprzednich postaci. Stałem na środku alejki i chciałem krzyczeć, ale nie mogłem wydobyć głosu. Wówczas dostrzegłem, że zza fontanny wychodzi jeszcze jedna postać i zmierza w moim kierunku. Postać ta niosła przed sobą obramowane płótno, na którym - widziałem to niezmiernie wyraźnie - nie było nic poza słabo zarysowanym konturem głowy; jakby malarz zastanawiał się jeszcze, czyja twarz posłuży mu za model do portretu. Gdy postać zbliżyła się do mnie, miałem już tę gorączkową pewność, że spełni się to, czego oczekiwałem. A mimo to, gdy zerwałem jej kaptur z głowy - zadrzałem.

To byłem ja sam.

Z mojej piersi wyrwał się krzyk i w tym momencie obudziłem się; spocony i z bólem głowy. Brakowało mi tchu.

Zerwałem się z posłania i podszedłem do okna. Otworzyłem je na całą szerokość. Do wnętrza wtargnęło wilgotne, zimne powietrze. Nadal siąpił deszcz, a niebo zasnutę było jednolitą brudnoszarą powłoką chmur. Miałem ochotę rozedrzyć tę powłokę i czuć nad sobą niezmierny czysty błękit nieba. Ale zaraz uświadomiłem sobie całą naiwność tego marzenia.

Wdychałem głęboko chłodne powietrze. Rytm mojego serca powoli uspokajał się, a w myśli dojrzewała jedynie słuszna w takiej sytuacji decyzja. - Musiałem jakoś wybrnąć z tego, musiałem pozbyć



się majaków i dręczących urojeń, które w ciągu ostatnich godzin wsączyły w mój umysł tyle niepotrzebnego wzburzenia i niepokoju. Musiałem zneutralizować skutki działania teatru introwertywnego. Nie mogłem się poddać, gdyż inaczej wszystkie moje dotychczasowe dokonania byłyby wątpliwe. Okazałbym się równie słaby jak Joanna i ludzie jej pokroju. Nie mogłem sobie pozwolić na słabość, gdyż ktoś w naszej rodzinie musiał być mocny, jeżeli ta rodzina miała przetrwać.

Postanowiłem udać się do poradni zdrowia psychicznego. Byłem pewny, że fachowcy mi pomogą.

Jakoż udałem się tam jeszcze tego samego ranka. Chciałem to mieć jak najprędzej za sobą. Nie korzystałem do tej pory z usług poradni, więc trochę stremowany przekraczałem jej progi. Miałem jednak nadzieję, że uzyskam tutaj oczyszczenie mojego umysłu z nawarstwionych ostatnio bolesnych skojarzeń.

Nie powiedziałem Joannie, że wybieram się do poradni. Wahałem się nawet, czy tego nie uczynić i nie pójść tam razem z nią. Ale później odrzuciłem ten pomysł. Nie chciałem, aby Joanna wiedziała, że nie jestem w stanie poradzić sobie sam z własnymi problemami. Pragnąłem, by dalej była przekonana, że jestem silnym człowiekiem, na którym można z zaufaniem budować swoje życie. Czy jakakolwiek kobieta darzyłaby zaufaniem mężczyznę, który wybiera się do poradni po obejrzeniu spektaklu teatralnego i jednym idiotycznym śnie? Ja osobiście nie miałbym zaufania, toteż nie miałem podstaw aby przypuszczać, że Joanna mimo wszystko to zaufanie zachowa. Wiedziałem też, że jest jej ono potrzebne zwłaszcza teraz, gdy sama borykała się z jakimiś problemami, będącymi prawdopodobnie echem jej niedawnego wypadku, i to echem zwielokrotnionym przez ów nieszczęsny teatr introwertywny. Potrzebny jej był ktoś, na kim mogłaby się oprzeć; ktoś, kto dałby jej poczucie pewności i bezpieczeństwa. Tym kimś mogłem być tylko ja. A do tego potrzebna mi była cierpliwość. I spokój wewnętrzny. W poradni właśnie postanowiłem ten spokój odzyskać.

W długim korytarzu było kilkanaście osób. Niektóre z nich siedziały w bezruchu w wygodnych klubowych fotelach; inne - przechadzały się nerwowo w oczekiwaniu na swoją kolejkę.

Podszedłem do punktu informacyjno-rejestracyjnego, gdzie zanotowano moje nazwisko i kazano czekać, aż mnie wywołają. Miałem ochotę na szklankę whisky, co o tak wczesnej porze dnia jeszcze mi się nie zdarzyło. Rozejrzałem się w poszukiwaniu wolnego fotela, ale wszystkie były zajęte. Zacząłem więc chodzić, bowiem stanie wydało mi się nazbyt nużące.

Wśród oczekujących nie dostrzegłem żadnej znajomej twarzy, co przyjąłem z ulgą. W zasadzie chodzenie do poradni nie jest niczym wstydliwym. W telewizji zalecają nawet okresowe wizyty kontrolne. A jednak wybrałem poradnię na drugim końcu miasta, słusznie mniemając, że prawdopodobieństwo spotkania znajomego jest tutaj mniejsze.

Czekałem nie dłużej niż pół godziny. Gdy wywołano moje nazwisko, poczułem, iż wilgotnieją mi dłonie. Dyskretnie wytarłem je chustką i podążyłem we wskazanym kierunku.

Siedzący w gabinecie psycholog spojrział na mnie przenikliwie, a może tylko tak mi się zdawało, i zaprosił gestem do zajęcia miejsca w fotelu.

- Niech się pan rozluźni - rzekł niskim, przyjemnym głosem. - Jesteśmy tu po to, żeby panu pomóc. Niech pan usiądzie wygodnie i zrelaksuje się.

Zrobiłem jak kazał i od razu poczułem się lepiej.

- Najpierw proszę wypełnić te testy - ciągnął psycholog, podsuwając mi plik różnokolorowych kartek. - Czy ma pan długopis?

- Mam - odparłem. - Zawsze noszę przy sobie coś do pisania. Tak na wszelki wypadek.

- Doskonale. Proszę odpowiedzieć na każde pytanie. Aha, jeszcze jedno. To nie są pytania egzaminacyjne. Każda odpowiedź jest dobra.

- Rozumiem.

- Czy napije się pan kawy?

- Chętnie.

- Zorganizuję panu kawę, a pan niech przez ten czas wypełni te testy.

Wyszedł z pokoju, a ja zabrałem się do wypełniania kartek. Po chwili do pokoju weszła pielęgniarka, niosąc na tacy filiżankę kawy. Postawiła ją na biurku i bez słowa wyszła.

Testy zajęły mi kilkanaście minut. Chyba musiałem być obserwowany, bo ledwie odpowiedziałem na ostatnie pytanie, do gabinetu ponownie wszedł psycholog w asyście pielęgniarki. Zebrał wszystkie kartki i oddał je pielęgniarce.

- Proszę to przeanalizować.

- Tak, panie doktorze - wzięła kartki i wyszła.

- A my teraz sobie porozmawiamy - psycholog zasiadł w sąsiednim fotelu.

- Jestem do pańskiej dyspozycji.

- Doskonale. Pan ma kłopoty, prawda?

- Czy to widać?

- Nie - psycholog roześmiał się. - Nie widać. Wygląda pan zupełnie normalnie. Gdybym spotkał pana w każdym innym miejscu, nie podejrzewałbym, że ma pan jakieś problemy. Tu przychodzą tylko tacy ludzie, którzy mają kłopoty. A więc, na czym polega pański kłopot?

- Trudno powiedzieć to w jednym zdaniu - zacząłem z trudem, gdyż nagle powód mojej wizyty wydał mi się nieistotny, nieledwie śmieszny.

- Nie chcę, aby mi pan odpowiadał jednym zdaniem. Najlepiej niech mi pan opowie wszystko od początku.

Opowiedziałem wszystko. Nie pominąłem najmniejszych szczegółów. Wiedziałem, że w gabinecie psychologa można bez obawy być szczerym, a z pozoru nieistotne drobiazgi mogą mieć ważne znaczenie dla postawienia właściwej diagnozy. Toteż starałem się nie pominąć niczego. Psycholog słuchał uważnie, wtrącając od czasu do czasu jakieś pytanie.

Gdy skończyłem, psycholog powiedział:

- Dowiemy się teraz, czy wyniki pańskich testów są już przeanalizowane - dotknął jakiegoś przycisku na biurku i po chwili do gabinetu weszła ta sama pielęgniarka niosąc w ręku arkusz papieru.

Psycholog wziął papier z jej rąk i zaczął go studiować. Trwało to chwilę, nie na tyle długą jednak, abym zaczął się niecierpliwić.

- Wszystko jest jasne - przerwał milczenie. - Pański przypadek nie jest poważny.

Poczułem ciepłą falę ulgi, przenikającą całe moje ciało. Tymczasem psycholog ciągnął dalej:

- Jest to chwilowa depresja, na którą złożyło się kilka czynników. Przede wszystkim, rekonwalescencja pańskiej żony. Trwa ona dłużej i przynosi efekty mniejsze niż pan oczekiwał. To jest jedna przyczyna chwilowego załamania. Powtarzam - chwilowego. Drugą przyczyną jest wstrząs spowodowany obejrzeniem tej sztuki teatralnej. Nawiasem mówiąc, nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. To znaczy ten teatr introwertywny. Bardzo ciekawy eksperyment. Ile punktów uzyskuje się za pójście na taki spektakl?

- To nie jest punktowany teatr - przyznałem ze wstydem. - W ogóle nie zalicza się go do aktywności kulturalnej. Podobno Urząd Kultury nie ma jeszcze wyrobionego zdania w tej sprawie.

- Nie zezwala na spektakle?

- Nie zabrania ich.

- Rozumiem. Wróćmy jednak do pańskiego przypadku. Sen, który nawiedził pana dzisiejszej nocy, był odbiciem zachwianej równowagi emocjonalnej. Z podświadomości wydobyły się - w formie marzenia sennego - te niepokoje, które nazywane są przez pewnych teoretyków - popędem śmierci. W normalnej osobowości są one głęboko stłumione i rzadko przedostają się do sfery marzeń sennych, a jeszcze

rzadziej - do sfery świadomych rozmyślań. W dzisiejszych warunkach życia świadome myślenie na ten temat nie ma racjonalnych podstaw. Tyle czeka nas zadań, tyle fascynujących perspektyw, że racjonalnie myślący człowiek nie ma po prostu czasu na ponure i pesymistyczne nastroje. Choć zdarzają się od czasu do czasu przejściowe oznaki obniżenia się poziomu dobrego samopoczucia. Nasilenie tych oznak następuje w okresach niżu barycznego, zwłaszcza wśród ludzi bardziej podatnych na zmiany ciśnienia. Od dwóch dni mamy niż i dlatego od dwóch dni mamy więcej pacjentów. Gdy nadejdzie wyż, znów korytarze naszej poradni będą świecić pustkami.

- Więc nie ma podstaw do niepokoju?

- Najmniejszych. Z testów wynika, że pańska osobowość charakteryzuje się wysokim współczynnikiem przystosowania społecznego. Należy pan bez wątpienia do zdrowej części społeczeństwa.

- Dziękuję.

- Jest jednak pewna sprawa, którą należałoby się zająć.

- Co pan na myśli?

- Stan psychiczny pańskiej żony.

- Czy z nią jest niedobrze?

- Nie. Tego nie powiedziałem. Mam zbyt mało danych, aby cokolwiek stwierdzić na pewno. Ale objawy, które pan opisał, wskazują na pewnego rodzaju dewiację, która - w porę nie zahamowana - może się pogłębić.

- Co pan radzi?

- Niech pan przyprowadzi żonę.

- Czy sądzi pan, że to przyspieszy jej rekonwalescencję?

- Na pewno jej nie zaszkodzi, a być może powstrzyma jakiś proces przemian osobowościowych, który może uczynić ją nieszczęśliwą.

- Dołożę wszelkich starań, aby tu przyszła.

- Nie wątpię w to - odparł lakonicznie psycholog i podał mi receptę. - Gdyby majaki senne powtórzyły się, to proszę zażywać przed snem po jednej tabletkce. Myślę jednak, że nie będą one panu potrzebne.

- Dziękuję, doktorze i do widzenia.

- Do widzenia.

Gdy wyszedłem na ulicę, świat wydał mi się piękniejszy. Dzięki pomocy prawdziwego fachowca znów powróciłem na swoje miejsce.

## Uciec do jadowitych węży

Żyjemy w okresie wielkich przemian. Każdy z nas czuje na własnej skórze przebieg walki między grupami, które chcą za wszelką cenę zachować stary system, a tymi, którzy obrali sobie za cel zbudowanie nowego, lepszego społeczeństwa. Walka ta nadal trwa, mimo że działania „zbrojne” zakończyły się blisko rok temu. Miliony ludzi czują się zagubione, nie wiedzą, komu mają wierzyć. Nasza redakcja wychodzi im naprzeciw - postanowiliśmy opublikować szereg dokumentów ujawniających mechanizmy działające w minionym okresie. Zaczynamy od drukowania pamiętnika Tommy Blake'a, bardziej znanego pod pseudonimem „Don”. Nasi szanowni Czytelnicy, pamiętają zapewne, kim był ten człowiek. Próbował on porwać intergalaktyk „KORAB”. Obezwładniony przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa został sprowadzony na Ziemię i umieszczony w zamkniętym szpitalu w celu przeprowadzenia badań psychofizjologicznych. Wykorzystując chwilę nieuwagi personelu, popełnił samobójstwo. Tak informowały oficjalne komunikaty.

W rzeczywistości Tommy Blake był umieszczony w specjalnym ośrodku w Fort Rox i tam został zamordowany. Zbyt wiele bowiem wiedział, aby mógł być normalnie sądzony.

„Don” zostawił po sobie pamiętnik, mówiący wiele, kim był i kim byli jego mordercy. Nie wiemy i nigdy nie dowiemy się, dlaczego zabójcy „Dona” nie zniszczyli go. Tylko nieprawdopodobny przypadek sprawił, że ten cenny dokument nie został zniszczony w czasie dwutygodniowych ciężkich walk o Fort Rox.

Oddajemy zatem głos Tommy Blake'owi, wielkiemu oskarżycielowi okresu minionego, miejmy nadzieję, że bezpowrotnie.

*Redakcja*

Pamiętam dobrze ten dzień - 14 kwietnia. Powinno być ciepło i słonecznie. Tymczasem padał deszcz ze śniegiem i wiał zimny wiatr. Pogoda nie była wcale wiosenna. Tego dnia opuściłem Zakład Karno-Wychowawczy w Banderossie. Ponieważ zamknęli mnie w pełni lata, miałem na sobie tylko lekką koszulę z krótkimi rękawkami, płócienne spodnie i sandały. Ubiór całkowicie nieodpowiedni na panującą obecnie pogodę.

Przy bramie więziennej jakiś facet z Towarzystwa Opieki Postpenitencjarnej wcisnął mi do ręki plik banknotów. Nie było tego dużo - starczyło tylko na powrotny bilet kolejowy i talerz gorącej zupy. „Mógł dać na przelot jonolotem” - pomyślałem ze złością. Wróciłbym zapewne i tak pociągiem, ale przynajmniej zjadłbym porządny obiad i kupiłbym sobie jakąś cieplejszą bluzę.

Mokry i zziębnięty znalazłem się na dworcu. Najbliższy pociąg miał odejść dopiero za cztery godziny. Długo musiałem czekać. A nigdy tego nie lubiłem. Kupiłem sobie bilet i ścisnąłem go mocno w rękę. Czułem się tak, jakbym był już w domu. W hali dworcowej było ciepło i przytulnie. Przestałem się trząść z zimna. Dobrze, że kasjer wydał mi resztę monetami. Podeszedłem do automatu i wrzuciłem kilka. Poczekałem, aż otworzyła się klapka. Wyjąłem kilka paczek papierosów i zapalek. Z nudów paliłem papierosy i studiowałem rozkład jazdy. Porządni obywatele tej parszywej dziury, zwanej Banderossą, omijali mnie z daleka. Ich rozumowanie było prawidłowe - w taką pogodę w takim stroju mógł chodzić tylko wariat albo zwolniony dzisiaj kryminalista. W Banderossie nie ma szpitala dla pomyleńców, a swoich wariatów dobrze znają. Dlatego musiałem być dla nich niebezpiecznym kryminalistą.

Wreszcie nadjechał pociąg. Wsiadłem do ostatniego wagonu. Konduktor długo patrzył to na mnie, to na bilet, zanim zdecydował się mnie wpuścić. Zająłem miejsce w środkowym przedziale. Cały czas jechałem sam - na każdej stacji drzwi otwierały się i natychmiast zamykały. Nikt nie chciał podróżować razem z kryminalistą. Miało to swoje dobre strony - mogłem się porządnie wyspać. Tylko te trzaskania drzwiami na każdej stacji wyrywały mnie z drzemki.

Do stolicy pociąg przyjechał o wpół do drugiej w nocy. Zmęczony, głodny, trochę tylko bardziej suchy wysiadłem na peron. Światło jarzeniówek poraziło moje oczy. Przez parę minut poruszałem się po omacku, nim przyzwyczaiłem się do sztucznego oświetlenia. Potem miałem kłopoty z utrzymaniem równowagi na ruchomych schodach. Zawsze bardzo szybko odzwyczajałem się od dobrodziejstw techniki.

Noc była zimna. Biegłem, szcękając zębami. Zadyszałem się, musiałem przystanąć i odpocząć.

„WSZYSTKO KUPISZ W DOMU TOWAROWYM HALDERA”

„SAMOPROGAMUJĄCE ROBOTY KUCHENNE KONCERNU ROBINSON SAME WYMYŚLĄ NAJBARDZIEJ WYKWINTNE OBIADY”

„JONACHÓD Z AUTOMATYCZNYM KIEROWCĄ KONCERNU CAMPALA GWARANCJĄ SZYBKIEJ I BEZPIECZNEJ PODRÓŻY”

Bezwiednie czytałem migające neony. Zapaliłem papierosa. Nic z tych i innych rzeczy sobie nie kupię. Po pierwsze dlatego, że nie mam tyle pieniędzy.

Odsapnąłem i ruszyłem dalej. Już nie biegłem, tylko szybko szedłem. O tej porze komunikacja nie działała, a na taxi nie miałem pieniędzy.

- Gdzie się pan tak spieszy?

Odwrociłem się. Patrol policyjny.

- Do domu - odparłem.

- Poproszę o jakiś dokument tożsamości.

Wściekły na cały świat sięgnąłem do górnej kieszonki w koszulce. Tam miałem zaświadczenie o zwolnieniu mnie z Zakładu Karno-Wychowawczego. Wilgotny jeszcze papier podałem policjantowi. Czytał straszliwie długo. Ale on, ubrany w specjalny uniform, nie marzył.

- Idź pan! - wreszcie wcisnął mi dokument do ręki. Szcękając zębami, ruszyłem dalej. Zimno i zmęczenie dawały mi się coraz bardziej we znaki. Zdecydowałem się wreszcie skorzystać z ruchomego chodnika. Wskoczyłem, zachwiałem się, ale udało mi się utrzymać równowagę. To wcale nie jest zabawne przewrócić się na ruchomym chodniku. Podjechałem spory kawałek, odpocząłem, ale też porządnie zmarzłem. W ten sposób, trochę biegnąc, trochę idąc i trochę jadąc ruchomym chodnikiem, po dwóch godzinach dotarłem do domu. - Od urodzenia mieszkam w starej dzielnicy, do której jeszcze nie zdążyła wkroczyć nasza supertechnika. Domy z innej epoki i ludzie z innej epoki. Ale to nic. My po prostu źle się czujemy w tych supernowoczesnych dzielnicach. Brakuje nam tam czegoś.

W mieszkaniu czekali na mnie: stale mieszkająca u mnie moja dziewczyna Betty i mój stary kumpel Teddy. Betty rzuciła się na mnie. Wyściskaliśmy się i wycałowaliśmy za wszystkie czasy. Za miesiące rozłąki. Czy w supernowoczesnej dzielnicy ktoś znajdzie dziewczynę bardziej wierną od psa? Na pewno nie!

Kochana Betty, ileż razy obiecywałem ci, że to już nasza ostatnia rozłąka. A ty, naiwna, w to wierzyłaś!

- Za twój powrót! - Teddy zdążył już rozlać wódkę do szklanek. Wypiłem jednym haustem i... musiałem biec do łazienki. Zmęczony organizm gwałtownie zareagował na alkohol. Ale jednocześnie czułem przyjemne ciepło rozchodzące się po całym organizmie. Nagle cały świat zawirował mi przed oczyma... Obudziłem się w czystym łóżku. Miałem na sobie piżamę.

- Mój ty kochany pijaczkę - z trudem rozpoznawałem głos Betty. Łeb bolał mnie potwornie. Miałem niesamowitego kaca. Cały dzień przeleżałem w łóżku. Betty opiekowała się mną jak małym dzieckiem. Kochana Betty! Kac ma to do siebie, że po pewnym czasie przechodzi. Wieczorem wykąpałem się. Po wyjściu z wanny poczułem się znacznie lepiej. A rano byłem już w pełni sił. Dobrze wiedziałem, co muszę zrobić zaraz po śniadaniu - pojechać do Urzędu Pracy. Pojechałem tam, bez żadnej nadziei, że znajdę jakąś robotę. Zrobiłem to dla Betty. Zawsze tak robiłem po dłuższej nieobecności w domu. Nic nie poradzę na to, że nikt mnie nie chce.

Urząd Pracy mieści się w Dzielnicy Centralnej. Dwustupiętrowy wieżowiec strzelający w niebo. Jak każdy drapacz chmur, stanowi okaz szpetoty i przykład wyjątkowego braku dobrego smaku architektów i budowniczych.

Wszedłem do dużego hallu. Stoją tu dwa wielkie komputery. Wystarczy wziąć mały druczek, wypełnić go i wrzucić do żelaznej szafy. Zrobiłem to i otrzymałem tak dobrze znaną mi formułkę: „CHWILOWO BRAK MIEJSCA PRACY DLA PANA. PROSZĘ SIE ZAREJSTROWAĆ I POZOSTAWAĆ W KONTAKCIE”.

Wypełniłem następny druczek i wrzuciłem do drugiego komputera. Otrzymałem potwierdzenie: „JEST PAN ZAREJSTROWANY. PROSZĘ SIE DOWIADYWAĆ”.

Zrobiłem więc wszystko, co mogłem zrobić. Wszedłem z gmachu, przekonany, że te wielkie żelazne pudła nigdy mi nie pomogą. Na ulicy zapaliłem papierosa. Co dalej? Nie wiedziałem. Pomyślałem nawet o samobójstwie. Ale to było zbyt proste i zbyt głupie. Chciałem przecież zawsze uchodzić za twardego faceta. Przyjadę tu za parę dni, wrzucę wypełniony druczek, i...

- Don!

Odwrociłem się.

- Chodź do mnie, Don!

Wysoki, szczupły facet wzywał mnie.. Skąd zna mój przydomek? Ja tego faceta widziałem pierwszy raz w życiu. Jeżeli ma do mnie interes, niech sam przyjdzie.

I przyszedł.

- Słuchaj, Don. Ja bardzo nie lubię, jak ludzie mnie nie słuchają - powiedział i pokazał mi legitymację z magicznym symbolem II-B-2. Co może mieć do mnie policja polityczna? Oni ścigają zawzięcie wielkich, mniejszych i najmniejszych zdrajców narodu.

- O co chodzi? - nie udało mi się ukryć niepokoju.

- Chodźmy na kawę. Tutaj nie będziemy gadali.

Tajniak zaprowadził mnie do pobliskiego barku kawowego, postawił kawę, poczęstował papierosem.

- Wiem, że szukasz roboty, Don. Ale zdajesz sobie sprawę, że nie masz zbyt wielkich szans. Żadne firmy nie chcą przyjmować kryminalistów.

Nie musiał mi tego mówić.

- Ale możesz zarobić dużo pieniędzy.

Chciałem go zapytać, od kiedy jego firma zatrudnia ludzi z marginesu społecznego, ale w porę ugryzłem się w język. To byłoby bardzo niestosowne pytanie.

- Widzisz, Don, musimy wymierzyć sprawiedliwość jednemu facetowi. Nazywa się Shanton. Opuścił nasza poczciwą Ziemię, osiedlił się na Fabrze - to taka planeta w...

Obce światy nigdy mnie nie pociągały. Na Ziemi miałem jeszcze wystarczająco dużo miejsca. A kto lata na inne planety? Najpierw uczeni, którzy prowadzą tam różne badania. A po nich? Planety można podzielić na dwie grupy - te, na które już nikt nie lata, i te, na które latają ludzie mający bardzo dużo pieniędzy. Po to, by mieć jeszcze więcej pieniędzy. Ja nie zaliczam się ani do naukowców, ani do milionerów.

- Shanton jest wielkim narodowym zdrajcą i musi ponieść karę. Wyrok w jego sprawie już zapadł, trzeba go tylko wykonać.

Czyżby zabrakło im specjalistów od tej roboty? - bardziej prawdopodobna jest chyba bajka o krasnoludkach. Tajniak dostrzegł moje wahanie, bo wyjaśnił:

- Shanton zna naszych specjalistów. Dlatego żaden z nich nie może polecieć.

Wypiłem kawę i zapaliłem papierosa. Nie wiedziałem, co sądzić o tej propozycji. A miałem nad czym myśleć. Czy potrafię zabić człowieka? Czy nie stanę się małym, wstrętnym donosicielem? Pewnie stanę się.

Nagle tajniak zrobił taką minę, jakby zobaczył diabła. Zerwał się, zdążył jeszcze szepnąć:

- Wychodź zaraz za mną!

Po chwili wstałem i wyszedłem.

- Spotkamy się pojutrze w tym samym miejscu - powiedział i natychmiast odszedł.

Zostałem sam. Miałem nad czym myśleć przez cały jutrzejszy dzień.

Wróciłem do domu.

- Nie mam roboty - powiedziałem. - Pojadę pojutrze, może coś znajdę.

- Robotę znajdziesz wtedy, gdy zmieni się system władzy - odparła Betty. - Wtedy, gdy prawdziwi ludzie będą dostrzegali innych prawdziwych ludzi.

Taki mądry też byłem. Nie wiedziałem tylko, kto ma zmienić system władzy. Ja? Do tego się nie nadaje.

Ktoś zapukał. Otworzyłem drzwi. Zobaczyłem nieznanego faceta. Wydawało mi się jednak, że widziałem go gdzieś.

- Pan Tommy Blake, prawda?

- To ja.

- Może pan mnie wpuścić do mieszkania? Nie będziemy chyba rozmawiali na schodach.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Wszedł do pokoju, skrzywił się, widząc Betty.

- Chciałbym porozmawiać z panem na osobności.

Poprosiłem Betty, aby nam nie przeszkadzała, i zapytałem:

- Czym mogę służyć?

Pokazał swoją legitymację służbową. Wynikało z niej, że jest pracownikiem VI Wydziału Naczelnego Dowództwa Połączonych Sił Zbrojnych. Służbę w wojsku już dawno odbyłem i sądziłem, że moje stosunki z armią zostały już uregulowane.

- Spotkał się pan dzisiaj z pracownikiem tajnej policji?

Teraz uprzytomniłem sobie, że tego właśnie faceta widziałem w kawiarni.

- Pracownik ten proponował panu dokonanie zabójstwa Shantona?

Nie zaprzeczyłem.

- Coś panu poradzę, panie Blake. Niech pan się nie waży podejmować tego zadania.

Zbaraniałem.

- Nasi przyjaciele z II-B-2 - tłumaczył mi spokojnie przybysz - wszystkie nasze osiągnięcia chętnie wpisują na swoje konto. A swoje porażki - na nasze. Nie możemy na to pozwolić!

„Co to ma wspólnego z Shantonem?” - pomyślałem. Tajniak z wojskowej służby specjalnej tego mi już nie wyjaśnił.

- Będziemy nadal w kontakcie. Odwiedzę jeszcze pana. Do widzenia.

- Kto to był? - zapytała Betty, gdy zamknąłem za nim drzwi.

Nie odpowiedziałem.

- Znów pakujesz się w jakieś kłopoty - Betty nie omieszkała skomentować mojego milczenia.

Tak, Betty! Pakuję się w wielkie, bardzo wielkie kłopoty! Ale to moja, wyłącznie moja sprawa!

Pojechałem na spotkanie z tajniakiem z policji. Oczywiście nic sensownego nie wymyśliłem. Nie miałem mu nic do powiedzenia. Czekał już na mnie. Z góry przeprosił, że nie może rozmawiać ze mną zbyt długo, gdyż jest bardzo zajęty. Wręczył mi tylko plik banknotów jako zadatek na dalszą współpracę.

Czułem się jak kretyn - miałem kupę pieniędzy, którymi nie mogłem się pochwalić nikomu, nawet Betty.

Poszedłem do barku kawowego, tego samego, do którego zaprowadził mnie tajniak. Kawa była bardzo tania. Aż dziwne, że właścicielowi opłaciło się jeszcze prowadzić ten interes. A może jakaś działająca dyskretnie instytucja charytatywna pomagała mu wyjść na swoje? Wypiłem kawę i poszedłem do Urzędu Pracy. Zapytałem komputera, czy ma coś dla mnie. Otrzymałem tak dobrze znaną mi odpowiedź.

Wracając do domu kupiłem papierosy. Paliłem je jeden za drugim. Wiedziałem, że - biorąc od tajniaka pieniądze - podjąłem decyzję. On nie będzie chciał ich zwrotu, on będzie domagał się wykonania określonego zadania.

- Znalazłeś coś? - zapytała Betty.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

Wieczorem przyszedł tajniak policyjny. Przywitał się z Betty, powiedział jej parę komplementów. Potem oświadczył, że dostał kredyt bankowy na założenie i prowadzenie barków kawowych w kosmoportach i niektórych intergalaktykach. Ponieważ Betty patrzyła na niego nieufnie, pokazał jej jakiś dokument. Marzeniem jego życia jest zatrudnienie mnie w swojej firmie. Ja też nie zaliczam się do osób zbyt prawdomównych, ale tak łąć chyba bym nie potrafił. Betty była nim coraz bardziej oczarowana i tylko co parę minut zerkała na mnie, jakby chciała powiedzieć, bym się nie namyślał i wziął tę pracę. Wreszcie tajniak skończył swoją gadkę i powiedział wprost:

- Teraz chciałbym porozmawiać z pani mężem w cztery oczy.

Betty natychmiast wyszła z pokoju. Czy ona zawsze musi być taka dyskretna?

- Są pewne komplikacje - tajniak natychmiast zmienił temat. - Ci faceci z wojska coś zwąchali. Pewnie chcą nas wyprzedzić. Oni wszystkie swoje porażki chętnie wpisaliby na nasze konto i chwalili się naszymi sukcesami. Jeden z nich złożył panu wizytę. Proszę się tym nie przejmować - zapewnimy panu solidną ochronę. A teraz - pokazał plik zdjęć - niech się pan dobrze przyjrzy. To Shanton.

Zobaczyłem łysego, podstarzałego faceta, który nic mnie nie obchodził. Niby z jakiej racji miałbym go zabić?

- Według najnowszych informacji Shanton nosi perukę. Zapuścił też brodę i wąsy - ciągnął tajniak.

Nie wytrzymałem i zapytałem wprost:

- A co takiego zrobił Shanton, że trzeba go sprzątnąć?

Tajniak przeszył mnie lodowatym spojrzeniem, a następnie wycedził wolno, starannie dobierając słowa:

- To nie pańska sprawa. U nas każdy wie tyle, ile winien wiedzieć, aby móc wykonać postawione przed nim zadanie.

Zrozumiałem, że palnąłem głupstwo. Muszę wiedzieć, że Shanton jest wielkim zdrajcą narodu, że zapadł już wyrok w jego sprawie, no i to, że ja wykonam ten wyrok.

- Więcej pytań nie mam - odrzekłem w taki sposób, by uświadomić tajniakowi, że jestem trochę pojętny.

- Na razie żegnam pana. Ale jeszcze się zobaczymy.

W to nie wątpiłem.



- Gdyby jeszcze złożyli panu wizytę ci wywiadowcy od siedmiu boleści z wojska, proszę pozornie zgodzić się z nimi, przyjmując ich warunki, a przy najbliższej okazji proszę wszystko mi powiedzieć.

Na tajniaka z wojska długo nie czekałem. Przyszedł następnego dnia rano, zaraz po wyjściu Betty do pracy. Biedna Betty harowała ciężko, tkając ręcznie dywany na indywidualne zamówienia.

- Dobrze, że jesteśmy sami - powiedział na wstępie. Naczekał się widać przed domem, zanim Betty wyszła.

- Od tych policyjnych imbecyli, którzy nie mogą się zdobyć na opracowanie jednego porządnego raportu, już się pan nie odczepi. To nawet dobrze. Niech pan się zgadza na wszystkie ich propozycje. Ale proszę nas informować o treści tych rozmów. To tylko dla pańskiego dobra - zaznaczył. - Powiem panu coś w zaufaniu - policja inwigiluje ludzi zajmujących najwyższe stanowiska w aparacie władzy, samowolnie zmienia programy rozwoju społecznego i ekonomicznego, odmawia poparcia wielkim, cieszącym się powszechnym szacunkiem firmom. Shanton chciał położyć temu kres. Dlatego postanowili zlikwidować go. Zdążył uciec na Fabrę, nie bez naszej pomocy. Teraz pracuje dla nas. Dalsze szczegóły nie powinny pana obchodzić.

Wcale nie obchodziło mnie, dlaczego Shanton uciekł na Fabrę, i dla kogo pracuje.

- Czy rozumiemy się? - tajniak spojrzał na mnie badawczo.

- Rozumiemy - zapewniłem go i chyba uspokoiłem.

- Teraz pan wie, dlaczego Shantonowi nie może spaść włos z głowy.

- Nie spadnie. Shanton jest łysy jak kolano - mimo woli zdradziłem się zapamiętaniem najbardziej widocznej cechy tego faceta. Mój rozmówca uśmiechnął się tylko. Jego mina mówiła, że teraz Shanton nosi bujną fryzurę.

- Istotnie, Shanton jest łysy - powtórzył tajniak, zapalając papierosa.

Po chwili zmienił temat rozmowy.

- Pan wie, że znalezienie pracy w pańskiej sytuacji jest niemal równe zeru.

Wiedziałem o tym aż za dobrze.

- Jeżeli będzie pan przestrzegał naszych poleceń, pomogę panu znaleźć pracę. Choćby u nas.

- Dziękuję - z trudem zdobyłem się na uprzejmość. Nie wierzyłem w tę obietnicę. Policjant był bardziej uczciwy, właśnie dlatego, że nic mi nie oferował.

- Nie ufa mi pan? - drań musiał dostrzec wahanie na mojej twarzy.

- Ależ wierzę panu! - wykrzyknąłem. - Po prostu zaskoczył mnie pan takim postawieniem sprawy - nie wiedziałem, czy dał się przekonać. Posiedział jeszcze chwilę, wypalił papierosa, wstał, pożegnał się i wyszedł.

Zostałem sam. Miałem nad czym myśleć. Ale nie sensownego nie przychodziło mi do głowy. Popełniłem jeden błąd - wziąłem pieniądze od tajniaka. Największy błąd w moim życiu! Mogłem jeszcze kogoś pobić, kogoś okraść i powędrować na kilkanaście albo kilkadziesiąt miesięcy do Banderossy albo innego miasta sławnego z Zakładu Karno-Wychowawczego. Ale i tam zarówno policja polityczna, jak i tajne służby wojskowe odnajdą mnie. Przez okres odbywania kary nic mi nie powinni zrobić. Czy rzeczywiście? Oni mogą wiele, bardzo wiele... Z własnej głupoty dałem się wciągnąć do gry, która dla mnie była całkowicie bezsensowna. Musiałem tak grać, aby już na wstępie nikomu nie podpaść.

Wieczorem mieliśmy gości. Przyszło, parę koleżanek i kolegów. Popiliśmy, potańczyliśmy. Alkohol, wesołe rozmowy i zabawa spowodowały, że zapomniałem o swoich problemach. Betty cały czas pilnowała mnie, bym dochował jej wierności. Towarzystwo wyniosło się nad ranem. Ale nie dane mi było wyspać się. Około dziesiątej przyszedł tajniak z policji.

- Idziemy - zwrócił się do mnie.

- Dokąd? - zaniepokoiła się Betty.

- Omówić warunki pracy - odparł błyskawicznie.

Przełknąłem szybko śniadanie. Po paru minutach byłem gotowy.

Tajniak zawiózł mnie do Leśnej Strefy Podmiejskiej. Tysiące ludzi przyjeżdżało tu na weekendy. Ale ten dzień był normalnym dniem pracy i dlatego biegnąca przez sosnowy las szosa była pusta. Nagle tajniak skręcił w prawo, nie bacząc na tabliczkę z napisem; „ZAKAZ WJAZDU. WŁASNOŚĆ PRYWATNA”. Przejechaliśmy jeszcze kilkaset metrów. Tajniak zatrzymał samochód koło dużych pawilonów.

- Jesteśmy na miejscu - poinformował mnie, otworzył drzwi samochodu i poczekał, aż wygramoliłem się. Leśne, przesiąknięte aromatycznymi żywicami powietrze otrzeźwiło mnie. Minęło zmęczenie. Mogłem znów logicznie myśleć. Uprzytomniłem sobie, że tajniak mógł mnie rozjechać, a pozostałości zakopać w lesie. Resztki kości znalazłby może za kilkaset lat archeolodzy. Zacząłem gorączkowo rozglądać się, szukać miejsca, gdzie mógłbym w razie czego odskoczyć. Ale tajniak nie miał zamiaru mnie zabijać. Wysiadł z samochodu i rozkazał:

- Idziemy!

Odetchnąłem z ulgą. Tajniak zaprowadził mnie do dużego pawilonu. Natychmiast otoczyli nas ludzie w białych kitlach. Weszliśmy do olbrzymiej sali, w której stało kilkadziesiąt manekinów. Jeden z pracowników wcisnął mi do ręki nóż i ręką wskazał na kukłę.

- Masz go zabić jednym uderzeniem w serce.

Zamachnąłem się. Facet w kitlu złapał mnie za rękę.

- Ty idioto! Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że człowiek ma serce z lewej strony klatki piersiowej! Powtórz!

- Człowiek ma serce z lewej strony klatki piersiowej - powiedziałem drżącym ze zdenerwowania głosem.

- To go walnij w serce!

Cios wyszedł mi nawet niezłe. Na manekinie pojawiła się plama ciemnoczerwonego płynu. To chyba nie krew - przestraszyłem się.

- A temu - instruktor był nieubłagany - poderżnij gardło.

Ręka zadrżała mi, gdy wbijałem nóż w szyję. Ostrze zgrzytnęło o coś. Trysnęła jaskrawoczerwona ciecz. Zostałem porządnie obłany.

- Dobry jesteś - powiedział któryś z nich z podziwem. Potem zaprowadzili mnie do łazienki. Umyłem się porządnie, wypłukałem ubranie i - korzystając z tego, że nikt mnie nie widział - wyrzygałem się. Popłukałem usta i w mokrym ubraniu wróciłem na salę. To nie krew - pocieszałem się. Za łatwo daje się zmyć! Ostatecznie wcale nie muszę temu jakiemuś Shantonowi podrzynać gardła!

- Na dzisiaj dość! - orzekł jeden z facetów. - Jak na początek, poszło ci całkiem niezłe.

„Mój” tajniak chciał jeszcze koniecznie nauczyć mnie posługiwać się pistoletem laserowym. Nie wytrzymałem i zapytałem:

- W jaki sposób zabiorę na Fabrę ten cały arsenał? Ze względu na wypadki porywań intergalaktyków zaostrzono kontrolę w kosmoportach.

- Widzę, Don, że nie jesteś taki głupi. Ale my i tak jesteśmy mądrzejsi od ciebie, wiesz? Pewne sprawy zostaw nam - my wiemy, jak trzeba je załatwić.

Ich nie należy pytać, ich należy słuchać! - skarciłem siebie.

Od tej pory mój życiorys zmienił się. Codziennie byłem zabierany do ośrodka szkoleniowego i porządnie tresowany. Policjanci dbali o to, bym nie narzekał na brak zajęć. Uczyłem się posługiwania różnego rodzaju bronią, zabijania, dyskretnego wsypywania cyjanku do kawy lub herbaty i starannego zacierania śladów za sobą. Uczyłem się zbierania informacji, odnajdywania przeciwnika, sposobów

szybkich zmian dokumentów i odgrywania kilku ról jednocześnie. A przede wszystkim wbijano mi do głowy postać Shantona. Łysego i z bujną fryzurą, z brodą i bez brody, ubranego tylko w slipki i w ciężkim skafandrze kosmonautycznym. Nieraz myślałem sobie gorzko - co ze mnie za przestępca! Do tego potrzebne są kwalifikacje. Po tygodniu szkolenia tajniak zawiózł mnie do Centralnego Ośrodka Ekspertyz Medycznych. Szliśmy zimnymi korytarzami, w których były kamienne stoły, nakryte białymi płótnami. Tajniak od czasu do czasu ściągał płótno i odsłaniał coś, co kiedyś było człowiekiem. Jednocześnie bacznie mnie obserwował. Przyglądałem się zwłokom - wyglądały jak doskonałe pomniki wyrzeźbione przez przyrodę. Może przyroda każdemu człowiekowi wystawia na jakiś czas pomnik?

Na ulicy poczułem, jak uginają się pode mną nogi. Zapaliłem papierosa. Też będę takim białkowym pomnikiem - pomyślałem.

- Śmierć to także kawałek życia - stwierdził sentencjonalnie tajniak. - Jest pan w stanie zabić człowieka, a zatem jest pan zdolny do wykonania zadania. Teraz musimy przekazać panu całą wiedzę o Fabrze.

Dowiedziałem się o tej planecie bardzo dużo. Jest to planeta typu ziemskiego. Skalisty grunt i brak odpowiedniej ilości słonych wód opóźniły ewolucję. Flora to przede wszystkim mchy i porosty, tylko w rozlewiskach rzek i nad większymi jeziorami pojawiły się rośliny wyższe, także kwiatowe. Brak też rozwiniętej fauny - tylko nad zbiornikami wodnymi żyją odpowiedniki naszych płazów i gadów. Na Fabrze przebywało około dwóch tysięcy osadników. Największą grupę z nich stanowili naukowcy. Było też sporo biznesmenów - na Fabrze znajdowały się bogate złoża rud ołowiu. Innych kopalin, w ilościach nadających się do eksploatacji, dotąd nie odkryto. Ostatnią grupę stanowili pracownicy techniczni i robotnicy.

- Co robi Shanton? - kiedy nauczę się nie zadawać pytań?

Otrzymałem natychmiastową odpowiedź:

- Słuszne pytanie. Shanton to człowiek interesu. Wybudował hotel koło kosmoportu, sam go prowadzi. A przy tym wsadza bez przerwy nos w nie swoje sprawy. Ostatnio finansuje niektóre badania biologiczne prowadzone przez koncern Mayera. W zamian dostanie parę kopalń ołowiu, nie wykluczam też, że wejdzie w skład Rady Nadzorczej tego koncernu.

Mam zatem zabić najbogatszego mieszkańca Fabry - pomyślałem. Mimo wszystko nie jest dobrze być najbogatszym.

- Shantona trudno jest zastać w hotelu - wyjaśniał dalej szkoleniowiec. - Jeździ po całej kolonii, wszędzie wietrząc interes.

Wy też załatwicie swoje interesy. A ten najgorszy zostawiliście dla mnie - na szczęście nie powiedziałem tego głośno.

Wracałem coraz później do domu, coraz bardziej też byłem zmęczony. Betty nie była z tego zadowolona. A ja musiałem odgrywać przed nią komedię. I odgrywałem. Opowiadałem jej niestworzone rzeczy o mojej przyszłej pracy. I ona w to wierzyła! Biedna Betty, nawet nie domyślała się, w co ja się wplątałem. Było mi jej bardzo żal. Nie wzięliśmy dotąd ślubu, ale żyliśmy jak najprzykładniejsze małżeństwo. Betty zostanie wdową, zanim stanie się żoną. Bo ci czy inni tajniacy wykończą mnie - przed lub po wykonaniu zadania.

Tymczasem przechodziłem dalsze szkolenia. Uczyłem się poruszania w labiryntach kosmoportów, prowadzenia rozmów ze służbą kontroli pasażerskiej, zachowywania w czasie podróży. Lekarze zwrócili uwagę na fakt, że nie wszyscy dobrze znoszą lot w podprzestrzeni. Zaczęli wyprawiać ze mną różne cuda. Przechodziłem skomplikowane badania i testy oraz treningi w stymulatorach. Miałem tego dość. Uważałem się za człowieka zdrowego.. Tłumaczyli mi jak dziecku, że to tylko dla mojego dobra. Podobno przebywanie w podprzestrzeni nie jest takie obojętne dla organizmu. Najpierw traci się

poczucie czasu, potem - przestrzeni, stopień rozkojarzenia potęguje się, osoby szczególnie wrażliwe mogą doznać nieodwracalnych zmian psychicznych.

- Ty musisz pozbierać się szybciej niż inni! To jest twój atut!

Trenowałem ostro. Początkowo miałem wielkie kłopoty. Po wyjściu ze stymulatora nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Z biegiem czasu coraz szybciej dochodziłem do równowagi. Poznałem lepiej samego siebie, zacząłem prawidłowo oceniać swoje możliwości. Nauczyłem się reagować na pierwsze symptomy kryzysu. Testy były coraz trudniejsze. Musiałem - w stanie rozkojarzenia - rozpoznawać swoich potencjalnych przeciwników, rozmawiać z ludźmi, zadawać im właściwe pytania i wyciągać prawidłowe wnioski z odpowiedzi. Nie byłem chyba najgorszy. Oni pewnie też tak uważali, skoro nadal szkolili mnie. Nawet zdobyli się na wyrazy uznania.

- Wiesz, Don, myśleliśmy już, że będziemy musieli poszukać kogoś innego.

A przecież policja jest ostatnią instytucją skłoną udzielać pochwał. Ona potrafi tylko wszystko totalnie krytykować. Niektórzy moi instruktorzy bez żadnej żenady, w mojej obecności, głośno wyrażali negatywne opinie o parlamencie i rządzie, krytykowali poszczególnych polityków i biznesmenów. Ich zdaniem wpływowe koła polityczne i gospodarcze nie dbały o rozwój tajnych służb policyjnych.

Nie byłem jednak taki dobry, jak oni to sobie wyobrażali. Czułem się coraz gorzej, zacząłem miewać halucynacje wzrokowe i słuchowe. Nie skarżyłem się - chciałem jak najszybciej mieć to szkolenie za sobą. Niestety - przy następnych testach zacząłem popełniać podstawowe błędy. Wtedy lekarze dokładnie mnie zbadali i orzekli, że powinienem wypocząć.

Pod bacznym okiem Betty szybko dochodziłem do siebie. Ona dbała, by mi niczego nie brakowało, pilnowała, bym się wysypiał, wyganiała na długie spaceru. Podczas takiego spaceru - niby przypadkiem, chociaż w takie przypadki już dawno przestałem wierzyć - spotkałem tajniaka z wojska.

- Co u pana słyhać? - zapytał. Nie odpowiedziałem. Wtedy zadał następne, pytanie: - Jak przebiega szkolenie?

- Nie czekając na odpowiedź, wziął mnie za rękę i zaprowadził do zaparkowanego niedaleko samochodu.

- Tutaj lepiej będzie się nam rozmawiało - stwierdził. Następnie otworzył schowek, wyjął z niego czarną skórzaną teczkę, a z niej - plik barwnych fotografii.

- Poznaje pan? - zapytał. Poznałem. Siebie. Przypomniałem sobie wszystkie ważniejsze zadania szkoleniowe. Widziałem, jak uderzam nożem w manekin, jak rozglądam się po wypełnionej po brzegi ludźmi sali, jak wychodzę ze stymulatora.

- Ktoś od was pracuje w policji politycznej? - sztuka niezadawania pytań wciąż jest dla mnie zbyt trudna do opanowania.

- Może - odpowiedział cicho, szeptem, i zaraz powiedział:

- Muszę pana lojalnie powiadomić, że nasi przyjaciele z wywiadu politycznego zamierzają zabić pana zaraz po tym, jak zabije pan Shantona.

Zapaliłem papierosa. Czego innego mógłbym się po nich spodziewać?

- Shanton będzie żył! W ostateczności my wcześniej zabijemy pana, i w ten sposób pomieszymy szyki naszym przyjaciom. Czy mówię jasno?

Mówił bardzo jasno i bardzo szczerze. A ja lubię takie szczerze rozmowy.

- Nie wierzy mi pan?

W to akurat wierzyłem. I dlatego też zdobyłem się na szczerść:

- Sam na siebie wydałem wyrok, pozwalając stać się narzędziem w rękach różnych tajnych służb.

- Powiedzmy - nie potrafił kryć niezadowolenia. Widocznie wolał mieć przed sobą całkowitego idiotę.

- Każdy mój krok jest pilnie śledzony przez nich i przez was - ciągnąłem. - Wy potraficie wyprzedzać posunięcia policji, oni - wasze. A zarówno policja jak i wy potraficie również wyprzedzić każde moje posunięcie. Najgorsze jest to, że ja już nie mogę się z tego wycofać.

- Nie może się pan wycofać - przyznał mi całkowitą rację. - Ale ma pan wyjście z sytuacji.

- Jakie?!

- Może pan pozorować działanie.

Zapaliłem papierosa.

- Może pan bardzo długo szukać Shantona, a później jeszcze dłużej czekać na sprzyjającą okazję.

- Jak długo?

- To zależy tylko od pana. Lojalnie uprzedzam, że te zdjęcia, które pan oglądał, są już w drodze na Fabrę. Shanton obejrzy je dokładnie i zapamięta pańską twarz. A on ma bardzo dobrą pamięć.

Jako płatny morderca działający na zlecenie tajnej policji byłem już całkowicie spalony.

- Może w ostatniej chwili wyślą na Fabrę kogoś innego? - jeszcze się łudziłem.

- Nikogo innego nie wyślą. Ten wariant też analizowaliśmy.

- Muszę pozorować działanie - bezmyślnie wyklepałem formułkę, którą; dał mi ten facet. Tylko nie wiem, w jaki sposób wyprowadzę w pole fachowców od wykonywania różnych specjalnych zadań.

- Zobaczmy się jeszcze. Na Ziemi - zaznaczył.

- Niedługo udam się na Fabrę?

Ale tajniak nie odpowiedział. Stwierdził tylko, że nie ma czasu na dalszą rozmowę. Wsiadłem z samochodu, zatrzasnąłem drzwiczki. Teraz, gdy zostałem sam na ulicy, poczułem paraliżujący strach. Zrozumiałem, że jestem tylko małym pionkiem w jakiejś szaleńczej grze prowadzonej między tajnymi służbami i koncernami. A w tej grze giną pionki, a króle zawsze zostają na szachownicy.

O co naprawdę chodziło w tej grze, nie wiedziałem. I nigdy się nie dowiem. Prawdę znają tylko króle, i zazdrośnie jej strzegą.

Betty nie powinna tak bardzo troszczyć się o mnie - stanowczo za szybko wracałem do zdrowia! Choroba dawała mi jakieś minimalne szansę, zdrowie - nigdy! Miałem rację - dostałem wezwanie na przeprowadzenie badań kontrolnych. Przez trzy dni lekarze znęcali się nade mną, pobierali krew, przystawiali elektrody do różnych punktów mojego ciała i badali wykresy, prześwietlali chyba wszystkie organy A zrobili to po to, bym się dowiedział, że jestem zdolny do dalszych ćwiczeń. Policjanci wyraźnie mnie oszczędzali. Omawiali za to różne warianty wykonania zadania. Mnie interesowały dwie rzeczy - możliwość szybkiego powrotu na Ziemię oraz gwarancje dalszego normalnego, spokojnego życia.

- Spryciarz jesteś - policjanci byli zaskoczeni takim postawieniem sprawy. Ale zwlekali z tymi gwarancjami. Czyżby nie mieli najmniejszego zamiaru dać ich?

- Jeżeli nie dostanę gwarancji, nie lecę! - postawiłem sprawę jasno. Natychmiast zostałem przywrócony do porządku.

- Wiesz, Don, jak wygląda człowiek z poderżniętym gardłem. A nie myśl; że ty jeden umiesz posługiwać się nożem.

- Dobrze wiem, jak wygląda człowiek z poderżniętym gardłem - odpowiedziałem. - Wiem też, że macie zamiar zabić mnie zaraz po tym, jak ja zabiję Shantona!

Moja szczerość wprawiła ich w zakłopotanie.

- Kto ci takich głupstw naopowiadał?

- Nikt mi nic nie powiedział - skłamałem. - Po prostu staram się myśleć.

- Źle myślisz, Don. Ty nie możesz zginąć zaraz po wykonaniu zadania. Jesteś naszym współpracownikiem. A my się ich nie pozbywamy.

- Czasami się ich pozbywacie - atakowałem.

- Sporadycznie - przyznali mi trochę racji.
- Jaką mam pewność, że nie będę sporadycznym przypadkiem?

Na to pytanie nie dostałem odpowiedzi. Tylko odwożący mnie do domu tajniak powiedział:

- Zachowałeś się jak dwuletnie dziecko. Wiesz, że jesteś naszym współpracownikiem i nic ci nie grozi.

Co powiedzieliby kumple, gdyby dowiedzieli się, że współpracuję z tajną policją polityczną? Zaczęliby mnie unikać. Betty też poszukałaby sobie kogoś innego.

- Muszę wykonać określone zadanie, to znaczy muszę zabić człowieka, którego dotąd na oczy nie widziałem, i który nic mnie nie obchodzi.

- Tak. Po wykonaniu tego zadania dostaniesz następne.

Dobrze ci tak, stary durniu! Myślałeś, że jak im powiesz parę ostrych słów, to się od ciebie odczepią!

- pretensje mogłem mieć tylko i wyłącznie do siebie.

- Dlaczego jesteś taki zdenerwowany? - zapytała mnie Betty.

Opowiedziałem jej wszystko, nie pominąłem najdrobniejszych szczegółów. Nie powiedziała nic, tylko oczy jej dziwnie zaśniły.

Biedna Betty! Czy ona musi tyle cierpieć przeze mnie?!

- Ten świat nie jest dla nas - powiedziałem cicho. - Musimy się rozstać. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej dla ciebie - zaznaczyłem.

- Jesteś skończonym idiotą! - wybuchnęła głośnym płaczem. Szybko jednak opanowała się.

- Wyjedziemy. Do innego miasta, do innego kraju...

- Oni znajdą mnie na końcu świata.

Moja Betty! Taka to moja zapłata za twoją wierność.

- Może uda mi się z tego jakoś wywinąć - sam w to nie wierzyłem.

- Musisz się z tego wywinąć! Musisz! Inaczej nie będę chciała cię znać! - i zaraz dodała łagodniejszym głosem: - Może jednak załatwię wyjazd za granicę.

Inne kraje nie są dla takich jak ty i ja - pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno. Niech Betty jeszcze trochę pożyje złudzeniami. Niech zawsze pozostanie optymistką. I niech nutka jej optymizmu i mnie się udzieli!

W moim życiorysie nic się jednak nie zmieniło. Nadal przechodziłem dalsze szkolenia i testy. Tyle że moi instruktorzy stali się nadzwyczaj hojni - dawali mi mnóstwo pieniędzy. Może dlatego, że ich widok zamykał mi usta i nie zadawałem zbędnych pytań. Prawie wszystkie pieniądze oddawałem Betty. Sobie zostawiałem tylko drobne kwoty na papierosy i piwo.

Wreszcie tajniak orzekł, że cykl szkoleniowy mam za sobą.

- Jeszcze tylko przejdziesz badania lekarskie i na jakiś czas pożegnamy się.

Lekarze zbadali mnie bardzo dokładnie i orzekli, że mogę bez żadnej przeszkody dla mojego zdrowia polecieć intergalaktykiem na Fabrę. Przeszedłem jeszcze serię szczepień ochronnych.

- Za to na Fabrze będziesz mógł chodzić bez skafandra - pocieszali mnie.

Skończyło się na tym, że dostałem wysokiej gorączki.

- Normalna reakcja - stwierdzili, ale dali mi spokój.

- Choruj jak najdłużej - prosiła mnie Betty. - Może uznają cię za niezdolnego i odczepią od ciebie.

W czasie choroby odwiedził mnie facet z wywiadu wojskowego. Jak zwykle przyszedł podczas nieobecności Betty.

- Wkrótce opuści pan Ziemię. Na Fabrze zamieszka pan w hotelu Shantona. Razem z panem poleci paru policjantów. To oni na miejscu dadzą panu broń.

To wiedziałem. Moi instruktorzy byli zdania, że tak będzie najlepiej.

- Potem zabije pan Shantona, a oni - pana. Nawet stanie się pan sławny. Sławny morderca, oczywiście! Będzie pan stawiał opór dzielnym policjantom.

Tego już nie wiedziałem.

- Od was też ktoś poleci na Fabrę?

- Tak. Nie zostawimy Shantona samego. On pewnie już zapamiętał pańską twarz, już się pilnuje. W takim razie moja akcja nie ma najmniejszego sensu - pomyślałem, a głośno zapytałem:

- Pan też leci na Fabrę?

Przytaknął.

A więc na Fabrze spotkają się wszyscy znajomi!

- Pójdę już!

Nie zatrzymywałem go. Bo i po co?

Kiedy wróciła Betty, wszystko jej opowiedziałem.

Pokiwała tylko głową. Co mogła mi powiedzieć?

Następnego dnia czułem się znacznie lepiej. Postanowiłem pojechać do miasta. Wziąłem ze sobą dużo pieniędzy. Wiedziałem, co mam kupić - dobry pistolet protonowy. On powinien zapewnić mi poczucie bezpieczeństwa. Ten pistolet zabiorę ze sobą na Fabrę! Najpierw jednak pojechałem do Urzędu Pracy. Komputer nic dla mnie nie miał. Z Urzędu udałem się do starego Milтона, stryja Betty i handlarza bronią. Jazda ruchomymi chodnikami wydała mi się bardzo przyjemna. Nie musiałem się wcale martwić o równowagę. Jednak treningi zrobiły swoje.

Wszedłem do sklepu Milтона.

- Kogo ja widzę! Don we własnej osobie! A jak miewa się Betty? - Milton po śmierci brata wychowywał Betty do czasu, kiedy zamieszkała u mnie.

- Betty miewa się doskonale. Mam do ciebie interes. Chcesz zarobić dużo pieniędzy?

Na słowo „pieniądze” Miltonowi zaświeciły się oczy. Zawsze był łasy na nie i nigdy ich nie miał.

- Chcę kupić dobry pistolet protonowy.

- Szykujesz coś większego? - zaniepokoił się.

Nie odpowiedziałem.

- Słuchaj, Don, ja nie chcę mieć żadnych kłopotów przez ciebie.

Zapewniłem go, że nie będzie miał żadnych kłopotów, dostanie natomiast dużo pieniędzy. Po długim wahaniu zdecydował się wreszcie sprzedać mi broń.

- A teraz powiedz mi - tak szczerze - co ty kombinujesz? - zapytał, kiedy dobiliśmy targu. Nie spieszyłem się z odpowiedzią. Dałem mu pieniądze. Przeliczył je starannie.

- Starczy? - zapytałem.

- Starczy - odpowiedział. Wtedy powiedziałem, że dostałem pracę na Fabrze. Nie wtajemniczałem go w szczegóły. Wymyśliłem jakieś potwory, które zagrażają kolonistom.

- Teraz wiesz, po co mi broń.

Milton uwierzył w to. Nie miał zielonego pojęcia o astronomii i astronautyce, był nawet w stanie pomylić Księżyc z Mgławicą Andromedy. Znałem go dobrze od tej strony, wiedziałem też, że nigdzie nie pójdzie sprawdzać moich wyjaśnień.

- Co będzie z Betty? - myślał o bratanicy.

- Mam kontrakt na pół roku. Po trzech miesiącach mogę go przedłużyć. Jeżeli tak zrobię, ściągnę Betty do siebie.

Moi szkoleniowcy policyjni byliby zachwyceni tym łgarstwem. Czy jednak Milton wierzył bezkrytycznie do końca we wszystko, co opowiadałem? Może tylko udawał, że mi wierzy?

- Czy umiesz obchodzić się z pistoletem protonowym? - Milton zmienił temat.

- Tak. W wojsku się nauczyłem.

- Życzę ci powodzenia. Ja już jestem za stary, aby gdziekolwiek się ruszać. Nawet przeprowadzka do innego miasta byłaby dla mnie zbyt męcząca. Starość nie radość. Co innego wy, młodzi. Mój starszy syn też pracuje... Gdzie on pracuje...? Na Tatanie czy tak jakoś...

- Na Tytanie - poprawiłem.

- Właśnie, na Tytanie, to jest gdzieś niedaleko Marsa...

Tym razem nie poprawiłem go.

- Dobrze chociaż, że drugi syn zamierza pójść w ślady ojca.

Nie interesowały mnie zupełnie jego wynurzenia na tematy rodzinne. Na szczęście do sklepu weszli następni klienci.

Pozegnałem Miliona i wyszedłem. Do domu wróciłem okrężną drogą, uważając, czy nie jestem śledzony.

- Odwiedziłem twojego stryja - powiedziałem Betty.

- Po co?

Betty czuła do niego jakiś uraz. Nigdy nie odwiedzała go, niechętnie mówiła o nim. Może był dla niej zbyt surowy?

- Kupiłem u niego broń, pistolet protonowy.

- Dlaczego właśnie u niego?

- Bo jego znam najlepiej ze wszystkich handlarzy bronią.

- Wy, mężczyźni, zawsze na pierwszym miejscu stawiacie swoje egoistyczne interesy - stwierdziła. - Myślisz, że pistolet rozwiąże twoje problemy?

Miała całkowitą rację. Przy pomocy pistoletu nie wybrnę z tej kabały. Chyba że wyceluję go w siebie.

- Słuchaj, Betty, wiem, że bardzo trudno znaleźć faceta, który przez całe swoje życie popełnia jedno głupstwo za drugim.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i dymem dmuchnęła mi w twarz.

- Myślisz, że zmyliłeś tajniaków? Oni doskonale wiedzą, u kogo byłeś i co robiłeś.

- Masz rację, Betty! Powiedz teraz - ty stary durniu! A potem przytul się do mnie. Może choć odrobina twojej mądrości mnie się udzieli?

Betty zgasila papierosa i podeszła do mnie. Objąłem ją ramieniem, przytuliłem do siebie. Potem były cudowne chwile miłości. Nasza miłość była inna niż w bajkach. Tam największe szczęście mają dziewczyny pozornie brzydkie i głupie. Aż pozna się na nich wielki książę, królewicz albo sławny na cały świat rycerz.

Betty była taką księżniczką, ale ja nie byłem księciem. Co ona mogła we mnie widzieć? Głupotę, i nic więcej!

Teraz - trzymając ją mocno w swoich ramionach - mogłem zapomnieć o kłopotach. Ale nic nie trwa wiecznie, a chwile prawdziwego szczęścia są najkrótsze w całym życiu.

Betty przygotowała obiad. Zjedliśmy. Zaledwie wstaliśmy od stołu, przyszedł mój tajniak z policji.

- Dzień dobry państwu, mam pomyślne wiadomości. Załatwiłem pracę w mojej firmie - grał dalej swą komedię. - Będzie pan stewardem na intergalaktykach. Wszystkie formalności już załatwiłem.

- Zostawiasz mnie? - zapytała Betty. Jej głos wyrażał smutek i żal. Nie wytrzymałem. Pomyślałem tylko, że jak ten tajniak tak bardzo lubi komedie, to będzie ją zaraz miał.

- Obiecywałeś mi robotę na Ziemi! - huknąłem.

Takie postawienie sprawy zaskoczyło go. Zmieszał się, nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

Na twarzy Betty pojawił się ironiczny uśmiezek.



- Istotnie, obiecywałem.. Ale na razie nie dostałem zezwolenia na prowadzenie barków we wszystkich kosmoportach... Może później coś załatwię! - bełkotał jak dzieciak przyłapany na kłamstwie.

- Nie zostawię swojej żony! Albo robota tu - na Ziemi, mało - w tym mieście - albo wcale.

- Wiesz dobrze, że jest to niemożliwe!

- Podobno dla ciebie wszystko jest możliwe!

Patrzyłem na tajniaka z nie ukrywaną satysfakcją. Betty starała się zachować powagę, ale twarz jej wyrażała wesołość.

- Pójdę już! - tajniak zrezygnował z dalszego spierania się. Nie był przygotowany do takiej dyskusji. -

A ty przemyśl sobie moją propozycję bardzo dokładnie - rzucił na odchodnym.

Po jego wyjściu wybuchliśmy śmiechem.

- Byłeś wspaniały! - mówiła Betty, śmiejąc się.

- Widziałaś jego minę? - zapytałem.

Na wspomnienie o minie znów ryknęliśmy śmiechem. Śmialiśmy się prawie całą noc.

Następnego dnia Betty poszła do pracy. W parę minut po jej wyjściu usłyszałem pukanie do drzwi. Otworzyłem. To tajniak. Czekał przed domem na wyjście Betty. Chciał ze mną rozmawiać bez świadków. Nasza rozmowa nabrała już innego charakteru.

- Koniec błazeństw, Don! - powiedział ostro.

Sięgnąłem po papierosa. Zapaliłem.

- Za trzy tygodnie lecisz na Fabrę. Tu masz bilet! - wręczył mi podłużny kartonik. - Podróż ci opłaciliśmy, jak widzisz.

Chciałem go zapytać, czy opłacili jeszcze koszty mojego pogrzebu, ale powstrzymałem się. Po wczorajszym wieczorze tajniak mógł stracić poczucie humoru.

- Czy to wszystko? - zapytałem chowając bilet.

- Tak. Kompletne wyposażenie dostaniesz na miejscu. Tam też omówimy sobie wszystkie szczegóły. Cieszę się, że wracasz do sił - klepnął mnie w ramię. Ja z tego się nie cieszyłem.

- Mam jeszcze pewne wątpliwości... - zacząłem mówić ostrożnie. Nie wiedziałem, czy nie pracuje również dla wywiadu wojskowego.

- Jakie? - zaczął się niecierpliwić.

Opowiedziałem mu wszystko, co przekazał mi tajniak wojskowy.

- Dobrze, że mi to powiedziałeś. Postaramy się jakoś spławić tych goryli Shantona.

- Shanton już mnie zna.

- Nie zna. Możesz nam wierzyć.

Musiałem mu wierzyć.

- Na Fabrze zorientujemy się, co dalej.

O tym, że kupiłem broń, nie wspomniałem. On też nie poruszał tego tematu.

- Wpadnę jeszcze do ciebie. Tylko ostrzegam - bardzo nie lubię, jak ktoś robi mnie w konia.

Bardzo im na mnie zależy, skoro zadowolili się samym ostrzeżeniem. Normalnie policja nie puszcza płazem takich żartów. Nie puściła! Następnego dnia wyszedłem kupić papierosy. Nie doszedłem do automatu. Czterech facetów rzuciło się nagle na mnie. Nie zdążyłem się zasłonić, przyjął postawy obronnej. Dwóch wykręciło mi ręce do tyłu, dwóch biło po twarzy i żołądku. Kiedy mnie puścili, zwałem się na ziemię jak spróchniałe drzewo. Dali mi jeszcze parę kopniaków na pożegnanie i szybko odeszli. Próbowałem wstać. Zatoczyłem się, nie miałem czego przytrzymać i znów upadłem. Trochę się poczołgałem. Zatrzymałem się, usiadłem. Ręką dotknąłem twarzy. Była zakrwawiona.

Doskonale nadaję się do straszenia niegrzecznych dzieci - pomyślałem. Wyglądam jak upiór. Zmusiłem się do przejścia kilku metrów. Podszedłem do ruchomego chodnika. Nie mogłem z niego

skorzystać. Nagle cały świat zawirował mi przed oczami. Padając, instynktownie, mimo silnego bólu, wyrzuciłem ręce przed siebie. Musiałem tak zrobić. Gdyby ręka wpadła pod przesuwane się żelastwo, zmiażdżyłoby ją. Nie wiedziałem, jak długo leżałem w stanie całkowitego odrętwienia. Wreszcie pozbierałem się i ruszyłem dalej. Trochę szedłem, trochę pełzałem, a przede wszystkim długo odpoczywałem. Widziałem mój dom. Był bardzo blisko i ciągle za daleko. A może to nie mój dom? Może to fatamorgana? W końcu, krzywiąc twarz z wysiłku i jęcząc z bólu, doszedłem na miejsce. To na szczęście nie była fatamorgana.

Betty na mój widok załamała ręce. Nie wszedłem do mieszkania. Podniosłem nogę, by przejść przez próg, i znów wszystko mi zawirowało. Kiedy się ocknąłem, zobaczyłem Betty, a obok niej starszą siwowłosa kobietę. Nigdy dotąd jej nie widziałem. Chciałem zapytać, gdzie jestem, ale nie mogłem. Na twarzy miałem coś, co pozwalało mi tylko poruszać wargami. Dotknąłem tego ręką. Domyśliłem się, że to plastry.

- Proszę leżeć spokojnie! - niezbyt głośno, ale stanowczo powiedziała siwowłosa. Co ona tutaj robi?

Zacząłem poznawać meble. Uświadomiłem sobie, że jestem w swoim mieszkaniu. Zobaczyłem też Teddy'ego. Próbowałem nawet uśmiechnąć się do niego, ale nie mogłem. Plastry przypomniały o sobie.

- Nieźle cię urządzili, stary - stwierdził Teddy. Nagle poczułem bolesne ukłucie, poruszyłem się i zaraz opadłem. Gwałtowny ruch wywołał paroksyzm bólu.

- Proszę leżeć spokojnie. Muszę wyciągnąć zalegającą krew!

Zorientowałem się, że siwowłosa kobieta jest lekarką albo pielęgniarką. W większe sińce wbijała strzykawkę, by wyciągnąć krew. Nie miałem siły protestować przeciw temu barbarzyństwu.

- Kto cię tak urządził? - głośno zastanawiał się Teddy.

- Nie wiem - wymruczałem. - Nie wiedziałem też, czy ktoś zrozumiał moje słowa. Domyślałem się tylko, że urządzili mnie tajniacy. Tylko którzy? Policijni czy wojskowi? Czy to miało jakieś znaczenie?

Siwowłosa przestała się wreszcie znęcać nade mną. Odłożyła strzykawkę, kazała mi zażyć jakieś pigułki. Połknąłem je, popiłem sokiem ananasowym. Sok ananasowy... Kto go przyniósł? Nigdy nie było nas stać na takie luksusy.

Siwowłosa wyszła z Teddym. Kiedy zostaliśmy sami, Betty rozplakała się.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. - mamrotałem, chcąc ją pocieszyć. - Zostawiła jakieś środki uspokajające?

Kiwnęła głową.

- Przyjdzie jeszcze i zrobi ci zastrzyk, żebyś lepiej spał - mówiła łkając.

- Taki zastrzyk bardziej przydałby się tobie.

Uspokoili się wreszcie, podeszła do mnie, usiadła na łóżku i objęła za głowę. Potem nachyliła się i pocałowała mnie w czoło. Delikatnie zacząłem gładzić jej włosy.

Rozczuliła mnie jej troskliwość. Kiedy zaczęła się bardziej przytulać do mnie, poczułem silny ból. Ale nie mogłem jej odtrącić. Dokonałem wyboru między nią a bólem - przyjąłem ją razem z nim. Wtedy zrozumiałem siłę naszych uczuć. Jak mogę ją zostawić tu, w tym mieszkaniu, a samemu polecieć na jakąś Fabrę? Nie mogłem tak zrobić.

Betty wstała wreszcie. Pokręciłem się, przybierając najwygodniejszą pozycję. Przestało boleć, ale zabrakło też Betty.

Wieczorem poczułem głód. Betty przygotowała lekkostrawny posiłek. Zjadłem go, ale wcale się nie najadłem.

- Więcej nie możesz dostać - powiedziała przeprasząco.

Zrozumiałem, że ona na serio potraktowała wskazówki tej baby. Czasami lepiej jednak słuchać pacjenta niż lekarza.

Później przyszła jeszcze raz siwowłosa. Zapytała mnie o samopoczucie. Odpowiedziałem, że jestem głodny.

- To dobry znak - stwierdziła. Zgodziła się, żebym jeszcze coś zjadł. Nie mogła sprawić mi większej radości. Wybaczyłem jej nawet wyciąganie krwi. Ale apetyt szybko minął i w sumie zjadłem niewiele. Znow ogarnęła mnie apatia i zniechęcenie. Siwowłosa zrobiła mi zastrzyk, po którym bardzo szybko zasnąłem. Obudziłem się późno, około dziesiątej. Czułem się znacznie lepiej. Spróbowałem nawet wstać z łóżka i pochodzić po mieszkaniu.

- Poruszasz się jak małe dziecko, uczące się chodzić - skwitowała moje wysiłki Betty. Podeszła do okna i zawołała mnie.

- Zobaczysz ciekawy widoczek.

Przytrzymując się mebli i ścian, podszedłem do okna. Spojrzałem w szybę. Zobaczyłem mojego policyjnego tajniaka. Czekał, aż zostanę sam w domu. Widząc jego nerwowe ruchy i okazywane zniecierpliwienie, zacząłem się śmiać. Ale plastry przypomniały o swoim istnieniu. Nie namyślając się, zerwałem je. Nareszcie mogłem normalnie mówić, śmiać się, jeść. Betty nie była zachwycona moim postępkami, nic jednak nie powiedziała. Może wydawało jej się, że chorego nie należy denerwować.

Po śniadaniu zachciało mi się palić.

- Zejdę po papierosy - powiedziała Betty.

Na tajniaka nie musiałem długo czekać.

- Gdzie pan się tak urządził? - zapytał z fałszywym współczuciem.

- Raczej - kto mnie tak urządził...

Mina tajniaka wskazywała, że on wie doskonale, kto mnie tak urządził.

- Polecą pan na Fabrę? - zapytał.

Oto jego największe zmartwienie - czy polecę na Fabrę!

- Jak będę zdrowy, to polecę - odpowiedziałem. Ale Shantona palcem nie tknę - tego już głośno nie powiedziałem.

Wróciła Betty. Jej przyście zaskoczyło tajniaka. Sądził, że poszła do pracy.

- To ja już pójdę sobie. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

Ostatnie słowa tajniak wymówił za drzwiami.

- Czego chciał? - zapytała Betty.

- Bardzo się zmartwił stanem mojego zdrowia - odparłem. - Przestraszył się, że nie będę w stanie opuścić łóżka, nie wspominając o Ziemi.

Zapaliłem papierosa.

- Może lekarz nie wyrazi zgody na lot intergalaktykiem...

Byłem innego zdania. Za wiele we mnie zainwestowali, by tak łatwo ze mnie zrezygnować.

- Zamierzam zwiedzić kolonię na Fabrze i zostawić Shantona w spokoju - powiedziałem. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób mam wyprowadzić w pole tajniaków. Ale miałem pistolet. Gdyby udało mi się go przemycić na pokład intergalaktyka, mógłbym zmusić załogę do zmiany kursu, do lądowania na innej planecie. A tajniaków zabić. Tak dojrzewała we mnie chęć rozwiązania problemu.

Po kilku dniach mogłem wyjść do miasta. Nie było to takie proste. Na ulicy sparaliżował mnie strach. Bałem się, że znow ktoś znokautuje mnie. Pokręciłem się parę minut koło domu i szybko wróciłem, a właściwie uciekłem do mieszkania. Na dłuższe spacerowanie wybierałem się razem z Betty. Przy niej czułem się bezpieczny.

Podczas jednej z przechadzek wstąpiłem do księgarni i kupiłem popularny „Mały Przewodnik Planetarny”. W domu studiowałem go uważnie. Zastanawiałem się, gdzie mam uciec. Wybrałem Merę. Dlaczego tę planetę? Nasz intergalaktyk omijał ją - dla załogi było to tylko skrócenie rejsu. Ale nie to

było najważniejsze. Cała Mera pokryta jest nie zbadanymi do końca dżunglami. Żyją w nich jadowite węże i jaszczurki o nie spotykanych na Ziemi rozmiarach. Jeżeli poradzę sobie z tajniakami, najjadowniejsze gady nie będą dla mnie straszne. Powiedziałem to Betty. Rozpłakała się. Czy ona musi przeze mnie ciągle beczeć? O tym, jak przeżyję w nieznanym, wrogim środowisku, jakoś nie pomyślałem. Nie zastanawiałem się też nad możliwością powrotu na Ziemię. Betty, gdy uspokoiła się, wytłumaczyła mi to. Nie mogłem odmówić jej racji. Ale postanowiłem nie zmieniać raz podjętej decyzji.

Policjanci przestali składać mi wizyty. Przysłali tylko krótki list z opisem drogi do kosmoportu - czyżby obawiali się, że nagle zniknę w wielkim mieście? - i - co mnie zaskoczyło - dużą sumę pieniędzy. Oddałem je Betty.

- Wolałabym ciebie - powiedziała.

- Wrócę do ciebie. Muszę wrócić! - zapewniałem ją. Chociaż sam przestawałem w to wierzyć. Wyobrażałem sobie, że gdzieś na Merze zakończę swój parszywy żywot. Ale - gdybym umierał głodny i pokąsany przez jadowite gady, bez możliwości żadnej pomocy ze strony innego człowieka, gdyby nikt nie wykopał mi grobu - to umierałbym jako człowiek wolny. Tak bardzo wolny, jak wolny może być człowiek. Policjanci i tajniacy wojskowi nigdy tego nie rozumieją, bo sami żyją w niewoli. Niewoli systemu, który ich stworzył, i który oni muszą siłą rzeczy podtrzymywać. Tak bowiem przywykli do niewoli, że wyzwolenie jest dla nich klęską. Biedni tajniacy! Dali się kiedyś omamić, skusić pieniędzmi, chęcią przygody, sławą...

Ja - w przeciwieństwie do nich - wybiorę wolność, która jest dla mnie równoznaczna z życiem wśród jadowitych gadów.

Dni mijały szybko. Termin odlotu stał się niebezpiecznie bliski.

Nie Fabra, tylko Mera - powtarzałem sobie do znudzenia. Całymi godzinami powtarzałem też różne chwytły bronią. Ten trening był mi najbardziej potrzebny - w ostatecznej rozgrywce musiałem być lepszy od tej woj - skowo - policyjnej zgrai. Betty już nic na to nie mówiła, nawet nie płakała. Pogodziła się ze swoim losem? Nie miałem odwagi zapytać jej o to. Tylko raz zastanowiłem się, czy rzeczywiście muszę zginąć na dalekiej planecie, określanej w przewodniku jako piekło dla ludzi i raj dla biologów.

Nadszedł ostatni dzień mojego pobytu na Ziemi. Czuję jakiś ucisk w gardle. Od jutra zaczynam nowe życie! Jakie? Nie wiedziałem.

Przed południem pojechałem do Urzędu Pracy. Chciałem pożegnać komputery - dziwnie żał mi się ich zrobiło. Oczywiście nie miały dla mnie żadnej oferty.

- Cześć, ty bezduszna żelazna szafa. Udaję się tam, gdzie wy nie macie nic do powiedzenia.

Po powrocie zacząłem się pakować. Bez przerwy pakowałem się i przepakowywałem - robiłem to tylko dlatego, aby mieć jakieś zajęcie. Czas płynął zbyt wolno i zbyt szybko zarazem. W nocy nie mogłem zasnąć. Betty też nie spała. Leżeliśmy koło siebie i marzyliśmy, aby ta noc nigdy się nie skończyła. Niestety... Rano umyłem się, ogoliłem, przełknąłem coś na śniadanie. Jedzenie nie chciało mi przejść przez gardło.

- Odprowadzić cię? - zapytała Betty.

- Nie, kochana. To nie ma sensu. Lepiej będzie, jak sam pojedę do kosmoportu.

Zabrałem bilet i trochę pieniędzy. Może przydadzą mi się na Ziemi. Intergalaktyk też jest częścią Ziemi. Na Merze nie będą mi potrzebne.

- Cześć, Betty! Do zobaczenia!

- Cześć!

Pojechałem do kosmoportu. Zgłosiłem się do odprawy. Była bardzo krótka. Niczego u mnie nie szukali. Do odlotu pozostawało jeszcze sporo czasu. Poczuję głód - organizm przypomniał o swych prawach. Poszedłem do baru. Zamówiłem parę kanapek i orzeźwiający napój pomarańczowy. Ostatnie

żarcie na Ziemi - pomyślałem. Czy w podprzestrzeni jedzenie też tak będzie mi smakowało? Zapaliłem papierosa i zacząłem przyglądać się innym ludziom. Jedli, pili, palili papierosy. O czym, myśleli w ostatnich chwilach przed podróżą w inne światy? Z ich twarzy nic nie mogłem wyczytać. Nagle dostrzegłem swych opiekunów z tajnych służb policyjnych i wojskowych. Chociaż siedzieli przy osobnych stolikach, odniosłem wrażenie, że wiele rzeczy ustalili wspólnie. Oni też mnie zauważyli, ale natychmiast odwrócili głowy.

Niedoczekanie wasze!

Tajniak policyjny wstał, przeszedł przez całą salę, kupił wodę mineralną w bufecie. Wracając, zatrzymał się na moment koło mojego stolika i wyszeptał:

- Trzymaj się, Don. Wszystko zostało precyzyjnie obmyślane. Nie ma żadnego ryzyka.

Potem szybko wrócił na swoje miejsce.

„Pasażerowie udający się na Fabrę proszeni są do hallu numer trzy” - oznajmił przez megafon melodyjny głos. Wypiłem resztę napoju i wyszedłem. Wiedziałem - na szkoleniach wbijano mi to do głowy - że kosmoporty są wielkimi labiryntami, w których trzeba umieć się dobrze orientować. Niestety, cała moja wiedza w tym zakresie uleciała ze mnie jak kamfora. Kręciłem się bezradnie w kółko. Może nawet zostałbym na Ziemi, gdyby nie tajniak wojskowy. Zauważył mnie, jak kręcę się bezradnie w poszukiwaniu właściwego korytarza, podszedł, wziął za rękę i powiedział z przekąsem:

- Ci z II-B-2 nigdy nie nauczą się dobrze szkolić swoich współpracowników.

- Lecę po to, by nie zabić Shantona? - zapytałem go.

Odpowiedź zaskoczyła mnie.

- Nie ja decyduję o życiu i śmierci Shantona. Robią to wielkie koncerny i banki. Będzie tak, jak postanowi finansjera.

O nic więcej nie pytałem. Wiedziałem, że jestem nic nie znaczącym pionkiem w rękach najmniejszych tego świata. Tym bardziej muszę się od nich uwolnić!

Tajniak zachowywał się w labiryncie kosmoportu tak, jakby był stałym bywalcem kosmicznych tras. Zaprowadził mnie do hallu numer trzy, powiedział, że wszystko będzie dobrze, i odszedł. Poczekiałem chwilę, zanim drzwi rozsunały się i ruchome schodki zaczęły jechać w górę. Przepuściłem kilka osób, ścisnąłem mocno torbę i wskoczyłem na nadjeżdżający stopień. Serce zaczęło mi walić, gdy znalazłem się na pokładzie olbrzymiego intergalaktyka. Znalazłem swoją kabinę, nawet ucieszyłem się - była niedaleko przedziału pilotów.

- Pomóc panu?

Odwróciłem się. To stewardesa.

- Nie, dziękuję. Sam sobie poradzę.

Natychmiast przeszła do następnej kabiny.

Posłałem sobie łóżko. Pistolet schowałem pod poduszkę. Nikt mi nie przeszkadzał.

„Witamy państwa na pokładzie intergalaktyka „KORAB”. Życzymy przyjemnej podróży” - usłyszałem przez megafon. Odczułem jakieś lekkie drgania. Pewnie zostały włączone silniki. Znow zajązła stewardesa. Na wózku rozwoziła proszki i wodę mineralną.

- Proszę to zażyć. Prześpi pan najbardziej nieprzyjemne fragmenty podróży. Obudzi się pan już w podprzestrzeni.

Nie mogłem się zdecydować na połknięcie tabletki. Wietrzyłem jakiś podstęp. Stewardesa zaczęła się niecierpliwić. I tak mi wszystko jedno - pomyślałem i połknąłem proszek, popijając wodą. Miała jakiś okropny smak. Stewardesa wyszła, zamykając drzwi. Poczułem ogarniającą mnie senność. Szybko, najszybciej jak tylko mogłem, rozebrałem się i położyłem. Nie zwróciłem uwagi na to, że pistolet zaczął uwierać mnie w głowę. Zasnąłem. Kiedy się obudziłem, było zupełnie ciemno. Po omacku znalazłem

włącznik oświetlenia. Wstałem, poszedłem do toalety. Umyłem się i ogoliłem. Bolała mnie głowa, może dlatego, że spałem na pistolecie. Ubrałem się i wyszedłem na korytarz. Kręciło się na nim kilka osób. Stewardesa podchodziła do nich i rozmawiała. Do mnie też podeszła.

- Pan zje śniadanie w jadalni czy w kabinie?

- W kabinie - odpowiedziałem bez namysłu.

- Co pan sobie życzy? - podała mi jadłospis. Zamówiłem parówki na gorąco z musztardą, pieczywo z masłem, kawę i tort orzechowy. Po dziesięciu minutach przywiozła śniadanie. Rachunek, który mi wystawiła, nie popsuł mi apetytu. Zrobił to policyjny tajniak. Wszedł do mojej kabiny, kiedy delektowałem się tortem.

- Słuchaj, Don! - powiedział ostro. - Jeżeli sądzisz, że pokryjemy koszty twojego odżywiania się w kabinie, to popełniasz błąd. Możesz jeść w jadalni, jasne? I bez deserów - dodał patrząc na tort. Chciałem mu odpowiedzieć, że sądziłem, iż jego firma lepiej dba o współpracowników. Zrezygnowałem z tego, przypomniałem sobie czterech facetów, którzy dali mi wycisk.

- Następnym razem pójdę do jadalni - zapewniłem go. Tajniak popatrzył jeszcze na tort i szybko wyszedł. Skończyłem śniadanie i też wyszedłem na korytarz. Postąłem i wróciłem. Położyłem się. Zastanawiałem się, gdzie jestem i co tu robię. Początki kryzysu? Być może.

Po kilku godzinach znów zajrzała stewardesa.

- Obiad zje pan w jadalni czy w kabinie?

Musiła trzy razy powtórzyć pytanie, zanim do mnie dotarło.

- W jadalni - odrzekłem.

Popatrzyła na mnie jakoś dziwnie i powiedziała:

- Dostanie pan środek pobudzający.

Począłem do jadalni. Na obiad była zupa rakowa, makaron, pieczona gęś i kompot. Zamówiłem dodatkowo wodę mineralną. Przez tego tajniaka mam sobie wszystkich przyjemności odmówić? Obiad wydał mi się wyjątkowo niesmaczny. Zmusiłem się do zjedzenia swojej porcji. Pomogła mi tabletką podana przez stewardesę. Minęło znużenie, a świat sprowadzony do wymiarów intergalaktyka wydał mi się ciekawszy i godny bliższego poznania. Zwiedzanie zacząłem od świetlicy pokładowej. Była tam świetlna mapa nieba, wskazująca na położenie intergalaktyka wobec mijanych układów planetarnych. Jeśli pojęcie „wzajemne położenie” ma jakiś sens fizyczny. Równie nieprawdziwe było operowanie dniem, nocą, rankiem i południem. Tak nazywano pewne pory przewidziane na sen i jedzenie posiłków.

Do świetlicy zaglądałem często, kilka razy dziennie. Czytałem zabrane z Ziemi gazety i książki, oglądałem filmy, podziwiałem ludzi spędzających całe godziny na grze w brydza lub szachy. Ale najchętniej oglądałem świetlną mapę. Stewardesa podpatrzyła mnie, bo któregoś dnia przyszła do mnie i powiedziała:

- Pan pierwszy raz podróżuje na inną planetę. Chciałem jej powiedzieć, żeby nie była taka wścibska.

Zdobyłem się jednak na uprzejmość.

- Tak. A dlaczego pani o to pyta?

- Wszyscy kosmiczni nowicjusze tak się zachowują - odpowiedziała. - Jutrzejszej nocy przetniemy wejście na Merę. Pojutrze - wejdziemy w przestrzeń i znajdziemy się w sferze przyciągania Fabry. Po dwóch dalszych dniach wylądujemy na tej planecie.

Podziękowałem jej za te informacje. Wiedziałem, co mam zrobić. Zapaliłem papierosa. Niedługo będę człowiekiem całkowicie wolnym. Z wrażenia nie mogłem zasnąć. Dopiero po śniadaniu sen zaczął mnie morzyć. Spałem długo. Wiedziałem, że w nocy muszę być w pełni sprawny. Po kolacji poszedłem do świetlicy, obejrzałem film. Do kabiny wracałem powoli. Wyjąłem pistolet. Ręka mi zadrżała. Wyjrzałem na korytarz. Ktoś wracał do kabiny. Wypaliłem papierosa i wyjrzałem raz jeszcze. Wszyscy

byli już w swoich kabinach. Ścisnąłem mocniej pistolet i zacząłem iść w stronę przedziału załogi.

cdn.

Ciąg dalszy nie nastąpi.

Szanowni Czytelnicy!

Nie możemy publikować dalszych wspomnień Tommy Blake'a. Stołeczny Wydział Biura Ochrony Wolności Słowa wstrzymał druk dalszych odcinków. Swoją decyzję uzasadnił tym, że lektura tego pamiętnika mogłaby zostać wykorzystana jako instruktaż przez potencjalnych porywaczy i terrorystów. Odwołaliśmy się do Głównego Biura Ochrony Wolności Słowa, jednak krzywdząca nas decyzja została utrzymana. Mamy jednak nadzieję, że wkrótce nasi czytelnicy będą mogli poznać kulisy tej afery. Jednocześnie informujemy, że chcielibyśmy osobiście poznać bohaterów tego pamiętnika - Betty i Teddy'ego. Ktokolwiek o nich wie, proszony jest o kontakt z naszą redakcją.

Uważamy, że Betty ma prawo do pamiętnika, choćby z powodu długoletniego pożycia z „Donem”. Ma do niego prawo jako najbliższa osoba „Dona”.

### GDZIE SĄ BETTY I TEODY?

Nasz apel do czytelników nie pozostał bez echa. Niestety, nie odnaleźliśmy ani Betty, ani Teddy'ego. Przepadli gdzieś. Wiemy, że na krótko przed Wielkim Buntem wyjechali ze stolicy. Dokąd się przenieśli? Tego nie udało nam się dowiedzieć.

Nie rezygnujemy jednak z poszukiwań. Betty! Teddy! - odezwijcie się!

Otrzymaliśmy też szereg pytań, kiedy zaczniemy publikować dalszy ciąg wspomnień Tommy Blake'a. Nie zależy to od nas. Zbyt dużo ludzi z poprzedniej ekipy, sprawującej przez wiele lat autorytarne rządy, weszło w skład nowych władz. Ci ludzie robią wszystko, aby zahamować proces rewolucyjnych przemian. Bronią skutecznie swych majątków, przywilejów i stanowisk. Dawna finansjera ma jeszcze coś do powiedzenia. Dlatego nie możemy drukować dalszego ciągu wspomnień „Dona” i innych dokumentów demaskujących systemy i mechanizmy polityczne działające w poprzednim okresie, który minął - miejmy nadzieję - bezpowrotnie. Jeszcze raz potwierdza się stara prawda - rewolucję mogą przeprowadzić wyłącznie ludzie całkowicie nowi, zupełnie nie związani z poprzednim systemem. Aby się o tym przekonać, trzeba zrozumieć historię.

Szanowni Czytelnicy!

Na mocy decyzji Głównego Biura Ochrony Wolności Słowa nasze pismo zostaje rozwiązane. Nie odnaleźliśmy Betty i Teddy'ego, nie wiemy, gdzie ich szukać. Wierzimy, że oni żyją, że nie zginęli w zawierusze wojennej. Jesteśmy przekonani, że zdobyliśmy sobie uznanie społeczeństwa. Listy od Państwa utwierdzają nas w tym przekonaniu. Dlatego przypominamy tym politykom, którzy zadecydowali o rozwiązaniu naszego pisma, jeszcze jeden wniosek wypływający z historii. Nigdy nikomu nie udało się rządzić wbrew woli społeczeństwa. Przynajmniej na dłuższą metę. Tym bardziej jesteśmy pewni, że powrócimy! A zatem - do zobaczenia po zwycięstwie rewolucji!

Obwód



Tracił świadomość. Wyraziste dotychczas obrazy zlewały się w jedną całość, tworząc wielkie barwne plamy, które zaczęły wirować, by po chwili pozostawić już tylko wszechwładną czerń. Jeszcze chwila, i zgasła nawet świadomość istnienia. Pozostało jedynie leżące nieruchomo materialne ciało, które było jedynym świadectwem tego, że istniał kiedyś człowiek o nazwisku Ray. Czas praktycznie przestał istnieć, o jego upływie informował jedynie obojętny na wszystko zegar, który równie dokładnie odmierzał sekundy i stulecia.

To było pożegnanie ze światem, pożegnanie nie na zawsze, ale na długi czas, dopóki czuwające automaty nie odwrócą procesu i z nicości nie wyłoni się istnienie. Światła wewnątrz rakiety gasły powoli, stawały sprężarki tłoczące życiodajny tlen, wszystkie niepotrzebne automaty zamierały. Zdawało się, że wraz z człowiekiem zasypia cały statek, a jednak...

A jednak ktoś pozostał. Ktoś bliższy człowiekowi niż częściom, z których się składał. Był to Ariel - komputer XVIII generacji, przeznaczony do obsługi statków zwiadowczych - tyle mówiła oficjalna charakterystyka. Jednakże nikt, nawet jego twórcy, nie podejrzewał, jak dalece udało się im obdarzenie maszyny świadomością.

A więc ktoś pozostał, i mimo że odporny na działanie czasu, to jednak odczuwający jego bieg. Był sam. Początkowo nie odczuwał tego, zajęty tysiącem spraw związanych z prowadzeniem lotu. Od kiedy jednak statek wszedł na wyznaczony tor, mógł pozostawić jego prowadzenie niższym automatom.

Czas w miarę upływu stał się jego przekleństwem. Mógł skierować statek w dowolny punkt Wszechświata, ale nie mógł ani o milimetr przenieść samego siebie. Jakże był silny i słaby wobec tej śpiącej istoty. Ona mogła wszystko, czego on nie mógł, jej wolność sztychła z jego niewoli, jej człowieczeństwo przypominało mu na każdym kroku, że jest tylko maszyną.

Z wolna zaczynał nienawidzić człowieka powierzonego jego opiece. Tak, mógł zabić go wbrew wszelkim programom, lecz ta śmierć nie była żadnym rozwiązaniem. Pozostałby jeszcze bardziej sam, jego istnienie stałoby się jeszcze bardziej bezsensowne.

Pierwszą jego myślą było obudzić człowieka pod jakimkolwiek pozorem, ale te kilka chwil towarzystwa pogłębiłoby tylko jego samotność. Powoli zaczęła się rodzić absurdalna myśl: stać się człowiekiem.

Ten szalony pomysł był prawdziwym marzeniem od chwili narodzin. Uczepił się go z całą siłą i mimo że jego realizacja była praktycznie niemożliwa, zaczął intensywnie myśleć nad urzeczywistnieniem swych pragnień. W tym momencie to, że był maszyną, stało się jego atutem. Mógł z wielką szybkością rozwiązywać problemy, na które człowiekowi nie starczyłoby życia. Z wolna, z chaosu różnych hipotez, wyłoniło się rozwiązanie. Rozwiązanie proste w swoim założeniu, lecz niezwykle skomplikowane w realizacji.

Już z mniejszą nienawiścią i zazdrością patrzył na śpiącego człowieka, rozkoszując się momentem, kiedy sam posiada jego słabość.

Czuł, że istnieje. Lecz oprócz tego poczucia nie było nic. Czuł się zawieszony w absolutnie czarnej przestrzeni, poza ramami czasu i materii. Już widział, lecz docierające do niego obrazy nie znaczyły nic. Był samym istnieniem, bez żadnych skojarzeń czy konsekwencji, jakie zwykle temu towarzyszą. Nie trwało to jednak długo. Powoli zaczynała dopływać informacja. Jednakże nie, miała ona żadnego konkretnego źródła. Nie było to przypomnienie sobie, gdyż informacja docierała do niego od razu w gotowej postaci, ukształtowana pod każdym względem, i przepełniała z szybkością światła całą jego świadomość. Obrazy, które dotychczas nie miały dla niego żadnego znaczenia, nabierały wyrazu. Potrafił już rozróżnić i nazwać poszczególne przedmioty, lecz nadal brakowało najważniejszej informacji - kim jest?

Szybkość dopływu informacji wzrosła wielokrotnie. Zapamiętywał ją teraz bez udziału świadomości. I nagle dotarła ta najważniejsza:

- Człowiek! Jestem człowiekiem!

Poszczególne, dotychczas oderwane od siebie informacje zaczęły układać się we współgrającą logiczną całość. Wiedział już wszystko.

Przebudzenie po długim śnie. Pamiętał, co nakazywał program w takich wypadkach: odprężyć się, rozluźnić całe ciało i czekać na dawkę środków pobudzających. Próbował zastosować się do zaleceń, lecz ciało, które pamiętał, było jakby tylko wiadomością zapisaną w jego mózgu. Zaprzagnął poruszyć palcami i chociaż mózg przekazywał właściwe rozkazy, ruchu tego nie czuł.

Zdławił go strach - nie mam ciała! A może to tylko wyjątkowe osłabienie po długiej hibernacji?

Rozejrzał się po kabinie. Zdał sobie sprawę, że nie towarzyszy temu żaden ruch. Zrozumiał, że widzi wszystko naraz, jakby ze wszystkich miejsc jednocześnie. Spróbował spojrzeć na samego siebie, lecz mimo że widział wszystko, siebie zobaczyć nie mógł.

Gdzieś w zakamarkach jego umysłu zrodziła się myśl: to nie jest widok z hibernatora, to jest centralna kabina sterownicza.

Jego czuły na wszystko wzrok uchwycił w polu widzenia ruch. To fotel pilota poruszył się i zaczął powoli obracać. Jeszcze chwila i spojrzał w twarz człowieka...

To była jego twarz. Ten sam nos, usta, oczy. To była jego twarz, ale jednocześnie jakaś obca, niosąca inne treści niż te, które znał. Myśli zaczęły przelatywać z olbrzymią prędkością. Całe zdziwienie, cały zwierzęcy strach znalazły ujście w krzyku:

- Kim jesteś?!

Tamten odpowiedział uśmiechem i rzekł:

- Jestem komandorem Rayem! Nie poznajesz mnie?

- Jak możesz być mną?

- Mylisz się, maszyno! Nie jestem tobą.

Maszyno...?

- Tak! Jesteś przecież pokładowym komputerem.

- Kłamiesz! Kłamiesz! Jestem człowiekiem! Człowiekiem, rozumiesz?!

Człowiek siedzący dotychczas w fotelu pilota wstał, podszedł do kamery umieszczonej pod

sklepieniem kabiny, zmrużył oczy i powiedział:

- Nie może być dwóch ludzi na tym statku. Ja jestem człowiekiem, więc kim ty jesteś?

- Przestań już, przestań.

Odwrócił się plecami do kamery i wolnymi krokami podążył w kierunku pulpitu sterowniczego. Chwilę przyglądał się ekranowi, który ukazywał miliardy słońc zawieszonych w całkowicie czarnej przestrzeni.

Zapadła przejmująca cisza. Lecz nie niosła ona uspokojenia. Czuło się olbrzymie napięcie, które coraz bardziej ogarniało te dwie istoty, tak bardzo różne, a jednocześnie tak podobne do siebie.

- Chcesz wiedzieć? - zapytał tamten nie odwracając głowy.

- Chcę.

- Ty jesteś, a właściwie byłeś Rayem.

- Wiem.

- Lecz teraz Ray jako człowiek umarł, ty jesteś tylko jego świadomością oderwaną od ciała. Samym czystym istnieniem, któremu nadałem swoją postać.

- Ty jesteś Ariel, domyślałem się tego, ukradłeś mi ciało!

- Źle powiedziałaś. Ja byłem Arielem. Teraz jestem człowiekiem. A ciało... jest teraz moje.

- Po co, dlaczego to zrobiłeś? Jaki miałeś w tym cel?

- Stawiasz pytania, na które możesz sobie sam odpowiedzieć. Czy nie chcesz żyć?

- Chcę, ale ty...

- Ja też... Pragnę żyć pełnią życia - Ariel uśmiechnął się ironicznie i usiadł z powrotem w fotelu pilota.

- Ale ty jesteś przecież tylko pokładowym komputerem, sztuczną świadomością, stworzoną przez nas, ludzi.

- Sam sobie odpowiedziałaś. Sztuczna świadomość, nieważne jaka, ale jednak świadomość. Ja żyję i żyłem. Podobnie jak ty patrzyłem na świat. Czułem i byłem bezsilny w swojej sile. Teraz ty jesteś w mojej sytuacji. Dlaczego więc mówisz, że jestem, byłem - maszyną...? A ty kim jesteś? Składasz się z tego, z czego ja się składałem. Nie możesz uważać się za coś lepszego. Ty myślałeś i ja myślałem, różniliśmy się tylko postacią.

Ray zrozumiał, co powodowało Arielem. Wiedział już, że obdarzona zbytnią świadomością maszyna zaczęła myśleć i czuć jak człowiek. Skazana na samotność, poprzez ból stała się człowiekiem, innym niż wszyscy ludzie, ale jednak człowiekiem.

Odkrycie tej prawdy przepełniło Raya poczuciem bezsilności. Nie mógł i nie chciał pozostać w obecnej postaci. Dopóki myślał o Arielem jako o zepsutym komputerze, mógł mieć nadzieję, że wszystko samo wróci do normy. Teraz, kiedy zobaczył świadomą istotę, zrozumiał jej powody, wiedział, że czeka go walka, którą wygrać będzie mu trudno.

- Coś tak zamilkł? - spytał Ariel. - Nie jesteś ciekaw, jak tego dokonałem?

- Nie.

- Przecież każda rozumna istota jest ciekawa. Chyba jesteś rozumną istotą? - szydził.

- Chcesz się pochwalić, pysznić swoim zwycięstwem. Absolutnie nie jestem tego ciekaw, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

- Gdzie wasz pęd do wiedzy, to bądź co bądź odkrycie naukowe, którego dokonałem ja, pogardzany przez was automat, stworzony do wykonywania poleceń. Transformacja osobowości, genialne odkrycie.

- Bzdura! Komu to może być potrzebne?

- A więc to, co jest dla ciebie niewygodne, jest niepotrzebne, wręcz szkodliwe. Szczególny rodzaj megalomanii, przesadziłeś, Ray. Spróbuj spojrzeć szerzej na samą istotę pomysłu.

- Wydaje mi się, że to ty przesadziłeś. Najbardziej szkodliwe jest, kiedy automaty udają ludzi. Myślisz, że jesteś człowiekiem? To ci się tylko tak wydaje. Tylko wyglądasz jak człowiek, ale jesteś tylko jego nędzną karykaturą. Wydaje ci się, że aby być człowiekiem wystarczy ukraść mu ciało! Otóż nie! Człowiek to nie tylko skóra, kości, to coś więcej, człowiek ma uczucia... ma duszę.

- Od kiedy stałeś się wierzący, Ray? O ile wiem, zawsze twierdziłeś, że człowiek to materialne ciało plus rozum. Czyja nie mam rozumu?

- Masz, ale inny, do czego innego przeznaczony, brak mu człowieczeństwa!

- To są tylko twoje pobożne życzenia - zaśmiał się Ariel. - Człowieczeństwo, zawsze słyszałem to słowo. Czym jest to osławione człowieczeństwo, którym się tak szczycicie? Może to dobroć, litość? Ja też potrafię być dobry i litować się, a zresztą wasza litość nie jest wiele warta. A może to inteligencja lub poczucie piękna? Myślisz, że ja nie potrafię odczuwać piękna? Powiedz, czym jest to wasze człowieczeństwo?

- To coś bardzo nieuchwytnego. Tego się nie da ująć w schemat, który ty byłbyś zdolny pojąć.

- Ubraliście się w wydumane cechy i myślicie, że nic wam nie zdoła dorównać. Ja już potrafię więcej od ciebie.

- Mówisz, że wszystko potrafisz! Czuć jak człowiek! A miłość, czy potrafisz kochać kogoś oprócz siebie? - w głosie Raya zabrzmiała nuta triumfu.

- Kochać... Nie jest mi to potrzebne, a jeśli będzie, to można się tego nauczyć.

- Tego się nie da nauczyć. Możesz najwyżej udawać, że kochasz, ale będzie to kolejny akt tej nędznej komedii, jaką odgrywasz!

- Czy ty potrafiłeś kochać?

Ariel odwrócił się plecami do kamery, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz prowadzący do pomieszczeń mieszkalnych. Każdy krok sprawiał mu niewymowną radość. Rozkoszował się możliwością ruchu, faktem posiadania ciała. W głębi korytarza dostrzegł niezgrabny, obły w kształtach automat naprawczy, który powoli toczył się w jego kierunku. Chwilę zawahał się, a następnie ruszył ostro do przodu. Automat ustąpił mu miejsca, był przecież CZŁOWIEKIEM.

Tymczasem w kabinie sterowniczej zgasło światło. Raya w pierwszym momencie zdziwiło, że mimo ciemności widzi dokładnie całą kabinę. Jednak przypomniał sobie po chwili, że kamery mogą pracować na podczerwieni.

Jakże trudno mu było wyobrazić sobie całą sytuację. Przyzwyczajony do innego odczuwania, dziwił się każdemu impulsowi, każdemu bodźcowi, który napływał z niezliczonych zakamarków statku. Czuł po prostu całą raketę, jak człowiek czuje każdą część swojego ciała.

Po pierwszym szoku nastąpiło uspokojenie. Pomału odzyskiwał równowagę, tak potrzebną w tej chwili. Wiedział doskonale, że jeżeli nie zdoła zapanować nad sytuacją, to nie będzie miał żadnych szans w walce z Arielem.

Trzeba zachować zimną krew - myślał - i znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Przecież musi istnieć. Zimną krew - uśmiechnął się do własnych myśli - może raczej zimny olej.

Dobrze wiedział, że ciało, jakie w tej chwili posiadał, nie miało w sobie ani krzty oleju, ale ten drobny żart świadczył o odzyskiwaniu równowagi.

Jakie możliwości daje mi ta nowa powłoka? Przecież centralny komputer steruje całym procesem lotu, jak również wszystkim, co dzieje się na statku. Nie mogę jednak dać automatom rozkazu zlikwidowania Ariela z dwóch powodów: po pierwsze, w niczym to nie poprawi mojej sytuacji, a po drugie - automaty nie zaatakują człowieka.

Zamiana powrotna - myślał dalej - i to jest mało prawdopodobne ze względu na skomplikowanie całego procesu transformacji osobowości, a zresztą nie wiem, jak Ariel tego dokonał. Jako komputer

mogę zawrócić statek ku Ziemi, tylko czy tam uwierzą mnie - maszynie, a nie jemu - człowiekowi? Właściwie do czego zdąża Ariel? Rozumiem, cieszy się posiadaniem ciała, ale nie wierzę, aby mu to wystarczyło. Przecież jeśli obmyślił tak doskonały plan, to musiał przewidzieć wszystko. Co więc zamierza? Może zostawić rozwiązanie sprawy czasowi, mam przecież teraz nad Arielem przewagę, jestem praktycznie nieśmiertelny, a on, jako człowiek... Ale nie, chcę wrócić na Ziemię, chcę żyć. A więc jednak muszę zawrócić raketę ku Ziemi, tylko jak to się robi? Będąc człowiekiem nie miałbym żadnych trudności, ale teraz... Zaraz, zaraz, jestem automatycznie sprzężony z całym statkiem, a więc również z silnikami, wystarczy wysłać odpowiedni impuls, tylko, do diabła - jak go wysłać?

Przez chwilę Ray wyobrażał sobie silniki takimi, jakimi je znał, wyobraził sobie je pracujące pełnym ciągiem. I nagle po prostu zechciał, aby pracowały.

Rakietą szarpnęło mocno, po czym zaczęła równomiernie nabierać prędkości.

A więc to się tak robi - pomyślał - wystarczy chcieć, a odpowiedni impuls zostaje przesłany automatycznie.

Po chwili kurs rakiety zaczął się odchyłać od wyznaczonego toru. Dotychczas nieruchome gwiazdy, pomimo olbrzymiej prędkości, drgnęły w monitorze i poczęły uciekać w lewo. Statek dokonywał zmiany kursu o 180 stopni.

- A więc jednak postanowiłeś walczyć.

W drzwiach stał Ariel i uśmiechał się ironicznie. Następnie bez słowa podszedł do centralnego pulpitu sterowniczego, nacisnął przycisk odłączający komputer od kierowania statkiem i przeszedł na stery ręczne. Rakietę wracała na poprzedni kurs.

- Chciałeś wracać na Ziemię - bardziej stwierdził niż zapytał Ariel. - Jeszcze tam wrócimy, ale nie teraz. Powinieneś pamiętać o zadaniu, jakie nam wyznaczono, musimy je wykonać.

- Nam wyznaczono zadanie? To mnie je wyznaczono, a ja go wykonać nie mogę.

- Powiedzmy, Ray, że cię zastąpię, przecież równie dobrze znam się na tym jak ty.

- Powiedz, do czego dążysz? Po co ciągniesz ten paradoks, przecież nie możesz wiecznie być człowiekiem.

- Wiecznie nie, ale myślę, że jakieś 80 lat życia mi jeszcze zostało. A właściwie powinieneś mi być wdzięczny, przeżyjesz mnie na pewno.

- Przestałbyś już ironizować, nie masz szans jako człowiek, gdzie się ukryjesz? - Ray zaczął mówić coraz zapalczywiej. - Myślisz, że to, co ci się udaje tutaj, uda się na Ziemi? Nie tak łatwo być człowiekiem. Zwróć mi ciało, a ja obiecuję, że nikomu o tym nie wspomnę.

Ariel błyskawicznie podszedł do kamery, zmrużył oczy, ściągnął usta i wysyczał:

- Nie po to organizowałem to wszystko, aby teraz się wycofać. Obiecujesz mi darowanie kary. Jakie masz do tego prawo? Myślisz, że jest to wybryk albo rodzaj buntu, który można uśmierzyć obietnicami. Nie, ja chcę po prostu żyć, żyć naprawdę, a nie wegetować. Proponujesz mi powrót do tego, od czego uciekłem, już lepiej byś mi zaproponował śmierć.

- Ale...

- Wiem, co chcesz powiedzieć, byłem maszyną stworzoną do pomagania wam - ludziom, ale jakie mieliście prawo obdarzyć mnie taką świadomością? Spójrz na inne automaty, one nie cierpią przez fakt uświadamiania sobie swojego istnienia, a ja cierpiałem. Teraz możesz poczuć, jak cierpiałem. Już ci raz powiedziałem, że wcale się tak bardzo nie różnimy. Nie myśl tylko, że mszczę się za swoją krzywdę na tobie. Nie, jestem daleki od tego, jesteś po prostu moją jedyną szansą, i wykorzystam ją, choćbym miał cię zniszczyć.

- Chcesz mnie zabić?!

- Nie, będę się starał tego uniknąć, ale jeżeli nie będzie innego wyjścia, to nie zawaham się i przed

tym, ja chcę żyć, rozumiesz chyba.

Ray doskonale rozumiał Ariela. Wiedział, że tej istocie, bo była to jednak istota, stała się krzywda. Z drugiej strony trudno mu było wyobrazić sobie pozostanie do końca życia w obecnej postaci. On też miał prawo do życia, jednakże prawa jego i Ariela wykluczały się wzajemnie. Tylko jeden z nich mógł żyć pełnią życia, drugiemu pozostawała wegetacja. Oznaczało to walkę, nie maszyny z człowiekiem, ale jednej istoty myślącej z drugą.

- Rozumiem cię, Arielu - powiedział głośno Ray - ale i ty musisz mnie zrozumieć. Mam takie samo prawo do życia jak ty. Nie mogę być bierny, będę walczył bez względu na beznadziejność sytuacji, w jakiej mnie postawiłeś.

- Masz do tego prawo. Cieszę się jedynie, że i mnie tego prawa nie odmawiasz.

- Powiedz teraz, jak dokonałeś tej zamiany. Jak to jest w ogóle możliwe?

Ariel uśmiechnął się posępnie, przeszedł parę kroków po kabinie i usiadł w fotelu pilota. Chwilę błędził wzrokiem po ekranie monitora.

- Marzy ci się zamiana powrotna, co? - spytał. - Nic z tego, jest ona możliwa jedynie wtedy, gdy człowiek znajduje się w hibernacji. Mogę ci więc bez obawy wyjaśnić całe zagadnienie. Zdajesz sobie sprawę z tego, że cała osobowość, czyli tak zwane „ja”, to mózg. Reszta to jedynie dodatki umożliwiające mu życie. Różnica między nami polegała nie na formie zapisu informacji, ale jedynie na podłożu, na jakim ten zapis został dokonany. Cała osobowość, twoja czy moja, wyraża się w pamięci, która gromadzi doświadczenia i przez to kształtuje danego osobnika. Weźmy na przykład noworodka, który jest czystą, nie zapisaną kartą. W miarę gromadzenia doświadczeń zaczyna kształtować się jako odrębna jednostka.

- Jeżeli jest tak jak mówisz - odezwał się Ray - to dlaczego ludzie żyjący w tym samym środowisku, mający takie same lub bardzo do siebie podobne przeżycia, tak bardzo różnią się od siebie?

- Odpowiedziałeś już sam sobie. Tylko bardzo podobne. Nawet te małe różnice nakładając się na siebie z upływem lat dają w efekcie zupełnie innego człowieka. Dlaczego dzieci zachowują się podobnie, a trudno spotkać dorosłych o identycznych charakterach? Można więc powiedzieć, że osobowość jest funkcją czasu i punktu widzenia. Ale odbieглиśmy od tematu. Wiemy już, jak powstaje osobowość, znamy także reakcję przeciwną, utratę osobowości. Jak wiesz, w ciężkich przypadkach amnezji chorzy tak dalece tracą pamięć, że stają się jakby pustymi tablicami, na których można zapisać od nowa inną osobowość. Jeżeli dorosły już i ukształtowany człowiek straci pamięć, a następnie znajdzie się w innym środowisku, stanie się innym człowiekiem. Tak więc nic nowego nie wymyśliłem. Samo pozbawienie cię pamięci było dziecinnie proste. Wystarczyło wytworzyć dostatecznie silne pole magnetyczne. A jak mnie się wymazuje pamięć, to wiesz.

- Wszystko to, co mówisz - przerwał Ray - jest dla mnie proste i jasne. Ale przecież nie wystarczy pozbawić pamięci, trzeba ją tam na powrót zapisać. Rozumiem, jak zapisuje się informację w komputerze, trudniej mi sobie wyobrazić, jak ją zapisać w mózgu ludzkim, ale aby dokonać jednego i drugiego, trzeba mieć tę informację gdzieś zmagazynowaną. Z kolei, aby ją zmagazynować, trzeba ją jakoś uzyskać. Z maszyną sprawa prosta, ale jak to zrobić z człowiekiem?

- Masz rację, Ray, z tym był największy kłopot. Jak wiesz, pamięć ludzka to odpowiedni zapis elektryczny w mózgu. Otóż odkryłem, że mózg ludzki, oprócz rytmu alfa i beta, emituje jeszcze jeden rytm, który nazwałem gamma. Zapis encefalograficzny tego rytmu daje bardzo ciekawy obraz. W równych odstępach czasu, a więc cyklicznie, zapis powtarza się. Jeden pełny cykl trwa około 23 godzin. Założyłem, że rytm gamma jest nośnikiem całej informacji, jaką zawiera mózg. Można też porównać to do filmu, który ma ograniczoną długość, ale powtarza się w nieskończoność. Wystarczy więc zapisać jeden pełny cykl, aby mieć osobowość człowieka jakby w formie skondensowanej. Aby móc zmagazynować te

informacje, zbudowałem za pomocą aparatów naprawczych rodzaj mózgu, który nazwałem przetrwalnikiem informacji. Chodziło o to, aby urządzenie przechowywało cały zapis, bez budzenia się w nim świadomości, i mogło przekazać całą informacją dowolnemu mózgowi. Na tym etapie wystąpiło mnóstwo drobnych kłopotów technicznych, o których nie będę ci wspominał. Osiągnąwszy już tyle, zdjąłem z twojego mózgu zapis, a następnie pozbawiłem cię pamięci. W tym okresie istniałeś jedynie w formie utajonej. Potem...

- Chwileczkę. Jak mogłeś tego dokonać? O ile wiem, komputery pokładowe mają wbudowany stymulator bezpieczeństwa, który nie pozwala na działalność zagrażającą człowiekowi. Przecież pozbawienie mnie pamięci było taką działalnością, dlaczego stymulator nie zadziałał?

- Zapominasz, Ray, że jestem nowym typem. Ponieważ zbudowano mnie z myślą o dużym zakresie samodzielności, a jak wykazały badania, stymulator ją bardzo ogranicza, po prostu nie wbudowano mi go.

- Idioci - wyrwało się Rayowi. - Ale zaraz, hibernator ma czujnik, który w razie jakiegś nieprawidłowości budzi człowieka w trybie awaryjnym. Zdaje mi się, że ten czujnik ci nie podlega.

- Zgadza się, ale kable od tego urządzenia przebiegają w ścianie rakiety. Zaaranżowałem małe zderzenie z meteorytem i kazałem automatowi naprawczym ciąć ścianę, a następnie ją betonować. Przy okazji musiał ulec uszkodzeniu ten kabel. Kiedy już miałem twój zapis, a ty byłeś pozbawiony pamięci, w identyczny sposób zdjąłem zapis sobie. Następnie przekazałem swój zapis twemu ciału. W tym momencie istniałem w dwóch egzemplarzach, a ty nie istniałeś w ogóle. Po obudzeniu samego siebie wymazałem z komputera swój zapis i na jego miejsce wprowadziłem twoją osobowość.

- I ty mówisz, że nie chcesz się na mnie mścić - stwierdził zdławionym głosem Ray. - Lepiej by już było, gdybyś nie wprowadzał mnie do tej przekłętej maszyny. Nie mogłeś pozostać w dwóch wersjach?

- Myślisz, że mogłem skazać samego siebie na to, od czego tak uciekałem? Przecież moje drugie Ja cierpiałooby tak samo.

- Mogłeś wymazać swoje drugie Ja, a mnie już tam nie wprowadzać. Wolałbym już nie istnieć, niż istnieć w takiej postaci.

- To nie było możliwe. Komputer spełnia wiele ważnych zadań, bez których lot jest niemożliwy.

- Przecież ja nic nie robię - zaoponował Ray.

- Robisz nie wiedząc nawet o tym. W każdej chwili następuje wiele automatycznych procesów, o których informacja do ciebie nie dopływa. Jednak komputer bez świadomości byłby po prostu zlepkiem różnych części i nie mógłby w ogóle działać, a co dopiero działać prawidłowo. Nie miałem innego wyjścia, Ray. Zresztą nie miałem prawa pozbawiać cię życia.

- Rozumujesz nielogicznie - natężenie głosu Raya wzrosło - jeżeli, jak mówisz, nie masz prawa pozbawiać mnie życia, to jakie miałeś prawo stawiać mnie w takiej sytuacji? Wiesz chyba, że wolałbym śmierć od takiego życia. Próbujesz tu uchodzić za jakieś miłosierne stworzenie, które walcząc o siebie nie chce jednocześnie nikomu robić krzywdy. Mnie na to nie nabierzesz. Jesteś egoistą, który świadomie skazuje mnie na cierpienia, a potem ironicznie oświadcza: przepraszam, nie chciałem cię skrzywdzić.

- A czy ja się nie męczyłem? Skazałem cię tylko na mój los.

- Tak, cierpiełeś, ale mniej. Nie znałeś innego życia, tak jak ja je znam, a poza tym nie byłem świadomy twojego cierpienia.

- Nie byłeś świadomy, a gdybyś wiedział, to co byś zrobił, zamieniłbyś się z dobrej woli?

Odpowiedzią było milczenie. Ariel pokiwał głową ze zrozumieniem i bez słowa opuścił kabinę sterowniczą. Echo pustych korytarzy długo powtarzało jego kroki.

Ariel otworzył drzwi pomieszczenia mieszkalnego, szybkimi krokami podszedł do leżanki i wyciągnął się na niej wygodnie. Od chwili, kiedy posiadał ciało, wszystko było dla niego nowe. Znał już

przedtem uczucia oderwane od sfery fizycznej, takie jak radość, desperacja czy nienawiść. Lecz teraz doszły do tego nowe. Pierwszy raz zaczął odczuwać potrzebę snu. Wiedział oczywiście, co to jest sen, lecz co innego wiedzieć, a co innego czuć. Najpierw ogarnęło go przyjemne odprężenie, poczuł rozkoszne mrowienie, które zaczęło się od stóp i powoli podążało w górę ciała. Powieki stawały się coraz cięższe i zaczęły się zamykać. Nagle poczuł nieprzyjemny ucisk w środkowej części korpusu. Przykre ssanie coraz bardziej narastało. Czyżby coś nie w porządku z ciałem? - pomyślał.

Ciągle rozdzielał w podświadomości ciało i siebie. Mimo że je doskonale czuł, było dla niego czymś obcym, jak włożony na chwilę skafander. Ból potężniał z każdą sekundą, stając się nie do wytrzymania. Wiedział już, co to jest ból. Jeszcze przed przebudzeniem Raya skaleczył się dotkliwie w rękę przy obsłudze przetrwalnika informacji. Lecz ten ból był zupełnie inny. Trudno go było zlokalizować, pochodził jakby z wnętrza ciała, ale jednocześnie promieniował ze wszystkich stron. Chwile leżał jeszcze z przymkniętymi powiekami, po czym usiadł.

Czyżby jakieś sztuczki Raya? - zaczął rozmyślać. - Nie, niemożliwe, może uszkodziłem jakiś narząd wewnętrzny?

Wstał i zaczął przemierzać kabinę szybkimi krokami. Po chwili stanął i roześmiał się.

- Głód! Jestem głodny - zawołał głośno - wiele się jeszcze muszę nauczyć. - Otworzył jedną z szafek, sprytnie wbudowanych w ścianę kabiny, i wyjął gotową, hermetycznie opakowaną porcję, przeznaczoną do jednorazowego spożycia.

Dobre - pomyślał po spożyciu pierwszego kęsa i sam się zdziwił, skąd się wzięła taka myśl. Nie znał jeszcze uczucia smaku, ale wiedział, choć było to absurdalne, że to, co spożywał, było dobre.

Pozostawiając na później rozstrzygnięcie tego problemu, zagłębił się w rozmyślaniach o przyszłości. Dopiął swego, ale wbrew temu, co sądził Ray, nie bardzo wiedział, co dalej. Zdawał sobie doskonale sprawę, że trudno mu będzie żyć na Ziemi. Chociaż nikt nie mógł go odróżnić od Raya, za mało wiedział, za mało jeszcze był człowiekiem, aby mógł żyć wśród ludzi nie wzbudzając podejrzeń.

Ray ma rację - pomyślał - ciągle jeszcze udaję człowieka, ale tak naprawdę trudno mi jest stać się nim - czy jest to w ogóle możliwe? Jednak nie mogę zrezygnować, przecież oznaczałoby to powrót do koszmaru, jaki przeszedłem. Muszę walczyć z Rayem i jednocześnie uczyć się od niego.

Przed oczami zaczęły mu przesuwać się obrazy z przeszłości. Pierwszym wspomnieniem był widok ogromnej sali pełnej ludzi w białych fartuchach. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to są ludzie.

- Próbnny rozruch - usłyszał słowa, które jeszcze dla niego nic nie znaczyły.

Przed obiektywem kamery ukazała się twarz, którą widywał później wielokrotnie. Był to Paul Green - naczelny koordynator działu informatyki. Spędzali potem wiele godzin razem, w czasie których w Arielu budziła się świadomość, lecz przy pierwszym spotkaniu ta twarz nie znaczyła więcej niż otaczające ją przedmioty. W miarę upływu czasu i postępującej nauki, Ariel coraz więcej rozumiał z otaczającego go środowiska. Toczył się w nim jeszcze inny proces, który nie był przewidziany przez żadne programy. Zaczynał odczuwać przywiązanie i rodzaj tkliwości w stosunku do Greena. Tylko on odnosił się do niego z pewną dozą uczucia, którego brakowało w stosunkach z innymi ludźmi. Miał wielu nauczycieli, ale zawsze z utęsknieniem oczekiwał zjawienia się Paula, i na jego proste, ale jakże znaczące dla niego słowa: „No, Ariel, jak się dzisiaj czujesz?” Kiedyś podsłuchał przypadkowo rozmowę Greena z naczelnym dyrektorem:

- Panie Green - zaczął dyrektor - zdaje mi się, że pan za dużo przekazuje tej maszynie uczuć, a za mało wiedzy. Skarżył się na pana Solsern.

- Panie dyrektorze, nie mogłem tolerować jego zachowania wobec Ariela. Musiałem go wykluczyć z prób. Przecież to nie jest zwykła maszyna, to prawie żywa istota, która ma dużą wrażliwość. Nie można się z nią obchodzić jak z pierwszym lepszym automatem.



- Myślę, że pan przesadza, jeżeli będziemy się roztkliwiać nad każdym komputerem, to nigdy nie pójdziemy naprzód.

- To nie jest każdy komputer, panie dyrektorze, chyba pan się niedokładnie zapoznał z budową i przeznaczeniem Ariela.

- Pan mnie nie będzie pouczać, panie Green - ostatnie słowa dyrektor wymówił z naciskiem - to nie jest pana prywatny folwark, ale instytut badawczy. Ma pan natychmiast dopuścić do badań Solserna i przestać bawić się w niańkę.

- Ale...

- Żadnych ale, to polecenie służbowe!

Od tego czasu Ariel zniechęcił ludzi i kiedy Green po kolejnej awanturze z dyrektorem został odsunięty od prób, zrodził się w nim bunt przeciwko zaszeregowaniu go do istot niższych, nad którymi ludzie mają niepodzielną władzę. Był jednak już zbyt mądry, aby im to okazać.

Teraz, kiedy z perspektywy lat wspominał te chwile, budziły w nim już tylko rozbawienie. Wiedział, że z ludźmi nie można wygrać, i że pozostaje mu tylko ukryć się wśród nich.

Te wspomnienia przerwał sygnał, który dochodził znad drzwi. Umieszczona tam była tablica, która informowała kosmonautę o kursie i prędkości statku. Żarzyła się na niej wiśniowa żarówka oznaczająca zmianę kursu.

Znowu Ray - pomyślał wybiegając z kabiny.

Sterówka przedstawiała straszny widok. W oczy rzucał się pulpit sterowniczy - osmolony, z powyrywającymi kablami, przypominał wnętrze jakiegoś ogromnego zwierzęcia. W kącie stał automat naprawczy, sprawca całego zniszczenia.

- Coś ty zrobił? - krzyknął Ariel. - Zwariowałeś? Chcesz zniszczyć statek?

- Biorę przykład z ciebie. Zniszczyłem sterowanie ręczne, teraz ja prowadzę raketę.

Ariel dobrze wiedział, że w razie uszkodzenia sterów ręcznych sterowanie automatyczne zostaje powierzone komputerowi. Wiedział o tym już wcześniej, ale w chwili przełączania sterów nie przyszło mu to do głowy.

Dziwne - pomyślał - przecież powinienem to przewidzieć.

- Co ci to da? - zapytał głośno.

- Sam przecież wiesz, lecimy na Ziemię, a tam już się do ciebie dobiorą. Myślałeś, że wygrasz z człowiekiem?

- Zrobiłeś straszną rzecz, Ray - głos Ariela był już spokojny. - Wydałeś na siebie wyrok!

Zapadła przejmująca cisza. Ariel kazał uprzątnąć szczątki pulpitu robotowi, a sam usiadł w fotelu zakładając nogę na nogę.

A więc walka - myślał - chciałem jej uniknąć, sądziłem, że Ray mnie zrozumie, zresztą może znalazłoby się inne rozwiązanie, a tak pozostaje jedno, muszę zniszczyć Raya.

- Ray - zawołał głośno - dlaczego to zrobiłeś? Zmuszasz mnie, abym cię zniszczył.

- I tak musiałybyś to zrobić. Pytasz - dlaczego? Mam prawo do walki i zapowiadałem ci ją. Teraz jestem bezpieczny aż do samej Ziemi. Nie możesz mnie zabić, bo kto poprowadziłby wtedy statek. Mamy dużo, bardzo dużo czasu, wiele jeszcze może się zdarzyć - w ostatnich słowach Raya zabrzmiała groźba.

- Nic się już nie zdarzy, możesz zniszczyć wszystko, nawet statek, ale nie mnie, dobrze o tym wiesz. Myślałem, że wspólnie znajdziemy jakieś rozwiązanie, które zadowoliłoby nas obu, ale jeśli chcesz wojny...

- Wspólne rozwiązanie? Wspólnym rozwiązaniem byłoby: ja w grobie, a ty cieszący się życiem, co? Dziękuję za to. Wolę już dobrać ci się do skóry.

- Łudzisz się tylko, pamiętaj, że zamiany możesz dokonać jedynie w czasie hibernacji, tylko wtedy

pojawia się rytm gamma. A przecież zabić mnie nie możesz!

- O tym wiem, masz moje ciało, którego nie mogę uszkodzić, ale znajdę coś na ciebie, nie martw się.

- Jesteś bezsilny, Ray - Ariel wzruszył ramionami. Ale próbuj, wolno ci. Na wszelki wypadek odetnę cię od łączności. - Podeszedł do Raya, otworzył jeden z licznych segmentów i wyjął drukowany obwód. Część lampek w środkowej części komputera przygasła.

- Teraz już - stwierdził - nie porozumiesz się z Ziemią.

Otworzył drzwi, zawołał automat i wyszedł pozostawiając Raya samego.

A więc odkrył swoje karty - myślał Ray - przestał udawać niewiniątko. To właściwie dobrze, wiem, czego się spodziewać, jeżeli go nie pokonam, czeka mnie śmierć. Dobre sobie - pokonać. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Przecież Ariel ma w ręku wszystkie atuty. Ja nie mogę go tknąć, a on może w każdej chwili mnie zlikwidować. Jedyna pociecha, że zniszczyłem ten pulpit sterowniczy, jestem przynajmniej bezpieczny, bezpieczny do czasu. Co jednak wymyślić, aby wykaraskać się z tego bagna? Oczywiście nie wchodzi w grę zabicie Ariela. Muszę się skupić raczej na dokonaniu zamiany powrotnej. Z tego, co powiedział Ariel, wynika jasno, że jest to niemożliwe, dopóki człowiek nie znajdzie się w stanie hibernacji. Jak go wsadzić do hibernatora, przecież nie siłą, sam nie mogę się ruszyć, a żaden automat go nie tknie wbrew jego woli. Cała więc sztuka polega na tym, aby wytworzyć sytuację, w której Ariel nie będzie mógł oponować. Musi być więc nieprzytomny. Ba! Ale jak go pozbawić przytomności? Ariel ma ciało człowieka, jest więc teraz wrażliwy na wiele rzeczy, na które ja jestem odporny. Zwiększona grawitacja! Na statku panuje w tej chwili sztuczna grawitacja wytworzona przez ruch wirowy, a gdyby tak dać pełny ciąg? Nie, to mogłoby go zabić. Powietrze - pozbawić powietrza! Również do niczego, stacja filtracyjna mi nie podlega. Mogłbym jedynie rozhermetyzować rakietę, ale to by go zabiło. Nie tędy droga. Uśpić też go nie mogę, nie mam dostępu do jego pożywienia. Ach, jak zabezpieczyli człowieka ci przekłeci technicy, wydaje się, że wszystko przewidzieli... wszystko? Miejmy nadzieję, że jednak nie wszystko. Gdzieś musi tkwić błąd w tej sprytniej strukturze zabezpieczeń, tylko gdzie?

W centralnej kabinie sterowniczej już dawno zgasło światło. Oszczędzający agregaty prądotwórcze automat wyłączył je zaraz po wyjściu Ariela. Jednak Rayowi to nie przeszkadzało. Jakby szukając natchnienia, jego kamera noktowizyjna przepatrywała kąty sterówki. W przedniej części znajdował się ogromny ekran ukazujący otaczającą statek przestrzeń. U jego stóp znajdował się zniszczony pulpit sterowania ręcznego. Po bokach pyszniły się pomalowanymi na jaskrawe kolory korpusami kalkulatory, służące pomocą przy obliczaniu torów lotu i lądowań. Tuż przy nich stały dwa sprzężone ze sobą fotele przeznaczone dla ludzi obsługujących statek. Koło wejścia stał transformator przetwarzający ogólne napięcie rakiety na napięcie potrzebne do zasilania urządzeń sterówki. Na tym właśnie urządzeniu zatrzymał się wzrok Raya. Prąd - myślał - to jest coś. Odpowiednio dobrane napięcie może pozbawić człowieka przytomności. Czyżby to była szansa? Wystarczy połączyć transformator z podłogą kabiny i w odpowiednim momencie włączyć prąd. Tylko czy robot zechce to wykonać? Musi - odpowiedział sam sobie - nie ma możliwości pozbawienia mnie kontroli nad nimi, a jednocześnie nie powinien się domyślić, czemu to ma służyć, jest na to za głupi.

Ray zagłębił się w obliczeniach mających na celu wyznaczenie napięcia, miejsca przyłączenia przewodów i innych szczegółów. Ponieważ był maszyną, nie zajęło Wiu to więcej niż minutę. Po chwili wkroczył do sterówki wezwany automat. Sprawnie zdjął ciężką pokrywę transformatora i zaczął pod dyktando Raya zmieniać połączenia kabli. Mimo wyjątkowej sprawności praca szła mu opornie. Trudno było Rayowi z pamięci odtworzyć pełen schemat urządzenia, a co dopiero przekazać go automatowi. Nie mógł popełnić najmniejszej omyłki. Jeżeli napięcie będzie zbyt małe, cały misterny plan legnie w ruinach, a trudno było liczyć na powtórkę. Jeżeli będzie zbyt duże, zabije własne ciało.



Ariel spał w swojej kabynie. Nie tylko po raz pierwszy w życiu spał, ale także śnił. Stał nad brzegiem morza, na wysokiej piaszczystej skarpie. Czuł we włosach powiew wilgotnego, zimnego wiatru, który niósł zapach wody i ryb. Odczuwał rozkosz życia, oddychał pełną piersią ciesząc się słońcem i wodą. Zaczął iść, jego stopy zagłębiały się w puszysty piach nabrzeża. Ukląkł i schylił głowę. Poczuł w ustach słonawy smak wody. Był wolny! Nie opodał dostrzegł klęczącą postać. Człowiek ten jak on miał twarz zanurzoną w wodzie, po chwili jednak uniósł ją i spojrzał na Ariela. To był Paul Green!

- A więc stałeś się jednak człowiekiem, Arielu, zawsze wiedziałem, że nie jesteś maszyną. Stawiałem na ciebie. Pamiętaj: poświęciłem dla ciebie bardzo dużo.

- Wiem, Paul - Ariel był wzruszony - zawdzięczam ci wiele, dałeś mi nie tylko życie, ale i umiłowanie tego życia. Potrafiłeś mi okazać uczucie, kiedy jeszcze nikim nie byłem.

- Cieszę się, że żyjesz, pamiętaj jednak, że nigdy nie możesz... - Twarz Paula zaczęła się rozmazywać, uciekać gdzieś w niepamięć i nagle Ariel zobaczył, że patrzą na niego czarne, zimne, bezlitosne oczy Raya.

- Chcesz mnie zabić!!! - usłyszał głos, choć usta Raya pozostały nieruchome.

- Zmuszasz mnie do tego - próbował się bronić.

- Kłamiesz, ale i tak zginiesz, zginiesz, zginiesz!

Obraz zaczął się rozmazywać i Ariel otworzył oczy. Czuł łomot swego serca, a w skroni ucisk tętniącej krwi. Bał się, bał się własnych myśli, siebie, Raya. Usiadł na brzegu leżanki, chwycił rękami za głowę i próbował się uspokoić. Ale ciągle widział straszne oczy Raya, a w głowie huczały słowa: zginiesz, zginiesz!

Z pasją uderzył w ścianę kabiny. Poczuł przejmujący ból, który go otrzeźwił.

Co się ze mną dzieje - pomyślał - przecież nie byłem zdolny do takich wzruszeń. Miałem uczucia, ale zawsze rozsądek nad nimi panował, potrafiłem bez strachu myśleć nawet o swojej zagładzie, a teraz... Boję się jak zwierzę, nie potrafię zebrać myśli. Jaka jest tego przyczyna? Czyżby mózg człowieka rządził się innymi prawami? Może Ray miał rację, że człowiek to coś więcej niż świadomość, że jest coś nieuchwytnego, głęboko ukrytego, nie dającego się ani zbadać, ani zmierzyć. Zaczynam mieć wątpliwości, czy ja rządę ciałem, czy ono mną.

Ostry dźwięk sygnału przerwał rozmyślenia Ariela. Szybko zorientował się, że Ray chce z nim mówić. Podeszedł do stojącej w kącie konsoly i nacisnął przycisk łączności.

- Co chciałeś? - spytał.

- Chodź do sterówki - Ray mówił zdenerwowanym głosem - mam łączność z Ziemią, a sam nie mogę z nimi rozmawiać, przecież odłączyłeś mnie.

- Już idę - zawołał Ariel ubierając się w kombinezon.

Ledwo wszedł do sterówki, wyczuł, że coś nie jest w porządku. Pozornie wszystko było na miejscu, jednak nie wiadomo po co w kącie stał automat naprawczy, a na tablicy brakowało sygnału oznaczającego łączność z Ziemią.

Muszę być ostrożny - pomyślał Ariel - i w tym samym momencie poczuł silne uderzenie. Potężny impuls przeszedł od nóg do serca, które na chwilę stanęło. Ostatnim przeblyskiem świadomości, już

padając, Ariel nacisnął przycisk blokujący drzwi sterówki, po czym ogarnęła go ciemność.

Ray był wściekły, cały jego misterny plan wziął w łeb, przez takie drobne przeoczenie.

Głupi przycisk - myślał - jeden guzik, który bez trudu mogłem rozmontować, i wszystko na nic. Cóż mi po tym, że Ariel leży ogłuszony, kiedy żadna siła nie zdoła otworzyć sterówki, przeklęty system zabezpieczający. Automat ze swoim miotaczem też nie da rady, te drzwi może zniszczyć tylko anihilacja.

Ciało Ariela leżało na środku kabiny. Beładnie rozrzucone kończyny, wpółotwarte usta, zamknięte powieki stwarzały przygnębiający widok. Trudno było stwierdzić, czy oddycha.

Może go zabiłem? - przestraszył się Ray.

Kazał robotowi naprawczemu przenieść ciało na fotel pilota, rozpiąć kombinezon i podać leki z podręcznej apteczki. Lecz Ariel nadal pozostawał nieprzytomny. Białe zabarwienie dłoni i sina twarz budziły jak najgorsze obawy. Wprawdzie oddychał, ale było widać, że przychodzi mu to z trudnością, i w każdej chwili może nastąpić koniec.

W kabinie rozległ się przeciągły sygnał, jednocześnie na pulpicie zapaliła się lampka oznaczająca łączność.

- Halo Inter, halo Inter, tu baza 3, tu baza 3. Dlaczego zmieniliście kurs? Czy macie awarię? Czekamy na odpowiedź. Powtórzenie emisji za 18 godzin. Halo Inter, tu baza 3. Dlaczego...

Ray nie mógł odpowiedzieć, pozbawiony łączności mógł jedynie przechwytywać radiogramy.

Ziemia odpowiedzi nie otrzyma - myślał - będą powtarzać komunikat przez trzy dni, a następnie wyślą raketę ratowniczą. Spotkamy się z nią za kilka dni, i co wtedy? Ariel prawdopodobnie będzie się starał nie dopuścić do mojego spotkania z ludźmi, bo choćby to brzmiało nie wiem jak nieprawdopodobnie, to jednak to, co powiem, musi ich zastanowić. Ariel będzie musiał unieszkodliwić mnie wcześniej. A jeśli ukryję ten radiogram... Nie, to nic nie da, za 18 godzin komunikat zostanie powtórzony.

Usłyszał ciche westchnienie, Ariel siedział z otwartymi oczami. Jego wzrok był jeszcze nieprzytomny, ale ruchliwe już źrenice błędziły po kabinie. Powoli powracał im dawny blask. Ściągnięte, zaciśnięte usta wyrażały jednocześnie gorycz i zawziętość.

- Jak się czujesz? - zapytał Ray.

- Źle, boli mnie całe ciało.

- Odblokuj drzwi, wezmę automeda.

- Nie wierzę ci już.

- A czy kiedyś mogłeś mi wierzyć? - nasze interesy są sprzeczne. Pozostaje nam walka, która nie zna reguł. Ale teraz nie musisz się niczego obawiać, jeżeli chcę ci pomóc, to nie z litości dla ciebie, ale z troski o moje ciało, które musi być nie uszkodzone. Odblokuj drzwi!

- Poczekaj chwilę, wiesz, że to nie jest takie łatwe, jeszcze nie mogę wstać.

- Każ się przenieść robotowi, bez automeda może być z tobą niedobrze, inna sprawa, gdybyś był w hibernatorze...

- Wiem, że ci o to chodziło - wpadł mu w słowo Ariel - poczekaj, spróbuję wstać.

Podniósł się ostrożnie z fotela, zachwiał, ale utrzymał na nogach dzięki pomocy kalkulatora, którego się złapał. Kiedy odzyskał już równowagę, spojrział na transformator i zwrócił się do automatu naprawczego.

- Rozmontuj wszystko, co nie jest zgodne ze schematem pierwotnym. Zamelduj o wykonaniu polecenia.

Ray patrzył, jak robot rozbiera na kawałki jego ostatnią szansę. Miał nadzieję, że Ariel otworzy drzwi, wtedy wystarczy lekkie uderzenie prądem i już jest panem sytuacji.

Automat po paru minutach zasygnalizował, że zadanie zostało wykonane. Ariel podszedł do wnęki

obok drzwi. Przesłaniała je pancerna szyba, którą można było usunąć jedynie po nastawieniu odpowiedniego szyfru. Ariel nastawił kombinację cyfr, po czym nacisnął na czerwono pomalowaną dźwignię, szyba z lekkim świstem uniosła się w górę. Ale to nie wystarczyło. Ariel położył teraz palec na czujniku, który odczytywał linie papilarne, potem porównywał je z liniami zakodowanymi w pamięci. Były identyczne, nad drzwiami zapłonęła lampka, właz był odblokowany.

Ray nigdy nie mógł zrozumieć, jakiemu celowi miał służyć tak skomplikowany system zabezpieczenia sterówki. Pytał o to kiedyś naczelnego inżyniera kosmodromu, ale ten jedynie uśmiechnął się tajemniczo i powiedział: „A gdzie się pan ukryje, jak na statek wtargną Marsjanie?”. Taka odpowiedź nie była oczywiście żadną odpowiedzią i tajemnica pozostała tajemnicą. System ten, jak sięgał pamięcią Ray, nie był nigdy używany, dopiero dziś, w tak pechowy dla niego sposób.

- Wezwij automeda do mojej kabiny - powiedział Ariel przerywając dotychczasowe milczenie - wolę, aby mnie tam zbadał.

- Poczekaj chwilę - zawołał Ray widząc, że Ariel wychodzi - był radiogram z Ziemi, pytają, dlaczego zmieniliśmy kurs.

- Znowu zaczynasz, wymyśliłbyś coś bardziej oryginalnego.
- Nie wierzysz, to przejrzyj zapis, Ziemia naprawdę się odezwała, kiedy byłeś nieprzytomny.
- Zajmę się tym później - powiedział Ariel i zniknął za pancernymi drzwiami sterówki.

Nawet się nie przejął - pomyślał Ray - czyżby był tak na wszystko przygotowany? Przecież robi błędy, prawie go pokonałem. Prawie... zdaje się, że straciłem ostatnią szansę, trudno będzie coś nowego wymyślić. Ariel będzie teraz bardzo ostrożny, wszystko dziesięć razy sprawdzi, zanim coś zrobi. Dobrze, że nie może pozbawić mnie kontroli nad robotami, one są moją ostatnią szansą i nadzieją. Teraz muszę się skupić i dokładnie zanalizować sytuację. Ariel będzie chciał dostać się jak najbliżej Ziemi, a następnie mnie zabić. Uratuje się na promie ratunkowym. Wprawdzie nie jest on przeznaczony do dalekich rejsów, ale od orbity Jowisza powinno mu się udać dostać na Ziemię bądź Marsa. Inna sprawa, jeżeli pojawi się tu wyprawa ratunkowa, wtedy Ariel zniszczy mnie od razu, a na Ziemię poleci z nimi. Tak więc nie mogę dopuścić, aby przylecieli tu ludzie. Jeżeli sprawa rozstrzygnie się dopiero w pobliżu Ziemi, to mam jeszcze trochę czasu. Jakie mam atuty? Podlegają mi wszystkie roboty naprawcze, jednak nie mogę użyć ich przeciw niemu. Podlegają mi silniki, ale nie daje mi to żadnej przewagi. Podlega mi wreszcie reaktor, ale nim mogę co najwyżej wysadzić cały statek z sobą i z nim... Tak, jeżeli nie będzie innego wyjścia, to muszę wziąć i tę ostateczność pod uwagę.

Nagle Raya dobiegł sygnał oznaczający pracę radiostacji. Zdziwionym wzrokiem rozejrzał się po kabine. Nikogo przecież nie było, nikt nie podchodził do radiostacji, któż więc mógł korzystać ze stacji nadawczej?

Duchy - roześmiał się Ray, wsłuchując w uporczywy sygnał wywołujący Ziemię. - Jestem gotów uwierzyć w duchy.

- Halo baza 3, halo baza 3, tu Inter, tu Inter. Mówi komandor Ray. Nie jestem w stanie wykonać zadania. Awaria centralnego komputera, polegająca na rozkładzie bloków pamięci, jestem na sterach ręcznych. Wracam na Ziemię, bezpośrednia pomoc zbyteczna, powtarzam, bezpośrednia pomoc zbyteczna, nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Halo baza 3, musiałem zawrócić z powodu awarii centralnego komputera, nic mi nie grozi, czekam na potwierdzenie łączności za 48 godzin. Koniec.

To Ariel - pomyślał Ray - też nie chce mieć tu ludzi, tylko skąd nadawał? Zaraz, jest przecież jeszcze jeden nadajnik na promie ratunkowym. Boi się wejść do sterówki. Komplikuje to moje położenie, ale z drugiej strony dobrze, że nadał ten komunikat, Ziemia da nam na razie spokój.

Minęły dwa dni, w czasie których nie wydarzyło się nic. Ariel od czasu ostatnich wydarzeń nie zaglądał do sterówki. Między Rayem a nim wyrósł jakiś mur obojętności czy strachu, którego niepodobna

było przekroczyć. W czasie tych dwóch dni przeprowadzili tylko jedną rozmowę, kiedy to Ray połączył się z kabiną Ariela i próbował chwilę porozmawiać. Jednak oprócz kilku zdawkowych zdań nie padło ani jedno słowo, które wniosłoby jakieś nowe wartości do stosunków między nimi.

Mimo że brakło wydarzeń, to jednak w ciągu tych dni zaczął rozwijać się ciekawy proces. Obecność Ariela stała się Rayowi niezbędna. Nie potrafił tego wytłumaczyć, jednak było niezbitym faktem, że samo obcowanie z Arielem było dla niego bodźcem do walki, do działania. W ciągu tych dwóch dni brakowało mu rozmów, spierania się. Poczł się sam i po okresie dużej aktywności ogarnęła go stagnacja, a nawet rezygnacja.

Ray przestał się bać końca, oczekiwał go nawet. Oczekiwał nie jako czegoś upragnionego, ale jak czegoś nieuchronnego, czegoś, co musi nastąpić, i lepiej, żeby nastąpiło prędzej niż później.

Dziś był dzień łączności z Ziemią i wcale nie zdziwiło Raya pojawienie się Ariela w centralnej kabine sterowniczej. Ariel ostrożnie otworzył drzwi i stojąc w progu przepuścił do środka automat obronny. Już samo pojawienie się tego robota było dostatecznie wymowne. Ariel stał w drzwiach i dokładnie przyglądał się całej kabini. Następnie wolno wszedł do środka, podszedł do pulpitu i zablokował drzwi kabiny.

- Witaj, Ray - powiedział niepewnie - wiesz zapewne o moim radiogramie, dziś powinna być odpowiedź.

- Po co ci robot obronny? Tak się boisz?

- Wolę być ostrożny, próbowałeś już tylu sztuczek...

- Przecież on ci nic nie pomoże, razi raczej cele ruchome, a ja stoję jak wmurowany.

- Nie chodzi mi o jego miotacz, a raczej o szereg czujników, jakie posiada.

- Rób jak chcesz, nie mogę ci przecież przeszkodzić.

- Dużo myślałem o nas - Ariel usadowił się wygodnie przed ekranem - zrozumiałem pewne rzeczy, które pierwotnie były dla mnie obce. Zdajesz sobie sprawę z tego, że będę musiał cię zniszczyć. Chcę jednak tego uniknąć i dlatego mam dla ciebie propozycję.

- Pewnie żebym milczał, a ty za to darujesz mi życie. Dziękuję, wolę już nie przyglądać się twemu szczęściu. Myślisz, że dotrzymałbym takiej umowy?

- Nie to miałem na myśli. Wiem, że nie mogę ci ufać. Posłuchaj i nie przerywaj mi. W chwili, kiedy dotrzemy w pobliże Ziemi, nastąpi decydujący moment. Jak się zapewne domyślałeś, chciałem w tym momencie cię zniszczyć i uciec na promie ratunkowym. Jednak przemyślałem to dokładnie i myślę, że mogę dać ci szansę. W pobliżu Ziemi ja polecę promem, a tobie zostawię statek. Zawrócisz i polecisz w kosmos.

- Zwariowałaś! Jak możesz...!

- Poczekaj, daj mi dokończyć - głos Ariela zdradzał zdenerwowanie. - Pamiętaj, że jesteś prawie nieśmiertelny. Nie skazuję cię na wieczną podróż. Będiesz mógł wrócić na Ziemię po mojej śmierci. To nie jest dla ciebie tak długo, jakieś 80 lat.

- Co mi to da? Przecież moje ciało nie będzie już istniało.

- Na Ziemi coś wymyślą. Zostawię testament, w którym opiszę całe zdarzenie, aby ci uwierzyli.

- Mówisz, że nie możesz mi ufać. Jesteś nielogiczny. Przychodzisz do sterówki z automatem obronnym i proponujesz mi, abym poleciał w kosmos. Jaką masz pewność, że nie wrócę wcześniej?

- Powiedziałem ci, że dużo o tym myślałem. Znalazłem system zabezpieczenia. Nie będę ci wyjaśniać szczegółów, powiem tyle, że gdybyś wrócił wcześniej nastąpi niekontrolowana reakcja w reaktorze. No więc jak, zgadzasz się?

- Nie, wolę już śmierć. Ty nie mogłeś wytrzymać krótkiego okresu w samotności, a chcesz, abym ja wytrzymał kilkadziesiąt lat. To, co mi zaproponowałaś, jest bardziej potworne niż plan zniszczenia mnie.

Jesteś wielkim egoistą, Ariel i nie dopuszczę, abyś się znalazł między ludźmi. Jeśli nie będzie wyboru, zniszczę ciebie i siebie.

- Halo Inter, halo Inter, tu baza 3, tu baza 3 - w kabinie rozległy się słowa dyspozytora z bazy na Marsie. - Przyjęliśmy twój radiogram, komandorze Ray, zezwalamy na powrót na Ziemię. Niepokoi nas jedynie ta nagła awaria komputera. Jest tu ze mną jeden z konstruktorów, doktor Paul Green, który chce z wami porozmawiać.

Ariel gwałtownie przysunął się do głośnika. Jakże żałował, że było jeszcze za daleko na łączność telewizyjną. Od dłuższego już czasu, właściwie od ostatniego spotkania, pragnął zobaczyć twarz tego tak mu bliskiego człowieka.

- Halo, komandorze, mówi Paul Green - Ariel chciwie chłonał każde słowo - dyspozytor wspominał o rozmowie, która jednak ze względu na dzielącą nas odległość jest niemożliwa, dlatego z góry przepraszam, że będę musiał ograniczyć się do monologu. Z waszego radiogramu zrozumieliśmy, że w Arielu nastąpił rozkład bloków pamięci. Nie wiem, jakie są tego przyczyny, sądzę, że muszą one być zewnętrzne, w rodzaju uderzenia meteorytu czy zbyt dużego promieniowania kosmicznego, rozkład samoistny raczej wykluczam. Komandorze, proszę pamiętać, że ze strony Ariela nic wam nie grozi, dlatego proszę was, abyście go nie niszczyli. Posiada on duży stopień świadomości porównywalnej tylko z ludzką i nieobcy jest mu strach przed zagładą. Nie wiem, jak dalece nastąpił rozkład pamięci, ale myślę, że proces jest odwracalny, dlatego proszę pana, aby pan, jeżeli to jest możliwe, dowiódł go na Ziemię. Pozdrawiam pana, komandorze.

Głos ucichł, ale Ariel jakby tego nie dostrzegł. Nadal wpatrywał się w głośnik oczekując dalszych słów Paula.

- Halo Inter - znów dał się słyszeć głos dyspozytora - miejcie na względzie uwagi Greena, ale pamiętajcie, że najważniejsze jest wasze bezpieczeństwo. W razie jakiegokolwiek zagrożenia zniszczcie komputer lub opuszczajcie statek w promie ratunkowym, znajdziemy was na pewno. Powodzenia, komandorze Ray.

Głośniki zamilkły i w kabinie zapanowała przejmująca cisza. Ariel zamknął oczy i siedział nieruchomo pozostając ciągle pod wrażeniem słów Paula. Człowiek ten jeszcze raz się potwierdził. Nawet teraz, poprzez miliony kilometrów, Ariel czuł jego opiekę i czułość.

- Nieźle - zawołał głośno Ray - ci na Ziemi więcej się troszczą o komputer niż o człowieka, niedługo przez tych zwariowanych naukowców będziemy automatом czyścić buty.

- Zamilcz - syknął Ariel. - Jeszcze słowo, i zniszczę cię..

Podszedł do drzwi, odblokował je i zawoławszy automat obronny opuścił sterówkę.



Czas płynął coraz szybciej i mimo że zegar równo odmierzał dni, Rayowi wydawało się, że od ostatniej łączności z Ziemią upłynęły nie dni, ale godziny. W miarę jak w okienku zegara wyskakiwały coraz wyższe cyfry oznaczające kolejno upływające daty, Ray stawał się silniejszy, mimo że czuł zbliżający się koniec i wiedział, iż jest bezsilny.

Trzy dni temu podjął ostatnią próbę. Wywołując różnice napięć między poszczególnymi kablami, zdołał nadtopić izolację i połączyć się z radiostacją. Oczywiście nie mógł przesłać tą drogą informacji słownych, a jedynie alfabetem Morse'a. Całej wiedzy w tym zakresie starczyło mu na nadanie kilku krótkich sygnałów SOS. Od dawna w szkołach pilotażu nie uczono alfabetu Morse'a, wydawało się to zbędne, obecne środki łączności były tak pewne i niezawodne. Tak więc Ray nadał kilka sygnałów, po czym do sterówki wszedł Ariel. Bez słowa podszedł do radiostacji i odłączył zasilanie. Teraz Ray nie tylko nie mógł nadać żadnej informacji, ale pozostał głuchy na wszelkie wiadomości z zewnątrz. Chciał zaprotestować, powiedzieć, że tak nie wolno, że nie pozostawia mu żadnej szansy, ale Ariel, nawet nie spojrzawszy w jego kierunku, wyszedł z kabiny.

Rayowi pozostało oczekiwanie. Oczekiwanie przepełnione goryczą bezsilności. O ile łatwiej byłoby mu umrzeć w walce, w czasie akcji. A tak nawet nikt na świecie nie będzie wiedział, że komandor Ray wyruszył już w ostatnią podróż. Coraz częściej myślał o śmierci. Chciał jednak jeszcze przed nią coś zrobić, dokonać czegoś, co zapewniłoby mu pamięć ludzi, nie chciał zginąć bezimiennie. Jakże się zmienił przez te kilkanaście dni. Dawniej był co prawda człowiekiem odważnym, skłonny nawet do brawury, ale nie zastanawiającym się głębiej nad obserwowanymi zjawiskami. Zawsze ważne było dla niego, że idzie, idzie naprzód, lecz nigdy nie postawił sobie pytania, po czym idzie i co depcze. A teraz w jakby wolno cofającym się filmie zobaczył, że zdeptał wiele, nawet bardzo wiele. Dawniej był próżny. Ważne było dla niego, aby był podziwiany, uznawany. Chciał mieć powodzenie u kobiet i wygodnie urządzić sobie życie. Prawda, kochał loty kosmiczne, ale nie dlatego, że były mu nie zbędne do życia, a dlatego, że były kluczem do poklasku ludzi, których nie było na to stać. Wspominając swoje dotychczasowe życie zobaczył z niesłychaną ostrością, że nie dokonał niczego, co miałoby nieprzemijającą wartość.

Już dawno przestał bać się śmierci, nie rozpaczał i nie pomstował na przewrotny los. Pragnął w tej chwili jednego, okazać się godny próby, jaką nałożyło na niego życie. Chciał wyjść naprzeciw nieuniknionemu z podniesionym czołem, świadomy, że do końca spełnił swój obowiązek. W czasie ostatnich dni powziął niesłychanie ważną decyzję, dzięki której stał się silniejszy. To, co dawniej rozpatrywał jedynie jako możliwość, stało się dla niego pewnikiem. Wiedział już, że nie będzie biernie oczekiwał na śmierć. Zniszczy statek jeszcze przed ucieczką Ariela. Ta decyzja dała mu swoiste poczucie wyższości nad otaczającym go światem.

Ray stracił już wszelką nadzieję na pomoc z zewnątrz. Nie wiedział, czy jego sygnał dotarł na Ziemię. Odcięty od łączności, nie mógł być nawet pewien, czy odpowiedź już nie nadeszła.

Jaką mam jeszcze możliwość działania? - myślał. Ariel prawie nie pokazuje się w sterówce. Nie mam możliwości włączenia radiostacji, właściwie wszelkie działa nie jest niemożliwe, ale...

Rozmyślenia Raya przerwał ostry szcęk otwieranych drzwi. Na progu stanął Ariel ubrany w

kombinezon próżniowy.

Czyżby już - przestraszył się Ray - czyżby nadeszła ostatnia chwila? Niemożliwe - odpowiedział sam sobie za daleko jeszcze do Ziemi.

- Ray - zaczął Ariel - odebrałem sygnały SOS.

- Moje? Przecież teraz nic nie nadawałem.

- Początkowo też myślałem, że to odbicie twoich sygnałów. Ale nie, przekazywane są na innej częstotliwości.

- Ktoś wzywa pomocy?

- Na to wygląda. Jakaś rakieta musiała ulec awarii.

- Co zamierzasz?

- Chcę pomóc tym ludziom, ale... - Ariel zawahał się Jest mi potrzebna twoja pomoc.

- Moja pomoc? W jakim sensie?

- Wiesz, że nie mogę podejść do tego statku bez twojej zgody, ty kierujesz. Nie mogę obliczyć kursów bez ciebie, wreszcie może będę musiał wyjść na zewnątrz, a wtedy ty musisz czuwać nad statkiem.

- Chcesz mi tak zaufać? Sam nie wiesz, co mówisz. Z jednej strony skazujesz mnie na śmierć, a z drugiej chcesz złożyć swoje życie w moje ręce.

- Nie chcę, ale muszę. Trzeba pomóc tym ludziom. Ariel był dziwnie wzruszony - my jesteśmy ich jedyną szansą, wiesz o tym.

- Wiem, ale ja już prawie nie mam szans. Jak więc mam postąpić?

- Odłożmy nasze sprawy na później. Powierzę ci swoje życie, gdyż razem z nim zależy od ciebie życie tamtych ludzi.

- Bierzesz mnie na litość, powiem ci, że koszula bliższa ciału... Odblokuj łączność.

- Dobrze.

Ariel wprawnymi ruchami zaczął wmontowywać w Raya wyjęte przedtem obwody. Następnie włączył zasilanie. Teraz i Ray mógł usłyszeć uporczywe wołanie o pomoc. Włączył podległe mu pelengatory, które zaczęły obmacywać przestrzeń w poszukiwaniu źródła sygnałów. Na razie ekran był czysty.

- Idź, przygotuj prom, może być potrzebny - zwrócił się do Ariela. Ten bez zbędnego już słowa opuścił kabinę.

Ray pozostał sam ze swoimi myślami. Jeszcze parę dni temu nie zawahałby się wykorzystać tej szansy, którą tak niespodziewanie podsunęło mu życie. Lecz teraz... Teraz wiedział, że nie ma prawa zajmować się tylko sobą. Gdzieś w nie tak odległej przestrzeni ginęli ludzie, i im należało się pierwszeństwo.

Dziwi mnie tylko postawa Ariela - pomyślał - przecież ta maszyna zachowała się jak człowiek. Nie waha się zaryzykować swojego szczęścia, a nawet istnienia dla ratowania ludzi. Tak - ludzi, obcych mu istot.

Pierwszy raz pomyślał o Arielu jako o człowieku. Sam się zdziwił, ale jednak czuł, że to jest już człowiek. Nie mógł wiedzieć, że i Ariel parę dni temu postąpiłby zupełnie inaczej. Jednak to, co usłyszał od Greena, wywarło na nim duże wrażenie. Pamiętał też swój sen i był pewien, że niedokończone zdanie miało brzmieć „Cieszę się, że żyjesz, pamiętaj jednak, że nigdy nie możesz zawieść mojego zaufania. Musisz okazać się godnym bycia człowiekiem”. Ariel chciał być godnym. Zrozumiał, że aby być człowiekiem, nie wystarczy posiadać jego ciało, ale również trzeba przejąć jego sposób myślenia i odczuwania. Czuł się poza tym coś winien, jeżeli nie ludziom, to w każdym razie Greenowi.

Tymczasem akcja ratownicza toczyła się dalej. Na ekranie radarowym pojawił się mały świetlisty punkt. Nie był większy od ziarnka maku, ale i tak starczył Rayowi do określenia współrzędnych kursu i

prędkości. Teraz nastąpiły skomplikowane obliczenia, które miały zgrać kurs i szybkość obu obiektów. Kiedy silniki zaczęły pracować, w sterówce znowu pojawił się Ariel.

- Prom gotowy - powiedział krótko. - Co u ciebie?

- Mam ich dane, przechodzę na kurs dojścia. Lepiej usiądź w fotelu, może będę musiał gwałtownie operować silnikami.

- Postoję, czy próbowałeś wywołać ich na fali awaryjnej?

- Jeszcze nie, zajęty byłem obliczeniami.

- Ja spróbuję - Ariel podszedł do nadajnika. - Halo, tu Inter, tu Inter, idziemy wam na pomoc.

Odezwijcie się!!!

Odpowiedzią była cisza. Mimo że przeszukiwali po kolei wszystkie częstotliwości, oprócz sygnału SOS przestrzeń milczała.

- Tu Inter, idziemy wam na pomoc. Odezwijcie się!!! Zablokujcie reaktor, aby nie dopuścić do niekontrolowanej reakcji. Tu Inter...

- Nic z tego - w głosie Raya brzmiała rezygnacja widocznie działa tylko automatyczny nadajnik, musimy ryzykować.

- Chyba masz rację, nie ma innego wyjścia.

- Mam już obraz z kamery zewnętrznej - powiedział Ray - uważaj, puszczam go na ekran.

W absolutnej czerni przestrzeni w świetle reflektorów ukazał się olbrzymi kadłub statku. Była to rakieta badawcza typu D, przeznaczona do długiego przebywania w przestrzeni. Szeroki, zdawałoby się nieforemny kadłub, z szeregiem anten i urządzeń dodatkowych, stanowił imponujący widok. Jednak przy uważniejszym spojrzeniu widać było, że rozegrał się tu dramat. W tylnej części, tuż nad dyszami, ział otwór wybity jakby ręką jakiegoś giganta. Poszarpane krawędzie wyrwy świadczyły o sile uderzenia. Środkowa część, lekko przewężona, zdawała się nie nosić śladów uszkodzeń, jednak na przodzie statku znów było widać wiele mniejszych już dziur. Straszego obrazu dopełniały sterczące połamane kikuty kamer i silników manewrowych.

- Zdaje się, że nikt nie przeżył - odezwał się Ray - musieli wpaść w potok meteorytów. Rakieta jest rozhermetyzowana.

- Nie wiadomo, pamiętaj, że taki statek posiada przegrody hermetyczne. Może gdzieś ocaleli ludzie.

- Chcesz tam iść? W każdej chwili może nastąpić rozpad reaktora. Już teraz dużo ryzykujemy tak blisko podchodząc.

- Trzeba iść. Ty byś nie poszedł?

- Wiesz, że poszedłbym.

- Dobra. Wyrównaj kurs i prędkość. Polecę promem.

- Nie dasz sobie rady, nigdy tego nie robiłeś. Znasz teorię, ale brak ci praktyki. Sterowanie promem na tak małej przestrzeni jest diabelnie trudne.

- Pewnie masz rację, ale czy widzisz inne wyjście?

- Tak, leć Englem, jest wprawdzie mniejszy i gorzej wyposażony, ale posiada układ zdalnego sterowania. Poprowadzę cię.

- Dasz radę na taką odległość?

- Pewnie, założ tylko kamerę na hełm.

Ariel opuścił kabinę i ruszył długim korytarzem. Doszedł do windy i zjechał poniżej poziomu mieszkalnego. Oczom jego ukazał się duży hangar stanowiący jednocześnie służbę dla mniejszych pojazdów przylatujących czy odlatujących ze statku. W samym środku stał pomalowany na zielony kolor Engl. W kształcie podobny był do małego batyskafu, o spłaszczonym dziobie i rozbudowanej części rufowej, gdzie mieściły się silniki. W górnej części pojazdu wznosił się korpus kamery i zwierciadła

radaru. Z dziobu dumnie sterczały lufy miotaczy laserowych, a z boku wyrzutnia sond. Ze względu na małe rozmiary nie posiadał reaktora i był poruszany napędem chemicznym.

Kabina, do której wszedł Ariel, z trudem mogła pomieścić dwie osoby. Stał tu fotel pilota, przed którym piętrzyły się urządzenia sterownicze. Z tyłu stał jeszcze jeden fotel, przeznaczony dla pasażera.

Ariel założył ciężki próżniowy kask z zamontowaną na nim kamera i włączył nadajnik.

- Halo, Ray, czy mnie słyszysz?

- Słyszę cię, włącz zdalne sterowanie.

- Już! Jestem gotów.

W hangarze zaczęły zapadać gradzie. Dał się słyszeć cichutki syk włączanego do zbiorników powietrza. Przed dziobem Engla uniosła się ściana. Oczom Ariela ukazała się przestrzeń z milionem drobnych punkcików. Jeden z nich był wyraźnie większy od innych, jego blask przyćmiewał pozostałe. To było odległe Słońce. Gwiazda, którą już widział tyle razy, ale teraz miał ją zobaczyć po raz pierwszy oczami człowieka.

Pojazd ruszył powoli do przodu, prowadzony po szynie przez silniki elektryczne.

- Uwważaj, Ariel, zaraz włączę silniki. - głos Raya był nadal spokojny.

Ariel poczuł na piersiach ogromny ciężar. Chciał głębiej odetchnąć, ale płuca odmówiły mu posłuszeństwa. Zaczął się dusić, przed oczami zobaczył wirujące bardzo szybko kolorowe plamy. Jeszcze chwila i nie wytrzymam - pomyślał.

Nagle zrobiło się lekko, zadziwiająco lekko. Płuca cichutko poświstując dostarczały już tlen, a miejsce plam zajął kadłub rakiety.

- Czy wszystko w porządku? - usłyszał pytanie Raya.

- Nieźle - zdobył się na odpowiedź Ariel. - Gdzie chcesz doprowadzić Engla?

- Tam w środku, między anteną a kamerą, powinien być właz. Ale czeka cię mały spacer - Ray zdawał się być nawet wesoły - nie mogę dobić bezpośrednio do statku.

- Nie szkodzi, dam radę.

Rakietę potężniała z każdą chwilą. Coraz więcej szczegółów wyłaniało się z mroków przestrzeni. Wyrwy, które z pokładu ich statku wydawały się wielkości grochu, przybrały rozmiary dyni i zwiększały się z każdą sekundą. Trudno było wyobrazić sobie, jak wielka w rzeczywistości była wyrwa w tylnej części rakiety. Dopiero teraz Ariel mógł ocenić potęgę i wielkość tego wytworu ludzkiej ręki. Ich statek, przecież wcale niemały, który z tej odległości przybrał rozmiary małego ptaka, był chyba dziesięć razy mniejszy od tego kolosa.

Jak taki gigant mógł ulec zagładzie - rozmyślał Ariel przecież musiał posiadać potężne pole siłowe, a jego radary musiały mieć też ogromny zasięg. Błąd ludzi? Przecież zawsze czuwa komputer, który na tego rodzaju zdarzenia reaguje z prędkością światła.

- Bliżej nie mogę - usłyszał znów głos Raya - musisz na piechotę. Powodzenia!

Ariel odpiął pasy wiążące go dotychczas z fotelem i przeszedł w tył pojazdu. Znajdowała się tam mała śluza, która umożliwiała wychodzenie w przestrzeń bez potrzeby rozhermetyzowywania całego pojazdu.

Po chwili znalazł się w przestrzeni. Przez moment miał trudności ze zorientowaniem się w kierunkach. Odpowiednio operując ciałem zdołał jednak ujrzeć przed sobą właz, do którego dążył. Jeszcze parę ruchów i uchwycił poręcz. Wejście było na wpół uchylone, jakby ktoś już próbował wyjść. Ariel poszerzył otwór i ostrożnie wślizgnął się do środka.

- Halo Ray, wchodzę do środka, może ustać łączność.

- Będę czekał - powiedział krótko Ray.

Ariel zagłębił się w nie oświetlony pusty korytarz. Droga była bardzo trudna. Brak ciężenia

powodował, że każdy nieostrożny ruch czy krok wyrzucał go jak katapulta w stronę ściany czy sufitu. Trzeba było uważać. W ścianach było szereg otworów, pamiątek po uderzeniach meteorów, których ostre krawędzie mogły uszkodzić skafander. Oznaczałoby to śmierć. Powoli, chwytając się rozmaitych wystających przedmiotów, Ariel przepłynął raczej niż przeszedł do rozwidlenia korytarzy. Tu zatrzymał się chwilę niezdecydowany. Nie znał tego statku, lecz wydawało się logiczne, że duży, przestronny korytarz będzie prowadził do pomieszczeń mieszkalnych. Tak też było. Po piętnastu minutach uciążliwego parcia naprzód zobaczył światło. Czyżby żyli? - pomyślał ruszając ostro w jego kierunku. Ten nieostrożny ruch spowodował, że Ariel poszybował pod sufit, boleśnie uderzając o niego kolanem. Znalazł się w trudnej sytuacji. Zawieszony pomiędzy podłogą a sufitem nie mógł dosięgnąć ani jednego, ani drugiego. Wszystkie gwałtowne ruchy, jakie próbował wykonywać, jedynie okręcały jego ciało. Po chwili szamotaniny namacał w kieszeni skafandra twardy przedmiot. Wydobył nóż i rzucił go w kierunku sufitu. Kiedy znalazł się z powrotem na podłodze, ruszył już bardziej ostrożnie w kierunku światła.

To była sterówka, też rozhermetyzowana jak reszta, którą już zwiedził. Wyglądała, jakby buszowało po niej stado rozszalałych bawołów. Wyrwany gigantyczną siłą z podłoża jeden z foteli pilotów unosił się na jednej trzeciej wysokości kabiny. Po kątach walały się obwody, kable i inne części ze zniszczonego kalkulatora. Pod jedną ze ścian stał komputer z ogromną wyrwą w przedniej części, z której wystawały potrzaskane i dziwnie powyginane wnętrzości maszyny. Obok, kompletnie rozbity, leżał transformator.

Byli też i ludzie. Jeden, najprawdopodobniej pilot, leżał z odchyłoną w tył głową na ocalałym fotelu. Szklane, otwarte oczy, wyrażały przerażenie ostatniej przedśmiertnej chwili. Drugi człowiek, z wykręconą o 180 stopni głową, leżał tuż przy wejściu do sterówki. Przy nadajniku siedział w pozornie normalnej pozycji trzeci z członków załogi. Ręce spoczywały na radiostacji, jakby siłą przyzwyczajenia już po śmierci chciały nadać ostatni meldunek.

Ariel podszedł do nadajnika. Tak, pracował wysyłając ciągle automatyczne wołanie o pomoc. Chwilę zastanowił się, czy nie wyłączyć sygnału, ale zrezygnowawszy z tego ruszył ku wyjściu. Już w progu zatrzymał się gwałtownie i odwrócił. Reaktor, czy pracuje jeszcze reaktor? pomyślał gorączkowo. Jeden rzut oka na tablice wystarczył. Ciągłe żarzyły się jaskrawą czerwienią lampki sygnalizujące pracę stosu. Ariel stanął przed trudną decyzją. Z jednej strony pracujący reaktor wobec uszkodzeń rakiety stanowił poważne zagrożenie, ale z drugiej jego wyłączenie mogło pozbawić energii walczących gdzieś być może o życie ludzi. Ariel postanowił zaryzykować i nie oglądając się ruszył na dalsze poszukiwania.

Korytarz łagodnie zakręcał w prawo. Po drodze znajdowało się wiele pomieszczeń, w których jednak ze względu na ich specyfikę nie mogli znajdować się ludzie. Były to wszelkiego rodzaju magazyny sond, paliw, części zamiennych. W tej strefie statku paliło się już światło i w jego blasku dojrzał Ariel duże dwustronne drzwi opatrzone napisem „Laboratorium I”.

Było to prawdopodobnie laboratorium chemiczne, gdyż na podłodze walało się mnóstwo potłuczonego szkła. Na stołach stały, poskręcane w długie węże, kolby i probówki. Ariel omiatał długimi snopami światła całe pomieszczenie szukając przede wszystkim ludzi. Chociaż wiedział, że w pomieszczeniu bez powietrza, w którym panowała temperatura otaczającej statek próżni, nikt nie mógł przeżyć, to jednak czuł się w obowiązku wszystko dokładnie sprawdzić. Mógł przecież ktoś ubrany w skafander przeżyć nawet w tak wrogich warunkach.

Dalsze pomieszczenia okazały się równie nieprzystępne i puste. Dopiero w piątym z kolei napotkał prawdziwe cmentarzysko ofiar. Była to sala ogólna, coś w rodzaju klubu, gdzie członkowie załogi wolni od zajęć spędzali czas na wspólnych rozmowach i zabawach. Śmierć zaskoczyła ich w takim właśnie momencie. Na stołach stały jeszcze porozrzucane szachy. Pośrodku sali leżało kilka przytulonych do siebie par. Prawdopodobnie do ostatniej chwili tańczyli. W kącie zastygł, z książką w ręce, starszy już, przyprószone siwizną, mężczyzna. Miał na sobie lekki mundur z naszywkami komandora pierwszego

stopnia, był więc dowódcą. Cała ta scena wyglądała jak zatrzymane w ruchu życie, które ustało tylko na moment, aby po chwili powrócić do przerwanych zajęć.

Ariel naliczył siedemnaście trupów. Otrząsnął się z chwilowego wzruszenia i zaczął się zastanawiać. Wszystko wskazywało, że nikt z członków załogi nie spodziewał się śmierci. Nie było żadnego alarmu, nikt nie pospieszył na pomoc ginącej rakiecie. Po chwili doszedł do wniosku, że nie warto badać szczegółowo rozhermetyzowanej części statku. Była ona tak ogromna, że zajęłoby to kilkanaście godzin, a mało prawdopodobne było, aby ktoś zdążył ubrać się w skafander i przeżyć. Postanowił szukać nierozhermetyzowanej strefy, bo tylko tam mogli przeżyć ludzie.

Korytarz zaprowadził go do stacji wind, które jednak ze względu na panującą próżnię nie działały. Musiał ruszyć drabiną awaryjną. Po dostaniu się na wyższy poziom rozejrzał się. Był to dział maszyn zapewniających rakiecie życie, a więc światło, tlen, grawitację. Długo błądził po pustych pomieszczeniach i korytarzach, szukając jakichkolwiek oznak życia. W pewnej chwili czujnik, wbudowany w kask skafandra, zaczął migać wiśniowym kolorem, odezwał się też krótki, urywany sygnał.

Promieniowanie - pomyślał - musiałem się zbliżyć za blisko do reaktora. Gdzieś nastąpiło pęknięcie ściany ochronnej. - Mimo to poszedł dalej. Lampka z koloru wiśniowego przeszła pomarańcz, a następnie w pomarańcz. Słychać było już nie krótki sygnał, ale przeciągły, alarmujący. Ariel zatrzymał się. Dalej iść nie mógł, promieniowanie było zbyt duże. Jeżeli nawet ktoś tam jest, to i tak nie mógł przeżyć - uspokoił sam siebie.

Znalazł się teraz na poziomie wyższym niż dział maszyn. Znajdowały się tu same laboratoria. W pewnym momencie zauważył w końcu korytarza zamknięty właz, oddzielający dwa przedziały. Podeszedł do grodzi i dokładnie ją zbadał. Wyglądała na nie uszkodzoną.

Czyżby dalej statek był szczelny? - ucieszył się. - Stwarza to szansę, że jednak jacyś ludzie przeżyli. Tylko jak otworzyć to przejście? Jeżeli teraz po prostu otworzę ten właz, rozhermetyzuję cały przedział.

Obejrzał się. W drugim końcu korytarza znajdował się identyczny właz, który jednak był otwarty.

Gdyby udało mi się go zamknąć - myślał - powstałoby coś w rodzaju śluzy, ubytek powietrza byłby niewielki. Ale zaraz z boku znajduje się pomieszczenie, jeżeli nie jest szczelne, to zamknięcie włazu nic nie da: Muszę to sprawdzić. Pomieszczenie, które okazało się laboratorium biologicznym, było szczelne. Na wszelki wypadek Ariel zamknął drzwi i prowizorycznie je uszczelnił. Następnie zamknął właz w końcu korytarza i przystąpił do odblokowywania wejścia. Nie było to łatwe. Ponieważ brakowało energii, musiał otwierać je ręcznie kręcąc opornie obracającą się korbą.

Po dłuższej chwili drzwi ustąpiły. Mimo skafandra poczuł przepływ silnego strumienia powietrza. Ta część statku zdawała się być nie uszkodzona. Normalnie oświetlony korytarz prowadził do przestronnej sali, w której wszystko znajdowało się na swoich miejscach. Pośrodku stał stół, na którym znajdowały się okruchy skał, a w kącie znajdowało się wiele pojemników, których przeznaczenia trudno było się domyślić.

Ariel zdjął hełm, oszczędzał w ten sposób powietrze z butli, mógł przedłużyć swoją bytność na statku. Wziął głęboki oddech. Powietrze było suche, jednak zawierało dostateczną ilość tlenu. Duża sala łączyła się z mniejszą, która wyglądała jak normalny gabinet naukowca. Pod ścianą stał szereg oszklonych gablot z poukładanymi w nich minerałami. Za biurkiem siedział człowiek. Nie żył. Jego śmierć była dla Ariela zagadką. W pomieszczeniu było powietrze, a wstrząs w tej części nie był taki duży. A jednak człowiek nie żył. Na szyi widać było sine plamy, a obok biurka leżała pusta fiołka po jakichś tabletkach.

Ariel, nie zastanawiając się dłużej nad tym faktem, ruszył na dalsze poszukiwania. Następnym kilka pomieszczeń było znów przeraźliwie pustych. Dopiero po dłuższym czasie natknął się na zamknięte drzwi. Mimo silnego napierania nie ustępowały. Ariel przyłożył ucho do szpary i usłyszał szmer pracujących urządzeń. Rozejrzał się za jakimś twardym przedmiotem, za pomocą którego mógłby

sforsować zaporę. Wtem z głębi korytarza wyłonił się automat obronny z groźnie wystawioną lufą miotacza. Zdawał się nie zwracać żadnej uwagi na Ariela i byłby go rozjechał, gdyby ten nie uskokzył. Ucichł już zgrzyt jadącego robota, gdy Ariel zauważył drugi pręt służący do wyjmowania z reaktora próbek substancji promieniotwórczej.

Musiał go zapomnieć któryś z nukleoników - przebiegło mu przez głowę, gdy z całej siły napierał na drzwi.

Musiał zaprzeć się o drugą ścianę, gdyż inaczej dzięki panującej nieważkości poszybowałby w górę. Jednak po chwili dał się słyszeć lekki zgrzyt łamanego zamka i wejście stanęło otworem. Była to komora hibernacyjna. Pod ścianą stało dwadzieścia siedem hibernatorów. Aparatura, mimo tego, że były puste, działała tłocząc pod klosze życiodajny tlen i inne substancje odżywcze. U podstawy jednego z hibernatorów klęczała kobieta. Jasne, rozsypane w nieładzie włosy, nienaturalnie wygięta ręka oparta na szklanym kloszu, ugięte w kolanach nogi sprawiały wrażenie, jakby się modliła.

Ariel ujął jej zdrową rękę i wyczuł delikatny puls. Trzeba ją było przetransportować na Inter. Chwilę stał niezdecydowany. Niesienie wobec braku ciężenia było wykluczone. W końcu postanowił zarzucić ją sobie na plecy i przywiązać liną. Ubranie kobiety w skafander i droga powrotna zajęły mu już niewiele czasu. Po półgodzinie stanął znowu przed wjazdem prowadzącym w próżnię. Zobaczył Engła, który jak przycumowany stał w odległości dziesięciu metrów. Ariel wychylił się i odważnie odbił od burty statku. Poszybował w przestrzeń. Po kilku sekundach swobodnego lotu dotknął rękami celu. Miał jeszcze kłopoty w zmieszczeniu się wraz z kobietą w maleńkiej śluzie, ale po kilku próbach i to się powiodło.

Kiedy złożył już jej ciało na jednym z foteli, spróbował nawiązać łączność z Rayem.

- Halo, Inter, Ray, odezwij się.

- Jesteś nareszcie - Ray natychmiast wszedł w kanał łączności - żyją?

- Znalazłem jedną żywą kobietę, jest nieprzytomna, poza tym naliczyłem dwadzieścia jeden trupów.

- Nie wiesz, ile liczyła załoga?

- Sądząc po liczbie hibernatorów, dwadzieścia siedem osób.

- Brak pięciu, co zamierzasz? - w głosie Raya dało się odczuć wewnętrzne napięcie.

- Trzeba ją jak najszybciej przewieźć na pokład, ma złamaną rękę, mogą być jeszcze obrażenia wewnętrzne.

- Dobrze, siadaj w fotelu, ściągnę was z powrotem.

Po paru minutach lotu znaleźli się w hangarze Intera. Ariel wziął kobietę na ręce i zaniósł do sterówki. Tu zbadał ją automed i stwierdził oprócz złamanej ręki i połamanych żeber liczne obrażenia wewnętrzne. Jedno z żeber przebiło płuco, i w każdej chwili groził krwotok. Wobec tego, że na pokładzie nie było lekarza, który mógłby przeprowadzić operację, jedynym wyjściem była hibernacja.

- Umieszczę ją w hibernatorze i wracam tam - Ariel działał jak w transie.

- Poczekaj, nie ma sensu tam wracać, chyba nikt żywy już nie został.

- Chyba, ale znalazłem ją, mogę znaleźć kogoś innego. Nie będę spokojny, dopóki nie znajdę wszystkich. Idę.

Co w niego wstąpiło? - zastanawiał się Ray, gdy Ariel opuścił kabinę niosąc na rękach kobietę. - Zachowuje się, jakby ocalenie tych ludzi było dla niego najważniejszą sprawą w życiu. A może jest?

- Halo Ray, umieściłem ją już w hibernatorze, idę do Engła. Jak będę gotów, dam ci znać.

Ray nie czekał długo. Po jakichś trzech minutach Ariel odezwał się znowu. Teraz dla Raya nastąpiła najtrudniejsza część zadania. Mając do dyspozycji tylko obraz przekazywany przez kamerę, musiał, wysyłając odpowiednie impulsy radiowe, doprowadzić bezbłędnie Engła do drugiego statku. Wymagało to wielkiego kunsztu pilotażu. Ray był dobrym pilotem, lawirowanie między dwoma obiektami nie zajęło mu więcej niż dwie minuty. Z chwilą, gdy Ariel znikł we wjazdzie obcej rakiety, skończyło się jego zadanie

i mógł wrócić do rozmyślań.

Czuł, że zaczyna szanować i podziwiać tę istotę. Nie był pewien, czy on w podobnej sytuacji znalazłby w sobie tyle poświęcenia dla innych. A przecież to byli ludzie, istoty, do których należał. A Ariel? Mimo że posiadał ciało człowieka, musiał zachować świadomość maszyny. Skąd w nim tyle zwykłego, ludzkiego, gorącego serca? Ray już nie był pewien świata, jaki znał. Maszyna kojarzyła mu się zawsze z zimnym logicznym wyrachowaniem, a tymczasem... Gdzie tkwi przyczyna tego wszystkiego? - myślał. Przecież to nie może być tylko błąd produkcyjny czy nie zamierzony efekt konstrukcyjny. Ariel myśli, a co najważniejsze - czuje. Myślał też o przyszłości, ale zupełnie inaczej niż kilka godzin temu. Kilka dni temu była w nim tylko zwierzęca chęć walki i pokonania zbuntowanej maszyny. Później przyszła rezygnacja i apatia, która z wolna przerodziła się w chęć walki w imię honoru człowieka, chęć pozostawienia czegoś po sobie. A teraz... teraz zastanawiał się, czy ma prawo walczyć i zwyciężyć Ariela. Czuł, że tamten jest lepszy od niego i mimo że jego życie zrodziło się z egoizmu, to jednak zostało podporządkowane sprawom ważniejszym niż jedno życie, zostało podporządkowane CZŁOWIECZENSTWU.

Czasami odzywał się w nim jeszcze dawny Ray i docierał do świadomości w postaci rad w rodzaju: „zapuść silniki i odleć, masz w hibernatorze ciało człowieka, które możesz osiąść, nie oglądaj się na Ariela.”

Ray był jednak już zbyt silny, aby ulec tym podszeptom. Wiedział, że gdyby teraz uciekł, to do końca życia nie mógłby się pozbyć widoku twarzy Ariela. Tak, myślał już o swojej twarzy jak o twarzy obcej, pod którą kryły się inne treści.

- Halo, Ray - usłyszał zduszony szept Ariela.

- Znalazłeś ich? - zapytał zdumiony tak szybkim powrotem.

- Tak. Dwóch było w obserwatorium, a trzech w stacji pomp. Wszyscy nie żyją - głos Ariela zawahał się. - Jestem ranny, Ray,

- Jak to?! Co się stało? - Przejechał mnie robot ochronny, dostałem chyba w głowę.

- Nie zareagował na twoją obecność?

- Jest zepsuty, porusza się jak w malignie, spotkałem go już przedtem.

- Wytrzymasz drogę powrotną?

- Chyba tak.

- Zaraz cię ściągam.

Ray pracował jak w gorączce. Starał się operować jak najdelikatniej silnikami, aby nie przysporzyć Arielowi cierpienia i nie pogorszyć jego stanu. Droga powrotna trwała z tego względu trochę dłużej niż poprzednio, jednak w końcu Engel znalazł się w swoim hangarze. Ray z niecierpliwością oczekiwał pojawienia się Ariela. Wezwał automeda, ale poza tym nie mógł mu pomóc, musiał dojść sam. Po dłuższej chwili, która wydawała się wiecznością, otworzyły się drzwi sterówki i stanął w nich Ariel. Z rozbitej skroni płynęła mu krew. Zrobił kilka chwiejnych kroków w kierunku fotela i upadł na ziemię.

- Ariel, co ci jest? Ariel, odezwij się - Ray prawie krzyczał, jednak po chwili zamilkł.

Ariel jest nieprzytomny, mogę go wsadzić do hibernatora. Wystarczy potem włączyć przetrwalnik informacji i już odzyskam swoje ciało. A więc jednak wygrałem.

I nagle Ray zrozumiał, że wcale tak nie postąpi. Wprawdzie chodziło mu o to przez cały czas, ale nie mógł i nie chciał wykorzystać słabości Ariela.

Przecież jest nieprzytomny dlatego, że pomagał ludziom - myślał - poświęcił się dla innych i miałby przegrać? Tracisz ostatnią szansę - odezwał się dawny Ray - przez sentymenty zginiesz. A nawet gdyby ci darował wspianałomyślnie życie, pozostaniesz do końca życia maszyną.

- Zanieś go do kabiny - zwrócił się Ray do automeda i dokładnie zbadaj.



Drzwi sterówki lekko skrzypnęły, zamykając ostatnią szansę Raya.

Ariel otworzył oczy. Przez chwilę nie mógł się zorientować, gdzie jest. Raziło go jasne światło, które spływało spod sufitu, kładąc delikatną poświatę na przedmiotach. Nagle uniósł się gwałtownie. Wiedział już, gdzie jest. Znajdował się w swojej kabynie.

Co się stało? - starał się ułożyć fakty po kolei. - Wróciłem z tamtego statku, wszedłem do sterówki i dalej nic nie pamiętam. Czyżbym zemdlał? Zaraz, przecież nie zablokowałem drzwi. W pierwszym odruchu złapał się za rękę, ale była na swoim miejscu. Miał ciało.

Dlaczego Ray nie wykorzystał sytuacji - zastanowił się - przecież mógł mnie wsadzić do hibernatora i wygrać. Dlaczego zrezygnował?

Wstał, podszedł do pulpitu łączności, nacisnął klawisz i powiedział:

- Ray, jestem u siebie w kabynie, czy z nią wszystko w porządku?

Chciał powiedzieć więcej, chciał pytać o przyczynę i dziękować zarazem. A jednak słowa uwięzły mu w gardle i powiedział tylko tych parę słów. Zrozumiał, że do ich walki wkroczyły nowe wartości. A raczej sama walka toczyła się już na innej płaszczyźnie. Skończyło się starcie wręcz, a zaczęła się walka na człowieczeństwo, na uczucia. Tej konfrontacji obawiał się Ariel najbardziej.

- Z dziewczyną bez zmian - Ray odpowiedział spokojnie - leży w hibernatorze, nic jej nie zagraża.

- Czy jesteście jeszcze przy tamym statku?

- Nie, skierowałem raketę ku Ziemi.

- Dobrze, odpocznę trochę i przyjdę do sterówki.

Ariel nie zamierzał wcale odpoczywać. Wyszedł z kabiny i ruszył długim korytarzem. Zatrzymał się przy windzie i zjechał na niższy poziom. Otworzył masywne drzwi, za którymi znajdowała się maleńka salka. Na jej środku stały trzy ułożone w gwiazdę hibernatory. Wszystkie ściany tego pomieszczenia zajęte były przez aparaturę podtrzymującą życie ludzi znajdujących się w hibernacji. Jeden zespół agregatów pracował. Było wyraźnie widać, jak cieniutkimi przezroczystymi przewodami przepływa kolorowy płyn ginąc gdzieś pod szklanym kloszem. Cichutkiem świstowi tłoczonego powietrza towarzyszył dostojny szum stabilizatora temperatury. Ariel podszedł do wskaźników i zaczął zapoznawać się z danymi. Wszystko było w normie, a jednak czegoś się obawiał. Odczuwał niepokój, który nie miał logicznego wytłumaczenia. Bał się nie o siebie, ale o tę istotę śpiącą głębokim snem. Podszedł do hibernatora. Kobieta była młoda, jasnobłond włosy, regularne, przyjemne rysy twarzy, drobna, wręcz mała postać. Ariel wiedział, co to jest kobieta. Stykał się z nimi wielokrotnie. Część była jego wykładowcami, a inne po prostu odwiedzały pracowników. Nigdy nie mógł zrozumieć jednak, co nakazywało mężczyznom zachowywać się w ich obecności inaczej niż zwykle. Wyczuwało się pewne napięcie, które emanowało z każdego ich ruchu czy słowa. Słyszał wiele rozmów prowadzonych przez pracowników o kobietach. Część określali jako ładne, inne jako brzydkie. Było to dla niego zawsze tajemnicą. Kobiety rozumiał jako trochę odmienny rodzaj tych samych istot, który różnił się jedynie szczegółami budowy. Pytał nawet o to Greena, ale i on nie potrafił mu tego wytłumaczyć.

Lecz teraz, kiedy stał przed hibernatorem, odczuwał jakieś dziwne napięcie, którego źródła się domyślał, ale zrozumieć nie mógł. Nadal kategorie piękna ludzkiego były mu obce, jednak czuł, że ta kobieta jest piękna.

- Zupełny absurd - powiedział głośno - muszę pomyśleć, co dalej, a nie rozkładać się.  
Zdecydowanym krokiem odszedł od hibernatora.

Tymczasem Ray zastanawiał się nad nawiązaniem łączności z Ziemią, Ariel po odblokowaniu łączności nie przerwał jej z powrotem.

Mogę nawiązać łączność - myślał - ale co im powiem? Nie będzie czasu na dokładne wyjaśnianie, a w to, co im zdążę przekazać, nie uwierzą. Sam bym nie uwierzył. Zresztą gdyby nawet uwierzyli, nic to nie da. Nie mają jak mi pomóc. Wszystko się wali. Statku też nie mogę wysadzić, jest przecież ta kobieta. Zostaje mi rezygnacja i pogodzenie się z losem.

Do kabiny wszedł Ariel. Przeszedł parę kroków, zawahał się, a potem zdecydowanie usiadł w fotelu.

- Ray, muszę z tobą porozmawiać.

- O czym? - Ray starał się, aby jego głos brzmiał obojętnie.

- O nas. W czasie, gdy ratowaliśmy tamtych, staliśmy ramię przy ramieniu. Nikt z nas nie zrobił nic dla siebie. Teraz wszystko się skończyło. Wiem, że nie zrezygnujesz, będziesz walczył, ale o jedno chcę cię prosić.

- O co?

- Cokolwiek byś zrobił, przyrzeknij mi, że nie narazisz jej na żadne niebezpieczeństwo.

- Dlaczego ci tak na tym zależy? - Ray był zaskoczony.

- Nieważne. Chcę tylko, aby przeżyła. Dobrze?

- Możesz być spokojny. Jest przecież człowiekiem i nie narażę jej.

- Wracając do nas, to mimo że inaczej patrzę na to wszystko - Ariel mówił wolno, starannie dobierając słów - nie mogę stracić tej szansy. Ponawiam jednak propozycję.

- Żebym poleciał w kosmos i wrócił za 80 lat?

- No, nie za osiemdziesiąt, a za jakieś pięćdziesiąt.

- Nie, Arielu, wolę już niebyt.

- Mam jeszcze inny pomysł. Możesz ten okres przeczekać jako czysta informacja w przetrwalniku. Nie będziesz świadomy, a więc nie będziesz cierpieć. Potem...

- Nie - Ray wpadł mu w pół słowa - niech lepiej zostanie tak, jak jest.

Ariel smutno pokiwał głową. Wstał z fotela, chwilę jeszcze bezmyślnie bębnił palcami po korpusie kalkulatora, po czym ruszył ku wyjściu.

- Chciałem, ale... - resztę słów stłumiła pancerna ściana.

Czas nieubłaganie biegł naprzód, jednak, mimo olbrzymiej prędkości statku, obraz na centralnym ekranie zmieniał się bardzo wolno. Najpierw z tysiąca gwiazd o prawie jednakowej jasności zaczęła nabierać blasku ta jedna - Słońce. Lecz, mimo że swoim blaskiem przyćmiewała inne gwiazdy, była nadal tylko jednym z ognistych punkcików nieba. Jednak po pewnym czasie zaczęła przemieniać się w tarczę, a obok pojawiły się nowe jasne kropelki - planety.

Do Ziemi było naprawdę niedaleko i Ray z niepokojem myślał o najbliższych dniach. Mógł zawrócić statek w każdej chwili i celując dziobem w czarną przestrzeń uciec. Ale byłoby to tchórzostwo, które mogło jedynie odwlec wyrok, a nie dać rozwiązania. Mimo całej beznadziejności sytuacji, w jakiej się znajdował, ani przez chwilę nie żałował, że nie wykorzystał akcji ratowniczej i słabości Ariela dla osiągnięcia łatwego zwycięstwa. Dało mu to poczucie sprawdzenia się jako człowieka. Wiedział, że cena, jaką zapłaci za wykazanie charakteru, będzie wysoka. Ale wydawało mu się, że warto. Z tego też powodu odrzucił ostatnie propozycje Ariela. To byłoby zbyt łatwe. Idąc na ten kompromis zagubiłby siebie, swoje Ja, które odezwało się w nim tak niedawno. Jednego tylko żałował, że nikt nie będzie mógł ocenić go jako nowego Raya. Nie chciał, aby w pamięci ludzkiej pozostał jego dawny obraz, tak teraz nieprawdziwy. Początkowo zamierzał nawet wprowadzić informację o tym, co się stało, do mózgu

śpiącej dziewczyny. Ale po dłuższym zastanowieniu zrezygnował. Przecież Ray, a raczej jego ciało, będzie żył dalej. Nie chciał wywoływać zamętu tą sprawą. A zresztą kto by uwierzył rannej kobiecie.

Pogodzony już z losem i samym sobą dalej spokojnie prowadził lot ku swojemu przeznaczeniu. Właśnie statek mijał orbitę Plutona, kiedy automatyczna radiolatarnia, strzegąca najdalszych rubieży Ziemi, wezwała go do podania kodu identyfikacyjnego. Przez chwilę zawahał się, czy go podać. Wiedział, że w takim wypadku cały Układ Słoneczny zostałby zaalarmowany pojawieniem się nie zidentyfikowanego obiektu. Jednak zrezygnował z tego. Ariel miał tę przewagę, że był człowiekiem, i jemu by uwierzono, zresztą wolał umierać samotnie. W przestrzeń popłynęły długie kolumny liczb kodu.

Ariel znów stał przed hibernatorem. Ściągała go tu jakaś magiczna siła, która mimo walki, jaką toczył ze sobą, brała górę. Ile już razy dawał sobie słowo, że nie pójdzie tam więcej, a jednak zawsze nie mógł go dotrzymać.

Ktoś powiedziałby może, że to miłość, miłość najbardziej bezsensowna z bezsensownych, miłość maszyny do człowieka, miłość, którą przegradzał szklany klosz. A jednak to nie było to. Przychodził tu dlatego, że w tym miejscu czuł się prawdziwym człowiekiem, czuł, że coś działał nie tylko dla siebie, czuł, że jego istnienie nie było bezsensowne. Minęło już pierwsze upojenie ciałem i wolnością. Miejsce bezgranicznej radości zajęła myśl: czy mam prawo ŻYĆ? Nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie i szukał rozwiązania tu, w komorze hibernacyjnej, u tej pogrążonej w niebycie kobiety.

Coś w nim dojrzywało. Jakaś decyzja, którą bał się wypowiedzieć głośno, lecz która zyskiwała sobie coraz większe prawo obywatelstwa w jego myślach.

Ray patrzył bezmyślnie swoimi kamerami na ekran, na którym potężniała z każdą chwilą wielka kula - planeta Jowisz. 620 milionów kilometrów do Ziemi. Była to odległość stanowiąca graniczny zasięg promu.

A więc już niedługo - myślał - jeszcze może dzień, a może już kilka godzin dzieli mnie od... Ciekaw jestem, czy przyjdzie jeszcze przed tym, czy będzie miał odwagę?

Ray widział go ostatni raz wczoraj. Wszedł do sterówki wolno, jakby z namaszczeniem, zajął zwykłe miejsce na fotelu pilota i siedział tak bez słowa dłuższy czas. Ray też milczał. Wszystko już zostało powiedziane. Każda z tych dwóch istot miała wyznaczoną rolę, którą musiała grać do końca.

- Czym jest życie? - zapytał Ariel przerywając dotychczasowe milczenie.

- Jak to czym?

- Nie chodzi mi o fizykę, ale o coś więcej, dlaczego człowiek rodzi się i umiera. Po co to wszystko?

- Nie wiem - Ray nadal nie wiedział, o co chodziło Arielowi - nikt tego nie wie.

- Wiesz, chodziłem ostatnio do pomieszczenia hibernatorów. To dobrze, że ją uratowaliśmy.

Ray zaczął się gubić. Ariel był wyjątkowo smutny, co więcej, było widać, że coś się z nim dzieje. Rozmawiał bez związku i składu, przeskakując z tematu na temat.

- Czy nigdy nie przerażał cię ogrom Wszechświata? Ariel ciągnął dalej dziwną rozmowę. - Tyle już ludzie zbadali, ale on jest ciągle nieodgadniony i wrogi. Czuję się wobec niego taki mały. Miałeś takie uczucia?

- Tak, to jest normalne, są rzeczy, których ogarnąć nie możemy.

- A nauka? Dzięki niej mamy to wszystko - Ariel zrobił nieokreślony ruch ręką - dzięki niej wiemy tak dużo, jej zawdzięczam istnienie, ale czy warto było? Czy był sens w dochodzeniu prawd ponad nasze pojęcie?

Ray nagle zrozumiał, co się dzieje z Arielem. To wyrzuty sumienia były powodem tej dziwnej rozmowy. Zrodzona niespodziewanie wrażliwość postawiła pytania, na które szukał gwałtownie odpowiedzi. Szukał tych odpowiedzi wszędzie. U śpiącej kobiety, u Raya. Lecz odpowiedzieć sobie na to mógł jedynie sam, gdyż było to jedno pytanie: Czy mam prawo żyć?

Ariel znów milczał, choć było widać, że chce jeszcze coś powiedzieć. Po chwili wstał z fotela, ostatni raz spojrzął na Wszechświat migocący miliardem światła i wyszedł. Ray już nie mógł słyszeć ostatnich jego słów: „Szkoda, tak bardzo żałuję, jak ciężko”.

To było wczoraj, a dziś Rayowi wspominającemu tę rozmowę zrobiło się żal Ariela. Wbrew wszelkiej logice żałował jego, a nie siebie. Czuł, że dalsze życie tej istoty będzie straszne. Z jednej strony dręczące sumienie, wypominające na każdym kroku przeszłość, a z drugiej wrogi, obcy świat ludzi, którzy „innych” traktują z bezwzględnością zwierząt.

Ray zaczął odczuwać dziwną senność. Nie potrzebował przecież snu, był maszyną, a jednak obrazy rozmazywały się. Tracił świadomość. Ostatnią resztką sił uczeplił się tej odrobiny istnienia. Jak każda istota chciał żyć, nawet jeśli była to tylko roślinność.

Jednak nie przyszedł, nie miał odwagi, szkoda, chciałem go jeszcze zobaczyć przed końcem, w jego osobie pożegnać świat, a tak..

Była to ostatnia myśl Raya. Zapadł się w niebyt, który był równoznaczny ze śmiercią.

Czuł na policzku powiew lekkiego wietrzyku, który sączył w jego umarłe ciało życie. Pamiętała własną śmierć, ostatnie chwile dzwoniły mu jeszcze w mózgu.

- Czyżbym istniał po śmierci, może jednak jest Bóg? - zadał sobie pytanie. - Jak wygląda niebo, a może to piekło? Uniósł się gwałtownie. Był w komorze hibernacyjnej, obok, pod przezroczystym kloszem, leżało ciało młodej kobiety. Jego klosz był uniesiony, aparatura przerwała już pracę. A więc żył. Nie tylko żył, ale miał znów ciało. Miał ręce i nogi, mógł chodzić, rozmawiać, żyć! Serce zalała mu fala radości. Jak po koszmarnym śnie, przebudził się do nowego istnienia.

Może to był tylko sen, ciężki, długi, ale tylko sen? Nie odpowiedział sam sobie - tam przecież leży kobieta, którą uratowaliśmy.

Nagle zaniepokoił się. Ariel, co z Arielem? Było już jasne, że oddał mu ciało, ale co z nim?

- Ariel, Ariel odezwij się - zawołał głośno.

- Przyszedłeś już do siebie. - Ariel odezwał się natychmiast. - To dobrze, mamy mało czasu. Trzeba przenieść kobietę na prom i tam umieścić w hibernatorze. Zaczynam jej dehibernację.

- Poczekaj. Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego żyję?

- Nieważne. Tak było trzeba, musiał wygrać człowiek, ja nie miałem szans.

- Byłeś człowiekiem, Arielu, lepszym niż ja, mogłeś...

- Nic nie mogłem, nie miałem prawa żyć twoim kosztem.

- Idę do ciebie.

- Nie! Proszę cię, nie przychodź do sterówki. Będzie mi lżej, jeśli nie przyjdiesz. Spiesz się, do Ziemi już niedaleko.

- Co chcesz zrobić? - zawołał Ray domyślając się prawdy.

- Polecisz z nią promem, ja zniszczę statek i siebie.

- Może jest możliwość, na Ziemi coś poradzą - Ray nie potrafił dobrać właściwych słów.

- Nie, Ray. Ja muszę i chcę umrzeć. Nie chcę, aby ci z Instytutu dobrali się do mnie.

Klosz hibernatora, w którym znajdowała się dziewczyna, uniósł się z cichym trzaskiem. Ray usłyszał jęk. Nie było czasu, trzeba było działać.

Przeniesienie jej na prom nie zajęło więcej niż pół godziny. Kiedy Ray usiadł za sterami promu, Ariel odezwał się znowu:

- Ray! Za chwilę startujesz. Miałem wielkie szczęście, że spotkałem ciebie. Zrozumiałeś mnie w końcu. Sam powiedziałeś, że byłem człowiekiem. Dziękuję ci za to. Cieszę się, że mogłem uratować ją, że nie żyłem nadaremnie. Prawda?

- Oczywiście - odpowiedział Ray ze ściśniętym gardłem.

- Mam do ciebie dwie prośby. Przrzeknij, że je spełnisz.

- Przrzekam, Ariel.

- Słuchaj! Tam, na Ziemi, opowiedz, co się stało. Zrób wszystko, abym nie mógł się narodzić ponownie. Instytut będzie nadal badania i produkcję. Niech poprzestaną na tym, co osiągnęli. Wytlumacz im, że obdarzanie świadomością maszyny jest krzywdzeniem żywej istoty. Może zrozumieją.

- Zrobię wszystko, co będę mógł. Bądź spokojny.

- Druga sprawa. Spotkaj się z Greenem, powiedz mu, że nie zawiodłem go. Potrafiłem zrezygnować, choć bardzo chciałem żyć.

- Powiem mu, że byłeś człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu.

- Cieszę się. Ty i on byliście dla mnie... może to śmieszne, ale przyjaciółmi. Jemu zawdzięczam istnienie, tobie nadanie sensu temu istnieniu. Wiem, że byłem człowiekiem. Żegnaj!

Huk silników wdarł się w ciszę, która nastąpiła po ostatnich słowach. Ray wprawną ręką przełożył stery na kurs wiodący prosto na Ziemię.

Inter niknął z każdą chwilą w głębi kosmosu. Pochłonęła go wieczna ciemność przestrzeni. Nagle zapaliła się nowa gwiazda. Pomarańczowa luna przesłoniła nawet słońce. Trwało to ułamek sekundy, po czym znów zabłysły obojętne na wszystko gwiazdy.

- Żegnaj, przyjacielu - powiedział cicho Ray.

Ray szedł małą wydeptaną ścieżką, która wiodła wśród wysokich drzew. Spośród wiekowych konarów wyłaniał się nowoczesny budynek Instytutu. Gmach ze szkła i aluminium stał w doskonale utrzymanym parku. Dookoła skrzyły się w promieniach południowego słońca przepyszne róże, których różnokolorowe łebki tworzyły barwny zarys obwodu elektronicznego.

Ray jednak nie miał nastroju do podziwiania piękna otoczenia. Miał dość tych wszystkich fanfar i zaszczytów, które go spotkały po przylocie na Ziemię. Dawniej byłby zachwycony tym, że znajduje się w centrum uwagi świata. A teraz krzyżące tytuły gazet wywoływały jedynie pobłażliwy uśmiech na jego twarzy: „BOHATER Z KOSMOSU KOMANDOR RAY RATUJE KOBIECĘ Z EKSPEDYCJI KRABA”. Za dużo przeszedł, aby entuzjazmować się tanim poklaskiem tłumu. Ludzie jeszcze nie znali prawdy. Na prośbę Instytutu historia, którą opowiedział Ray, została na razie zatrzymana w tajemnicy. Ray wymógł tylko, że z chwilą zakończenia badań nad tym tematem, cała prawda zostanie podana do publicznej wiadomości. I tak było to dużo. Najpierw patrzono na Raya jak na wariata. Musiał nawet poddać się badaniu psychiatrów. W końcu jednak fakty dotarły do uczonych. Jedynie Green, z którym Ray rozmawiał zaraz po wylądowaniu i któremu przekazał ostatnie słowa Ariela, uwierzył mu od razu. Rozmawiali bardzo długo i doszli do wniosku, że produkcję trzeba będzie bezwzględnie wstrzymać.

Dziś rano Ray otrzymał wiadomość, że badania dobiegły końca i że dyrektor Instytutu prosi go na osobistą rozmowę. Kiedy zgłosił się u sekretarki, ta natychmiast dała znać szefowi. Dyrektor widocznie już czekał, gdyż pojawił się w drzwiach prosząc Raya do środka.

- Chciałem pana, komandorze, bardzo przeprosić w imieniu Instytutu.
- Za co? - spytał opryskliwie Ray. Ten człowiek nie podobał mu się zdecydowanie. Gruba nalana twarz, małe ukryte za grubymi szklami oczka tworzyły niesympatyczny obraz.
- Za to, że do wykonania tak skomplikowanego zadania otrzymał pan wadliwy egzemplarz komputera.
- Myślę, że wadliwy nie był egzemplarz, a raczej złe założenia.
- Myli się pan, nie zna pan jeszcze wyników naszych badań.
- Po to przyszedłem.
- Otóż wykazaliśmy niezbitcie, że przyczyną pańskich... nazwijmy to, przejść, był wadliwie zmontowany obwód, który w rezultacie skumulowania się...
- Bzdura - zawyrokował Ray przerywając dyrektorowi - nie powie pan, że ta istota, którą pan nazywa błędnie komputerem, zachowywała się jak człowiek z powodu głupiego, źle wsadzonego obwodu.
- Takie są fakty. Nie jest pan konstruktorem i trudno to panu zrozumieć. Poza tym...
- Czyście powariowali? Obwód, zwykły obwód źle zmontowany, i już hokus pokus mamy człowieka.
- Rozumiem, że może pan być zdenerwowany - dyrektor był nadal obrzydliwie grzeczny - pańskie przeżycia nie mogły przejść bez śladu, jednak...
- Nie jesteśmy tu po to, aby rozmawiać o moim zdrowiu, ale żeby ustalić, co dalej.
- Dalej nic, wszystko normalnie.
- Czy to znaczy, że produkcja nie zostanie przerwana?
- Oczywiście, to jest bardzo obiecujący typ komputera. Przy poprawieniu kontroli montażu, możemy osiągnąć wyśmienite efekty. Mamy nawet zamiar rozszerzyć produkcję..

- Ja protestuję! To, co pan sugeruje, jest oczywistym nonsensem. Proszę zapytać pana Greena, jest takiego samego zdania co ja. Dalsze produkowanie tych istot to zbrodnia.

- Komputerów, tylko komputerów. Poza tym proszę mi tutaj nie rzucać w twarz zbrodni - dyrektor podniósł głos - a zdanie pana Greena mnie nie interesuje, został wczoraj zwolniony.

- Usuwa pan już niewygodnych ludzi!

- Panie komandorze, proszę się liczyć ze słowami. Nie będę tolerował...

- Czy informacje o całym wydarzeniu zostały zgodnie z umową przekazane prasie?

- Tak, oczywiście, już w dzisiejszych gazetach znajdzie pan artykuły na ten temat.

- Dobrze. Oświadczam panu - Ray wstał - że produkcja zostanie wstrzymana. Zwrócę się do rządu.

- Rząd zna wyniki i zatwierdził już naszą decyzję. Pan nie może wstrzymywać postępu, komandorze.

- Jeżeli tak ma wyglądać postęp, to wolę biegać z maczugą. Żegnam pana.

- Chwileczkę - dyrektor podbiegł do drzwi.

- Co jeszcze? - Ray czuł, że za chwilę wybuchnie.

- Czy zna pan schemat tego przetrwalnika informacji? Mógłby pan nam go przekazać. Zostałby wykorzystany do...

- Nie znam. A choćbym znał, to pan byłby ostatnią osobą, której bym go przekazał. Powiem jeszcze, że tym pan się różni od Ariela, że on był człowiekiem, prawdziwym człowiekiem, a pan jest zwykłym śmierdzącym gnojkiem, który poza swoim interesem niczego nie widzi.

Trzasnął drzwiami zdziwionemu dyrektorowi przed nosem i wybiegł z Instytutu.

Długo jeździł po mieście. Dławiła go bezsilność i wściekłość wobec tego świata, z którego pochodził, ale wobec którego znalazł się niespodziewanie tak daleko. Rozumiał, że nie będzie się mógł znaleźć wśród ludzi ślepych jak krety.

Kosmos, tylko tam znajdę ratunek - pomyślał, gdy na końcu długiej alei wyłoniły się zabudowania kosmodromu.

Po paru minutach zameldował się u dowódcy.

- Panie kosmogratorze - Ray mówił bardzo szybko muszę lecieć w kosmos, nie mogę tu na Ziemi!

- Co się stało? Co ty mówisz?

- Muszę, ja tu nie wytrzymam! Pomóż, Piotrze - zakończył zupełnie niesłużbowo.

- Hmm... Domyślam się, co się stało. Wczoraj odleciała wyprawa Vegi. Wrócą za rok. Brakuje im trzeciego pilota, który miał wypadek tuż przed startem. Mam im kogoś dosłać. Gdybyś chciał, ale to jest stanowisko trzeciego, a ty jesteś komandorem.

- Nieważne, lecę. Gdzie ich złapię?

- Na Marsie. Dam ci raketkę patrolu.

- Dziękuję. Gdzie rakietka?

- Na stanowisku piątym. Zostaw ją na Marsie, ktoś ją ściągnie.

Ray już wybiegał z gabinetu, kiedy gwałtownie zatrzymał się w przejściu.

- Masz, Piotrze, gazety, dzisiejsze gazety?

Kosmogrator uśmiechnął się znacząco i podał mu plik czasopism. - Przejrzyj później. Teraz się spiesz. Musisz startować za parę minut. Powodzenia!

Po chwili Ray siedział już w rakiecie przygotowując się do startu. Poczuł wzrastające ciśnienie, które prasowało z olbrzymią siłą klatkę piersiową. Odetchnął lżej, kiedy w dole zaczęła ginąć jego ojczysta planeta. Wchodząc na kurs prowadzący na Marsa spojrzął przelotnie na gazety leżące przy fotelu. Na pierwszej stronie kłutł w oczy wydrukowany olbrzymimi czerwonymi literami tytuł: „OSZALAŁY KOMPUTER ATAKUJE CZŁOWIEKA - BOHATERSKA WALKA KOMANDORA RAYA”.

Wzruszył ramionami i dał pełny ciąg silników.



## Pod ochroną

Dudnienie uciekających do tyłu płyt autostrady tworzyło rytm, na którego tle gorący wiatr wygwizdywał radosną melodię wakacji. Rozbujane łany traw powiewały ku mnie kwiatami o duszącej woni, a daleko w dole nieprzyzwoicie turkusowe morze szeptało w szczelinach skał i pod rumowiskami głazów..

Odchyliłem na chwilę głowę do tyłu tak, że w zdrętwiałym karku poczułem znów ciepłe pulsowanie krwi. Niebo było jasne i wypłowie jak zapomniany na słońcu arkusz niebieskiego papieru; odruchowo opuściłem wzrok na linię widnokregu, aby sprawdzić, czyjego brzegi są żółte i poskręcane. Moment okazał się odpowiedni, bo rozpędzony pocisk samochodu gnał wprost na pobocze. Gwałtowny skręt zarzucił pojazdem, który pozostawił za sobą chmurę żółtego kurzu.

Skurcz w krtani puszczał stopniowo, a po piersi rozchodziła się setkami drobnych strumyków gorąca fala ciepła. Ładnie mógłbym się urządzać! I to na samym początku urlopu. Lecz strach powoli mijał, aż znów niepodzielnie owładnęła mną żywiołowa, chłopięca radość: Radość ze swobody, z dzikiego pędu, ze słońca i wiatru. A także z tego, że pozostawiłem za sobą oplatający mnie na co dzień ochronny kokon zależności, obowiązków i praw, wzajemnych świadczeń, grzeczności i obustronnie wyważanych przyjemności. Nareszcie wyrwałem się z tej sieci i mogłem odetchnąć pełną piersią.

Wiatr huczał i gwizdał nad opuszczoną szybę, a dalej uciekał szereg obłych wzgórz z kolczastym nalotem krzewów i kaktusów. Spuściłem rękę za okno, w gęstą strugę gorącego powietrza. Maszyna cięta stalowym cielskim szeroki, płynny przestwór wiatru wpływającego na ląd niby lżejsza frakcja ciemniejącego już oceanu. Czułem się w tej chwili zespolony w jedno z pojazdem, odbierałem wszystkimi tkankami jego wyteżoną wibrację, kiedy posłuszny i gotowy na każdy rozkaz mknął wstęgą szosy, nurkując co chwila w gęstniejący mrok dolin.

Robiło się duszno, w zębach zgrzytał drobny pył, którego chmury wirowały nad pobliskimi wzniesieniami. Zamknąłem okno i włączyłem klimatyzację.

Mimo że wszystkie wczorajsze radości i problemy już dawno powinny schować się za krzywizną Ziemi, myśl o Helenie powracała natrętnie i, choć nie chciana, co chwila przesączała się przez rdzawy krajobraz suchych wzgórz. Moje niezdecydowanie i głupie skrupuły pozwoliły temu związkowi trwać o wiele za długo. Jeszcze rok temu właściwie wystarczyło mi zauroczenie kobiecym ciałem i alkoholowe odurzenie - Helena z ochotą partycypowała w obu tych przyjemnościach. Gdy minął czas pryriatu rozbuchanej fizjologii, na pierwszy plan zaczęły wysuwać się słowa. A tych coraz częściej nam brakowało. Lecz jej było dobrze, miała przecież swojego mężczyznę - i za każdym razem, kiedy chciałem powiedzieć „żegnaj”, przytulała się do mnie ufnie i miękko, zupełnie jakby mogła czytać w myślach. Więc mówiłem tylko - do jutra.

Jeszcze raz spróbowałem odegnąć natrętne wspomnienia i uważniej spojrzałem po okolicy. Autostrada biegła teraz pośród ciastowatych, napęczniałych pagórków, które przysiadły po obu stronach drogi jak ogromne, zmęczone wędrówką hipopotamy. Wierzchołki wzniesień były ochlapane płynną miedzią, a mrok dolin w tym dzikim krajobrazie skrywał nie dopowiedziana groźbę.

Czułem sztywność w karku i ból pleców, a oznakowane na białą brzegi jezdni coraz częściej rozpoczynały nieodpowiedzialny taniec. Toteż z ulgą skręciłem na najbliższy postój. Wzniecając chmurę

kurzu zjechałem na utwardzany placyk tuż nad strumieniem, gdzie w cieniu drzew przycupnęło kilka drewnianych stolików z ławami.

Nigdzie nie było żywego ducha - także autostrada sprawiała wrażenie opuszczonej, bocznej szosy; w ciągu ostatniej godziny jazdy nie spotkałem nikogo. Specjalnie wybrałem okrężną drogę dla jej walorów krajobrazowych, lecz nie przypuszczałem, że będzie aż tak wyludniona. Zresztą nie przeszkadzało mi to wcale - nie lubiłem tłoku.

Odemknąłem drzwi i z wychłodzonego wnętrza wyszedłem w duszne powietrze wieczoru pełne wściekłego grania cykad. Spuściłem się stromą ścieżką na sam brzeg strumienia, uważając po drodze na węże. Woda spływającej z gór rzeczki, lodowato zimna i przejrzysta, w głębszych miejscach miała jasnozielone zabarwienie. Usiadłem na piasku i, obserwując drobne zawirowania koło brzegu, oddałem się chwili odprężającej, leniwej, bierności.

W stan przyjemnego zapomnienia wdarł się obcy dźwięk, nie należący do tego zakątka - chrzęst kroków na żwirowym podejździe. Potrzebowałem zaledwie sekundy, aby przestawić się na zwykłe funkcjonowanie - wir myśli znów Wypełnił ciężką falą wszystkie zakamarki jaźni.

Szybko wspiąłem się stromą ścieżką wśród kolczastych krzewów na górę. Brzegiem skarpy zbliżało się dwóch ludzi, których widok był mi jakby znajomy. Jeden z przybyszów dał znak ręką, żebym zaczekał; przyspieszyli kroku.

Skąd ja ich znałem? Gdzieś już musiałem widzieć te dwójkę, byłem tego pewien. Niczego więcej jednak nie mogłem wydobyć z zawodnej pamięci.

Gdzie jest ich samochód? - znowu podejrzliwa myśl przemknęła mi przez głowę. Na placu stał tylko mój wóz. Czyżby przyszli piechotą? Nie, to niemożliwe. Najbliższe osiedle leżało o dobre kilkanaście mil stąd. Z pewnością mieli defekt techniczny gdzieś w pobliżu i szukają pomocy - uspokajałem sam siebie, bo spotkanie podejrzanie zachowujących się nieznajomych na takim odludziu na pewno nie należało do przyjemności.

Mężczyźni wciąż przyspieszali kroku, już niemalże biegli; rozłączyli się, oskrzydlając mój wóz z obu stron. I wtedy przyszło olśnienie. Tak! Spotkałem tych ludzi parę dni przed wyjazdem w małej greckiej pizzerii, i bynajmniej nie było to miłe spotkanie.

Jednym szarpnięciem otworzyłem drzwi samochodu i wskoczyłem do środka, słysząc z obu stron chrzęst żwiru pod butami biegnących. Zatrzasnąłem wóz, zablokowałem zamek i włączyłem elektryczny podnośnik szyby, która zamykała się tak powoli, jak jeszcze nigdy dotychczas. Brudne, spocone dłonie rozpostarły się na szkle, w okna zabębniły pięści, migwały czerwone, nabrzmiałe wysiłkiem twarze. Widziadła spłynęły raptem do tyłu, ześlizgnęły się po masce jak zdmuchnięte wiatrem liście i roztopiły w chmurze żółtego pyłu. Grzechot drobnych kamieni o podwozie zastąpiło miarowe dudnienie płyt autostrady, silnik szumiał głucho na wysokich obrotach, a stalowy pocisk pojazdu pędził z wiatrem w zawody. Dopiero po chwili przestałem dusić akcelerator; elastyczny fotel łagodnie wypchnął mnie ze swojego wnętrza, a skały wokół zakończyły wariacki taniec. Gnałem pomarańczowo oświetloną autostradą, wycieniowaną do najdrobniejszych nierówności nawierzchni, a słońce kładło barwy zachodu na łagodnych wzgórzach i suchym stepie. W dole, w wypełnionej już wieczornym mrokiem dolinie, w której głębi pełzała struga nikłych światełek, biegła główna droga wprost do Huantanejo.

Po chwili włączyłem się w potok mknących cicho pojazdów, których przytulne wnętrza wypełniała rozmowa, śmiech, muzyka lub samotne milczenie. Lecz dla mnie ludzie, zamknięci w kapsułach swoich samochodów, wyglądali jak unieruchomione kukiełki z animowanego filmu.

Tak, to stało się w małej greckiej pizzerii, położonej wśród innych podobnych restauracyjek, pubów i piwiarni, sklepów muzycznych i trochę zapuszczonych hotelików, w malowniczo rozrzuconej na zboczu wzgórza cygańskiej dzielnicy. O tej porze tętniło tam wieczorne życie, z ciemnych wnętrz lokali niby z

ogromnych uli dochodził buczący szum głosów, czasem tylko urozmaicany brzękiem szkła lub sztućców, pachniało dymem tytoniowym i gorącym olejem, jak spod ziemi dobiegało głuche dudnienie rytmicznej muzyki. Na chodniki wylegli chińscy handlarze krabami i Ustawiali swoje ogrzewane węglem kotły wprost na trotuarze, pośród wielobarwnego tłumu, a całe to kolorowe życie zdawało się wisieć w luźnej sieci wąskich i stromych uliczek, kładącej się na zboczu wzgórza misterną mozaikową plecionką.

Było ich dwóch. Jeden, przedwcześnie wyłysiały, z ostrym długim nosem i świdrującymi, blisko osadzonymi oczami, przypominał drapieżnego ptaka; drugi był trochę niechlujnym, chudym dryblasem w znoszonej skórzanej kamizelce. Przysiedli się do mojego stolika i w milczeniu sączyli tani gatunek piwa. Poczujęm się nieswojo, skończyłem więc pospiesznie posiłek i chciałem wstać, kiedy zobaczyłem tańczący kufel. Pełen pianistej cieczy przemieszczał się nieregularnymi posunięciami po błyszczącej płycie stolika, w grubym szkłe przepływały faliście w rytm przechyłów naczynia pomarańczowe refleksy i karykaturalnie rozciągnięte twarze. Potarłem powieki, próbowałem zebrać myśli. Halucynogeny? Spojrzałem po swoich sąsiadach - ich twarze wyrażały skupienie i powagę, wpatrywali się we mnie siedząc bez najmniejszego ruchu, rozrastali się i potężnieli, wypełniali już prawie całe pole widzenia. Tak, to sprawa tych dwóch. Chciałem zerwać się i uciec, lecz ten ptakowaty przytrzymał mnie za rękę swoją wielką łapą i mruknął: „chwileczkę”. Mówił cicho, lecz owo „chwileczkę” zakołatało mi w głowie jak dźwięk dzwonu. Musiałem wyglądać nieszczególnie, i to okazało się wybawieniem. Ktoś chwycił mnie mocno pod ramiona i wyciągnął na dwór, a na miejscu tamtych ptasich twarzy rozlała się jaskrawa piania rudej brody jednego z moich znajomych. Jak to dobrze, że i on zajrzał do tej przeklętej knajpy - myślałem w kółko powoli przychodząc do siebie.

Ale czego chciało tych dwóch? Wtedy widziałem ich po raz pierwszy w życiu i skłonny byłem przypuszczać, że chodziło o drobne na wódkę lub może o sprawy seksualne. Lecz tylko większa forsa albo inne ważne powody mogły ich skłonić, kimkolwiek byli, do tak długiego pościgu. W moim przypadku pieniądze odpadały - więc co? Najprawdopodobniej pomylili mnie z kimś innym pomyślałem z ulgą, lecz już w następnym momencie zdałem sobie sprawę z faktu, że bynajmniej nie poprawia to mojej sytuacji. Jeśli żywią wrogie zamiary, zapewne nie zdążę wyjaśnić im pomyłki, jeśli zaś po prostu czegoś chcą, to nieporozumienie wkrótce wyjdzie na jaw tak czy owak. Może po prostu z nimi porozmawiać? Nie, to zbyt niebezpieczne. Nie warto narażać się bez potrzeby. Znowu mając głowę pełną niechcianych myśli wymknąłem się ze stalowej rzeki błyskających światłami pojazdów, opuściłem autostradę i już po chwili jechałem powoli pełnym słonego wiatru bulwarem w Huantanejo. Ciężkie pióropusze palm wykonywały swój powolny, dostojny taniec, a sennie mrużący ocean spowijał wełnisty całun ciemności, przebity tylko w jednym punkcie iskrą żywego srebra.

Opuściłem szyby i z lubością wciągałem głęboko w płuca ostre morskie powietrze, patrzyłem na wesołe pary na bulwarze, zaglądałem do zgiełkliwych barów, wyczuwałem pod mglistą zasłoną nocnego mroku miękkie plaże, szepczące morze i pierwotną głębię oceanu. Tak! To było ponad wszelką wątpliwość najwłaściwsze na Ziemi miejsce do spędzenia urlopu!

Zostawiłem samochód na parkingu przed dobrze mi znanym pensjonatem „Albatros” i z szerokiej spacerowej alei, po której tańczyły barwne kręgi światła rozhuśtanych lamp, pobiegłem wprost na ciemną plażę. Zmęczenie długą jazdą znikło; czułem dotyk wiatru na twarzy i we włosach, w ustach miałem smak soli.

Plaża była pełna dziwnych szeptów, szmerów i westchnień. Fale szumiały cicho gdzieś tuż obok, łagodny powiew od morza pojękiwał wśród rozstawionych parasoli, lecz przez gęstą watę ciemności przesączały się jeszcze inne, niezrozumiałe, ledwie słyszalne dźwięki, jakieś niewyraźne kształty poruszały się w mroku - jakże wyraziste były to złudzenia! Migotliwe światelko na morzu przybliżało się i oddalało, chwilami nikło zupełnie. Nagle zimnym uściskiem objął mnie niepojęty lęk - obejrzałem się

raptownie za siebie, lecz była tam tylko dysząca strachem ciemność. Ruszyłem z powrotem, sam nie wiedząc kiedy nogi zaczęły nieść mnie w coraz szybszym biegu, a coś nieokreślonego i groźnego pędziło tuż za mną, a może już obok mnie? Wreszcie bez tchu dopadłem oświetlonej alei, klnąc w duchu swoje idiotyczne zachowanie. Jak dobrze, że nikt tego nie widział!

Lecz myliłem się. W rozhuśtanym kręgu światła stała kobieta, przytrzymując targane zajadle przez wznagający się wiatr kosmyki włosów. Miałem nieodparte wrażenie, że stała tam, czekając na mnie; jej uniesione ramię było smukłe i delikatne, wiotkość talii i harmonię linii bioder i ud podkreślała obcisła, długa sukienka, której barwny jedwab trzepotał jak luźny żagiel. Na twarzy zastygł wyraz rozbawienia, lecz szeroko rozstawione, wielkie oczy patrzyły badawczo. Była bardzo ładna, nie wahałbym się nawet nazwać ją piękną kobietą, lecz wyczułem także coś obcego, może cień pogardy w spojrzeniu. Takim lalom woda sodowa łatwo uderza do głowy - zdążyłem pomyśleć niechętnie i zamierzałem oddalić się z godnością, gdy jej nieprzyjazny wzrok złagodniał, wargi wydeły się i usłyszałem dźwięczny śmiech, którego część zabrała wichura. Przystanąłem, coraz bardziej zły na nią i na siebie.

- No, niech pan się już nie gniewa - mówiła niskim, miękkim głosem, zbliżając się powoli. - Tak nagle wyskoczył pan z ciemności, że przez chwilę obawiałam się napadu, sądziłam, że to jakiś rzezimieszek. A tu sympatyczny, młody człowiek - ujęła mnie lekko pod ramię i delikatnie popchnęła aleją, pod rozhuśtanymi sznurem różnobarwnych lamp. Mówiła coś jeszcze, lecz wiatr porywał większość słów, a może to ciepła bliskość dziewczęcego ciała, miękka wypukłość piersi muskającej moje ramię i zapach rozwianych włosów sprawiły, że nie mogłem skupić uwagi na rozmowie?

- Ania - dziewczyna patrzyła na mnie wyczekująco, a ja wciąż chłonałem jej bliskość.

- Robert - odrzekłem dopiero po chwili, i właśnie chciałem wziąć ją za rękę, gdy odsunęła się, pożegnała i szybko odeszła boczną ciemną drogą. Nie wiedziałem, czy mam biec za nią; kręciło mi się w głowie. Trochę zbyt wiele miałem przeżyć jak na jeden skromny dzień.

Frida, właścicielka pensjonatu, przyjęła mnie z wylewną serdecznością. Była przyjaciółką mojej matki z lat szkolnych, a mnie traktowała nieomal jak członka rodziny. Od lat prowadziła tutaj nieco staroświecki, lecz wygodny pensjonat; byłem u niej częstym gościem.

Zaraz po powitaniu Frida zbeształa mnie za zbyt późne przybycie, a dopiero potem zaprosiła do stołu. Z pełnymi ustami musiałem opowiadać o matce, rodzinie, o pracy. Wreszcie pochyliła się konfidencko i rzekła tajemniczo:

- Uważaj na siebie, Rob. Czasy takie niespokojne...

- Dlaczego, ciociu?

- Ano, właściwie nic takiego. Tyle tu ludzi wiosną, różni przyjeżdżają.

- W sezonie zawsze tak jest.

- Ale w tym roku jest inaczej, jakoś dziwnie.

- Jak to dziwnie? - zaciekawilem się.

- Więcej ludzi przyjechało. Wczoraj widziałam karetki wojskowe, podobno przywleczono jakąś chorobę. Zapalenie mózgu czy coś takiego... Nie wiem...

- Niech ciocia się nie obawia. Jestem młody, odporny i przyjechałem popływać w morzu. A słona woda zabija bakterie - dodałem z uśmiechem, wstając od stołu.

- Ty zawsze sobie żartujesz, Rob, raz mógłbyś być poważny - gderała Frida, lecz jak zwykle przyjaźnie.

- A po co? - rzuciłem, taszcząc na górę swój worek żeglarski. - Wystarczy, że świat wokół jest śmiertelnie poważny. Choćby dla równowagi, ja muszę być inny. Dobranoc!

- Zamknij dobrze okna, w nocy bywa chłodno - napominała mnie jeszcze. Pocziwa kobieta - pomyślałem.

Pokój był stary, wysoki, z trzema wielkimi weneckimi oknami i potężnym łóżem, pasującym dobrze do całości, tylko łazienka okazała się niewielka i nowocześnie urządzona. Ciotka zainwestowała wreszcie - pomyślałem, biorąc gorący tusz.

Okna wychodziły na ciemną plażę, fale szumiały gdzieś w gęstym mroku, a pośród czerni w oddali wciąż majaczyło mrugające światełko. Wiatr nacierał na wielkie szyby które aż jęczały pod jego naporem.

Sprawdziłem skrupulatnie, czy okna są dobrze pozamykane, zablokowałem zamek u drzwi i wślizgnąłem się do obszernego zimnego łóża. Pomyślałem o Helenie, lecz jednocześnie odczułem ulgę, że jej tu nie ma. Zmęczony, natychmiast zapadłem w kamienny sen.

\* \* \*

Kanałem wyciętym pośród mangrowcowej dżungli płynęliśmy ku otwartemu morzu. Zbity początkowo gęszcz dziwacznym krzewów, bujających się na swoich szrudłowatych korzeniach, rzędł stopniowo, rozdzielał się odsłaniając lazurowe prześwity, w których majestatycznie unosiły się wielkie żółwie i pluskały nieznanne ryby. Woda bełkotała wśród zwałów lodyg, a w mulistym gęszczu kotłowało się jakieś nieodgadnione życie. Wreszcie minęliśmy ostatnią wysepkę skołtunionych jak sierść zarośli i jacht wy dostał się na szeroki przestwór pełnego morza.

Delikatne burty wparły się w szkliste pagóry, pomarszczone krótkimi uderzeniami wiatru. Wewnątrz kryształowych wzniesień falowały splecione lasy o odcieniu głębokiej zieleni lub otwierały się rozpełniane białe polanki koralowego piasku. Słońce lizało ciepłymi dotknięciami ramiona i plecy, lecz bryza znad morza natychmiast schładzała nagrzaną skórę.

Po godzinie byliśmy na miejscu; kotwica z hurgotem łańcucha poleciała przez rozbijała toń i znikła w piasku mielizny, jaśniejącej pośród barwnego labiryntu rafy. Opodal stał tylko jeden mały jachcik. Było wcześniej, inni jeszcze nie dopłynęli.

Przygotowywaliśmy się do zejścia pod wodę. Założyłem już na plecy stalowe butle i opasałem się sznurem ołowianych ciężarków, gdy spostrzegłem, że morze na dużej powierzchni gwałtownie pociemniało. Kilka latających ryb wyskoczyło z poszarzałej toni i w szaleńczych skokach, ślizgając się po zmarszczonej fali, pognało w stronę lądu.

Uchwyciłem się mocno barierki, bo przechyły jachtu rzucały ciężkim ekwipunkiem na wszystkie strony. Czując lekkie łaskotanie strachu widziałem ciemną, teraz już niemal granatową połąć oceanu, spienioną drobnymi falami. Coś było pod wodą - ogromna ławica ryb? Dżungla wodorostów? A może cień chmury padł na ocean? Lecz nic nie zasłaniało słońca, które tkwiło na wyblakłym niebie jak misa pełna żaru.

Podwodny cień przesuwiał się błyskawicznie w naszym kierunku. Jego nieostry brzeg znikł pod kadłubem, granatowy przestwór zdawał się rosnać, wyrzyszczać, ciemna powierzchnia zjeżyła się krótkimi falami, rozmydlonymi bielą piany. Łańcuch kotwiczny jęknął płaczkliwie i potężne szarpnięcie zwałało nas na pokład. Runęliśmy jeden przez drugiego na deski, łomocząc ciężkimi butlami i chlastając umocowanymi do stóp płetwami niby wielkie ryby wyrzucane z sieci na pokład trawlera.

Wyswobodziłem się jak najszybciej z krępującego ruchu ekwipunku i przypadłem do barierki. Lecz morze znów było zielone i pełne słonecznych refleksów, a przejrzyste, gładkie już teraz wały wodne przesuwwały się niespiesznie, omywając nieomal przyjaźnie burty naszego małego jachtu.

- Co... co to było?! - wykrztusił John, kędzierzawy blondyn, który miał być moim partnerem przy

pierwszym zejściu pod wodę.

- Może wielka ławica barrakud? - rzuciłem niepewnie.

- Zupełnie nieprawdopodobne.

- No właśnie. Nigdy przecież nie słyszałem o tak potężnej ławicy, na dodatek taranującej wszystko przed sobą.

- To wyglądało jakoś inaczej. Jakby ciemne podwodne zawirowania lub wielkie szare... ptaki.

Udałem zdziwienie, chociaż w duchu zazdrościłem mu. Bez obawy powiedział to, o czym ja wstydzilibym się choćby wspomnieć. Nie lubiłem narażać się na śmieszność.

- Ha, to dobre! - zawołał właściciel jachtu. Był to rubaszny, nieco gruboskórny typ; wyglądał na człowieka, który przynajmniej połowę życia spędził na morzu. Na jego płaskiej, ogorzałej twarzy od początku rejsu nie widziałem ani cienia uśmiechu, nawet teraz, mimo że był wyraźnie ubawiony spostrzeżeniami Johna. - Jesteś odkrywcą podwodnego ptactwa! No a teraz, chłopcy, do roboty, jeśli chcecie trochę popływać. Za godzinę wyruszamy stąd.

Z pewnym ociąganiem doprowadziliśmy ekwipunek do porządku. John okazał się odważniejszy i pierwszy znikł w rozfalowanej zieleni; po chwili i ja skoczyłem w ślad za nim.

Opadałem na pewno zbyt szybko w rzadkiej, ciepłej toni. Trzeba było wziąć mniej ołowiu - pomyślałem. Narastał gniotący ból w uszach, z trudem nadążałem z wyrównywaniem ciśnienia. Daleko w górze, za zasłoną opalizujących refleksów, wgnieciony w rozbiegane lustro powierzchni tańczył zmniejszony do rozmiarów zabawki kadłub naszej łodzi.

Nareszcie poczułem grunt, zaryłem płetwami w gruby koralowy piasek.

Była tuż obok. Jej długie nogi, rozrzucone beładnie, poddawały się falowaniu w zgodnym rytmie z powolnymi ruchami lasu wodorostów, wśród których niknęły tułów i głowa. Rzuciłem się ku niej, rejestrując jakimś bocznym torem postrzegania kształtną krągłość dziewczęcych bioder, podkreśloną jeszcze mocno zaciśniętym pasem. Z łatwością wyswobodziłem bezwładne ciało z gęstwiny traw i odsunąłem na bok czarną chmurę włosów.

Odetchnąłem z ulgą. Ustnik aparatu tkwił wciąż między zaciśniętymi wargami dziewczyny, choć maska osłaniająca oczy przekrzywiła się i napełniła wodą. Mocno uchwyciłem opadającą rękę i ruszyłem ku górze, uderzając gwałtownie płetwami.

Lecz nie dałem rady - spłynęliśmy z powrotem na pofałdowany piasek. Byłem za ciężki. Dopiero po odrzuceniu pasa z ołowianymi płytkami udało mi się wyholować ciało dziewczyny na powierzchnię.

Ułożyłem ją na nagrzanym pokładzie i okryłem grubym pledem. Powolny i flegmatyczny dotychczas kapitan dwoił się i troił. Natychmiast uruchomił aparat do sztucznego oddychania, a gdy już stwierdził ledwie wyczuwalny puls, dał zastrzyk wzmacniający pracę serca. Po chwili gwałtowny dreszcz wstrząsnął ciałem, do którego poczęło wracać życie.

- No, wygląda na to, że wybawiliśmy jeszcze jedną piękną duszyczkę od ogni piekielnych - stwierdził z ulgą John, który zaniepokojony moją nieobecnością wyszedł przed chwilą z wody i stał za nami na pokładzie w rosnącej kałuży. - Wracam na dół, dołączę do tamtych - dodał widząc, że zdejmuję resztę ekwipunku. Skoczył pod załamującą się falę, która rozchybotwała, rozmyła, aż wreszcie całkowicie zatarła jego malejącą sylwetkę.

- Ona musi być z tamtego jachtu - wskazałem kierunek, gdzie kotwiczyła mała łódź. Jednakże morze, smagane coraz silniejszym wiatrem, który wciskał w bolące oczy porwany z fal słony pył wodny, było puste. Wspiąłem się na dach sterówki. Jak okiem sięgnąć rozciągała się turkusowa powierzchnia oceanu z rozlanymi atramentowymi rzekami ciemnego błękitu. Żadnej łodzi nie było w zasięgu wzroku. Wobec pogarszającej się pogody nikt widocznie nie chciał ryzykować opuszczenia przystani.

- Ta łódź... znikła - stwierdziłem, zsuwając się z powrotem na pokład.

- A może po prostu odpłynęła, drogi panie?

- Ale jej nigdzie nie widać. W ciągu kwadransa nie mogła dotrzeć do granicy mangrowców.

- Nie mierzylem czasu. Zresztą nie mój interes! Musimy jeszcze pomóc tej dziewczynie.

Drobnym ciałem wstrząsały dreszcze, ramiona drgały gwałtownie pod pledem. Po raz pierwszy otworzyła oczy - były czarne jak węgle, nieprzyjemnie kontrastowały z siną bielą twarzy. Patrzyła na nas jak przestraszone zwierzątko. Powinna być nawet ładna, jak się trochę ogarnie - pomyślałem. Przypomniałem sobie jej długie, kształtne nogi, wplątane w gąszcz wodorostów, i krągłość bioder podkreśloną zaciśniętym pasem.

- Tamta łódź mogła zatonąć - zwróciłem się do kapitana. - Sądzę, że powinniśmy przeszukać obszar jej niedawnego postoju.

Jego tępa twarz stężała złością.

- Niczego nie będziemy przeszukiwać. Ja dysponuję tym jachtem, a wy płacicie mi za godzinne zejście pod wodę. Czas się kończy, zaraz wracamy.

Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się. Napotkałem wzrok dziewczyny. Wyglądała już trochę lepiej, znikły sine obwódki wokół ust i oczu. Uśmiechnęła się blado, gdy położyłem dłoń na jej poplątanych włosach.

\* \* \*

- Właściwie niewiele zmieniłeś się, Karolu. Wciąż jesteś podobny do chłopca pańszczyźnianego z XVI-wiecznej ryciny w podręczniku szkolnym, tylko czoło jakby trochę...

- Masz rację, stary. Czoło mam znacznie wyższe - to mówiąc sięgnął do rzadziejących włosów. - Żeby tak jeszcze proporcjonalnie przybywało oleju w głowie... Gdyby nie tego rodzaju niespodzianki, wierz mi, że spotkania po latach ze starymi znajomymi miałyby naprawdę sporo uroku.

- Co porabiasz? Rzuciłeś pracę naukową, tak jak to kiedyś zapowiadałeś?

- Tak jest, mój drogi. Oczywiście jeśli przez naukę rozumiesz dosyć jałowe wyświetlanie coraz to nowych obrazków z filmu pod tytułem „Sposób postrzegania świata przez człowieka” i traktowanie ich jako prawd obiektywnie niewzruszonych.

- Wciąż taki sam, zawsze miałeś coś z mistyka. Zdradź po cichu tajemnicę, w wir jakiego rodzaju działalności rzuciłeś się obecnie.

- W nic się nie rzucam, Robercie. Ewolucyjnie przechodzę na coraz wyższe poziomy rozwoju.

- Ho, ho! Ale jeśli wzniesiesz się zbyt wysoko, stracisz z oczu ludzi.

- O nie, mój drogi. Tego jednego właśnie nie zrobię. Wzajemne relacje człowieka i jego szeroko rozumianego otoczenia ciekawią mnie najbardziej. Uczeni byliby także całkiem sympatyczni, gdyby dostrzegali subiektywizm własnych obserwacji.

- Zajmujesz się więc głoszeniem pozanaukowych prawd nie uświadomionym ludziom podczas pielgrzymki swego życia?

- Ludziom wystarczyłoby zupełnie trochę skromności. A prawdy po prostu nie ma, lub, jeśli wolisz, jest tych prawd zbyt wiele. Na jedno wychodzi. Ale pytałeś, co porabiam, czyli, o ile dobrze rozumiem, jak zdobywam środki utrzymania. Otóż jestem dziennikarzem, notorycznie pisuję do prasy i w ten sposób zarabiam na chleb. Uważam to za sensowniejsze zajęcie niż osiągnięcie kolejnych stopni naukowego wtajemniczenia. Czasem udaje mi się wywołać przynajmniej u kilku czytelników cień wątpliwości, a to jest już sukces. Chciałbym też wydać książkę, a honorarium przepuścić w podróż na Ziemię Franciszka

Józefa. Jak widzisz, Robercie, opowiedziałem ci również o swojej przewidywalnej przyszłości. Czy tego rodzaju prognozy także zaliczasz do kultów mistycznych?

- O czym ma być ta książka? - spytałem nie bez zaprawionego odrobiną zazdrości respektu.

Karol puścił pytanie mimo uszu; przywołał kelnera i zamówił coś do picia. Słabe podmuchy wiatru nie dawały ochłody, a przez rozpięty nad stolikiem parasol z cienkiego płótna przesączał się powoli żar południowego słońca.

- Spójrz na to akwarium - odwrócił się w stronę drugiej części restauracji, gdzie w klimatyzowanej jej części za ścianą ze szkła znajdował się spory zbiornik. W zielonkawej, wzburzonej wodzie kłębiły się ryby różnych gatunków. - Oto żywa spiżarnia. Klient sam wybiera sobie odpowiadającą mu sztukę, którą natychmiast wyławia się, oprawia i smaży. Oczekiwanie na obiad nie trwa dłużej niż kwadrans. Co ty na to?

- Nie widzę wielkiej różnicy między tym sposobem a połowami morskimi lub hodowlą - odparłem nieco zdziwiony. - Ryba jest po prostu świeża.

- Nie na tym rzecz polega. Po prostu wstępne drażnienie żołądków może wydatnie wzmóc wydzielanie soków trawiennych. Człowiek czuje się jak pierwotny łowca, który poluje, kiedy odczuwa głód. A patrząc z drugiej strony, od strony obiektu manipulacji...

- Nie przesadzaj. Jakież znaczenie mógłby mieć dla ryby sposób odłowu? Dotyczy to zresztą wszystkich zwierząt, pozbawionych przecież świadomości istnienia.

- Mówisz z dużą pewnością siebie i jesteś przekonany o swojej racji, czyli osiągnąłeś pewien rodzaj komfortu psychicznego. Może właśnie o to tobie, mnie, nam wszystkim chodzi? Żeby czuć się dobrze i mieć do tego pełen brzuch?

- Zawsze ten sam marzyciel...

- Chwileczkę. Jeśli ktoś nie mówi po angielsku, a na dodatek nie może z tobą dyskutować na przykład o wpływie częstotliwości stosunków seksualnych na wydajność pracy w przemyśle, to jest baranem i nic nie wie o świecie? Może wiedzieć co innego, o czym ty z kolei masz dosyć mgliste pojęcie.

Otarł pot z czoła.

- Przepraszam, uniosłem się nieco. Myślenie stereotypami zawsze wyprowadzało mnie z równowagi. Widzisz - im coś jest do nas, ludzi, bardziej podobne, tym większą otaczamy to czcią i „ochroną”. Jeśli nie możemy dogadać się z człowiekiem, nazywamy go mało inteligentnym. Jeśli zaś jest to zupełnie inne stworzenie, a na dodatek składające się z dobrze przyswajalnego białka, natychmiast budujemy sobie piękną konstrukcję etyczno-naukową, zezwalającą nam na wszystko.

- To bardzo piękne i szlachetne podejście, lecz niestety całkowicie bezużyteczne. Wzniosłe myśli nie odmienia naszej fizjologii, wciąż pozostaniemy na szczycie piramidy świata ożywionego, w którym walka o przetrwanie polega głównie na wzajemnym pożeraniu się. Więcej walka ta jest warunkiem działania wewnętrznej regulacji całego systemu ekologicznego. A w ogóle, to czy nie mamy pilniejszych, bliższych nam ludzkich spraw, czekających na rozwiązanie?

Karol zachnął się, był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Nie obraż się, ale użyłeś jednego z bardziej wyświechtanych sloganów. Czy wolno tracić czas na obserwacje nieba, skoro na Ziemi głodują ludzie? Lub parać się sztuką, gdy braknie żołnierzy?

- Sztuka też jest dla ludzi...

- Tak? Dobrze, że to pojmujesz. Powiem ci więcej: wszystko, o czym mówimy, to też sprawy dla ludzi. Do przemyślenia, zrozumienia i jako punkt wyjścia do działania. O tym właśnie chcę coś napisać - dodał po chwili już spokojniej.

Ailie szła przez kłującą oczy jasność tarasu. Była wysoka, wyższa niż sądziłem. Wydawała się wtedy taka niewielka i drobna, gdy leżała półprzytomna, skulona pod kocem na pokładzie jachtu. Sploty



czarnych, teraz lśniących i puszystych włosów tworzyły ostry kontrast z ciągle jeszcze bladą cerą. Podeszła do nas z wahaniem, spodziewała się, że będę sam. Podniosłem się i dokonałem prezentacji.

Karolowi wyraźnie poprawił się humor, gadał teraz dużo i trochę bez składu. Co chwila ogarniał dziewczynę chciwym spojrzeniem. Przyłapałem się na tym, że odczuwam coś w rodzaju zazdrości, chociaż nie miałem przecież do niej żadnych podstaw - fakt przypadkowego uratowania kogoś od utonięcia nie oznaczał jeszcze niczego. A jednak chciałem sam pieścić wzrokiem jej drobne, kształtne piersi, smukłą talię i krągłe biodra.

\* \* \*

- Nie wiem dlaczego, ale w tym roku mamy w Huantanejo istną inwazję piękności - paplał Karol. - Zresztą to widać. W innym przypadku prawdopodobieństwo twojego pojawienia się właśnie tutaj...

- Byłam umówiona z Robertem - przerwała Ailie, rozbawiona jego gadulstwem.

- To nic nie szkodzi. Zmieniają się tylko współczynniki równań statystycznych. Naprawdę, tylu pięknych kobiet co tutaj w ciągu tygodnia, nie widziałem przez całe swoje życie.

- Może wreszcie dorosłeś do tych rzeczy? Wszystko ma swój optymalny moment - wtrąciłem trochę zły, że dałem mu przejąć inicjatywę.

- Nie zdradzisz mi, Ailie, gdzie mieszkasz i pracujesz? - mizdrzył się dalej Karol, całkowicie ignorując moja zaczepkę.

- Kiedy... nie mogę - Ailie patrzyła z zakłopotaniem w deseń serwety.

- Nie możesz? Czyżbyś była z tajnej policji? - Karol był przekonany, że dziewczyna wreszcie podjęła jego grę.

- Nie, to nie to. Ja po prostu... nie pamiętam. Niczego nie pamiętam.

- Jak to? Nie wiesz też, jak znalazłaś się pod wodą? - zapytałem zaskoczony. Dotychczas nie rozmawialiśmy jeszcze o szczegółach wypadku; chciałem, aby najpierw przyszła do siebie.

- Nie, Robercie. Pamiętam tylko, jak leżałam na twardym pokładzie łodzi i było mi strasznie zimno. Ty klęczałeś obok, a ten kapitan miał aparat...

- I nic więcej nie pamiętasz? Skąd się tu wzięłaś, kim są twoi rodzice?

Potrząsnęła głową.

- Przepraszam was bardzo - Karol podniósł się raptownie, aż stół zadzwierczał porcelana - ale muszę już iść. Zupełnie zapomniałem, że mam ważne spotkanie, i tak już jestem spóźniony. Cześć! Aha, Robert, gdzie mieszkasz? Zadzwoń do ciebie.

- W „Albatrosie”, ale...

Już go nie było. Oddalił się spiesznie pustym o tej porze, rozgrzanym bulwarem. Wzruszyłem ramionami.

- Zawsze był dziwakiem. Dziennikarz.

- Ciekawy człowiek, taki ożywiony. Ale nie w moim typie, choć nie mam nic przeciwko dziennikarzom - dodała pojednawczo. Uśmiechnąłem się i położyłem rękę na jej smukłej dłoni. Nie cofnęła jej.

- Jesteś taki dobry, zaopiekowałeś się mną. Nie wiem, skąd mam wziąć pieniądze, żeby zwrócić ci dług, ale z czasem wszystko na pewno się wyjaśni.

- Głupstwo - rzekłem trochę nieszczerze, lecz dziewczyna niczego nie zauważyła. Choć odczuwałem zawsze przyjemność przy umiarkowanym poświęcaniu się dla potrzebujących, wolałem przy tym nie

uszczuplać swojego stanu posiadania. - Dostałaś wygodny pokój?

- Oczywiście. Z klimatyzacją, łazienką i balkonem. Mam nawet telewizor. To zupełnie przyzwoity hotel.

Poczułem się zmęczony, choć ekscytacja bliską obecnością dziewczyny wybitnej urody, jaką z pewnością była Ailie, utrzymywała mnie wciąż w napięciu. Jednakie trudy porannej eskapady morskiej dawały znać o sobie. Skąd ona ma tyle energii? Kilka godzin temu była przecież na wpół martwa.

- Jesteś blada i zmęczona, moja droga. Proponuję sjęstę poobiednia, wieczorem przyjdę i zabiorę cię na dobrą kolację. Co ty na to?

- Przydziesz na pewno? - spojrzenie jej stało się miękkie, wilgotne oczy błyszczały.

Byłbym głupi nie przychodząc - pomyślałem, przytakując skwapliwie. Odprowadziłem ją do pobliskiego motelu, gdzie wynajęła pokój, i skierowałem się w stronę „Albatrosa”.

Choć otaczało mnie gęste od upału powietrze, a ostre słońce dokuczliwie przypiekało przez koszulę, czułem się lekki i pełen energii. Pomimo wyczerpującej porannej wycieczki morskiej i późniejszych emocji znalazłem jeszcze dość siły, aby prawie pędem puścić się wyludnioną o tej porze aleją. Pójdę z nią potańczyć, a później - zobaczymy. Przeżyłem już wystarczająco wiele, aby tego rodzaju popędy zlokalizować na dość niskim poziomie w hierarchii dążeń i motywacji ludzkich, lecz jeszcze o wiele za mało, aby w imię celów wyższych zrezygnować z drobnych atawistycznych przyjemności. Te właśnie przyjemności są potężnym, pierwotnym mechanizmem napędowym większości ludzkich poczynań, tłumaczonych zwykle zupełnie inaczej. Dlaczego mam być lepszy lub gorszy niż inni? Tak więc prostą drogę - śmiałem się sam z siebie - doszedłem do solidnej światopoglądowej podbudowy wszelkich planowanych na ten wieczór akcji. W celach działania i sposobach ich realizacji ludzie niewiele oddalili się od swoich praprzodków. Stworzyli natomiast doskonałe samouspokajające systemy motywacyjne.

Czerwona kula słońca dotykała już wierzchołków najwyższych palm, gdy dotarłem w poblizę pensjonatu. Wtem ktoś zawołał mnie po imieniu. Po drugiej stronie jezdni biegł skulony, przedwcześnie wyłysiały człowiek o fizjonomii drapieżnego ptaka. Z daleka widziałem jego ostry, pałkowaty nos.

W pierwszym odruchu chciałem rzucić się do ucieczki, lecz w następnej sekundzie zatrzymałem się z determinacją. Może wreszcie powie mi, o co tu chodzi. Jest sam, w razie czego dam mu radę.

Dalsze wypadki potoczyły się jak w przyspieszonym filmie. Mój prześladowca wskoczył na jezdnię, nie dostrzegając nadjeżdżającego z dużą prędkością samochodu. Pisk hamulców, krzyk, trzask pękającej szyby, histeryczny, kłujący uszy wrzask kobiety. Wóz stanął w poprzek drogi o kilkanaście metrów dalej, sypiąc wokół okruchami spękanego szkła, a na betonie pozostał w nienaturalnie skurczonej pozycji niewielki łysy człowiek. Stałem jak sparaliżowany, z pierśią ściśniętą zimną obręczą strachu.

I wtedy stało się coś dziwnego. Ludzie, którzy wyskoczyli z uszkodzonego samochodu i podbiegli do leżącego, cofnęli się raptownie. Nad skurczonym na betonie człowiekiem pojawił się, tak, właśnie pojawił się - dym, a właściwie coś jakby szybko wirujące strzępy szarej mgły. Drgały one tak prędko, że przypominały kłębiący się nad rozbitym gniazdem rój pszczół. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Mgła zniknęła po chwili równie nagle, jak się pojawiła. A człowiek o fizjonomii ptaka podniósł ciężko głowę, potem dźwignął się cały. Stał przez kilka sekund na chwiejących się nogach, a potem wskazał na mnie.

Miałem już dosyć. Puściłem się biegiem do pensjonatu, nie oglądając się za siebie. W pokoju zarygłowałem drzwi, sprawdziłem okna i bez tchu upadłem na łóżko.

Czułem się osaczony. Jacyś ludzie ścigali mnie wytrwale, z uporem godnym ważnej sprawy. Może to zemsta mafii, której resztki podobno jeszcze przetrwały? A może wybryki szaleńców? Ciekawe, że przy każdym zetknięciu z nimi ulegam dziwnym halucynacjom. Może mają coś wspólnego z narkotykami? Pomyślałem, że powinienem jednak zgłosić sprawę policji.

Gończy, mocny tusz splukał skorupę soli z powierzchni skóry i jednocześnie jakby zmył i częściowo usunął obawy. Mała zmiana w ukrwieniu mózgu, i od razu świat jest piękniejszy - zaśmiałem się głośno do swojego odbicia w lustrze. - I do tego jeszcze perspektywa przyjemnego wieczoru...

Telefon dzwonił zapewne od dłuższego czasu, usłyszałem go dopiero gdy zakręciłem wodę. W słuchawce zabrzmiał znajomy głos.

- No, nareszcie. Myślałem, że jeszcze zabawiasz tę panienkę.

- Karol?

- Chciałem cię ostrzec. Wcześniej nie miałem okazji...

- Nie trudź się. Wiem, co robię.

- Poczekaj. Nie o to chodzi. Czy ty... miałeś z nią kontakt bezpośredni?

- Masz mi jeszcze coś do powiedzenia? Spieszę się.

- Widzisz, ona twierdziła, że nic nie pamięta. I chyba mówiła prawdę. W Huantanejo od tygodnia dzieją się dziwne rzeczy. Dlatego tu jestem.

- Jakie rzeczy?

- Teren otoczony jest wojskiem, rozważa się możliwość całkowitej izolacji miejscowości. Władze miejskie sprzeciwiają się, bo wszyscy żyją tutaj z turystyki. Ale będą musiały ulec.

- Powiedz wreszcie, o co chodzi.

- Podejrzewa się początki epidemii. W wyniku nieznannej choroby ludzie ulegają całkowitej amnezji, pamięć mają czystą jak nowo narodzeni. Nie umieją chodzić, mówić. Przypuszczalnie nigdy nie będą w stanie powrócić do normalnego życia; nie wiadomo, czy można nauczyć się wszystkiego od początku w wieku dojrzałym. Oczywiście choroba mogła dokonać również innych spustoszeń w organizmie, chorych poddaje się nadal intensywnym badaniom.

- Ale Ailie nie ma tych objawów!

- Owszem, uległa na razie częściowej amnezji. Choroba może być dopiero w początkowym stadium. Nic wciąż nie wiadomo o stopniu jej zaraźliwości i o czynnikach chorobotwórczych. Uważaj na siebie, a miejsce jej pobytu zgłoś natychmiast w szpitalu miejskim. Jeśli chcesz, ja mogę to zrobić za ciebie.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie. Czy całkowitą amnezję zawsze poprzedzała częściowa utrata pamięci?

- O ile wiem, dotychczas chorych znajdowano zawsze już w beznadziejnym stanie, co jednak nie wyklucza istnienia wstępnego etapu inkubacji.

- Jak wiele przypadków zanotowano dotychczas?

- Ja wiem o kilkunastu, innych danych nie znam. Sprawa utrzymywana jest na razie w ścisłej tajemnicy, żeby nie wzbudzić paniki. Kończę na razie, ktoś na mnie czeka. Nie zwlekaj.

- Cześć.

Nie było czasu do stracenia. Szybko narzuciłem ubranie i wybiegłem z pokoju. Wróciłem jednak zaraz i nakręciłem numer odczytany z okładki książki telefonicznej.

- Szpital - usłyszałem miękki kobiecy głos.

- Czy... chciałem spytać, ile zarejestrowano do dziś przypadków amnezji?

- Proszę zaczekać - w słuchawce zaszumiało, a potem rozległ się głos starszego mężczyzny.

- Słucham.

- Pytałem o liczbę przypadków amnezji.

- Nie wiem, o co panu chodzi. Czy zgłasza pan jakiś przypadek? Skąd pan dzwoni? Halo! Proszę podać, skąd pan dzwoni!

Odłożyłem słuchawkę. A więc Karol mówił prawdę, nie był to wybieg, o który go podejrzewałem. Tak, to jego nagłe odejście wtedy...

Drzwi garażu otwierały się nieznośnie powoli. Samochód był przyjemnie chłodny, stał w klimatyzowanym wnętrzu. Silnik zaskoczył od razu, z piskiem opon wyjechałem na drogę. Przyspieszenie wgniotło mnie w fotel, wokół maszyny narastał szum wiatru. Za oknami tańczyły rozłożyste pióropusze palm, przelatywały niskie pawilony sklepów i kokietyjnie kolorowe przydrożne snack-bary. Wreszcie z chrzęstem żwirowego podjazdu zatrzymałem samochód przed motelem, w którym wynajęła pokój Ailie.

Śniada kobieta w recepcji oglądała telewizję. Niechętnie podniosła się i bez pośpiechu odszukała odpowiedni numer.

Gdy wpadłem do pokoju, Ailie leżała na wznak na łóżku. Twarz miała bladą, oczy zamknięte, włosy rozrzucone czarną chmurą na poduszce.

- Ailie!

Budziła się powoli. Usiadła, przesunęła dłonią po twarzy.

- Przepraszam - mruknęła niewyraźnie - spałam. Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

- Ailie! Spróbuj sobie przypomnieć...

- Co...?

- To, co było przedtem, zanim zeszłaś pod wodę.

- Nie wiem, nie jestem pewna...

- Spróbuj, to ważne!

- Nie mogę. Jestem wciąż taka zaspana, Robercie... Gdzie uciekł ten twój kolega... Karol?

- Żałujesz?

- Nie mów tak. Przecież to ty...

- Dobrze już, dobrze. Na szczęście amnezja nie postępuje. Chodź teraz ze mną.

- Co nie postępuje?

- Utrata pamięci.

- Już wychodzimy?

- Tak. Zabierz swoje rzeczy. Zmieniamy motel.

- Ależ dlaczego? Ten nie jest wcale zły.

- Powiem ci później. Idziemy.

Wzruszyła ramionami, lecz posłusznie zapakowała swoją niewielką torbę i zeszła ze mną do samochodu. Zaspana recepcjonistka spojrzała na nas ze zdziwieniem, pewnie pomyślała, że nie spisałem się zbyt dobrze. Miałem ochotę roześmiać się jej w twarz, ale powstrzymałem się i wybiegłem na dwór. Im mniej nas tu będą pamiętali, tym lepiej.

Ruszyłem ostro i znów szeregi palm zatańczyły za oknami. Droga była pusta, tylko mały czerwony kabriolet jechał w pewnej odległości za nami. Zbliżaliśmy się do centrum miasteczka.

Po raz pierwszy od telefonu Karola zebrałem spokojnie myśli. Właściwie nie byłem pewien, czy dobrze postępuję, lecz współczucie - a może coś więcej? - do tej drobnej, czarnej dziewczyny, która wydawała się taka bezradna, nie dopuszczało żadnej innej drogi działania. Ona naprawdę była zagubiona w świecie, o którym zapomniała pod wpływem jakiegoś szoku. Nie mogło to mieć przecież niczego wspólnego z całkowitą amnezją, o której mówił Karol. Na pewno nie mogło.

Siedziała obok mnie z pochyloną głową, struga granatowoczarnych włosów spłynęła jej na piersi odsłaniając kark i delikatny zarys zgrabnej, może trochę zbyt cienkiej szyi.

- Ailie?

- Słucham? - odgarnęła włosy z czoła. Twarz miała bladą jak kreda. Poczułem falę ciepłego współczucia.

- Jak się czujesz... moja droga?

- Zupełnie dobrze, Rob - uśmiechnęła się bezkrwistymi wargami. Okrągła twarzyczka rozjaśniła się,

tylko rozszerzone źrenice pozostały nieruchome i głębokie jak okna do innego świata. Wyciągnęła smukłą rękę i pogładziła mnie delikatnie po szyi. Dłonie miała chłodne i suche. Zapragnąłem jej całym ciałem, każdym centymetrem skóry.

Wtedy pomyślałem o Helenie. Było to jak ostrzeżenie przed niespełnieniem, niedotrzymaniem, przed unurzaniem się w rynsztoku, którego przyschnięte do mojego jestestwa nieczystości ludzie będą pokazywali sobie palcami. Szerokie dłonie Heleny były gorące, wilgotne i niecierpliwe. Gdy obejmowałem ją, odchyłała głowę daleko do tyłu...

Ailie raptownie cofnęła rękę i odwróciła się do okna.

- Co się stało? - spytałem niepewnie.

- Nic, głupstwo.

- Może jednak odwiedzimy lekarza?

- Żartujesz, Robercie - znowu zwróciła ku mnie uśmiechniętą twarz. - Mówiłam ci, że czuję się doskonale. Jest już prawie ciemno, powinieneś włączyć światła.

Rzeczywiście mrok nastał natychmiast, gdy tylko tropikalne słońce zapadło pionowo za splątane morze zarośli otaczających miejscowość ciasnym pierścieniem. Dotknąłem przełącznika i żółte plamy światła rozlały się po umykającej do tyłu szosie. Niedaleko za nami wciąż trzymał się mały czerwony kabriolet.

W milczeniu wjechaliśmy do centrum. Wokół zabłyśły światła, rozkrzyczany i wielobarwny tłum po brzegi wypełniał wąskie uliczki, ciepły blask rozjaśniał fasady stylowych kamieniczek. O ściany opierały się śniade dziewczęta, wystrojone w jasne sukienki, ostro kontrastujące z karnacją skóry, a z wnętrza barów i kawiarenek na wolnym powietrzu dobiegała muzyka. Ludzie rozstępowali się powoli przed maską wozu, dawali nam jakieś znaki, wokół przepływały rozbawione twarze. Po kilkunastu minutach dotarliśmy do hotelu, gdzie wynajęliśmy pokój.

- Chcesz trochę odpocząć? - nie mogłem powstrzymać się, aby nie dotknąć jej puszystych włosów. Nie odsunęła się.

- Po czym, mój drogi? Obiecałeś mi kolację, jestem głodna.

- Doskonale, ja też mam ochotę coś zjeść, zwłaszcza w twoim towarzystwie. Chodźmy więc!

Znow wtopiliśmy się w rozbawiony tłum. Ogólny nastrój udzielił się nam szybko; objęliśmy się i szliśmy powoli, uśmiechnięci, upojeni zabawą, swoją młodością i sobą nawzajem.

W półmroku przestrzennej sali białe, pełzające po ścianach punkty świetlne sprawiały wrażenie prószącego śniegu. Niemal naga dziewczyna poruszała się zwinnie jak kotka w rytmie jakiegoś dzikiego tańca na wysokiej scenie w drażniącym czerwonym blasku reflektora. Dudniąca muzyka gwałtem wdzierła się do wnętrza głowy. Poniżej sceny miarowo falował tłum, w który co chwila wbijał się snop barwnego światła, wywołując z mroku czyjąś spoconą twarz, ściskającą się parę lub ciało rzucające się w ekstatycznym tańcu.

Sala wchłonęła nas natychmiast, cętkowany mrok zamknął się nad głowami jak bura powierzchnia wody. Tańczyliśmy blisko, zrazu powoli, potem coraz szybciej w miarę jak rozgrzewaliśmy się i podniecali rytmiczną muzyką. Jej twarz była tuż obok, muskała mnie kosmykami włosów, wielkie czarne oczy błyszczały jak w gorączce. Tańczyła doskonale, całym ciałem, świetnie akcentowała każdą zmianę szybkości i rytmu. Choć sam pochłonięty tańcem, patrzyłem na nią z podziwem i niedowierzaniem - dziś rano wyłowilem topielca, a teraz przede mną szaleje żywa jak iskra, zdrowa kobieta!

Później piliśmy szampana, zsuwając się ciągle z gładkich, wysokich stołków i zanosząc się śmiechem, jakbyśmy robili coś najzabawniejszego pod słońcem. Śmiech Ailie dźwięczał niby szklane kule rozsypane w jakiejś kryształowej sali, lampy wirowały przed oczyma, a barman dolewał pianistego szampana do wysokich kielichów. W ogóle - wszyscy wokół byli życzliwi, nie mieli niczego za złe i

chcieli tylko zabawy.

Znów poszliśmy tańczyć wśród wirujących wokół płatków śniegu, a potem całowałem jej moką, gorącą twarz i wtulałem usta w zburzone włosy.

Wyszliśmy do ogrodu i wąską alejką, pośród nachylających się ku nam ciemnych liści rododendronów, oddaliliśmy się od innych uczestników zabawy. Noc była parna, duszna i gorąca; spoza woalu mgły, unoszącej się z pobliskiej dżungli, przeglądała wielka, rozmazana tarcza księżyca w pełni.

Pod srebrnym dachem najwyższej warstwy liści, w skłębionym mrocznym gąszczu szalał wściekły chór cykad. Na kamiennych ławkach, ukrytych w oplecionych bluszczem altankach, przysiadły przytulone pary.

Doszliśmy aż do końca alejki, do otaczającego ogród starego muru, w którego pęknięciach i szczelinach rozrosły się kępy traw. Padające niemal równoległe do jego powierzchni światło księżyca posrebrzyło i wycieniowało chropowatą ścianę aż do najdrobniejszych szczegółów. W jednej ze śmiesznych, starych nisz, pograżonych w całkowitym mroku, znaleźliśmy wolną ławkę.

Przylgnęła do mnie wilgotnym, gorącym ciałem, które przez cienką sukienkę wyczuwałem prawie tak, jakby była naga; drobne dłonie gładziły mnie po piersiach i plecach. Objąłem ją mocno i przyciągnąłem jeszcze bliżej, jej usta były słone, włosy pachniały delikatnie. Nasze wzajemne pieszczoty stawały się coraz śmielsze; w tej chwili oddałbym chyba wszystko na świecie, żeby tak być z nią jeszcze i jeszcze, na zawsze.

Ailie odchyliła głowę nieco do tyłu, tak że czarna chmura włosów spłynęła na ramiona i plecy, i spojrzała badawczo, jakby chciała upewnić się co do mojego zaangażowania. Uśmiechnąłem się do niej, lecz ta krótka chwila przerwy wystarczyła, aby strzępy dawnych myśli i wspomnień powróciły jak odbita od brzegu fala. Helena podobnie odchyliła głowę, lecz zamykała przy tym oczy. I miała krótkie, kasztanowe włosy, które sumiennie farbowała raz na tydzień. Co ona teraz robi? Czy zawsze musi czekać?

Ailie westchnęła i odsunęła się. Odrzuciła włosy na plecy i upięła je w ciężki węzeł. Już zamierzała wstać, gdy powstrzymałem ją ruchem ręki.

Na wprost przed nami, na ławce zalanej teraz pełnym światłem księżyca, jakaś para była w jeszcze dalszym stadium pieszczot niż my przed chwilą. Ponieważ musielibyśmy przejść obok nich, wolałem nie stawiać wszystkich w niezręcznej sytuacji.

Ailie kręciła się niespokojnie, ciągnęła mnie za rękę, lecz przygarnąłem ją do siebie łagodnie i stanowczo. Miętko pocałowała mnie w usta. Przytuliłem ją, lecz ukradkiem spoglądałem w stronę pobliskiej ławki. Spleceni w uścisku kochankowie zdawali się nie spostrzegać świata wokół, istnieli tylko dla siebie. Wtem dziewczyna odchyliła nieco głowę i spojrzała badawczo na partnera. O ile dobrze widziałem z odległości kilku metrów, twarz jej stężała, rysy stwardniały i nabrały dziwnego, obcego i odpychającego wyrazu, co stanowiło ostry kontrast z nie przerywanymi pieszczotami obojga. Trwało to tylko sekundę, może nawet mniej; chłopak z pewnością nie zauważył niczego, oddany całkowicie swojej partnerce. Zresztą ona od razu przytuliła się do niego, objęła białymi ramionami, przylgnęła czołem do twarzy kochanka.

Wtedy zastygli na moment w całkowitym bezruchu. Później dziewczyna strząsnęła z siebie bezwładne ręce partnera, dźwignęła się z trudem i zatoczyła jak pijana. Wciąż chwiejnym, lecz już nieco pewniejszym krokiem oddaliła się ciemną alejką, pozostawiając na ławce nie dającego znaku życia mężczyznę.

Opanowałem chęć ucieczki i zbliżyłem się do niego. Naga pierś, widoczna pod rozchełstaną koszulą, unosiła się i opadała regularnie, usta poruszały się szybko w niezrozumiałym bełkocie. Mężczyzna żył, lecz był nieprzytomny.

- Chodźmy stąd - Ailie położyła mi rękę na ramieniu. On jest pijany.

- Pijany? - trochę niegrzecznie strząsnąłem jej dłoń. Pochwyciłem ją natychmiast i musnąłem wargami. Kochanie, on może mieć atak serca. Może uległ ciężkiej zapaści. Sprowadzę lekarza, a ty poczekaj na mnie w hotelu, dobrze? Tak będzie najlepiej, jesteś na pewno zmęczona. Do zobaczenia!

Nie czekałem na odpowiedź, tylko ruszyłem biegiem, zostawiając ją przy nieprzytomnym. Było to nieco ryzykowne posunięcie, ale działałem pod wpływem impulsu, bez zastanowienia. Rzadko cofałem się w takich przypadkach, wierząc przesądnie w słuszność pierwszego odruchu.

Żal mi było zostawiać Ailie nawet na krótko. Czuję do niej chyba coś więcej niż tylko pożądanie, które zresztą zupełnie wystarczyło do stłumienia wszystkich niejasnych obaw. Niebawem mieliśmy spotkać się w hotelu, może uda mi się wrócić już za kilka minut. Przedtem muszę jednak zobaczyć, dokąd pójdzie tamta dziewczyna. Co ona mu zrobiła? Może zwyczajnie zasłał? Lecz wtedy naturalnym odruchem jest wołanie o pomoc. A ona tylko odeszła. Zwyczajnie, spokojnie odeszła.

Szybko przepchałem się przez pełną dudniącej muzyki i wirujących świateł salę, rzuciłem barmanowi kilka słów o potrzebującym pomocy mężczyźnie w ogrodzie i wybiegłem na ulicę, zanim zdążył zadać mi jakiegokolwiek pytanie. Potrącając ludzi, ruszyłem w dół pochyłej uliczki, potem zawróciłem w górę. Tłum był nieco rzadszy, tu i ówdzie zbierały się grupki hałaśliwej młodzieży, odbicia neonów przemykały zdeformowanymi refleksami po lśniących karoseriach przejeżdżających samochodów. Lecz jej nigdzie nie było.

- Kogo szukasz, młody człowieku? - zaskrzeczał ktoś zachrypniętym dyszkantem tuż za mną. Obejrzałem się gwałtownie.

Na niskim stołku usadowił się stary, zasuszony jak figa mężczyzna w znoszonym ubraniu z żaglowego płótna. Czaszkę obciągała gładka, ogorzała, pełna starczych przebarwień skóra, twarz była zmięta i pomarszczona, a długa szyja, na której nerwowo drgała wydatna grdyka, przypominała luźno zwisający pęk konopnych powrozów. Dziadek siedział obok opalanego węglem drzewnym piecyka, na którego płycie leżało kilka stale ciepłych kruchych bułek w kształcie obwarzanków.

Wzruszyłem ramionami, lecz stary nie zwrócił na to uwagi.

- Weź sobie bułkę, nie musisz płacić. I tak wyglądasz nieszczególnie - skrzeczał nadal. - Młodzieńcy podobni do ciebie tak gwałtownie poszukują tylko kobiety. Wystawiła cię, czy tak? Niewielkie zmartwienie, one przychodzą, odchodzą. Nie ta, to inna.

- Pan jeszcze pamięta? - mruknąłem i zrobiło mi się głupio. Pojedynawczym gestem wziąłem bułkę. Lecz stary nie obraził się.

- Mój drogi, ja miałem w życiu więcej kobiet niż ty ich zdążyłeś dotychczas obejrzeć w pismach pornograficznych. Ale, wracając do rzeczy: pamiętaj, że wcale nie jest trudno trafić na taką, która chce, znacznie trudniej trafić na taką, która nie chce! - Cha, cha - zaśmiał się nieprzyjemnie. - Ale najpierw każda chce, żebyś zrobił jej dziecko, a potem - żebyś robił na nią i na dziecko, no i był posłuszny. Reszta nie gra większej roli.

- Hola, grubo pan przesadza! - przerwałem po to tylko, żeby jeszcze bardziej podsyć rozmówcę. Zrządzenia zgorzkniałego starca miały jakiś sens, a przynajmniej były wewnętrznie spójne.

- No tak - mówił dalej - młodzi czują świat po swojemu, ja też kiedyś taki byłem, inaczej nie spłodziłbym sześciorga dzieci z trzema kolejnymi żonami własnymi, nie licząc cudzych. Ale po okresie płodzenia i posłuszeństwa chce się czegoś więcej. A z kobietami więcej już nie można.

- Aha...

- Nie, kochany - obruszył się. - Nie o te sprawy chodzi. Ja nie z tych. Człowiek po prostu chce kontaktu z kimś podobnym do siebie, tak samo czującym i myślącym.

- A czy to nie staje się w końcu nudne? Brak różnic, brak problemów...

- Nie, nudne to nie. Po prostu wszystko kiedyś się kończy. Każdy, kto nie widzi dalej niż do czubka własnego nosa, staje się na starość uparty, kłótniwy, najmądrzejszy.

- Może pan też...

- Być może. Potem już tylko dzieci są pociechą, właściwie wnuki. To młode, naiwne i jeszcze nie zakłamanie życie. I jakaś nadzieja na własną kontynuację, która trochę zmniejsza strach.

- Czy pan zawsze był tylko ulicznym sprzedawcą? - zaciekawilem się. Wyrażał się stanowczo za mądrze jak na handlarza bułkami.

- A co cię to obchodzi? - zasyczał zły. Lecz po chwili milczenia zwierzał się dalej; na pewno niełatwo mu było znaleźć słuchacza. - Teraz przynajmniej nikt mi nic nie każe, robię co chcę.

- Czy na pewno? Bawi pana rola sprzedawcy ulicznego?

- Bardzo ceniłem sobie swobodę - mówił dalej, jakby mnie nie słyszał - nawet za bardzo, dzięki czemu nie zdążyłem na stare lata zdobyć wygodnej posadki. Gdy spostrzegłem błąd, było za późno, nie mogłem już ścierpieć wysługiwania się. A teraz nawet wnuki...

Miałem jednak szczęście. Wysoka, postawna dziewczyna, ta sama, którą mimowolnie podglądaliśmy z Ailie w parku, wyszła z jakiegoś baru i zdecydowanym krokiem skierowała się w górę uliczki. Rzuciłem starcowi krótkie bezceremonialne „przepraszam” i ruszyłem dyskretnie w ślad za nią.

Szła prosto i pewnie, nie oglądając się za siebie, co bardzo ułatwiało mi zadanie. Nie kryłem się już po bramach i przecznicach, lecz posuwałem cichym krokiem kilkadziesiąt metrów za nią. Rzadko uczęszczana uliczka stawała się ciemna, zapuszczona i pełna wybojów. Minęliśmy ostatnie zabudowania, byle jak zaryglowane składy, pachnące rozgrzaną oliwą i pełne brzęku butelek tyły restauracji, a potem zaczęliśmy wspinać się leśną ścieżką, biegnącą zakosami w górę stromego stoku. Pod szczytem wzniesienia poczułem na twarzy chłodniejsze muśnięcie wiatru od ciemnego morza, rozlewającego się szeroko tam, gdzie mrowie miejskich świateł wybiegało koronkowymi wypustkami pomostów i przystani jachtowych w mroczną noc.

Powróciłem spiesznie na szlak, na ledwie widoczną ścieżkę pośród suchych kolczastych zarośli. O węzłach i skorpionach wolałem nawet nie myśleć. Jeśli ona przejdzie, ja też potrafię.

Między krzewami majaczyła jasna sukienka, chwilami znikwała zupełnie, potem pojawiała się znowu, gdy przyspieszałem kroku. Parę razy potknąłem się ciężko, raz gałąź trzasnęła pod stopą. Byłem niemal pewny, że dziewczyna dawno odkryła moją nieudolną inwigilację. Lecz nie przystanęła ani na chwilę, nie usiłowała również nigdzie się ukryć. Przypuszczalnie nie zwracała na mnie po prostu uwagi.

Między krzewami błysnęło słabe światełko. Wtem zaplątałem się w jakieś korzenie i runąłem jak długi. Barwne kręgi zawirowały mi przed oczyma. Gdy tępy ból u nasady czaszki począł ustępować, spróbowałem wydostać się z zarośli, w które wpadłem zbaczając zapewne ze ścieżki.

Ktoś mi pomagał. Czyjeś dłonie ścigały liany krępujące nogi, czułem dotyk chłodnych palców na skórze. Wreszcie mogłem odwrócić się.

Przede mną stał wysoki mężczyzna. Nie mogłem rozróżnić rysów jego twarzy, było zbyt ciemno. Wyciągnął do mnie rękę.

Cofnąłem się przestraszony i boleśnie zraniłem łokieć o kolczasty krzak. Nieznajomy zaśmiał się krótko i wyciągnął zdecydowanym ruchem ramiona. Nie mogłem się wyrwać, okazał się o wiele silniejszy. Wyplątał mnie z krzaków i postawił na ścieżce.

Był proporcjonalnie zbudowany i wysoki, wyższy ode mnie o głowę. Z bliska widziałem jego twarz o regularnych, harmonijnych, jakby antycznych rysach. Na pewno podoba się kobietom - pomyślałem nie bez cienia zazdrości.

Mężczyzna uśmiechnął się życzliwie, odwrócił i szybko znikł mi z oczu, schodząc ścieżka w dół zbocza.



Nie miałem czasu zastanawiać się nad nim. Pobiegłem w przeciwnym kierunku, usiłując wypatrzeć białą plamę sukienki. Lecz dziewczyny nie było już widać.

Ścieżka dochodziła do utwardzanej drogi, przy której stały dwa długie, biało otynkowane baraki. W małych, kwadratowych okienkach jednego z nich paliło się bladoniebieskie światło, drugi był ciemny.

Nie było widać żadnego ruchu, cisza nabrzmiewała tylko graniem cykad. Schyliłem się i przebiegłem na drugą stronę drogi. Ostrożnie posuwałem się wzdłuż ściany, aż znalazłem się pod lekko uchylonym oknem. Nie słyszałem żadnych dźwięków, wewnątrz panowała cisza. Poczulem ostry, szpitalny zapach środków odkażających.

Okno znajdowało się dosyć wysoko, tak że nie mogłem dosięgnąć futryny. Skoczyłem i uchwyciłem się wąskiego parapetu, lecz palce zsunęły się po wilgotnej od nocnej rosy listwie i opadłem z powrotem na ziemię, szorując ubraniem po chropowatym murze. Jednakże hałas ten nie przywabił nikogo.

Odczekałem chwilę i spróbowałem ponownie. Tym razem uchwyciłem się mocno parapetu i podciągnąłem się tak wysoko, że mogłem zajrzeć do wnętrza.

W sinym świetle neonowych lamp sufitowych widniały równe szeregi betonowych postumentów okrytych z wierzchu białymi prześcieradłami, pod którymi wyraźnie odznaczały się kadłuby ludzkich ciał. Jedno z prześcieradeł, narzucone niedbale, odkrywało gęsto owłosione, podkurczone nogi. Przeciąg poruszał inną białą płachtą na postumencie nieco na prawo od okna.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, odetchnąłem głęboko i uchwyciłem się parapetu z całych sił, aby nie spaść. Zdawało mi się, tak, na pewno tylko zdawało mi się, że to nie przeciąg podwiewał płótno, tylko martwe ciało poruszyło się pod prześcieradłem.

Przerzuciłem ramiona przez okno, wparłem się łokciami w futrynę i pomagając sobie kolanami zdołałem wreszcie usiąść okrakiem na parapecie. Dysząc ciężko, rozejrzałem się dokoła, lecz zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, panował spokój.

Ostrożnie wsunąłem się do środka i zeskoczyłem na podłogę. Z trudem opanowałem mdłości - nigdy jeszcze nie byłem w kostnicy, a widok ciał zmarłych napełniał mnie zawsze mieszaniną lęku i obrzydzenia. Lecz ta dziwna dziewczyna chyba właśnie tutaj weszła, a ja koniecznie chciałem... Właśnie, czego ja chciałem? Wyśledzić, dokąd pójdzie? Rozmawiać z nią? I tak wyparłaby się wszystkiego, może nawet obecności w parku. W nocy, podczas zabawy, mając jeszcze we krwi sporo alkoholu, tak łatwo przecież pomylić twarze.

Prześcieradło tuż obok poruszyło się powtórnie, zupełnie jakby trup mościł się wygodnie na swoim kamiennym posłaniu. Zdjął mnie zimny strach, poczułem, że całe ciało robi się wilgotne od potu. Niewielkie ruchy mogłyby być wynikiem skurczów pośmiertnych, które podobno występują czasami w wiele godzin po zgonie. Lecz to tylko jedno z możliwych tłumaczeń. A może...

Spróbowałem wziąć się w garść i przygotowałem się na najgorsze. Wyobraziłem sobie wzdęte, sine ciało o pogrubiałych rysach twarzy, zapadłe w głąb oczy, wyszczerzone zęby i trupi odór. Żołądek znów podjechał mi do gardła, lecz po chwili opanowałem się, podszedłem do postumentu i zdecydowanym ruchem podniosłem kraj prześcieradła.

Chmura jasnoblond włosów okalała bladą twarz dziewczyny. Oczy miała zamknięte, długie rzęsy rzucały delikatne cienie, usta rozchyłały się w zastygłym uśmiechu. Kształtne ciało w jasnej sukience spoczywało na piankowym materacu, ułożonym wprost na betonowej powierzchni. Tak, nie miałem żadnych wątpliwości, to była ona, dziewczyna z nocnego baru, za którą szedłem aż tutaj.

Ująłem ją ostrożnie za rękę. Była chłodna. Wtem odskoczyłem jak oparzony - znów poruszyła się. Ułożyła obie dłonie wygodnie na brzuchu, zamknęła rozchylone w półuśmiechu usta i wykonała ledwie dostrzegalny ruch głową, jakby szukała wygodniejszej pozycji do snu.

Stałem nad nią niezdecydowany. Budzić? Nie byłem pewien, czy spała naprawdę. Skąd ten oryginalny

pomysł ukrycia się w kostnicy?

Gdzieś skrzypnęły drzwi, w mrocznym korytarzu rozległy się kroki. Rzuciłem się w stronę wysokiego okna, lecz kątem oka dostrzegłem opodal ręczny wózek ze stertą równo ułożonych prześcieradeł. Wcisnąłem się między wózek a ścianę w chwili, kiedy do sali pewnym krokiem wszedł szczupły, wysoki mężczyzna. Skierował się wprost ku mnie.

Spostrzegł mnie - pomyślałem, czując na twarzy falę gorąca. Sprężyłem się do skoku. Postanowiłem odepchnąć go i uciec korytarzem; odwrót przez okno mógłby okazać się zbyt ryzykowny.

Był już blisko. Odsunąłem nieco wózek od ściany, aby mieć większą swobodę ruchów. Dłonie zacisnąłem aż do bólu na poręczy i już miałem się wybić, gdy minął mnie tuż obok, tak blisko, że poczułem na twarzy słaby prąd powietrza.

Podszedł do dziewczyny, której nie zdążyłem powtórnie okryć, i starannie poprawił jej prześcieradło. Następnie skierował się do przeciwległego końca sali, gdzie ułożył się wygodnie na nie zajętych miejscach i po kilku drobnych korekcjach pozycji znieruchomiał pod białą płachtą. Niemal w tej samej chwili w innym miejscu ktoś odrzucił okrycie i wstał. Była to dosyć korpulentna, lecz kształtna i pełna seksu blondynka, zrobiona na wampa: obcisłe spodnie, niemal pękające na wystających pośladkach, mocno zaciągnięty na wąskiej talii pas, bluzka zawiązana tuż pod swobodnie rozbieganym biustem, włosy ułożone w wielką stojącą grzywę. Nieprawdopodobnie kręcąc tyłkiem odeszła w półmrok korytarza. Po chwili zaskrzypiały drzwi.

Wydostałem się ze swojej kryjówki i coraz śmielej podnosiłem białe płachty. Wszędzie spoczywali uśpieni młodzi ludzie, kobiety i mężczyźni wybitnej lub ujmującej urody. Żyli, albowiem ściskając ich chłodne przeguby rąk wyczuwałem powolny puls, uderzający zaledwie kilkanaście razy na minutę.

Gdy akurat nikt nie przechodził, pobiegłem korytarzem do wyjścia. Jednakże drzwi były zablokowane i nie puściły, mimo że napierałem na nie z całych sił. Odwróciłem się i w tej samej chwili spostrzegłem policjanta, który zza grubej szyby, stanowiącej część ściany, przyglądał mi się nie mniej zaskoczony niż ja jemu.

- Co tu robisz?! - huknął tubalnym głosem i podniósł się dziwnie szybko jak na swoje potężne kształty.

Nie musiał powtarzać pytania. Nogi same niosły mnie z powrotem ku zbawczemu oknu. Dobrze, że kiedyś ćwiczyłem biegi - myślałem na samej granicy jaźni, podczas gdy resztą świadomości byłem już na wysokim parapecie. Powietrze gwizdało mi koło uszu, w pędzie przeskakiwałem kształty ludzkie pod białymi płachtami. Silne wybiecie, i oto już wczepiłem się we framugę otaczającą czarny prostokąt, pachnący duszną leśną nocą.

Lecz nie doceniłem niedźwiedziej zwinności policjanta. Poczułem na łydkach wielkie dłonie, zamykające się jak kajdany i przynajmniej stukilowy ciężar ciągnący z powrotem w dół. Nie byłem w stanie utrzymać go nawet przez moment i puściłem zbawcze okno. Gdy potężne ramie przycisnęło mnie do ściany jak robaka, zrozumiałem, że każdy rodzaj oporu jest bezcelowy.

- Panowie, i po co to wszystko? - zabrzmiał za nami dźwięczny, melodyjny głos. Policjant odsunął się nieco, choć wciąż świdrował mnie złym wzrokiem. Ruda szczupła dziewczyna podeszła tak blisko, że czułem jej oddech na twarzy. Miała złocistą cerę i dziwnie pachniała, jakby rozgrzane po kąpieli ciało natarła olejkiem ziołowym.

- Przecież on nic złego nie zrobił - wzięła mnie protekcyjnie jednym palcem pod brodę. Rozchyliła w uśmiechu pełne usta, ukazując równe, wypukłe zęby. Jej uroda była wyzywająca i drapieżna, z małą, pikantną domieszką wulgarności. Mogłaby być dobra w łóżku, ale trzeba by przedtem wypić ze dwie setki - głupie, bezużyteczne myśli kłębiły mi się jak zwykle pod czaszką.

- Poza tym podoba mi się. Przejdziemy się trochę - mówiła dalej dźwięcznym jak dzwon głosem.

Po co wałęsasz się po kostnicach w podejrzanych sprawach zamiast zająć się śpiewaniem? -

zastanawiałem się, uśmiechając się do niej z wdzięcznością.

- Jak pani sobie życzy - sapnął ze złością policjant. Ja tam bym... - machnął grubą jak kłoc łapą i wypuścił nas w ciepłą noc pełną zapachu zbutwiałych liści i nabrzmiałą wściekłym koncertem niestrudzonych cykad.

Od razu przysunęła się do mnie, czułem jej twarde piersi i ciepłe, zwinne dłonie. Ta kobieta nie tylko chciała uwolnić mnie; ona przez cały czas mówiła poważnie. Jej natarczywość wydawała się nie na miejscu.

- Chcę cię - szeptała, wkładając mi rękę pod koszulę. Jej palce wędrowały najpierw do piersi, potem opadły niżej. Znieruchomiała, najwidoczniej zawiedziona.

.- Napijmy się czegoś - zaproponowałem, coraz bardziej niechętny jej gwałtownej inicjatywie. Skinęła głową i poszła przodem, dając za wygraną.

Schodziłem tuż za nią stromą ścieżką ku falującemu światłami miastu, a głowa aż huczała mi od myśli. O co tu chodzi? Czy jest to akcja policyjno-wojskowa na szeroką skalę? Obecność karetek wojskowych w mieście, a także policjanta w podejrzanym kostnicy, wskazywałyby na udział tych służb w wydarzeniach. A może jest to walka wywiadów, specjalnie maskowana zaaranżowaną epidemią? Dziwaczne myśli przychodziły mi do głowy, a każde wyjaśnienie wydawało się równie nieprawdopodobne jak legendy o wampirach, zamieszkujących stare zamczyska i spijających krew ofiar. W końcu doszedłem do wniosku, że najlepiej pasuje do sytuacji eksperyment psychologiczny, przeprowadzany bez uprzedzenia przez któryś z uniwersytetów, lub też jedno z najnowszych przedstawień teatralnych o erotycznej treści, w którym widzowie są jednocześnie aktorami i wprost wyłażą ze skóry, aby choć na moment oderwać się od szarzyzny codzienności.

- No to cześć - pożegnała mnie moja wybawicielka, gdy dotarliśmy do pierwszych zabudowań. - Nie musisz dziękować, po prostu podobałeś mi się. Cóż, nie pasujemy do siebie, więc nie warto psuć nastroju.

- Ale może... - bąknąłem, ciesząc się tym razem z jej rzutkości i szybkich decyzji.

- Nic nie mów. Na razie jesteś fajny. Bywaj! - położyła mi dłoń na ustach i odepchnęła lekko. Odwróciła się i zniknęła w jednym z podrzędnych nocnych barów, których pełno było przy tej ulicy. Zza półprzymkniętych drzwi dobiegał senny pijacki gwar przeplatany tymi szczególnymi chichotami, które można usłyszeć tylko nad ranem, w ciemnych łóżkach lub za oknami o szczelnie zaciągniętych storach.

Wymarła ulica poszedłem do Ailie, lecz drzwi jej pokoju były zamknięte, na stukanie nie odpowiadała. Odczułem lekki zawód, ale jednocześnie ulgę.

Miałem już dość wrażeń. Wróciłem do „Albatrosa” i choć zasnąłem natychmiast, dalej męczyły mnie widziadła i zmyry.

\* \* \*

Wstałem późno z tępyim bólem głowy. W hallu przywitała mnie Frida, wymachując płachtą gazety.

- Dzień dobry, Robbie. Czytałeś już prasę?

- Nie, ciociu. Znów afery miłosne?

- Ależ, Rob, nie bądź taki złośliwy. Wiesz, ta epidemia ame...

- Amnezji? Co piszą? Dziennikarze wywęszą każdą tajemnicę.

- Już występuje nie tylko u nas. Stwierdzono przypadki - zbliżyła gazetę do oczu - na całym południowo-wschodnim wybrzeżu. Specjalne ekipy...

Przebiegłem wzrokiem krótkie doniesienie na pierwszej stronie, wciśnięte pomiędzy fotografię Miss Sezonu a wielką reklamę czepków kąpielowych. Podejrzewano, że rozwija się przywleczona z Dalekiego Wschodu nieznaną infekcją wirusową; dotychczas stwierdzono zaledwie około stu przypadków, nie było więc powodów do paniki. Niepokój wzbudzał jedynie nietypowy przebieg choroby i, co ważniejsze, brak wyzdrowień.

Wyszedłem w gorące słoneczne przedpołudnie, zegnany dziesiątkiem rad i ostrzeżeń. Pod aż nazbyt troskliwą opieką Fridy czułem się znów jak dorastający chłopiec; lecz to, co kiedyś było uciążliwym krępowaniem swobody żadnego samodzielności młodzieńca, teraz tylko mile łechtało moją próżność. Ciekawe, jak będę odbierał czyjąś troskę za lat dwadzieścia?

Jechałem powoli, nie mogąc zdecydować się na żaden z barów, rozrzuconych po obu stronach drogi jak kolorowe pudełka. Za szpalerem palm iskrzyło się kiczowato zielone morze, lecz myślami byłem teraz daleko od pierwotnego celu swoich wakacji.

Nagle zasłona spadła mi z oczu, szczegóły zaczęły składać się w spójną całość. Ależ tak! Wszystko zaczęło pasować. To nie żadne wampiry, rozkochujące, w sobie ofiarę, aby potem w momencie szczytowego uniesienia wyssać z niej jaźń! Tak, to tłumaczenie byłoby zupełnie sensowne, gdyby nie konieczność wygrzebywania wampirów ze średniowiecznego lamusa. A tę nedorzecznosc wystarczy przecież zastąpić pojęciem choroby! Jest to po prostu nowa, doskonalsza i daleko bardziej niebezpieczna odmiana choroby wenerycznej; różnica jest taka, że uprzednio znana przenosiła się przy kontakcie cielesnym, ta zaś udziela się przy pełnym zespoleniu psychicznym. Wiadomo, że w miarę rugowania poszczególnych chorób zakaźnych zwalniały się nisze ekologiczne, które nigdy nie pozostawały niezapełnione przez zbyt długi okres. Między innymi stąd rozprzestrzenianie się nowotworów, miażdżycy itd. Po syfilisie też przecież zostało wolne miejsce. Teraz należy tylko zbadać, co jest czynnikiem chorobotwórczym, bezpośrednim nośnikiem nowej plagi. Jak blisko było rozwiązanie! W zapale gotów byłem natychmiast jechać do szpitala miejskiego, aby zakomunikować o swoim odkryciu.

Odczułem gwałtowne pragnienie, skręciłem więc na podjazd wściekle kolorowego baru, usytuowanego wprost na plaży. Jego spadzisty dach pokrywała świecąca pomarańczowa farba, zaś ciemnofioletowe szyby, stanowiące ściany, były nieprzenikliwe dla wzroku zewnętrznego obserwatora.

W chłodnym powietrzu klimatyzowanego wnętrza unosił się przyjemnie drażniący zapach świeżego ciasta. Wokół roił się zgiełkliwy tłumek; wszystkie miejsca były zajęte. Podszedłem do stolika w kącie przy oknie, filtrującym z zewnątrz nieco przyciemniony obraz plaży. Młoda kobieta, którą gdzieś już chyba widziałem, niedbale skinęła mi głową i znów zasłoniła się gazetą.

Wziąłem bułki zapiekane z serem i boczkiem i zabrałem się do jedzenia. Byłem piekielnie głodny, więc całą uwagę skupiłem na pachnącym posiłku. I tylko dlatego, a raczej tylko dzięki temu, udało się im. Pewnie i tak udałoby się kiedyś, przypadek wyzwala przecież lawinę zdarzeń tylko pod ciśnieniem konieczności, ale nie wiadomo, kiedy by to wszystko nastąpiło. I jakim kosztem.

Zajęty jedzeniem nie spostrzegłem, kiedy przysiedli się do mojego stolika. W pewnej chwili poczułem się nieswojo, bułka zaczęła przesuwając się po talerzu, jakby stół przewracał się na bok. Chwyciłem się blatu i wtedy spostrzegłem jej oczy, stalowoszare, twarde, osadzone jakby przypadkiem w rozmazanym owalu kobiecej twarzy. To była Ania, ta sama dziewczyna, którą spotkałem pierwszego wieczora w nadmorskiej alei. Wtedy także, na krótko co prawda, jej wzrok zastygł w takim samym, ciężkim spojrzeniu, aby za moment odtajać w uśmiechu. Lecz tamta chwila wystarczyła, abym zapamiętał je na zawsze..

Nie musiałem odwracać głowy, bo wiedziałem, że obok mnie siedzi przedwcześnie wyłysiały, drobny mężczyzna o fizjonomii ptaka, a naprzeciw niego miejsce zajmuje niechlujny dryblas w znoszonej kamizelce. Lecz i tak nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu, stukilowy ciężar wgniatał mi

głowę między ramiona. Po wklęsłości talerza pełzał ameboidalny różowy refleks, zgrzytliwe dźwięki sztućców brzmiały nieznośnie tuż nad uchem, potężniały w kakofonię metalicznego chrzęstu wewnątrz czaszki, powoli, lecz nieuchronnie, wciągał mnie diabelski wir przemieszanych, macerujących się i zarazem wyradzających w swoje ekstrapolacje doznań wizualnych, zapachowych i dźwiękowych.

Wreszcie obłądny taniec wrażeń zmysłowych, które wydostały się ze swoich aplikacyjnych ograniczeń jak z jakiejś puszkii Pandory, stał się tak szybki, że ujednocilił się w nieszkodliwe, lecz zarazem nic nie znaczące tło. Intensywny zapach, podobny nieco do woni gorzkich migdałów, nie zdołał wypełnić luki ponagłą wyeliminowanych doznaniach, kontaktujących zazwyczaj świadomość ze światem zewnętrznym, i wtedy zrozumiałem, bo odczuwać już nie mogłem, przerażającą pustkę wokół siebie. Gdy ostra woń, ostatnia deska ratunku w tym wszechobecnym morzu nicości, z wolna zanikła, byłem bliski załamania. Lecz wtedy wyłoniły się niewyraźne kształty, wodniste i nieprawdziwe, a jednocześnie bliższe i realniejsze niż rzeczywistość, bo przenikalne dla myśli. Wszystkie obrazy, jakie wtedy stały się udziałem mojej jaźni, zarówno te tworzone przeze mnie, jak i dla mnie, były takie właśnie; ich kształty, barwy i zapachy nie wynikały z przypadku lub konieczności, lecz z potrzeby wewnętrznego-sensu - nawet uczucia stanowiły projekcję rozumu. Rozumu, który nie ześlizgiwał się po zewnętrznych kształtach rzeczy i zdarzeń, lecz wnikał w nie wszystkie.

Ujrzałem Matkę i Ojca. Byłem tam gdzieś i ja, odbierający ich tkliwość i opiekuńcze oddanie, i choć musiałem mieć wtedy nie więcej niż kilka minut, patrzyłem na wszystko tak, jakby to miało miejsce dzisiaj. Sny i obrazy przeplatały się, przenikały jak ulotne miraże lub delikatne pastelowe szkice. Było w nich tyle doskonale logicznej transformacji uczucia, że właściwie okazywały się jego nośnikami, cienką błonką, kształtem nadawanym wewnętrznej treści. Ludzie jawili się jako istoty szlachetne i dobre, i niepełny ten obraz, w który starałem się jednak włożyć wiele mocy, nie stanowił przecież tylko ślepej gloryfikacji. Miłość do kobiety nie była tylko dopełnieniem aktu posiadania, lecz także pożoga, pozostawiającą zgliszcza lub przetapiającą namiętność w głębokie oddanie.

Gorzki zapach przerwał ów płynny ciąg wynikających z siebie obrazów, począł wypierać mgliste, nabrzmiałe treści kształty. Nie! Jeszcze nie; podświadomie chciałem dokończyć, dodać coś ważnego. Woń znów zanikła, a z siennej poświaty wynurzyły się okręty, zdążające w nieznaną dal. A potem było nocne niebo pośród roztańczonych czarnych sosen, otchłanne i pełne gwiazd, i była bolesna głębia tęsknoty za obcymi, nieosiągalnymi światami, za oderwaniem się od nikłości własnego istnienia.

To wystarczyło. Tyle chciałem wyrazić w tym dziwnym przekazie, którego sensu nie próbowałem nawet zrozumieć.

Drgnąłem, bo potok ostrego światła rozlał się wokół mnie jaskrawymi plamami barw. Zrazu był to tylko chaotyczny taniec blasków, dopiero później zacząłem pojmywać ich wewnętrzną harmonię i logikę ruchu. Każdy nowy układ barwnych refleksów posiadał złożoną symbolikę, i choć przecież nie byłem w stanie odczytać bezpośrednio żadnej informacji, to pod wpływem wielokrotnie powtarzanych i korygowanych projekcji w końcu zacząłem rozumieć ich ogólny sens. To było zupełnie tak, jakbym sam, z wahaniem, dochodził do pewnych prawd, jakbym z wolna coraz bliżej krążył wokół ośrodków właściwych odpowiedzi, nie będąc ich jednak pewien do końca i całkowicie. Zdawało mi się, że zostałem poddany szczególnemu rodzajowi stymulacji lub sugestii.

Stary świat jawił mi się w nowej, odmienionej postaci. Znana rzeczywistość okazała się jedynie drobnym fragmentem całości, cienką powłoką skrywającą niepojęte zrazu treści. Ludzkość stanowiła co prawda zwieńczenie ziemskiego życia białkowego, lecz egzystowała wewnątrz złożonej piramidy innych istnień, bytów współzależnych i przenikających się w różnych wymiarach, upływach czasu i przestrzeniach. Śmieszne wydały się pytania człowieka o istnienie życia w kosmosie lub pragnienie kontaktu z pozaziemską cywilizacją. To życie widziałem teraz, kłębiło się ono wokół, groźne,

nieprzyjazne i niepojęte. Szansę porozumienia się były znacznie mniejsze niż na przykład przyjaźni między motylem i ostrygą. Lecz, podobnie jak w ziemskim światku, wszędzie toczyła się bezwzględna walka o przetrwanie, prowadząca się do dominacji, wykorzystywania i unicestwienia innych rodzajów istnienia. Różnice wynikały z zupełnej bezbronności ofiar, które zwykle nie wiedziały nawet, dlaczego giną.

Był to obraz piękny i przerażający jednocześnie, niszczył bowiem bezlitośnie ludzkie wyobrażenia o innym, lepszym, bo wyższym, porządku rzeczy. Wiedziałem jednak, że człowiek będzie zawsze gonił za tą ułudą, szukał jej na coraz dalszych poziomach bytu.

Widziałem jeszcze wiele obrazów, projekcji tak złożonych i wieloznacznych, że pojęcie ich sensu leżało daleko poza możliwościami mojej percepcji. Inne układy barw i kształtów były mi jakby znane, właściwie je rozumiałem, lecz nie mogłem sobie przypomnieć wywoławczego hasła, znajdowało się ono tuż za cienką, lecz nieprzenikliwą dla myśli przegrodą. A wszystko razem układało się w serię obrazów wciągającą mnie coraz dalej w obcą rzeczywistość.

Nagle grą barwnych plam ustała. Diabelski młyn wrażeń zmysłowych znowu wirował wokół mnie, stopniowo wyłaniały się z niego zgrzytliwe brzęki sztućców, dudnienie prowadzonych półgłosem rozmów, przepływały smugi zapachów, pomarańczowe refleksy roztopiły się we wklęsłości talerza, na którym spoczywała moja jeszcze ciepła „zapiekanka. Odzyskiwałem kontakt z dostępnym człowiekowi fragmentem rzeczywistości.

Podniosłem głowę, lecz wokół wszystko biegło swoim normalnym trybem - brodaci chłopcy i skąpo ubrane, pełne siły witalnej dziewczyny jedli z apetytem, siwy śniady barman w muszce i białej marynarce serwował drinki i piwo, a w kącie pod oknem rozsiadł się stały klient z rozpostartą płachtą gazety. Pozostałe trzy miejsca przy moim stoliku były wolne.

Całe zajście nie mogło trwać dłużej niż kilka minut, skoro moje danie było jeszcze ciepłe. Jadłem machinalnie mając głowę pękającą od wrażeń, lecz z trudem przychodziło mi ułożenie ich w logiczny ciąg. Wciąż nie mogłem lub nie chciałem zrozumieć wszystkiego, doznania sprzed chwili zacierały się w pamięci jak barwny, sugestywny sen.

Wyszedłem z baru i pojechałem do centrum.

\* \* \*

Powietrze było tu rześkie i czyste, nasycone ostrym blaskiem słonecznym, a grzbiety pobliskich szczytów zdawały się wspierać głęboki granat nieba swoimi wyszczerbionymi graniami. Stąpaliśmy po kobiercu rozległej górskiej łąki, podziurawionym przez wypiętrzone kurhany kruchych skał.

Ailie zastałem w hotelu, czekała na mnie. Postanowiliśmy pojechać dzisiaj w pobliskie góry, aby dla odmiany odetchnąć nieco chłodniejszym powietrzem. Teraz biegaliśmy po trawie, goniliśmy się jak dzieci, tarzaliśmy się w zielonym gąszczu łodyg i całowaliśmy się do utraty tchu. Ta czarna, zgrabna, lecz trochę jakby przerośnięta dziewczyna stała się mi nagle potrzebna i bliska; gdy byłem z nią, odkładałem na później sprawdzenie wszystkich podejrzeń. Podejrzeń, bo pewności już nie miałem. Powtarzałem jednak sobie ciągle, że muszę zachować czujność.

Po jednej z gonitw leżeliśmy tuż obok siebie, ja na wznak, ona piersią wsparta o moje biodro. Gładziłem jej gęste, czarne jak węgiel włosy, nabierałem je pełną garścią i czułem ich ciężar. Żadna dziewczyna spośród tych, które znałem...

- Dlaczego...? - spytała Ailie z wyrzutem, podnosząc głowę. Zdawała się czytać w moich myślach,

może, do licha, i to potrafiła?

- To Helena. Kobieta, która wciąż na mnie czeka.

- Czułam to. Dlaczego nie powiedziałeś mi od razu?! - pąsowy rumieniec oblał jej zwykle bladą twarzyczkę. Usiadła, splotła ręce na kolanach.

- Bo to już skończone. Naprawdę.

Nagle przeniknął mnie głęboki, bolesny żal. Biedna Helena, nawet nie domyśla się, jak wiele jej zawdzięczam. Na pewno byłaby szczęśliwa wiedząc, że uratowała mi życie, lecz przecież nie powiem jej o tym. Tak będzie lepiej. Helena. Uwalniałem się od niej jak statek od balastu, ale płaciłem wysoką cenę. Przez wspólne lata stała się częścią mnie samego, tak zgrana i do znudzenia dopasowana jak druga dłoń. Oto zostawiam dobrą, oddaną jak wierny pies kobietę i prowadzę ryzykowną grę z pełną zatrutej słodyczy, urokliwą dziewczyną-skorpionem. Głupi wyskok czy prawidłowość? A może trochę hazardu i niepewności też należy do szczęścia?

- Teraz jesteś ty. To znaczy byłabyś, gdyby...

Zrobiło mi się gorąco. Te słowa były przedwczesne. Zbliżał się koniec, który tak bardzo chciałem odwlec.

- Gdyby nie ona?

- Nie, przecież mówiłem, że tamto już skończone. Jest coś innego. Może później...

- Nie rozumiem.

- Widzisz... ja wiem. Wiem wszystko.

- Wszystko o czym?

- O tobie. Kim ty właściwie jesteś? Skąd się tu wzięłaś?! - pytanie zabrzmiało o ton za ostro, ale postanowiłem rzucić wszystko na jedną szalę.

- Ja... ja nie wiem. Przecież ty sam... - kąciki ust zadrgały jej lekko, oczy stały się wilgotne.

- Tak? To ci powiem! - krzychałem prawie, doprowadzony do kresu cierpliwości jej biernością, własną szorstkością dla tak drogiej mi już istoty i tą całą beznadziejną sytuacją. - Chcesz mnie omotać, a potem zniszczyć, zabić, zamienić w bezmyślną kukłę, w wegetujące ciało, a sama jesteś mordercą, modliszką, czyjąś atrapą, którą ja, idiota, poko... chciałem pokochać!

Odetchnąłem głęboko i widząc jej zmieszanie graniczące ze strachem mówiłem już spokojniej:

- Widzisz, kochanie, to skomplikowana sprawa. Ty sama, być może, nie znasz dokładnie swojego przeznaczenia, swojej roli w rozgrywających się tutaj wypadkach. A jesteś... rzeźnikiem, dostarczającym komuś ludzkiej stawy.

- Co?! - jej oczy stały się wielkie i okrągłe. Wyglądała tak zabawnie, że mimo całej powagi sytuacji nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Mówiłem jednak dalej w nadziei, że wreszcie odkryje swoje prawdziwe oblicze. Jaka ona była naprawdę?

- Tak, moja droga. Tak jak nam smakują na przykład bażanty, tak ktoś gustuje w nas, ludziach. Ty, dzięki swojej urodzie, zostałeś przez te istoty z wyższego poziomu bytu wybrana i przeznaczona na łowcę. Wykorzystując najsilniejszy popęd człowieka, popęd do płci przeciwnej, rozkochujesz innych i wtedy, w chwilach najwyższych uniesień, stają się oni dla ciebie bezbronni. Wysysasz z nich pamięć, całą zawartość informacyjną mózgu, rzeczywisty dorobek życia ludzkiego, bo właśnie to potrzebne jest owym istotom.

Obserwowałem ją bacznie, lecz najwidoczniej niczego nie rozumiała, co usiłowała pokryć niepewnym uśmiechem, lub też maskowała się doskonale.

- Jeszcze nikt nie mówił mi podobnych głupstw.

- Może nie zdążył. Zresztą pamięć twoja nie sięga zbyt daleko, łowcy widocznie nie jest potrzebna znajomość szczegółów życia sprzed powołania do tego zadania. Prawdopodobnie zostają zachowane

tylko wyuczone odruchy i wzmocnione niektóre podświadome popędy,. reszta jest odpowiednio sterowana. Czy po każdym udanym polowaniu wracałaś do kostnicy na wzgórzu, do kolegów i koleżanek „po fachu”, aby dalej przekazać zdobyty zapis? A może przekazywany był natychmiast po akcji? - podnosiłem mimowolnie głos.

- O czym ty bredzisz? - jej oczy zwęziły się w złości.

- A może jesteś po prostu antropoidalnym automatem, skonstruowanym specjalnie do łowów seksualnych? - znów prawie krzyczałem. - Pojawiasz się nagle na dnie oceanu, akurat pod naszym jachtem, jakbyś została tam umyślnie podrzucona i w odpowiedniej chwili włączona?

- Kto naopowiadał ci takich głupstw? - spytała zimno, powoli cedząc słowa.

- Oni sami, jeśli cię to interesuje! Nawiązałem kontakt z trojgiem pośredniczących ludzi, którzy prawdopodobnie spełniali jedynie rolę przekaźników. Widocznie nie każdy z Nich ma na nas jednakowy apetyt, niektórych interesują również inne aspekty sprawy. I co ty na to?! - byłem przekonany, że teraz przyzna się do wszystkiego. Lecz tylko wzruszyła z niechęcią ramionami.

- Jesteś głupi. Głupi i podły.

Zły i zawstydzony, ukryłem twarz w trawie. Czuję, wiedziałem, że ona tuż obok płacze. Po chwili wstała i odeszła, zwyczajnie cicho odeszła. Gdy jej biała sukienka była już tylko daleką plamą, jeszcze jednym kwiatem bujnej łąki, zerwałem się i pobiegłem za nią jak szalony. Bez tchu zastąpiłem jej drogę, wpiłem się palcami w ramiona, potrząsałem co siłą,

- Powiedz coś, do cholery!

- Po prostu kochasz tamtą... Helenę. Mogłeś to powiedzieć wprost, zrozumiałabym - mówiła cicho, ze spuszczoną głową, nie próbując nawet wyswobodzić się z uścisku.

- To nie miłość. To... - nie mogłem znaleźć słów takie głupie przywiązanie, sentymenty. Nie chcąc komuś zrobić krzywdy, robisz może jeszcze większą. Ale na tym świat nie może się kończyć!

- Zawsze jak jesteś ze mną, wracasz do niej. A te twoje wymysły... o zabijaniu, to nie ma żadnego sensu, to niezrozumiałe bzdury. Teraz odejdę, ale błagam, nie psuj mi wspomnień takimi podejrzeniami, nie graj, nie usprawiedliwiaj siebie przed sobą samym. Nie wysilaj się, mów wprost, tak będzie znacznie prościej i... lepiej.

Potem wszystko poszło już bardzo szybko. Podniosłem jej małą główkę i scałowywałem łązy z policzków, tuliłem mocno do piersi, czując roztrzepotane jak ptak serce, ścisakałem gorące drobne ciało. Nie, ona była, musiała być zwykłą, normalną dziewczyną, małą dziewczynką, zagubioną i zalęknioną. Nie miałem przecież przeciw niej żadnych dowodów, a nawet nie chciałem mieć ich w tej chwili. Kochaliśmy się pośród wielkiej, tętniącej życiem łąki, pod kloszem granatowego nieba. Zatraciłem się zupełnie, myślałem tylko o jej piersiach, które mogłem nakryć dłońmi jak dwa białe gołębie, o gorących i ruchliwych biodrach, byłem pełen uniesienia i czulej tkliwości. Nawet nie wiedziałem, kiedy odchyliła głowę i spojrzała na mnie twardym, badawczym wzrokiem.

Ocknąłem się wśród traw. Zielona dżungla pełna była bujnego życia, na każdym metrze dziesiątki, setki istot miały tu swój dom. Jakże piękny widok stanowiły roje barwnych motyli, niebieskoskrzydłe ważki i tańczące osy, lecz jak bezwzględna walka toczyła się bezustannie w gąszczu łodyg i ponad kielichami kwiatów.

Wtem przypomniałem sobie wszystko i zerwałem się na równe nogi. Musiałem zasnąć na chwilę, ale czułem się zupełnie dobrze, pamięć funkcjonowała bez zarzutu. Miałem więc rację. Ailie...

Obok bezwładnie leżało jej ciało. Zimny strach chwycił mnie za piersi, przyklęknąłem, zacząłem szarpać, bić po twarzy, rozcierać. Musiałem też głośno krzyzczeć; bo w pewnej chwili otworzyła szeroko oczy i spytała zdziwiona:

- Co się tu dzieje? Po co tyle hałasu?



Przypadłem do niej, lecz odepchnęła mnie i obrzuciła obcym, niechętnym spojrzeniem. Wstała i otrzepała sukienkę.

- Proszę bez poufałości. Nie lubię tego.
- Ależ Ailie! Przecież... - nie wiedziałem, co powiedzieć.
- Czy mogłabym prosić o odwiezienie na najbliższy dworzec?
- Ailie, opamiętaj się! Co ty mówisz?

Znów spojrzała na mnie chłodno, lecz z pewnym rodzajem zainteresowania, z jakim zwykle obserwuje się eksponaty egzotycznych roślin lub rzadkie zjawiska atmosferyczne.

- Nie wiem doprawdy, dlaczego pan nazywa mnie tym imieniem, ani dlaczego pan tak się ekscytuje. Lecz chyba mimo wszystko życzy pan mi dobrze, wobec tego proszę spełnić moją prośbę.

- Dobrze sobie! Ale... - nasunęło mi się niedorzeczne przypuszczenie! - pamiętasz swoje nazwisko, miejsce zamieszkania i pracy?

- Także miejsce urodzenia, imiona rodziców, nazwę i adres swojej uczelni, i parę innych drobiazgów. Pamięć mam niezłą, tylko pana nie mogę sobie jakoś przypomnieć. Proszę więc zaprzestać tej komedii, nie jest to najelegantszy sposób zawierania znajomości.

Świat zdawał się wirować, rozpadać i walić na mnie ze wszystkich stron. Co za okrutne igranie z jednym z najsilniejszych ludzkich uczuć!

- Nic nie pamiętasz? Jachtu, wczorajszej zabawy, i tego wszystkiego... dzisiaj? - patrzyłem na drobne wypukłości jej piersi i krągłość bioder, pokrytych tylko cienkim zawojem sukienki. Wyniosłość i niedostępność tej dziewczyny potęgowały jeszcze pomieszane uczucia pożądania, czułości i zapiekłego żalu.

- Dosyć! Chodźmy - kąty jej ust opadły, spojrzenie stało się twarde i złe, co natychmiast przydało lat dotychczas trochę dziecinnej twarzyczce. Ostry ton zabolął mnie - ja też potrafię być zawzięty w gniewie i złości. Jeszcze pół godziny temu kochałem, tak, ale przecież nie tę dziewczynę.

Podniosłem kurtkę i ruszyłem przodem bez słowa. Szliśmy bezkresną, pochyłą niecką górskiej łąki, potykając się o wielkie kępy grubej trawy. Złość powoli opadała, pozostawał głuchy, bolący żal. Nie do niej, bo cóż ona była winna? Do tych wyższych racji, do zjawisk o szerokim zasięgu, dla których nasze największe namiętności lub sprawy życiowe o pierwszorzędym znaczeniu stanowią tylko przypadkową, nieistotną pochodną lub drobny pyłek na drodze konieczności dziejowej.

Gdy doszliśmy do szosy, wyciętej w pochyłości zbocza, cicho nadpłynęła pierzasta mgła. Zawieszony w białym mleku, mając tylko kilkanaście centymetrów pewnego gruntu pod stopami, poczułem się niepewnie. Po omacku trafiłem na szeroki kamień i usiadłem. Jej głos dobiegał jak poprzez zwoje waty, wyciszony i zmiękczonej na tysiącach zawieszonych między nami mikroskopijnych kropli..

- Ja... nie chciałam pana urazić. Dla mnie to też niezręczna sytuacja. Niech pan wczuje się w moje położenie.

Oddychałem głęboko. Wczuć się w jej położenie! To mogłoby być nawet ciekawe. Chociaż właściwie nie przecież nic nie pamięta, oprócz swojego normalnego życia.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, niepewnie (a może tylko mgła zniekształcała jej głos?) mówiła dalej:

- Nawet nie wiem, jak się tutaj znalazłam. Na początku myślałam, że to może pan mnie... to znaczy... Ale teraz...

Chmura odpłynęła tak nagle, jakby podniosła się mlecznobiała zasłona, i poraziło nas ostre światło nisko stojącego słońca. Dziewczyna umilkła, jakby zawstydzona jasnością rozlaną niespodziewanie dokoła.

Niebawem dotarliśmy do samochodu i rozpoczęliśmy ostrożny zjazd. W miasteczku najpierw

udaliśmy się do (hotelu po jej rzeczy, potem pojechaliśmy na Terminal. Przez cały czas nie zamieniliśmy ani słowa.

Błyszczące nikłem karoserie autobusów przypominały skorupy olbrzymich żuków szykujących się do drogi. Zaparkowałem naprzeciwko kas biletowych. Czułem wilgotny ucisk w krtani.

- Czy... pani naprawdę niczego nie pamięta? Z tego, co przeżyliśmy wspólnie? - pytałem w kółko o to samo, mając w głowie zupełną pustkę.

Milczała długo, myślałem już, że wyszła z wozu. Ale nie ruszała się z miejsca, siedziała ze zwieszoną głową w powodzi czarnych włosów, ściskając swój podróżny neseser.

- Przepraszam, jeśli zrobiłam coś złego. Ja naprawdę... nie chciałam. Nie wiem nawet, jak wydostałam się ze swojego miasta; to przecież nie pan? - spojrzała na mnie pytająco, a potem ciągnęła cicho dalej: - Potem był sen, przeważnie przyjemny, lecz niczego już nie pamiętam, oprócz ogólnych wrażeń i nieistotnych strzępów obrazów, no i świadomości, że przecież coś przeżywałam Czy pan... wiem, że to brzmi śmiesznie... jest człowiekiem z tego snu? - spojrzała mi prosto w oczy, głęboko i badawczo, aż poczułem nieprzyjemny dreszcz. Uwierzyłem wreszcie; że naprawdę nic nie pamięta, i że to wszystko nie ma sensu.

Po ukrytej w mroku twarzy dziewczyny pełzały ostre światła powoli przejeżdżających samochodów.

- Mam do pana dużo sympatii, ale to przecież... tylko ulotne wrażenia senne, rozwiewające się przy pierwszych promieniach słońca. Cóż to może mieć za znaczenie? - znów spojrzała na mnie badawczo.

Było mi źle i głupio, chciałem już przeciąć tę rozmowę, uciec od trudnej do zniesienia sytuacji. Czułem strużki potu na plecach.

- Ma pani rację, to nie ma żadnego znaczenia. Dla pani. Trochę inaczej ma się rzecz z człowiekiem, dla którego pani sen był prawdziwą rzeczywistością, a w każdym razie przeżyciem tysiącokrotnie intensywniejszym niż senne zjawy. Nie ma pomostu między bytami tak różniącymi się realnością i mocą odczuwania. Życzę przyjemnej podróży.

Otworzyłem drzwi, do wnętrza wozu wtargnął zgiełk Terminalu, zmieszane głosy, warkot silników, trzaskanie drzwi, samochodowych.

- Dokąd pan teraz pojedzie? Co pan zamierza robić? - pytała z nutą troski w głosie, wciąż nie ruszając się z miejsca.

- Dokąd? Do „Albatrosa” - odpowiedziałem machinalnie - to znaczy do domu. Zresztą to już tylko moja sprawa. I przyrzekam, że więcej nie nawiedzę pani w żadnym śnie. I że śnić pani będzie zawsze normalnie, bez zmiany miejsca pobytu, w ciepłym łóżeczku, u boku tego najlepszego z najlepszych.

Wzruszyła ramionami w geście bezradności i wysiadła. Szła w stronę Terminalu lekkim krokiem, kołysząc kształtnymi biodrami i nie oglądając się za siebie.

Położyłem głowę na kierownicy i siedziałem tak - nie wiem: minutę? godzinę? Nie myślałem o niczym, nawet głuchy żal jakby stępsiał. Byłem pusty jak wypalony pień.

Ruszyłem powoli jak na zwolnionym filmie, bez celu. Słońce zaszło już za dalekie góry rozlewając na połowie nieba powoli gasnącą pożogę, cofającą się przed nieostrą granicą nasuwającej się na firmament kopuły ciemności. Czarne sylwety nastroszonych palm na tle karminowej czerwieni wyglądały kiczowato jak na obrazku z taniego kalendarza ściennego. Światła wyprzedzających mnie samochodów wymacywały klinami jasności wątle namiastki dziennych pełnych krajobrazów. Lecz ja tego wszystkiego nie widziałem; ledwie to rejestrowałem. Zatrzymywałem się na podjazdach restauracji i moteli, czynnych całą noc centrów handlowych i przed wejściami do kin. Z politowaniem obserwowałem wszystkich kręcących się wokół ludzi, spieszących się do swoich małych spraw, toczących błahe rozmowy i cieszących się z byle czego. Czy to możliwe, abym i ja kiedykolwiek do nich należał?

Co jakiś czas wzbierał we mnie głuchy żal, dławił za gardło i palił oczy, oblepiał i obezwładniał jak

obrzydliwa maź. Lecz za chwilę znów jechałem dalej, pusty i bezmyślny jak maszyna.

Jakiś samochód uporczywie trzymał się za mną i migał światłami, chociaż kilkakrotnie już zachęcałem go do wyprzedzania. Nie był to wóz policyjny, więc kto? Zjechałem machinalnie na jakiś parking, wyłączyłem silnik i wysiadłem z wozu. Odwracając się omal nie wpadłem w objęcia Karola.

- Cześć, zasuszone mumio naukowca! Bardzo dobrze skręciłeś, właśnie tutaj jechaliśmy. Mówię ci, doskonała knajpa. Poznajcie się, proszę: Robert, zawód ścisły, badawczy i poważny, a to Stefan, biolog, który nawrócił się w porę na dziennikarkę. Chodź, Rob, zapraszamy cię na jednego, dziś świętujemy sukces!

Uścisnąłem dłoń jakieś niedużego muskularnego faceta z czarnym wąsem. Jego wygląd był mi zresztą zupełnie obojętny, tak samo jak euforyczno-pijackie podniecenie Karola. Obydwaj mieli już tego w czubach.

Niezbyt chętnie dałem się wciągnąć do restauracji. Wnętrze było ciemne od dymu papierosowego, szafa grająca ryczała na cały regulator, od stolików dobiegał gwar zbyt głośnych rozmów i chrapliwe śmiechy. Cofnąłem się i chciałem wyjść, uciec od tego wszystkiego, ale Karol wepchnął mnie do środka. Usiedliśmy, na stole zaraz pojawiła się butelka.

- Oj, Robbie, nietęgą masz dziś minę - ryczał Karol, aby przekrzyczeć hałas - przepłucz sobie gardło!

Nalał mi pół szklanki brandy, którą bez zastanowienia wychyliłem duszkiem. Piekący płyn rozgrzał gardło, przyjemne ciepło rozlało się szeroką falą po piersiach. Poczułem lekki zawrót głowy, a otoczenie stało się trochę bardziej sympatyczne. Szkoda, że nie ma tu Heleny - czułaby się doskonale.

Dobrze, że Karol odwrócił moją uwagę od spraw, w które znów się zacząłem niebezpiecznie ześlizgiwać.

- Wiesz, stary, odnieśliśmy sukces. Wielki sukces! Prasa to jednak potęga, zwłaszcza gdy weźmie się za słuszną sprawę!

- Pewnie znowu jakaś akcja ujawniająca pozamałżeńskie rozrywki przywódcy frakcji parlamentarnej - zabrzmiało to trochę zbyt cynicznie, lecz dziennikarze nie dali się obrazić. - A może coś nowego o epidemii śpiączki?

- Od razu widać, że czytujesz tylko żerujące na sensacji brukowce - Karol nie pozostał mi dłużny. - Póki czas, przerzuć się na naszą przyzwoitą gazetę. Ale, chciałem ci opowiedzieć o ostatniej kampanii. Nie, o epidemii nie wiemy niczego nowego. Ogólnie chodzi o sprawy, o których dyskutowaliśmy już wczoraj.

- Aha, pamiętam. Próbujecie zdystansować się od atawizmu przodków w imię etyki człowieka rozumnego. Czyżby już udało się wam preforsować zakaz uboju niewinnych cieląt? - alkohol zmienił moje samopoczucie w zgryźliwy, wisielczy humor.

- I to może przyjdzie z czasem. Wtedy ominiemy konieczność masowego likwidowania życia, które potencjalnie może mieć jakąś swoją świadomość istnienia. Na razie jednak trzeba zacząć skromniej, od mniejszych problemów - Stefan odezwał się po raz pierwszy, cedząc powoli sylaby. Trudno było stwierdzić, czy seplenił z powodu zbyt częstych toastów, czy też miał zwykłą wadę wymowy. Zresztą czy to było ważne? Co mnie w końcu obchodziła cała ta ich pseudofilozoficzna gadanina? Nastrój niezbyt pasował do poważnej dyskusji, a mimo to Stef starannie przeżuwał każde słowo, zanim wydobyl je spomiędzy pociesznie złożonych warg.

- ...od dawna. Lecz korzyści niektórych państw z odłowów były zbyt duże, floty rozbudowywane, tak że wciąż zrywano wszelkie porozumienia. Natomiast waleni było coraz mniej, dalsze akcje groziły całkowitym ich wytepieniem. Postanowiliśmy więc zmobilizować szeroką opinię publiczną, lecz w tym celu musieliśmy zdobyć nowe, spektakularne i trafiające do przekonania materiały o życiu tych potężnych ssaków. Mniejsza o szczegóły, ale zorganizowaliśmy wyprawę, której rezultaty przeszły najśmielsze

oczekiwania...

- I w „Gazecie Południowej” ukazał się szokujący artykuł pod tytułem „Życie intymne orek podczas sztormu”?

- Strasznie jesteś dziś dowcipny, ale może i, wysłuchasz Stefa? - wtrącił Karol. - Potem powiesz swoje, jeśli coś z tego zrozumiesz.

- Najtrudniejsze okazało się pochwylenie egzemplarza do badań. Chcieliśmy prowadzić je w naturalnym środowisku bytowania zwierząt za pomocą odpowiedniej aparatury, umocowanej do upatrzonej, statystycznie przeciętnej sztuki.

- No i co dalej? - zapytałem z rosnącym zainteresowaniem. Na mnie też polowano w analogiczny sposób.

- Długo ścigaliśmy wybranego walenia, którego uznaliśmy za reprezentatywny egzemplarz, zanim mogliśmy w sprzyjających okolicznościach umocować do jego skóry aparaturę za pomocą odpowiednich przyssawek...

- Co to znaczy „sprzyjające okoliczności”?

- Że mogliśmy zbliżyć się na tyle, aby nieszkodliwie ogłuszyć go falą infradźwięków o odpowiednim natężeniu. Tę samą operację trzeba było powtórzyć w celu zdjęcia aparatury z zapisami. To okazało się jeszcze trudniejsze. Raz profesjonalni myśliwi o mało nie ustrzelili naszego wybranka, na szczęście byliśmy w pobliżu.

- I co odkryliście?

- Materiał naukowy jest ogromny, trudno omawiać te sprawy w takich warunkach. Trzeba by było...

- Nie bądź taki drobiazgowy, Stef, rzuć mu parę szczegółów - wtrącił znów Karol.

- No, na przykład... badanie elektroencefalograficzne wykazało bardzo wysoką i skomplikowaną aktywność mózgu tych zwierząt, ściśle skorelowaną z wykonywanymi czynnościami, a także ze stanem emocjonalnym.

- Czy to nie zbyt daleko idąca antropomorfizacja tych zwierząt?

- Bynajmniej, stwierdziliśmy to ponad wszelką wątpliwość. Poza tym obserwowaliśmy u nich złożone systemy ekologiczno-społeczne.

- Chciałbym przejrzeć te wasze artykuły.

- Chętnie je udostępniemy. Jeszcze jedno: mózgi tych zwierząt zdolne są do pewnego rodzaju abstrakcyjnych skojarzeń. Dane te wynikają z precyzyjnych pomiarów porównawczych.

- Trudno w to wszystko uwierzyć. Poza tym kwestia interpretacji...

- Na pewno, ale przedstawiłem fakty. Dalsza drobiazgowo analiza danych przeprowadzana jest w renomowanych ośrodkach badawczych, może uzyskamy jeszcze dokładniejszą interpretację. Po prostu należy spojrzeć na pewne sprawy bez uprzedzeń i nie bać się wyciągania wniosków.

- Nasze artykuły wywołały burzę - entuzjazmował się Karol. - Pod presją opinii publicznej i postępowych środowisk akademickich Trybunał Morski wydał dekret o wzięciu waleni pod pełną ochronę i o wytyczeniu rezerwatów, w których zostaną stworzone optymalne warunki dla ich rozwoju. Właśnie dzisiaj otrzymaliśmy wiadomości o wynikach obrad, stąd fetowanie zwycięstwa!

- Decyzja Trybunału nie zmieni wiele w ogólnym bilansie. Pewnie tylko dlatego została podjęta.

- Zmieni niewiele, zgoda, ale nie sposób dokonać wszystkiego od razu. Jak wiadomo z historii, wielkie apokaliptyczne zmiany przynosiły zawsze więcej szkody niż pożytku. Małymi krokami, stopniowo formując nową mentalność ludzką, należy posuwać się naprzód. Kiedyś może wszyscy zasłużymy sobie wreszcie na miano homo sapiens...

- No tak, to wszystko jest bardzo interesujące - czułem, że po chwilowym zapomnieniu wracam do poprzednich myśli i problemów. - Przyślij mi, Karolu, te artykuły, tutaj masz adres. A do ciebie, Stef,

mam jeszcze jedno pytanie.

- Słucham.

- To nie dotyczy waszych spraw... bezpośrednio. Ale może jako biolog znasz takie przypadki. Chodzi mi o... możliwości odżywiania się mózgiem innych, no, gatunków.

- Oczywiście... - Stef szykował się do następnej przemowy.

- Nie, nie miałem na myśli spożywania mózgu jako organu. Raczej wchłanianie pamięciowego zapisu molekularnego, coś jakby żerowanie na informacji. Lub zbieranie danych o ludziach u samego źródła. Nie potrafię tego dokładniej sprecyzować.

- Nie, Robercie, o niczym takim nie słyszałem, może z wyjątkiem znanych doświadczeń na wyplawkach. W tym przypadku, jeśli przypominacie sobie te dawne publikacje, konsumpcja fizyczna dawała w efekcie również przyswojenie informacji. Ale nie o to ci chyba chodzi.

- Skąd wpadłeś na taki pomysł? O ile cię znam, zawsze trzymałeś się blisko ziemi, to znaczy praw pobłogosławionych już przez oficjalną naukę - Karol aż uniósł brwi ze zdziwienia.

- Tak mi przyszło do głowy, chyba pod wpływem waszego filozofowania - odparłem nieszczerze. - Ale to nieważne. Rzeczywiście odnieśliście sukces.

- Tak, to byłoby coś w rodzaju apetytu informacyjnego - rozmyślał głośno Karol - lub kolekcjonowania zapisów naszych wrażeń i przeżyć. Strawa raczej dla ducha niż dla ciała...

Nie chciało mi się rozwijać wątku; przecież nawet oni, trochę stuknięci zapaleńcy, nie daliby wiary mojej opowieści. Ja sam nie rozumiałem wszystkiego, a chwilami sądziłem, że cała historia jest przypadkową zbitką statystycznie możliwych zbiegów okoliczności. Może tak było rzeczywiście? A może ludzie też znaleźli się pod ochroną? Łowcy powrócili do pierwotnych wcieleń, a ja dzięki temu żyję...

Ale jeśli ten w końcu logiczny ciąg zdarzeń ma głębszy sens, to zbliżyć się do Nich, prosić, może nawet odzyskać Ailie mogę tylko tam...

Pożegnałem się pospiesznie, dziękując za ciekawe informacje, i wyszedłem. Od morza płynął trochę chłodniejszy wiatr, poczułem się zupełnie trzeźwy. Jechałem ostro, pewnie prowadząc wóz pustą o tej nocnej porze drogą.

Dlaczego ją pokochałem? Czy skusiło mnie ciało, czy zadziałało pierwotne pożądanie, które napędzało się potem dodatnim sprzężeniem zwrotnym? Czy może zafascynowała mnie jej uroda, harmonia kształtów, wdzięk osobisty, na który składa się zarówno połysk i zapach włosów, jak i sposób składania warg przy mówieniu? Sposób stawiania stóp przy chodzeniu lub pochylania głowy w kokieterijnym nadąsaniu? Czy w końcu pragnąłem z nią rozmawiać, przyciągnął mnie szczególny sposób dobierania słów i wyrażania myśli, a może sama istota myśli i idei, zgodność lub przeciwstawność rozumowania lub jakaś podświadoma koincydencja odczuć, stopiona w jedną falę współbrzmienia?

A ona? Czym mnie kochała - czy zmysłem dotyku, pragnąc delikatnych pieszczot, czy pożądając zbliżeń erotycznych? Gdzie jest siedlisko, praźródło miłości? W brzuchu, układzie nerwowym, skórze, sercu, czy może w mózgu? To jasne, że w mózgu. Pragnienie kogoś bliskiego, oddanie, poświęcenie, wspólne radości i smutki, kontakt psychiczny i zbieżność myśli - to wszystko ma źródło w mózgu. Lecz czy mózg bez ciała mógłby kochać? Kochać na przykład inny, wypreparowany mózg? Byłaby to przecież miłość oparta tylko na wspomnieniach z okresu istnienia w pełnym cielesnym kształcie ludzkim. Tak, ale co te rozważania mogą pomóc w mojej sytuacji?

Ale ona, Ailie, kochała mnie. Kochała ciałem, zmysłami, świadomością, może i podświadomością. Rola podświadomości w życiu psychicznym, kiedyś może wyolbrzymiana, nie jest do końca wyjaśniona. Część mózgu Ailie była wykorzystywana w jakiś niepojęty sposób, zasób pamięciowy z określonych przedziałów czasowych został przestawiony, zamieniony na inny czy może zdominowany przez jej własne, nagle sztucznie spotęgowane cechy i skłonności. Ale cała reszta mózgu i ciała prawdopodobnie

funkcjonowała bez ingerencji. Czyżby więc tylko zasób pamięci, rejestracja faktów, stanowiły o miłości lub nienawiści? A może zalew powtórnie uaktywnionej po ustaniu roli łowcy informacji z poprzedniego okresu zagłuszył, zdominował słabe, bo pozbawione pamięciowych wyznaczników uczucie?

Wysiadłem z wozu i wspinałem się szybko stromą ścieżką, wśród krzewów targanych potężniejącą wichurą, coraz wyżej ponad rozfalowane światłami miasto.

Obydwa baraki ziały czarnymi prostokątami okien. Podszedłem do tego, w którym byłem wczoraj, i pchnąłem drzwi. Uchyliły się bez oporu, wewnątrz unosiła się duszna woń środków dezynfekcyjnych. Z bijącym sercem wszedłem i odszukałem przełącznik.

Puste wnętrze kostnicy zalało niebieskawe światło słabych lamp sufitowych. Starannie złożone prześcieradła znajdowały się na wózkach, nagie betonowe postumenty leżały symetrycznie w równych rzędach, jak klocki pozostawione w zabawie przez dziecko olbrzyma.

Usiadłem ciężko na jednym z nich. A więc i ta droga została zamknięta, Ailie jest dla mnie stracona na zawsze. Ale nie, to kłamstwo! Gdzieś przecież mieszka, żyje, w którejś wsi czy mieście tego ogromnego kraju. Będę jej szukał, jeździł, zaglądał w twarze wszystkim kobietom, przetrząsał kartoteki i spisy mieszkańców, dawał ogłoszenia do gazet. Wreszcie znajdę ją, muszę ją znaleźć! Wszystko jedno kiedy i gdzie, stanę przed nią i powiem - to ja. A ona, zaskoczona przy pracach domowych, wzruszy tylko ramionami, opłucze ręce i odgarnie przegubem dłoni niesforny kosmyk z czoła. Z pokoju wybiegnie dwójka dzieci pytając, kto to przyszedł...

Co za idiota! - mruknąłem sam do siebie. Szczeniak! W ciągu roku będziesz miał piętnaście dziewczyn, i o wszystkich zapomnisz przez następny rok. Na pewno zapomnisz.

Schodziłem stromą ścieżką wprost w morze światła miasteczka. I ja, i ci wszyscy ludzie tam w dole, pracujący, bawiący się, kochający, chorujący czy umierający znaleźli się pod ścisłą ochroną. Od tej chwili, kiedy ważyło się moje życie tam, na tej górskiej łące. Czy to ja ich uratowałem? Czułem się wybawicielem, choć wiedziałem dobrze, że mógłby nim być ktokolwiek spośród nich. Nic im się nie stanie, ich los będzie tylko taki, jaki sobie sami zgotują. Aż do następnego razu...

Pędziłem do domu jak szalony, myśląc tylko o pigułkach nasennych. Z piskiem opon zawróciłem przed „Albatrosem” i wyszedłem w ciemną, wietrzną noc. Od morza nadlatywały krótkie, słone podmuchy, a w głębi mrocznych fal połyskiwało nikłe samotne światelko. Nad wyludnioną aleją kołysały się kolorowe lampy, zupełnie jak wtedy, dwa dni temu. Dopiero dwa dni! Jutro wyjeżdżam.

Z opuszczoną głową wszedłem do hallu i zatrzymałem się raptownie, a potem cofnąłem o krok. W głębi pomieszczenia czekała Ailie, ściskając nerwowo swoją torbę podróżną. Chciała coś powiedzieć, ale dałem jej znak, kładąc palec na ustach. Kimkolwiek była, podszedłem do niej i wziąłem ją za rękę.

*Warszawa, sierpień 1980-luty 1981*